

SARAH HENNING

WIEDŹMA
MORSKA



SARAH HENNING

**WIEDŹMA
MORSKA**

TŁUMACZENIE
DOMINIKA MACULEWICZ

OŚWIĘCIM 2019

Wszyscy znają koniec tej opowieści. Syrena, książę, pocałunek prawdziwej miłości. Lecz przedtem była trójka przyjaciół – jedna z nich wzbudzała strach, drugi pochodził z rodziny królewskiej, a trzecia nie żyła.

Po tym, jak jej najlepsza przyjaciółka, Anna, utonęła, Evie stała się wyrzutkiem w swoim małym rybackim miasteczku. Dziwolągiem. Przekleństwem. Wiedźmą.

Przy brzegu zaczyna pojawiać się dziewczyna niezwykle podobna do Anny, i, mimo jej zaprzeczeń, Evie jest przekonana, że jej przyjaciółka wciąż żyje. Że jej magia okazała się nie być tak bezużyteczna, jak się wydawało. Dlatego gdy obie dziewczyny wpadają w oko – i skradają serca – dwóm czarującym księżętom, Evie wierzy, że w końcu ma szansę żyć długo i szczęśliwie.

Niemniej jednak jej przyjaciółka skrywa tajemnicę. Nie może zostać w Havnestadzie ani poruszać się na dwóch nogach, chyba że Evie znajdzie sposób, by jej pomóc. Teraz Evie robi wszystko, aby uratować człowieczeństwo swojej przyjaciółki oraz serce swojego księcia, w którym drzemie potęga jej magii, jej oceanu oraz jej miłości, aż w końcu zbyt późno odkryje prawdę, jaka kryje się za zawartą przez nią umową.

Tytuł oryginału
Sea Witch
Copyright © 2018 by Sarah Henning
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Barbara Marszałek
Korekta:
Dariusz Marszałek
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl
Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl
Numer ISBN: 978-83-7889-950-1

Skład wersji elektronicznej:
Kamil Raczyński

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Epilog – Pięćdziesiąt Lat Później

Podziękowania

Przypisy

Dedykacja

*Dla Nate'a i Amalii – jedynych okrętów na moim morzu.
I dla Jamesa – następnym razem będzie więcej pościgów
samochodowych.*

„W mych żyłach płynie morska piana, rozumiem język fal”.

– Jean Cocteau, *Le Testament d'Orphée*

Prolog

W świetle popołudniowego słońca przez brukowaną uliczkę niósł się odgłos dwóch par kroków – jednych szybkich, drugich nieregularnych. Około pięcioletnia dziewczynka o blond włosach ciągnęła wyższą od niej o cal i starszą o rok czarnowłosą przyjaciółkę wzdłuż wodnego szlaku, kierując się w stronę małej chaty.

Ciemnowłosa dziewczynka dławiała się, walcząc o oddech.

Topiła się na suchym lądzie.

W chwili, gdy chatka pojawiła się na horyzoncie, dziewczynka o blond włosach otworzyła usta, chcąc wołać o pomoc, ale zanim zdążyła wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, ze środka wybiegła matka ciemnowłosej dziewczynki, jakby od razu wiedziała, co się wydarzyło – zawsze zdawała się wiedzieć, co razem robiły.

– Evie! – krzyknęła, po czym wzięła córkę na ręce i zaczęła biec w kierunku chaty. – Anno – zwróciła się do blondwłosej dziewczynki, która próbowała złapać oddech po przebyciu tak długiej drogi z przyjaciółką na rękach – biegnij po nadwornego lekarza...

– Ale...

– Pośpiesz się!

Blondynka zaprzestała protestów i pośpiesznie puściła się biegiem brukowaną uliczką.

Gdy matka zatrzasnęła za nimi drzwi, dziewczynka o kruczoczarnych włosach wiedziała, że lekarz jej nie uratuje.

Tylko jedna rzecz mogła to zrobić.

– Gianni! – zawołała matka i chwilę później ojciec dziewczynki wyjrzał zza drzwi sypialni. Na jego twarzy malowało się wyczerpanie spowodowane ostatnim bezsennym polowaniem na wieloryby.

– Evie... co...

– Ma złamane żebro. I być może przebite płuco. – Położyła córkę na łóżku i rozerwała jej gorset aż do pępka. Krew spływająca po klatce piersiowej miała czarny kolor i rozgałęziała się niczym odnóża pająka. Matka spojrzała głęboko w ciemne oczy córki, próbując z nich coś wyczytać. – Co się stało?

Dziewczynka oblizwała wargi i z trudem nabrała powietrza do płuc.

– Uratowałam Nika.

Tak było. I była z siebie dumna. Uśmiechnęła się mimo bólu.

Wspólnie spędzili poranek – blondynka, brunetka i chłopiec – biegając wśród fal, wspinając się po skałach i tańcząc na plaży. Jednak kiedy nadeszło popołudnie, musieli się rozstać. Chłopca odesłano do zamku, a dziewczynki do domów, w tym młodszą do jej rezydencji, dziesięć razy większej od małej chatki, w której mieszkała druga z nich.

Jednakże zamiast posłuchać, spalone słońcem dzieci figlarnie puściły się biegiem z dala od niańki. Chłopiec biegł na przedzie, trzymając dziewczynki za ręce, i gnał po skałach wyznaczających drogę do zatoki. Ze śmiechem skakali z jednego głazu na drugi, podczas gdy opiekunka chłopca besztowała ich z brzegu.

Lecz jedna ze skał pokryta była śliskim mchem. Chłopiec poślizgnął się i runął do tyłu, a jego czaszka niechybnie uderzyłaby o twarde kamień...

... gdyby brunetka natychmiast nie zareagowała.

Rzuciła się między chłopca a ostrą krawędź skały. Jej plecy trzasnęły od siły uderzenia, a głowa szarpnęła się do tyłu, o włos mijając skałę. Niemal w tej samej chwili głowa chłopca wylądowała na delikatnym materiale jej bawełnianego gorsetu, zamiast roztrzaskać się o kamień.

To cud, że zdążyła.

Opiekunka chłopca siłą zaciągnęła go z powrotem na plażę i rzuciła ostro, żeby nigdy więcej tego nie robili. Staruszka odeszła z podopiecznym, zostawiając dziewczynki na piachu.

Gdy obie skierowały się do domu, brunetka potknęła się, czując, jak adrenalinę zaczyna zastępować ból, który przeszywał jej plecy i promieniował do klatki piersiowej. Nie mogła złapać oddechu; za każdym razem, gdy starała się nabrać powietrza do płuc, te odmawiały jej posłuszeństwa. Dziewczynka o blond włosach zaoferowała, że odprowadzi przyjaciółkę do domu, ale jak tylko dotarły do szlaku wodnego, brunetka nie mogła już się utrzymać na nogach i cały ciężar ciała oparła na ramionach blondynki.

– Och, Evie... – powiedziała matka dziewczynki, jakby całą historię wyczytała z jej oczu. Natychmiast wysłała męża po butle. Atramenty. Nie ten. Ten drugi. Położyła dziewczynkę na łóżku i pstryknęła palcami, zapalając ogień w pomieszczeniu.

W następnej chwili wypróbowała wszystkie zaklęcia lecznicze, jakie znała.

Jednakże po zaledwie kilku sekundach stało się jasne, że żadne z nich nie zadziało. Oddech dziewczynki stawał się coraz słabszy, aż w końcu ledwo dało się go wyczuć.

Matka zaczęła płakać, żałując, że nie było z nimi jej siostry – najpotężniejszej z wiedźm. Uzdrowicielki Królów. Ratowała tych, którzy byli u władzy. Tych samych ludzi, którzy przymykali oko na magię, gdy ich życie od niej zależało i karali za jej praktykę, gdy tak nie było. To dzięki niej nadworny lekarz mógł w ogóle rozważyć złożenie im wizyty – mimo że gdy już się zjawi, będzie za późno. Hansa też nie przyszłaby na czas – w tym momencie prawdopodobnie leczyła kolejnego arystokratę, dzień drogi stąd.

Ojciec dziewczynki ścisnął ramię matki i wytarł łzy z jej twarzy. Następnie chwycił dłoń córki, czując, jak przez zanik krążenia robi się zimna.

– Pójdę po pastora...

– Jeszcze nie – odparła matka zdeterminowanym głosem. Stała przy krawędzi łóżka i wyprostowała się, po czym kontynuowała spokojnie i pewnie: – Istnieje jeszcze jedno zaklęcie.

Delikatnymi palcami zaczęła nakładać atrament z ośmiornicy na policzki dziewczynki, a potem rozprowadziła go po szyi i klatce piersiowej.

– Nie martw się, Evie.

Słowa, które w następnej chwili wydobyły się z jej ust, brzmiały starodawnie, mrocznie i obco. Sprawiały, że krew dziewczynki trzaskała jak płonący w pokoju ogień. Pozbawiały ją tchu. Wprawiały ciało jej matki w silne drgawki, podczas gdy ta wciąż przyciskała dłonie do jej skóry.

Dziewczynka mogła tylko patrzeć na rodzicielkę, czując, jak jej żyły śpiewają. Po chwili mokre dłonie jej matki zaczęły ją palić. Nie od zimna, lecz od przeszywającego żaru.

Nagle ból ustąpił. Powietrze wróciło do jej płuc, a klatka piersiowa uniosła się nieznacznie. Wypuściła długi oddech.

Tego było za wiele. Pierś jej matki skurczyła się, wypuszczając powietrze – ale nie zaczerpując go ponownie.

– Greta! Greta! – Ojciec dziewczynki ujął w dłonie twarz jej matki, jednak natychmiast je zabrał. Skórę na ich wewnętrznej stronie miał czerwoną od poparzeń.

Córka poczuła ukłucie strachu i z trudem usiadła. Dłonie matki zsunęły się z jej ciała, a ona sama opadła na łóżko, lądując bladym policzkiem na

pościeli. Bez wahania sięgnęła po mikstury matki. Obróciła jej głowę twarzą do sufitu i zaczęła rozsmarowywać atrament na jej rozpalonych policzkach, czując jak na opuszkach palców zaczynają rosnać bąble. Jej własna skóra była zaróżowiona, ciepła i pełna życia, podczas gdy skóra matki była biała jak prześcieradło i gorąca jak popiół.

Jednak dziewczynka była pojętna. Wystarczająco długo obserwowała poczynania matki, więc wiedziała, jak działały te zaklęcia. Magia przypominała handel – wymagała odpowiednich słów, czynów i mikstur, by mogła zadziałać.

Dotknęła dłońmi twarzy matki i zaczęła powtarzać usłyszane wcześniej obce słowa.

Słowa życia.

– Evelyn, nie! – krzyknął ojciec, ale sparalizowany strachem nie ruszył się z miejsca.

Dziewczynka nadal uparcie recytowała słowa, aż w końcu jej własna skóra zaczęła ją palić. Ból powrócił. Jej oddech stał się płytki. Nagle matka otworzyła oczy, ukazując piękne, brązowe tęczęwki zamiast czystych białek.

Zaklęcie działało.

Ojciec przeniósł wzrok z żony na córkę. Te słowa były mroczne. Stare. Potężne. Wiedział o tym równie dobrze jak znał własny język.

Usta matki zaczęły się poruszać. Wzięła głęboki oddech.

– Gefa! – W jednej chwili kolejne słowa ulotniły się z ust dziewczynki, zabierając ze sobą mroczną, potężną moc.

Jednak dziewczynka kontynuowała, czując w piersi ból – krzyczała, lecz nikt nie mógł jej usłyszeć. Po jej policzkach spływały ciemne jak noc łzy. Jej widok zasłoniła czerń, a ona sama zaczęła wyc, nie wydobywając z siebie żadnego dźwięku; czuła, jak całe jej ciało drży.

Resztkami sił, matka przeniosła wzrok na ojca.

– Sprowadź Hansę. Powiedz jej o wszystkim. Obiecaj.

Gdy kiwnął głową, matka wyszeptała ostatnie zaklęcie, a powietrze przecięły krzyki córki, której czarne łzy skapywały na jej podartą sukienkę.

– Nie, mamó, nie! – Dziewczynka chwyciła wciąż rozpaloną dłoń matki i patrzyła, jak w jej brązowych oczach gaśnie światło.

Rozdział 1

Morze to kapryśna wiedźma.

Równie dobrze potrafi złożyć pocałunek na czyichś ustach, jak i pozbawić kogoś tchu. Jest piękna i okrutna, pokryta migoczącymi fałdami. Gdy hojna, napętnia nasze brzuchy i kieszenie po brzegi. Gdy nikczemna, jedynie patrzy chłodno, jak przywdziewamy czerń i wzbogacamy jej wody o słone łyzy.

Tylko fale nadążają za jej nastrojami – przychodzą i odchodzą równie szybko co one.

Jednak wciąż jest ona dla nas kimś więcej niż wiedźmą – jest naszą królową.

Mimo swoich zaklęć i napadów szału nadal stanowi jedną z nas. Jest niczym klejnot w koronie Havnestadu, wtulona pomiędzy nasze brzegi – na dobre i na złe.

Dziś wieczorem, przystrojona w swoje najbardziej wyszukane ozdoby, emanuje spokojem, zdusiwszy gniew głęboko pod skrzącą się taflą. Wciąż jednak czuć unoszące się w powietrzu napięcie pod okiem gwiazd, które pobłyskują, zwiastując letnie przesilenie i koniec przyjęcia z okazji szesnastych urodzin Nika.

Oficjalnie: Książę Asger Niklas Bryniulf Øldenburg III, pierwszy w kolejce do tronu suwerennego królestwa Havnestad.

Nieoficjalnie: po prostu Nik.

Ale „po prostu Nik” też nie pasuje. Dla mnie nie jest *po prostu* kimś. Jest moim przyjacielem. Tak naprawdę moim jedynym przyjacielem.

Teraz tańczy z Malwiną na pokładzie ogromnego parowca swojego ojca. O ile można nazwać jej miotanie się tańcem. Czuję ucisk w żołądku, widząc jak Nik omal nie wypada za burtę przez jeden z jej rozentuzjasmowanych piruetów. Naprawdę powinna sobie odpuścić.

Malvina, oficjalnie Hrabina Malvina Christensen, jest królewską pretendentką. Razem z ojcem od lat walczą o uwagę króla Asgera, z nadzieją, że wyda ją za księcia. Jednak mimo cierpliwości Nika do jej umiejętności tanecznych, wątpię, by ta dwójka miała w przyszłości wziąć ślub.

Chcę odwrócić wzrok od różowego jedwabiu sukni Malviny, lecz oczy

Nika błagają mnie o ratunek, cicho wołając moje imię przez dzielącą nas przestrzeń: *Evvvvvvieeee*.

Tylko ja mogę go uratować. Zebrali się tu wszyscy młodzi ludzie z miasta, lecz nikt poza mną nie mógłby wejść w drogę komuś takiemu jak Malvina. Inni ponieśliby konsekwencje za takie zachowanie – brak zaproszeń na gale, najstarszy koń podczas weekendowych polowań, miejsce przy stole obok czyjejś zniedołężniałej ciotki zamiast samej baronowej. Ja nie muszę się o to martwić. Nie można zepsuć sobie reputacji, jeśli nie jest się nawet częścią społeczeństwa.

Po kolejnym agresywnym piruecie w końcu wchodzę na prowizoryczny parkiet, ignorując rzucane w moją stronę złośliwe uśmiešky – już widzieli tego typu scenę. Malvina zostanie ofiarą, ja czarnym charakterem, a Nik na to wszystko pozwoli. Bycie powiernicą księcia potrafi dać w kość; znoszenie drobnych upokorzeń stanowi jedynie część ceny. Ale nie mam zamiaru przeproszać go za to, że mu pomagam. Każda przyjaźń wymaga kompromisów, a wierność Nika, podczas gdy nikt inny nawet nie spojrzy mi w oczy, jest warta wszelkiej krytyki, z jaką muszę się zmierzyć.

Dotykam sztywnego ramienia dziewczyny i przybieram spanikowany wyraz twarzy, po czym wskazuję na ośmiowarstwowego, oblanego cukrową, niebieską mazią potwora, którego uparła się stworzyć.

– Och, na boga, Evie! O co chodzi? – warczy Malvina.

– Lukier na cieście...

– *Pomada* – poprawia mnie tonem, jakbym właśnie splunęła na grób jej babki.

– *Pomada*... zaczęła pęcznieć.

Na jej twarzy odmalowuje się czysta panika, lecz nie rusza się z miejsca. Jest rozdarta między tańcem z Nikiem a ratowaniem swojego arcydzieła przed straszliwym losem, a jej rozwścieczony wzrok ląduje chwilowo na mojej twarzy. Boi się, że umyślnie jej przerwałam. Właśnie o tego rodzaju rzeczy dziewczyny z Havnestadu mnie podejrzewają – te same dziewczyny, które szepczą o nas za naszymi plecami. Tyle że w tej sytuacji mają rację.

– Rób, co musisz, Malvino. Tańczenie z tobą było prawdziwą przyjemnością. – Nik kłania się nieznacznie, pokazując książęce maniery i nie okazując przy tym ani krzty niechęci.

Gdy Nik odwraca wzrok, Malvina posyła mi gniewne spojrzenie. Pogarda, jaką do mnie czuje, jest równie wyraźna co obawa, że mogłam powiedzieć

prawdę. Nie musi mówić, co właśnie myśli i nie zrobi tego – nie, jeśli liczy na kolejny taniec z Nikiem. Dlatego gdy Nik kończy ukłon, zwyczajnie przywołuje na usta wyćwiczony uśmiech i dyga z gracją, po czym ucieka w pośpiechu, powiewając złotymi włosami.

W następnej chwili Nik, chowając głębokie, ciemne oczy za kruczoczną grzywką, kłania mi się, jakbym była jego nową pretendentką.

– Czy zaszczyisz mnie tańcem, moja miła?

Kąciki moich ust wykrzywają się w uśmiechu, a nogi automatycznie uginają w uprzejmym dygnięciu. *Moja miła*. Te słowa wzbudzają we mnie ciepłe uczucia, ale sprawiają również, że zalewa mnie fala gniewnych spojrzeń. Dla innych jestem zwykłą córką królewskiego rybaka, która wykorzystuje dobroć księcia, by ojciec mógł zatrzymać posiadłość. Nie uwierzyliby, że jesteśmy tylko przyjaciółmi i że zostaliśmy nimi, gdy oboje byliśmy jeszcze w pieluchach – zanim dowiedziałam się, kim jestem i zanim on dowiedział się, kim ma być.

– Ależ oczywiście, księżę Niklasie – odpowiadam.

Napotyka mój wzrok i oboje wybuchamy śmiechem. Formalności nigdy do nas nie pasowały – niezależnie od treningu, jaki przeszedł Nik.

Zaczynamy tańczyć. Nik jest wyższy ode mnie o stopę, lecz mimo to wyćwiczonym ruchem pochyla się w moją stronę – często szept stanowi u nas najwygodniejszą formę komunikacji.

– Długo ci zeszło – mówi, obracając mnie w rytm ostatnich nut piosenki.

– Chciałam zobaczyć, jak długo uda ci się zostać na pokładzie.

Zaczerpuje gwałtownie powietrza w wyrazie udawanego przerażenia, ale na jego ustach pojawia się uśmiech.

– Zostawiłabyś najlepszego przyjaciela na pastwę losu syrenom w dzień jego urodzin?

– Słyszałam, że są piękne. Nie byłby to najgorszy prezent dla nastolatka.

– Do tego wolą prezenty, które nie oddychają.

Napotykam jego wzrok. Czuję, jak moje usta drżą. Dzisiaj również nasza przyjaciółka Anna miałaby urodziny. To znaczy, wciąż je ma, tylko po prostu nie może ich już świętować. Była dokładnie rok młodsza od Nika. Cała nasza trójka kilkakrotnie znajdowała się w sytuacjach, gdzie o włos uniknęliśmy śmierci, jakby wielka i potężna bogini Urda chciała nas do siebie zabrać. Ale straciliśmy Annę. Spuszczam wzrok, czując, jak w moich oczach zaczynają się zbierać łzy, mimo że od jej śmierci minęły już cztery lata. Nik wzdycha,

odgarniając luźny kosmyk włosów z mojej twarzy. Czeka cierpliwie, aż w końcu podnoszę głowę. Na jego ustach maluje się delikatny uśmiech, a ja wiem, że żałuje spowodowania tej nagłej zmiany nastroju.

– Cóż, dziękuję za ratunek, Evie. Jak zwykle.

Dobrze jest zmienić temat, lecz to nie wystarczy – i oboje o tym wiemy. Biorę głęboki oddech i patrzę ponad ramieniem Nika, nie ufając własnemu głosowi. Przełykam ślinę i staram się skupić na przyjęciu. Wszystko, co się tu znajduje, zostało sprowadzone specjalnie na tę okazję – statek, lejący się litrami hvidtøl¹, orkiestra, dwaj służący oraz węglarz – i wszystko wygląda pięknie. Koncentruję się na miniaturowych latarniach umieszczonych wokół pokładu, których blask odbija się w złotych nitkach mojej szykownej sukni.

Nagle Malvina rzuca się na stół z deserami, wciąż gorączkowo próbując opanować tworzące się na cieście wybrzuszenie. Spodziewam się, że Nik zacznie się śmiać lub chociaż wyda z siebie niezwykle królewskie parsknięcie, lecz on patrzy ponad moim ramieniem, w stronę lewej burty. Podążam za jego spojrzeniem i czuję, jak moje serce zamiera, gdy widzę szkuner, a na jego pokładzie znajomą sylwetkę należącą do chłopca – mężczyzny – który właśnie stawia żagiel.

– Iker... – Imię wydostaje się z moich ust w postaci szeptu, nim udaje mi się je powstrzymać. Napotykam wzrok Nika, czując, jak się rumienię. – Nie wiedziałam, że się zjawi.

– Ani ja. – Wzrusza ramionami i unosi brew. – Ale Iker raczej nie ma w zwyczaju odpowiadać na zaproszenia. Opuścił ten dzień w szkole. Tak jak wykład o punktualności.

– Wydaje mi się, że nazywają to „modnym spóźnieniem” – mówię.

– Cóż, nic o tym nie wiem – odpowiada ze śmiechem Nik.

Szkuner podpływa bliżej i widzę, że na pokładzie znajduje się tylko Iker – nie zabrał nikogo ze sobą z Zatoki Rigeby – czym wcale mnie nie zaskoczył. Jest doświadczonym żeglarzem uwięzionym w świecie pełnym jedwabiu i kawioru. Widzę, jak jego mięśnie napinają się, gdy bezbłędnie manewruje żaglowcem i płynie w kierunku swojego kuzyna.

Nik pochyla się i przybliży usta do mojego ucha.

– Widzę, że właśnie pozbawiono mnie partnerki.

Uderzam go pięścią w ramię.

– Nie wiesz tego.

– To prawda, ale wiem, jak na niego patrzysz, odkąd na moim torcie urodzinowym było dziesięć świeczek mniej niż teraz.

Przewracam oczami, lecz nie mogę powstrzymać uśmiechu, jaki wykrzywia mi usta. Nie do końca ma rację, ponieważ zaczęłam postrzegać Ikerę jako kogoś więcej niż brata cztery lata temu, jednak to nie jest najlepszy moment na tego typu kłótnie.

Odchrząkuję.

– Na pewno Malvina nie będzie miała nic przeciwko. Już prawie skończyła poprawiać twoje ciasto – mówię, wskazując brodą na niebieskiego potwora, choć mój wzrok nie opuszcza Ikerę, który właśnie przygotowuje się do rzucenia liny na pokład parowca.

Nik przyciska mnie do piersi, przybliżając usta do mojego ucha.

– Jaka z ciebie lojalna przyjaciółka.

– Zawsze taka byłam. I zawsze będę.

– Prawda. – Nik uśmiecha się szeroko, po czym zamasyżuje macha ręką. – No proszę, czyż to nie sam książę Zatoki Rigeby?

– A ja myślałem, że was zaskoczę – odpowiada ze śmiechem Iker. – Najwyraźniej niełatwo przechytrzyć żywą latarnię morską na własnym statku.

Nik śmieje się i ściąga łopatkę.

– Tylko jeśli patrzę w odpowiednim kierunku.

Na to Iker śmieje się jeszcze głośniej. We włosach ma sól, a na jego brodzie widnieje kilkudniowy zarost. Przez pokład swojego szkunera sunie z książeczą gracją. Przenosi wzrok na mnie, a w jego oczach widać cień niepewności na widok mojej powagi, jednak mimo to rzuca mi linę. Łapię ją i przywiązuję do parowca, wykorzystując węzeł, którego nauczył mnie ojciec.

Iker wspina się po linie i wchodzi na statek. Udaje mu się wylądować idealnie pomiędzy Nikiem a mną. Za nami zaczyna zbierać się tłum.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kuzynie. – Iker, ze śmiejącymi się oczami, kładzie Nikowi dłoń na plecach i przytula go mocno, zamykając jego patykowatą sylwetkę w umięśnionych ramionach.

Kiedy się od siebie odsuwają, wzrok Ikerę ląduje na mnie. Jego oczy mają kolor czystego błękitu – niczym starożytny lód na północnych fiordach.

– Evelyn – mówi, wciąż zachowując formalną postawę ze względu na wychowanie, lecz nagle przyciąga mnie do siebie i zamyka w objęciach.

Zamieram, wbijając spojrzenie w Nika i czując na sobie wzrok wszystkich

gości. Iker wydaje się tego nie zauważać lub po prostu nic sobie z tego nie robi, i ściska mnie jeszcze mocniej, oplatając ramię wokół mojej talii. Pachnie solą oraz limonkami. Na jego koszuli widnieją mokre krople, które wyglądają jak kawałki onyksu na wykrochmalonej, szarej tkaninie – niczym ślady pozostawione przez samo morze.

Po chwili wypuszcza mnie z objęć, ale jedną dłoń wciąż trzyma na moim ramieniu. Staram się zignorować dręczące mnie pytania, które zapewne zadają sobie również wszyscy świadkowie tego zajścia. *Dlaczego ja?* Znamy się od dziecka, ale nigdy wcześniej nie okazał mi tego rodzaju czułości. Nie jestem w jego typie. Nie jestem w *niczym* typie. A mimo to Iker zachowuje się, jakby to wszystko było całkowicie normalne. Odwraca się do Nika, potem do tłumu i obdarza wszystkich tym swoim idealnym uśmiechem.

– Dobrzy obywatele Havnestadu – mówi tonem dosadnym, lecz szczerym. W jednej chwili jego uśmiech staje się jeszcze szerszy. – Świętujmy urodziny księcia tak, by nigdy nie zapomniał o tym dniu.

Rozdział 2

Mam wrażenie, jakbym była we śnie.

Wciąż czuję ciepło silnych ramion Iker, gdy sunę przez pokład, wirując w jego objęciach.

Próbowałam mu powiedzieć, że nie powinniśmy tego robić, ale nie chciał mnie słuchać.

– Niech mówią, co chcą – rzuca Iker. Gdyby tylko wiedział, od jak dawna jestem na językach mieszkańców.

Czuję wpatrujące się we mnie oczy Malviny. *Zgadza się, Malvina, właśnie tak tańczy ktoś, kto nie musi ryzykować przy tym własnym życiem.* Staram się jednak o niej nie myśleć. Chcę zapamiętać tę chwilę i każdy jej najmniejszy szczegół. Skóra Iker, przypomina w dotyku naoliwiony zamsz i miękki muślin. Jego dłonie są szorstkie i wyschnięte od morza, lecz wciąż delikatne. Dyskretnie muska mój kciuk swoim.

Fantazje, jakie snułam jeszcze gdy miałam dwanaście lat, nigdy nie były aż tak szczegółowe – wyobrażałam sobie wtedy, jak w obfitej, purpurowej sukni spaceruję po pałacowych ogrodach z Ikerem ubranym w królewski strój. To, co dzieje się w tej chwili, jest całkowicie inne – dużo bardziej intensywne, i nie jestem pewna, czy dobrze to znoszę. Wiem, że nie. Czy czuje, jak poca mi się dłonie? Jak głośno bije mi serce?

– Wiesz, widziałem cię z pokładu szkunera – szepcze mi do ucha. – Zanim do was dołączyłem. Wyglądasz piękniej niż kiedykolwiek, Evie. A ja nigdy wcześniej równie mocno nie błagałem bogów o wiatr w żagle.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć i czuję, jak głos więźnie mi w gardle. Zamiast tego rozglądam się wokół, próbując uporządkować myśli. Słońce już całkiem zaszło, pośpiesznie zabierając ze sobą ostatnie smugi światła, a powietrze wypełnia stukot talerzy, na których znajdują się kości przepiórek, ogony ryb, strąki grochu i szypułki truskawek. I choć statek wciąż jest rozświetlony miniaturowymi lampionami, przez otaczający nas półmrok niemal można odnieść wrażenie, jakbyśmy byli sami.

Chłopiec, dziewczyna i morze.

Utwór dobiega końca, a Iker przytula mnie mocno. Gdy się odsuwa, muska

palcem moją brodę.

– Nie powinienem był na tak długo opuszczać Havnestadu – mówi, łapiąc palcami kosmyk moich włosów. – Masz takie same włosy jak wtedy, gdy byłaś dzieckiem. – Napotyka mój wzrok. – I oczy jak gwiazdzista noc.

Staram się patrzeć w dół, gdzie wciąż uparcie trzyma kosmyk. Przygryzam wargę, próbując powstrzymać westchnienie. Zaciska palce mocniej na loku, sprawiając wrażenie, jakby nawet nie zdawał sobie z tego sprawy – w końcu jest tak przyzwyczajony do uśmiechów i wielkich gestów, że coś tak małego mogłoby mu umknąć.

Wzrok Ikerą wędruje ku członkom orkiestry, którzy zebrali się wokół kogoś, kto właśnie siedzi na ławce i gra na gitarze. Mimo że nie widzimy go z miejsca, gdzie stoimy, to czyste, precyzyjne szarpnięcia zdradzają charakterystyczny styl Nika. Już w dzieciństwie lubił testować nowe instrumenty i jakimś sposobem od razu wiedział, jak na nich grać. W tej chwili gra piosenkę, którą często śpiewałam, gdy jako mała dziewczynka modliłam się, by mój ojciec bezpiecznie wracał ze swoich wypraw. Nik powiedział mi kiedyś, że bardzo mu ona utkwiała w pamięci.

Iker wypuszcza kosmyk z palców.

Odchrząkuje.

Wyprostowuje się, tak że nasze ciała nie dotykają się już w tak wielu miejscach.

To koniec. Nie mam ku temu wątpliwości. Być może fantazje mogą stać się rzeczywistością tylko na krótką chwilę. To z pewnością sztuczka ukartowana przez bogów.

Nie odrywa wzroku od muzyków, gdy w końcu kontynuuje, lecz ton jego głosu jest nieco inny.

– Evie, uwielbiam odwiedzać Havnestad, ale nie chcę wchodzić mojemu kuzynowi w paradę.

Teraz mój głos brzmi dziwnie. *Dlaczego Nik musiał zagrać akurat tę piosenkę?* Przełykam ślinę.

– Przecież tak nie jest – odpowiadam, modląc się w duchu, by nie usłyszał błagalnej nuty w moim głosie. – Poza tym nie sądzę, żeby Nik miał coś przeciwko twoim wizytom. No i nie zapominajmy o Festiwalu Lithasblot, który ma się odbyć za kilka dni.

– Ach, tak, to ten, gdzie wasza zgraja wariuje na punkcie Urdy, rzuca chlebem w każdego, kto nie ma podwójnego podbródka i biega w kółko do

upadłego.

– Wasza zgraja? – Pytam, dźgając go w żebra. Może i Iker wychował się po drugiej stronie cieśniny, ale wciąż jest Øldenburgiem, tak samo jak Nik. Ich rodzina rządzi Danią i Szwecją już od czterystu lat. Jak nikt inny wiedzą, że nie należy lekceważyć plonów, jakimi obdarza nas bogini. – Nie śmiej się. Traktujemy to poważnie.

– Ach, tak, gra na śmierć i życie, w której trzeba przenieść jak najcięższy głaz.

– W której trzeba przejść przez kłodę. To bardzo przydatna umiejętność. – Śmieję się, szczęśliwa, że atmosfera znów się poprawiła.

Iker odwraca się w moją stronę.

– Jeśli mam pójść na to widowisko, musisz mi obiecać, że przeczłapiasz się dla mnie po jednym z pni drzew, które ostatnio ścinali.

– Skoro tylko tyle ode mnie wymagasz, to obiecuję – odpieram, dygając prześmiewczo.

Parskam śmiechem. Uwaga Iker jest skupiona na mojej twarzy. Jakby nie mógł się powstrzymać, ponownie muska kciukiem mój policzek, a następnie przesuwając go po mojej brodzie i dotyka ust, sprawiając, że się rumienię. Podnoszę wzrok i wpatruję się w błękit jego oczu.

– Iker, ja...

– Dooooooooobrzy obywatele Havnestadu! – Gwałtownie obracamy głowy w kierunku głosu Nika, który niesie się przez całą długość statku. Wciąż trzyma w ręku gitarę, lecz teraz na jego czuprynie spoczywa korona zrobiona z ćwiartek cytryn, na ustach widnieje szeroki uśmiech, a długie ręce wznosi ku górze. Tak naprawdę wygląda nieco jak Iker po kilku kulkach specjalnego piwa króla Asgera. – Jako wasz książę, niniejszym ustanawiam dekret królewski, który nakazuje wam śpiewać *dla mnie* w tymże dniu, kiedy to świętujemy szesnasty rok mojego życia.

– Tak jest, TAK JEST! – krzyczy Iker, a w jego ślady idzie reszta tłumu, który na nowo pojawił się w polu mojego widzenia.

– Wspaniale. Ruyven właśnie dał sygnał, że za chwilę wypuści fajerwerki. Ale najpierw coś... – Głos Nika urywa się, gdy silne ramię Malviny ciągnie go w dół, by mogła powiedzieć mu coś na ucho. Drugą ręką wskazuje na znajdujące się za nimi ciasto. W następnej chwili Nik ostrożnie wchodzi ponownie na ławkę i nastraja gitarę. – Ta oto urocza dama, Malvina, właśnie mnie poinformowała, że brakuje nam świeczek. – Nik wskazuje gryfem na

mnie, choć jego głos wciąż zachowuje udawany, oficjalny ton. – Evie? –
Unosi brew.

Odwzajemniam gest.

– No dalej, wiesz, gdzie są.

I ma rację. Są dokładnie tam, gdzie zostawił je Nik, gdy „pożyczał”
królewską łódź podczas pierwszego ciepłego dnia po lodowatej zimie.

– Owszem, szanowny książę.

Mimo że chcę zostać u boku Ikera, odsuwam się od niego, jednocześnie
czując, jak opuszcza mnie bijące od jego ciała ciepło. Biorę jeden z
lampionów zawieszonych na linie i odłączam się od tłumu.

Schodzę do kwatery kapitana, a echo moich kroków niesie się po
schodach. Pomieszczenie jest obszerniejsze niż byłoby to potrzebne –
większe niż dom, w którym mieszkam z ojcem i ciocią Hansą. Miniaturowy
lampion z trudem radzi sobie z niemal bezkresną przestrzenią, tworząc halo,
które ledwo sięga poza rąbek mojej sukni. To strasznie irytujące.

Zerkam na schody by upewnić się, że jestem sama; nikt za mną nie
poszedł. Stając plecami do drzwi, sięgam dłonią do środka lampionu. Cicho
mruczę pradawne słowa i koniuszkami palców ściskam czubek świeczki.

– *Brenna bjartr aldrnari. Brenna bjartr aldrari. Pakka Glöð.*

Płomień zaczyna emitować trzykrotnie więcej światła.

To drobne zakłęcie – tak drobne, że prawdopodobnie mogłabym go użyć
na oczach wszystkich gości. Jednak tutaj nawet za coś tak przeciętnego jak
zakłęcie wzmacniające płomień mogłabym znaleźć się w tarapatach.

Jeszcze rok temu z rozkazu Øldenburków kobiety palono na stosach za
dużo mniejsze przewinienia.

Tak samo jak moich krewnych.

A to oznacza, że są rzeczy, których Nik i Iker nigdy nie mogą się o mnie
dowiedzieć.

Poza tym dzisiejszego wieczoru już raz podjęłam ryzyko, kiedy po cichu
sprawiłam, że ciasto Malwiny zaczęło pęcznieć. Nie robiłam czegoś takiego,
odkąd byłam dzieckiem, ale zadziałało. Niemniej jednak prawdopodobnie
wciąż igram z losem, jawnie wzmacniając płomień świeczki, a nigdy nie
miałam za wiele szczęścia w życiu.

Teraz, gdy zasięg rzucanego przez świeczkę światła jest wystarczający, z
łatwością pokonuję ogromną przestrzeń i idę w stronę bulaju wychodzącego
na prawą burtę statku. Pod nim stoją dwa krzesła oraz stolik z namalowaną

na nim szachownicą.

Wcześniej widziałam, jak Nik schował zapas świeczek do jednej z szuflad stolika. Nie żeby jego ojciec nigdy by się o tym nie dowiedział – kłamstwo nigdy nie pasowało do jego królewskiego wizerunku – po prostu nie chciał obciążać pracowników portu kolejnymi obowiązkami.

Biorę do ręki świeczki i zapałki, podnoszę lampion i odwracam się w kierunku drzwi, ale nagle kątem oka zauważam w ciemności dwa jasne, białobłękitne punkty. Obracam się ponownie do bulaju, przez który pada nikła smuga światła.

Moje serce zamiera, gdy uświadamiam sobie, że nie znam żadnej ryby o takim ubarwieniu.

Ubarwieniu, które wygląda jak ludzkie oczy.

Czując, jak płuca palą mnie z braku powietrza, podnoszę lampion wyżej i próbuję przypomnieć sobie twarz każdego z gości, ale jestem pewna, że wszyscy znajdowali się na pokładzie, kiedy schodziłam na dół.

Gdy światło dociera do grubego szkła, widzę za nim parę znajomych, niebieskich oczu, połyskującą skórę, burzę jasnych włosów, których kolor jest nieco ciemniejszy przez wodę, oraz usta otwarte w wyrazie zdziwienia.

– Anna?

Jednak w chwili, gdy wymawiam jej imię, czując na sobie wilgoć unoszącego się w kajucie powietrza, twarz znika, a ja stoję i wpatruję się oszołomiona w morski błękit.

Moje płuca znów zaczynają pracować i gwałtownie zaczerpują powietrza, po czym dopadam do kolejnego bulaju i zdyszonym głosem ponownie ją wołam, lecz ani w tym, ani w kolejnych dwóch nie widzę jej pięknej twarzy.

Stoję pośrodku wielkiej, królewskiej kajuty, czując, jak serce mi łomocze i płuca płoną z uprzedniego braku powietrza, a z ust wydobywa się ciężkie westchnienie. W moich oczach zaczynają się zbierać łzy, kiedy uświadamiam sobie, że mimo braterskiej przyjaźni Nika i nowoodkrytymi uczuciami Ikera, wciąż jestem zwykłą córką rybaka.

Samotną córką rybaka, która chciałaby odzyskać ukochaną przyjaciółkę. Która bardzo chciałaby wierzyć, że widzi duchy.

Wierzyć ze wszystkich sił, że traci rozum.

Rozdział 3

Wycieram oczy nadgarstkiem, wciąż ściskając w dłoni świeczki i zapalki. Biorę kilka głębokich oddechów i nakazuję sobie iść do drzwi, i wejść po schodach; nogi mam ciężkie jak z ołowiu.

– Miła dama przyniosła świeczki! – krzyczy Nik w chwili, gdy mnie zauważa, a jego głos częściowo dopasowuje się do melodii, którą właśnie gra na gitarze.

– I zapalki, mój książę – odpowiadam automatycznie głosem spokojniejszym, niż się spodziewałam.

– Moja droga Evie, zawsze ratujesz swojego księcia przed jego własnym brakiem przezorności.

– Ktoś musi, kuzynie. – Śmieje się Iker, wstając z ławki, podczas gdy Malvina pośpiesznie zabiera mi z rąk rzeczy, które przyniosłam. Natychmiast ustawia się za Nikiem i zaczyna przebijać nieskazitelną powierzchnię pomady końcami świeczek. Nie usłyszałam od niej żadnego słowa podziękowania, a wiem, że gdyby ktoś inny znajdował się na moim miejscu, jej maniery by tego wymagały.

Nik zaczyna śpiewać piosenkę, zanim Malvina kończy zapalać świeczki. Jego głos unosi się ponad mamrotaniem gości i nawet barytonem Ikera. Ja robię to, co zwykle, czyli samym ruchem warg bezgłośnie śledzę słowa – pasja do śpiewania opuściła mnie w dniu, gdy straciłam Annę. Według cioci Hansy miałam szczęście, że morze zabrało tylko ją. Nik z zamkniętymi oczami siedzi tyłem do ciasta, a skaczące za nim płomyki poruszają się w rytm silnego wiatru docierającego od strony Cieśniny Sund.

Przenoszę wzrok na majaczący w oddali mrok. Tuż za naszym polem widzenia błękit oceanu zmienia się w głęboką czerń, a wiszące nad nim poszarpane chmury suną ku nam w zawrotnym tempie.

– Iker – szepczę.

– ... *Hun skal leve højt hurra...* – Nik kończy ostatni wers tradycyjnej urodzinowej przyśpiewki i odwraca się, żeby zdmuchnąć świeczki, po czym otwiera oczy w chwili, gdy z plaży zostają wystrzelone pierwsze fajerwerki. Niebo szybko przecinają biało-czerwone strumienie światła, rzucając blask

na znajdujący się poniżej Havnestad i otaczający go łańcuch górski.

– Iker – powtarzam, wciąż śledząc wzrokiem ruch chmur. Odwraca się, wciąż obejmując mnie ramieniem w talii, a ja wskazuję na zbliżającą się burzę, gdy nagle pnącze błyskawicy uderza w taflę wody, zaraz przy przystani.

W jednej chwili wracam do rzeczywistości i szacuję odległość między ścianą deszczu a statkiem.

– Burza! – krzyczy Iker, a końcówka słowa zostaje zagłuszona przez grzmot. – Wszyscy pod pokład! Szybko!

Ale oczywiście ludzka ciekawość jest silniejsza niż rozsądek i goście odwracają się w kierunku burzy, zamiast od niej uciekać. Razem z Ikerem i Nikiem ruszamy się z miejsc w chwili, gdy pierwsze ciężkie krople rozpryskują się na pokładzie.

Nik zaczyna kierować ludzi pod pokład. Iker dopada do koła sterowego, by skierować statek w stronę przystani, po tym jak kazał poprzedniemu sternikowi – węglarzowi – zejść na dół i napełnić silnik parowy.

Deszcz wzbiera na sile, gdy wchodzę po schodach na dziobnicę i chwytam się kurczowo balustrady. Nie mogę otwarcie użyć magii, żeby powstrzymać burzę, dlatego dziękuję bogom, że wychowałam się blisko morza i jestem córką rybaka. W żaden sposób nie czuję się bezsilna.

Burza rozbrzmiewa tuż nad naszymi głowami. Świecek z tortu i otaczające statek lampiony już dawno porwał wiatr, a ja z ulgą witam kolejny błysk pioruna, który rozświetla rozgrywającą się wokół mnie scenę.

Iker ustawia statek w prawidłowym kierunku, twardo stawiając stopy na pokładzie i napinając mięśnie z wysiłku.

Nik z trudem wspina się po schodach po wcześniejszym zabarykadowaniu drzwi prowadzących do kajuty kapitana. Jego korona z ćwiartek cytryn już dawno stała się przysmakiem dla szalejącego morza.

Ciasto leży zrujnowane na pokładzie, podczas gdy wiatr szarpie statkiem w kierunku prawej burty.

Powietrze przecina kolejny grzmot, a ja docieram do Ikera i pomagam mu utrzymać koło. Iker jest wystarczająco silny, by kierować nim samodzielnie, lecz lina łodzi zauważalnie się napina, kiedy pomagam mu odzyskać kontrolę.

– Przyjemny urodzinowy rejs! – krzyczy Iker ponad hukiem burzy, a ja uśmiecham się do niego przez zaciśnięte zęby. W jego oczach widać radosny

błysk, mimo że mięśnie szyi ma napięte. – Czyste niebo i wymyślne drinki. Czy nie to obiecywał Nik?

Czując ból w mięśniach, oboje koncentrujemy się na latarni morskiej znajdującej się na granicy przystani, od której wciąż dzieli nas kilka minut. Ogromna fala uderza w pokład i zabiera ze sobą pozostałości ciasta. Nikowi udaje się utrzymać na nogach. Kurczowo trzyma się poręczy schodów, a przemoczona, biała koszula przylega do jego ciała jak druga skóra.

– Płyniemy za wolno! – wrzeszczy mi Iker do ucha, próbując przekrzyczeć burzę.

Kiwam głową, mocniej zaciskając zęby, gdy silny podmuch wiatru spycha statek w stronę portu, przez co koło sterowe również obraca się w tym kierunku.

– Wiem – odkrzykuję. – Ale nic nie możemy na to poradzić, chyba że... – Wskazuję brodą na jego ukochany statek, prezent od ojca.

Iker kiwa głową w odpowiedzi na moją sugestię.

– Nik! – krzyczy ponad smagającym skórę wiatrem i rozszalałymi falami. – Mój szkuner! Pomóż mi go odwiązać!

Jakimś cudem Nikowi udaje się go usłyszeć i natychmiast zaczyna iść ku lewej burcie, gdzie łódź Ikera spowalnia tempo statku.

Kolejna fala atakuje parowiec i spycha nas na prawą burtę. Moje buty ślizgają się po drewnianej powierzchni, lecz udaje mi się utrzymać kurs, stabilizując koło własnym ciężarem ciała. Na głównym pokładzie Nik właśnie dotarł do poręczy przy lewej burcie. Oplata ją jedną ręką, żeby nie stracić równowagi, a drugą próbuje rozplątać mój węzeł. Iker rusza mu z pomocą.

Statkiem znów szarpie, a ja zamykam oczy, błagając w duchu, by zbliżyć się do lądu. Gdy znów je otwieram, prawdopodobnie znajdujemy się bliżej Havnestadu, ale tylko o kilka stóp. Obracam głowę i widzę, że Nikowi już prawie udało się poradzić sobie z węzłem.

Grzywa fali przedostaje się na pokład, całkowicie mocząc Nika. Potrząsa głową, a jego falowane włosy zaczesują się na jedną stronę. Szybko odzyskuje równowagę i ponownie wraca do rozplątywania węzła, choć śliska poręcz i nowe deski podłogowe wcale nie ułatwiają mu zadania. Ostatnie pociągnięcie i węzeł jest rozwiązany, a lina zsuwa się z pokładu. Nik, dużo silniejszy niż na to wygląda, trzyma się mocno balustrady, gdy środek ciężkości statku ulega zmianie dzięki pozbyciu się ciężaru żaglowca Ikera.

– Jeszcze trzysta jardów do królewskiego doku! – krzyczy Iker, wracając do koła. Przenoszę wzrok z Nika na ląd. Latarnia, której rozświetlona górna część widnieje tuż pod gęstą strzechą chmur, rzeczywiście zbliża się do nas szybciej.

Lecz nie tak szybko jak kolejna fala, która uderza w statek.

Ściana wody, równie czarna co rozciągające się nad nami niebo, całą swoją siłą rozpląszcza się na lewym brzegu statku, posyłając Nika na kolana. Krzyczę do niego, by nie wstawał – bycie w niższym środku ciężkości jest bezpieczniejsze – lecz mój głos zostaje pochłonięty przez burzę.

Wstaje.

Niebo przecina błyskawica.

Statek się przechyla, popchnięty ciężarem fali, i zrzuca Nika prosto do zimnej głębi.

Rozdział 4

– NIK!

Wykrzykuję jego imię najgłośniejszym głosem, jak potrafię. Statek stabilizuje się, lecz na pokładzie nie ma śladu po Niku. W miejscu, gdzie wcześniej stał, jest tylko morska piana i mokre deski.

– Nik! – wołam go i puszczam koło, po czym mijam Ikerę i pędzę w kierunku głównego pokładu.

Moje ciało nie nadąża za myślami, w głowie mam chaos i nie zważam na wiatr, na deszcz, ani na Ikerę.

Nie.

Nie ODBIERZESZ mi go.

Te twoje syreny będą musiały sobie zabrać kogoś innego.

Nik jest mój.

– Evie! – wrzeszczy Iker. – Nie! Wracaj! To nie...

– NIK! – Zbiegam po schodach. Moje buty ślizgają się po mokrym pokładzie, ale dopadam do miejsca, skąd spadł Nik. Targane wiatrem włosy zasłaniają mi widok, gdy mrużę oczy i, mimo mroku oraz deszczu, próbuję cokolwiek wypatrzyć w szalejących falach. – Nik!

W kółko wykrzykuję jego imię, a mój głos staje się coraz słabszy i bardziej ochryply, aż w końcu zaczyna bardziej przypominać szept. W końcu docieramy do królewskiego doku. Zeskakuję na deski, jeszcze zanim Iker i nawet węglarz mają czas zakotwiczyć statek. Przeczesałem horyzont w poszukiwaniu długich ramion, mignięcia włosów lub chociaż kawałka buta.

Iker przeskakuje przez poręcz i ląduje na doku obok mnie, zostawiając węglarza, by ten samodzielnie wypuścił resztę pasażerów z kajuty kapitana.

– Evie – mówi, a jego głos jest dużo spokojniejszy niż powinien, jak na dobrego kapitana przystało. – Spójrz tam. – Wskazuje na horyzont, gdzie chmury zaczynają się rozwiewać, a na niebie ponownie widać gwiazdy.

– Burza już przechodzi. A Nik potrafi pływać.

Kiwam głową, czując iskrę nadziei, gdy widzę malujący się w jego oczach rozsądek.

– Ale i tak musimy go odnaleźć – odpieram. Przypominam sobie wszystko,

czego ojciec nauczył mnie o morzu i pokazuję ręką miejsce, gdzie wciąż szaleją fale. – Byliśmy mniej więcej tam. – Poruszam palcami w kierunku, w którym wieje wiatr, aż moja dłoń zatrzymuje się na zatoczce przy plaży. – Co oznacza, że najprawdopodobniej jest... tam.

Nie czekam, aż Iker przyzna mi rację, tylko od razu biegnę przez dok, zeskakuję na piasek i pędzę wzdłuż linii brzegowej, w stronę wskazanego przeze mnie punktu.

– Nik! – wołam zachrypniętym i bezradnym głosem, próbując przekrzywić wiatr. Przez chwilę Iker jest zaraz za mną, lecz szybko mnie wyprzedza.

Zatokę Havnestadu tworzy poszarpana skała i mulista plaża. Kształtem przypomina literę W, a do jej środkowej części prowadzi kilka sporych głazów, aż w końcu woda staje się zbyt głęboka, by ich wierzchołki wystawały ponad taflę. W dobrą pogodę stanowi ona przyzwoitą kryjówkę, gdzie można odpocząć od zgiełku przystani. Jednak gdy pogoda nie dopisuje, przebywanie tam to samobójstwo.

Iker wskazuje palcem na największy głaz – Piknikową Skałę.

– Wejdę tam i spróbuję go wypatrzeć.

Wiatr już traci na sile, tak samo jak deszcz. Nawet przecinające niebo błyskawice wydają się oddalać, stopniowo znikając za górami razem z burzą.

Zadziwia mnie krótkotrwałość tak potężnej burzy. Czuję, jak płynąca w moich żyłach magia reaguje na tę osobliwość, ale nie mam teraz czasu myśleć o tak abstrakcyjnych rzeczach.

Obracam głowę i patrzę na masę skał leżących przy brzegu, po czym przenoszę wzrok na tę w samym centrum zatoczki, na tyle wysoką, że zasłania pozostałą część plaży.

– Wejdę na nią i będę szukać po drugiej stronie.

– Czekaj! – mówi Iker, a na jego twarzy zaczyna malować się zmęczenie.

Pierwszy raz odkąd go znam wygląda, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Nagle wplata mi dłoń we włosy i przyciąga mnie do siebie. Moje serce przyspiesza.

– Iker, nie mo... – szepczę. Chcę powiedzieć, że nie możemy zwlekać, że nie powinien mnie spowalniać... lecz nagle czuję dotyk jego warg na moich ustach.

Biorę głęboki oddech, rozkoszując się jego zapachem, i przez chwilę zapominam, że stoimy na piaszczystej plaży, przemoczeni do szpiku kości, i

szukamy Nika. Jesteśmy zupełnie gdzie indziej. Gdzieś, gdzie ani klasa, ani tytuł nie mają znaczenia. W miejscu, które z pewnością nie istnieje. To wszystko jest po prostu kolejną sztuczką ukartowaną przez bogów.

Odsuwa się ode mnie, a ja jestem zbyt oszołomiona, by ruszyć się z miejsca, i tylko wpatruję się w jego zimne oczy.

– Uważaj na siebie – mówi.

W jednej chwili wracam do rzeczywistości. Podnoszę ciężką, przemoczoną spódnicę i biegnę wzdłuż brzegu, w stronę kamiennej ściany. Poruszające się po niebie chmury już niemal całkowicie ją minęły; w tej chwili ich kraniec znajduje się bezpośrednio nad ujściem zatoki. Ponad morską taflą rozpościera się rozgwieżdżone niebo. Przeczესuję wzrokiem fale w poszukiwaniu Nika.

Lecz nie ma po nim śladu.

Zerkam na Ikera. Już zdążył dotrzeć do Piknikowej Skały i właśnie się na nią wspina. Wzdycham z ulgą, gdy widzę, że fale nie zepchnęły go do wody, po czym ponownie odwracam się do głązu, od którego dzieli mnie już zaledwie kilka kroków.

Od małego wspinałam się na tę skałę setki razy, podobnie jak większość młodego pokolenia Havnestadu. Z zamkniętymi oczami potrafię stwierdzić, gdzie złapać i gdzie postawić nogę; moje stopy automatycznie odnajdują znajome miejsca i stopniowo wspinam się po kamieniu. Deszcz już całkowicie przestał padać, więc powierzchnia kamienia jest bardziej mokra niż śliska.

Podciągam się na szczyt i ponownie przeszukuję wzrokiem wodę, wypatrując wszelkich nieregularności w nikłym świetle księżyca. Po chwili dostrzegam kolejną skałę i coś na kształt Nika. Zamykam oczy, czując wzbierający we mnie strach, i obracam się w stronę niewidocznej wcześniej części zatoki. Gdy ponownie otwieram oczy, muszę jeszcze raz zamrużyć, by upewnić się, że to nie halucynacja. W oddali przy plaży zauważam błysk unoszącej się w wodzie białej tkaniny.

Moje serce przyspiesza. Schodzę ze skały i wracam na ląd. Siłą zmuszam się do biegu, czując jak moje stopy zapadają się w mokrym piachu.

Niebo nad górami rozjaśnia błyskawica – na tyle, że mój mózg jest w stanie rozpoznać leżące na plaży ciało Nika.

Oraz sylwetkę dziewczyny, która się nad nim pochyla.

– NIK! – krzyczę, gdy już odzyskuję głos.

W odpowiedzi słyszę dochodzący z tyłu baryton Ikera.

– Evie!

Nie czekam na niego. Nawet nie odwracam się w jego stronę. Nie odwracam wzroku od Nika i pochylającej się nad nim dziewczyny, której ciało nadal jest na wpół zanurzone w wodzie. Bez kolejnego blasku błyskawicy nie jestem w stanie zobaczyć nic poza jej długimi włosami – tak długimi, że częściowo zasłaniają biel koszuli Nika.

Dziewczyna podnosi gwałtownie głowę w świetle księżyca, jakby dopiero teraz zauważyła, że biegnę ku niej. Niebo znów przecina piorun i, mimo że się nie zatrzymuję, moje serce zamiera.

Duże, niebieskie oczy. Jasne blond włosy. Kremowa skóra.

To ta sama dziewczyna. Ta, którą widziałam przez bulaj.

Anna?

Nie, to niemożliwe.

W oczach dziewczyny pojawia się błysk, a na jej spokojnej twarzy momentalnie odmalowuje się panika. Panika, która od razu nakazuje jej uciekać. Powiew wiatru odrzuca jej włosy na jedno ramię, gdy po raz ostatni zerka na Nika, a następnie całkowicie zanurza się w wodzie.

– Czeka! – krzyczę najgłośniej, jak potrafię, ale prawdopodobnie woda i tak mnie zagłusza.

W mgnieniu oka dobiegam do Nika i klękam obok niego, po czym przyciągam go blisko do siebie i przykładam ucho do jego ust. Czuję na policzku podmuch oddechu i słyszę, jak Iker woła nas oboje.

Klatka piersiowa Nika unosi się bardzo nieregularnie, ale ważne, że się unosi. Oczy ma zamknięte, ale wydaje się przytomny.

– Evie...

– Jestem tu, Nik. Jestem tu.

Na jego ustach pojawia się cień uśmiechu.

– Evie... śpiewaj dalej, Evie.

Zdezorientowana, zaczynam zaprzeczać.

– Nik, o czym ty... ja nie...

Nagle czuję suchość w ustach. Przenoszę wzrok na wodę i szukam dziewczyny. Dziewczyny, która wygląda jak starsza wersja Anny.

Dziewczyny, która najwyraźniej kocha śpiewać, podobnie jak moja przyjaciółka.

Na początku nie widzę nic oprócz spokojnych fal i rozgwieżdżonego nieba, które rozjaśnia intensywne światło księżyca.

Lecz nagle zauważam coś przy ujściu zatoki.

Ponad taflą dostrzegam jasne loki, które pod wpływem światła księżyca przybierają srebrzysty odcień. W następnej chwili dziewczyna zanurza się z powrotem, a w miejscu, gdzie się wcześniej znajdowała, widać rozprysk wody – to, i coś jeszcze.

Zarys idealnej płetwy ogonowej.

Cztery Lata Wcześniej

Słońce wisiało wysoko na niebie, emanując ciepłem na tyle, na ile było to możliwe w Havnestadzie. To nie tak, że było bardzo gorąco, ale dość, by ten dzień wyróżniał się w oczach mieszkańców Królestw Sundu, którzy przywykli raczej do chłodnych ramion Matki Natury niż jej ciepłego uśmiechu, mimo że był środek lata.

Dwie dziewczynki, jedna o blond, a druga o kruczoczarnych włosach, biegały radośnie wzdłuż linii brzegowej. Nadchodzący od cieśniny ciężki wiatr niósł ich głosy ku czerwcowemu słońcu.

Chłopiec, który wzrostem dorównywał już dorosłym, biegł za nimi, grając na flecie melodię pasującą do wesołych słów ich piosenki.

Mimo słonecznej pogody główna plaża była pusta; większość mieszkańców Havnestadu przebywała teraz na morzu, zajmując się łowieniem ryb lub polowaniem na wieloryby, co stanowiło serce współczesnej gospodarki.

Niedługo zapełnią brzeg owocami swojej pracy, po tym jak wrócą na kilkudniowy Festiwal Lithasblot, który zaczyna się właśnie w połowie lata, podczas pełni księżyca. Jednak teraz cała plaża należała tylko i wyłącznie do obu dziewczynek i chłopca.

Ciężkie i bujne fale rosły pod wpływem wiatru i załamywały się u stóp dziewczynek – bosych, skoro nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby je za to zganić. Chłopiec miał na sobie buty, jako że nie chciał, żeby przyjaciółki zobaczyły na jego niezgrabnych stopach włosy, których zeszłego lata jeszcze tam nie było. Stał na suchej części plaży, tuż poza zasięgiem fal, i śledził spojrzeniem delikatne palce u stóp dziewczynek, co również wydawało się nieco zmienić w ciągu ostatniego roku, choć może widać to było tylko w sposobie, w jaki nie mógł oderwać wzroku od odsłoniętej skóry widocznej pod ich spódnicami.

Nagle dziewczynki stanęły w miejscu i zaczęły śpiewać oraz podskakiwać,

przez co chłopiec wpadł na plecy kruczoczarnej przyjaciółki. Zaśmiała się w odpowiedzi, lecz wzrok obu dziewczynek utkwiony był w morskiej tafli. W zachwycie obserwowały białe grzywy fal, a w ich oczach błyszczał głód przygody.

Blondynka odezwała się pierwsza.

– Jest zła... piana kapie jej z ust.

– Czy ty właśnie porównałaś morze do wściekłego psa? – zapytała brunetka. – Raczej by się jej to nie spodobało.

– Raczej nie.

Czarnowłosa dziewczynka o oczach błękitnych jak północ uniosła brew.

– Dotknij ręką mielizny i wróć na brzeg. – Uśmiechnęła się krzywo. – Jeśli się odważysz.

Blondynka zastanawiała się przez chwilę, przygryzając wargę i obserwując fale. W końcu zaczęła rozwiązywać gorset sukienki.

Chłopiec usiadł na piasku za dziewczynkami. Nie przestawał grać na flecie, żeby jego przyjaciółki pomyślały, że jest zbyt rozkojarzony, by podglądać, jak rozbierają się do halek. Mimo że rzucał im jedynie ukradkowe spojrzenia, ich nagie ramiona, równie gładkie co marmurowe rzeźby, które jego matka zamówiła do ogrodu z tulipanami, stanowiły uosobienie piękna. Były tak urokliwe, że poczuł, jak na jego policzkach zaczynają wykwitać rumieńce.

Zdawał sobie sprawę, że nie powinien ich podglądać – to nie było w porządku, nie w ich obecnym wieku – ale niemniej jednak wciąż to robił.

Dziewczynka o blond włosach spojrzała za siebie, napotykając jego wzrok, a jej policzki zaczerwieniły się, gdy rzuciła ubrania na piasek. Kruczoczarna przyjaciółka pacnęła ją w ramię, a w jej dużych oczach widać było zrozumienie. Nie miały przed sobą żadnych sekretów.

Kiedy były już gotowe, wstały, wcześniej starannie składając ubrania na ziemi, i wskazały palcami morze.

Policzyły do trzech i zaczęły biec w kierunku fal.

Rozdział 5

Nie wierzę w syreny. Nie wierzę. To tylko postacie z legend, o których ciocia Hansa opowiada po to, żeby powstrzymać dzieci przed robieniem głupot.

Jeśli dotkniesz tego rozgrzanego garnka... jeśli zjesz całe to ciasto... jeśli ukradniesz ten cukierek... przyplynie syrena i cię porwie. My, dzieci morza, jesteśmy przesądne, ale nie łatwowierne.

Syreny nie istnieją.

Ale wiem, co widziałam. Wiem, *kogo* widziałam.

Z kolei Nik wydaje się nie pamiętać zbyt wiele. Myśli, że to ja go uratowałam. Myśli, że to ja mu śpiewałam.

Od tamtego wydarzenia minęła już ponad doba, a ja wciąż mu nie powiedziałam, że jeśli w to wszystko wierzy, to prawdopodobnie stracił rozum. Głównie dlatego, że nie jestem pewna, co właściwie widziałam.

Żadna z tych rzeczy nie ma sensu.

Nie, nie wierzę w syreny.

Ale z pewnością wierzę w siłę przyjaźni – bardziej niż czegokolwiek innego.

Anna też w nią wierzyła.

I Nik również w nią wierzy.

Iker... nie wiem, co sądzić o Ikerze, który stoi teraz dokładnie przede mną na królewskim doku, a za nami czeka na niego wynajęta załoga oraz statek.

– Chodź... morze wzywa. – Iker odgarnia mi kilka kosmyków z twarzy i osłania dłonią ucho, jakby chciał wyteńczyć mój słuch, bym usłyszała starożytny głos oceanu. Następnie pochyla się, policzkiem muskając mój własny, i dotyka ustami skóry, szepcząc:

– Evelynnnnn.

Jego entuzjazm sprawia, że moje serce przyśpiesza. Chciałabym płynąć razem z Ikerem, ale ojciec również wypływa w rejs i nie chce, żebym znajdowała się w tym samym czasie na pokładzie innego statku. Jest przesądny do szpiku kości, nieważne, że chodzi tu tylko o krótką wycieczkę

na Jutlandię i z powrotem, przed Wigilią Świętego Jana oraz rozpoczęciem Festiwalu Lithasblot. Iker jest podekscytowany możliwością zobaczenia ogromnego wieloryba – tak wielkiego, że przez kilka tygodni cała Zatoka Rigeby miałyby co jeść i czym handlować. Nie podoba mi się to, ale wiem, że Iker musi wypłynąć na tę wyprawę – okres polowań nie czeka na nikogo, nawet na księcia.

– Bardzo przepraszam za to rozczarowanie – mówię zgodnie z prawdą.

Czas, jaki z nim spędziłam, był jak dotąd dziwnie magiczny, mimo że nie robiliśmy nic oprócz przebywania z powracającym do zdrowia Nikiem i opowiadania mu różnych historii, żeby poprawić mu humor.

– Za późno, morze już jest rozczarowane. W trakcie burzy pokazałaś wszystkim, co potrafisz. Bogini potrzebuje właśnie takiego żeglarza jak ty.

– W jego oczach widać błysk, lecz wyraz twarzy ma poważny. Nawet wrażliwy, choć jeszcze niedawno trudno by mi było to sobie wyobrazić. Ale nie mam zamiaru – nie mogę – pozwolić sobie na myśl, że tak naprawdę to on mnie potrzebuje, a nie morze. Rzeczywistość nie funkcjonuje w ten sposób.

– Morze będzie musiało poczekać.

– I ja również. – Nagle pochyła się, żeby złożyć na moich ustach pocałunek równie głęboki co pokryte lodem wody i, mimo że to już drugi raz, wciąż nie mogę otrząsnąć się z szoku.

– Nie musisz płynąć – mówię cicho i niezbyt wyraźnie, kiedy już się od siebie odsuwamy.

– Co mówiłaś? – pyta, udając, że mnie nie usłyszał. – Nie musisz zostawać?

Zamyka moją dłoń w swoich i zaczyna ciągnąć mnie w kierunku statku, gdzie załoga czeka na jego instrukcje. – Wybornie, to w drogę... ty idziesz na koło, a ja w tym czasie będę sobie sączyć porto i wypatrywać wieloryba.

Śmieję się i pozwalam się zaciągnąć na kładkę, choć to i tak za daleko.

Prawda jest taka, że nie wierzę w przesady swojego ojca, lecz to nie zmienia faktu, że nie mam własnych. Nik wciąż wraca do siebie. Nie mogę płynąć. Co jeśli coś mu się stanie podczas mojej nieobecności?

Nie, muszę zostać.

Iker wróci. Sam tak powiedział.

Wiem, że wróci.

Tej nocy na pokładzie parowca coś się zmieniło. Bardziej w trakcie burzy

niż podczas samego przyjęcia – widzieliśmy siebie w swoim żywiole. Morska sól, nasza dwójka. I mimo że zdecydowałam się zostać, to nie chcę, by Nik się o tym dowiedział. Zwłaszcza o pocałunkach. Utrzymanie sekretu przed moim najlepszym przyjacielem nie powinno stanowić dla mnie problemu – w końcu całe życie ukrywam przed nim swoją magię.

Schodzę z kładki i wracam na dok. Iker macha do mnie ostatni raz, po czym krzyczy coś do załogi i znika z mojego pola widzenia, zabierając ze sobą nasze sekrety, które ja również chowam głęboko pod skórą. Patrzę, jak statek opuszcza port na tyle długo, że widzę gdy ponownie się do mnie odwraca, a ja macham mu na pożegnanie. W końcu ruszam w drogę, przygotowując się w duchu na jeszcze jedno słowa pożegnania i codzienne obowiązki. W kieszeni czuję ciężar ametystu cioci Hansy.

Nie, nie wierzę w syreny. Ale jestem skłonna uwierzyć w to, co dzieje się po tym, jak przykładam kamień do dzioba statku mojego ojca, nim ten wypływa na ekspedycję. W to, co dzieje się, gdy rzucam zaklęcie, które stworzyłam przy pomocy pradawnej wiedzy magicznej.

Minęło dopiero kilka tygodni, ale już widać pozytywne efekty zaklęcia sprawiającego, że w tym roku mamy dużo większe zbiory niż w poprzednim.

Uśmiecham się, gdy widzę świętujących w dokach rybaków. Po ostatnich czterech latach tørhedu², przez który miejscowa drużyna łowiecka skurczyła się o połowę, te radosne okrzyki są muzyką dla moich uszu. Nie słyszałam ich od dnia śmierci Anny; zamiast tego powietrze wypełniały pomruki wyczerpanych rybaków powracających z wyprawy ze słonym mięsem i limonkami.

Gdy tørhed trwał już trzy lata, król Asger uznał, że samo błaganie bogów o pomoc nie wystarczy. Havnestad musiał znaleźć nowy sposób na wyjście z kryzysu. W końcu Asger nakazał zbudować królewski parowiec, dlatego wszyscy mężczyźni, którzy akurat byli na miejscu, musieli dołączyć do zespołu i budować łódź od późnego lata do pierwszego mrozu, piłując deski i składając wielki, metalowy komin.

Jednak nawet ten statek, zbudowany wspólnymi siłami mieszkańców, nie wystarczył, by napełnić brzuchy obywateli Havnestadu. Zwyczajnie jeden okręt to było za mało na ich potrzeby. A sam król nie mógł sobie pozwolić na wybudowanie nowego każdego roku.

Musiałam coś zrobić.

Dlatego pewnego dnia zakradłam się do pokoju cioci Hansy, podczas gdy ta była w odwiedzinach u pani Agnaty na cotygodniowym spotkaniu towarzyskim przy wiście – co wciąż robię dość często od dnia śmierci Anny.

Powietrze w sypialni Hansy jest duszne od płomieni, które palą się tam każdej nocy, nawet w lecie. Na ścianie wisi około setka ususzonych róż, ułożonych w kształcie koła. Ciocia kolekcjonuje je, ponieważ utrzymuje się w przekonaniu, że są piękniejsze i mają lepszy zapach niż tulipany, które stanowią najpopularniejszy kwiat we wszystkich Królestwach Sundu.

Pod różami, w zacienionym kącie naprzeciwko kominka, stoi przykryta skórą łosia skrzynia żeglarska. W jej środku znajduje się wszystko, czego boją się Øldenburgowie – wszystko, czego prawnie zakazali: kamienie szlachetne, stare księgi, kobaltowe butle zatkałe korkiem i woskiem. Są to te same rzeczy, których użyła ciocia Hansa, kiedy cztery lata temu Nik wyłowił mnie z wody, a Anna zniknęła bez śladu. Kiedy ledwo żywa leżałam na łóżku, a ciocia Hansa karmiła mnie eliksirami o smaku perfum i starości. Z pewnością są stare; ich receptury prawdopodobnie przekazywane są od wieków, z pokolenia na pokolenie. Wkrótce pewnie i ja je poznam.

Tego dnia wyjęłam ze skrzyni purpurowy kamień – miałam nadzieję, że jest na tyle mały, że Hansa nie zauważy jego braku, lecz również na tyle duży, żebym mogła go dobrze wykorzystać. Zabrałam też jedną z obszarpanych księzek o rozpadającym się grzbiecie. Wyciągnęłam ją spod kostki pszczelego wosku, marmurowego mózdzierza i tłuczka.

Kilka godzin po gaszeniu świateł zakradłam się na plażę, lecz udałam się z dala od Zatoki Havnestadu, tam, gdzie linia brzegowa robi się coraz węższa, aż w końcu scala się ze skalistą górą, a z morza wystają ostre głazy. Woda w tym miejscu jest głębsza, a fale bardziej nierówne, lecz w cieniu dwóch skał znajduje się kawałek piaszczystej plaży. Nieco wyżej jeden z głazów wyznaczających granicę Havnestadu uformował się na kształt idealnego łuku na skutek działań Urdy, która od tysiący lat spychała wody właśnie w ten punkt.

O ile mi wiadomo, to miejsce nie ma swojej nazwy. Dzięki otaczającym je skałom nikt nie zauważy go z plaży. Poza tym nigdy nie widziałam, żeby ktokolwiek tu przychodził. W końcu zdecydowałam się nadać mu nazwę Laguna Grety, po mojej matce. Spodobałoby jej się tu. Głębiej, w cieniu zatoki znajduje się mała jaskinia, która ledwo pomieści dwie osoby, lecz jest na tyle obszerna, że byłam w stanie schować w niej kilka nalewek i

atramentów cioci Hansy.

Przesunęłam kilka mniejszych głazów zasłaniających wejście do jaskini i zapaliłam świecę. Ściskając ametyst w dłoni, otworzyłam księgę i podsunęłam ją pod światło. Słowa brzmiały starodawnie, lecz znajomo; odnosiły się do naszej wielkiej bogini Urdy i mocy, jaką nadaje tutejszemu łądowi i otaczającym go wodom. Słyszając uderzające o skały fale, kilkakrotnie przeczytałam zapiski, testując zaklęcia. Na zewnątrz już prawie nastał świt, gdy w końcu poczułam łaskoczącą moje żyły magię.

Po trzech miesiącach ćwiczeń, w końcu rzuciłam zaklęcie na łódź ojca.

Trzy dni później wrócił do domu, po tym jak pierwszy raz od ponad dwóch lat upolował wieloryba, który był stosunkowo chudy, lecz na tyle duży, że wywołał wśród rybaków niemałą euforię.

Od tego czasu rzucam to zaklęcie przed każdą jego wyprawą.

Każdego ranka budzę się z myślą, że muszę chronić mojego ojca i o niego dbać. Przepęnia mnie przez to niepokój, który nie opuszcza mnie, dopóki nie wykonam swojego zadania; nie zrobię tego, co należy.

Nawet gdy wykonuję swój obowiązek, a ojciec wypływa na kilkudniową wyprawę, idę do portu i rzucam zaklęcie na każdy zakotwiczony tam statek.

Rybacy przyzwyczaili się, że widzą mnie każdego dnia. Nie wyglądają na zdziwionych, że tak często przychodzę do portu i zaciśniętą pięścią dotykam pokrytych solą dziobów starych, niezawodnych statków.

Jednak od dzisiaj zaczynam robić jeszcze więcej. Wciąż są rzeczy, którymi *nie mogę* się zająć, dlatego skupiam się na czymś, co *jest* w zasięgu moich możliwości. Na czymś, co całe miasto uzna za coś przydatnego, a nie za kolejny cud zesłany przez Urde.

– Evie, kochanie! – Ojciec wnosi właśnie skrzynkę na pokład swojego statku – *Małej Greta*, który również odziedziczył imię po mojej matce. Obok statku nie ma już żadnej skrzyni z prowiantem. Złapałam go w ostatniej chwili. – Nie byłem pewien, czy przyjdiesz.

Śmieję się beztrzesko, mocno ściskając kamień w dłoni.

– To, że chcę, żebyś został, nie znaczy, że nie przyjdę się z tobą pożegnać.

Ojciec wykrzywia nieco usta, a plamy od słońca na jego czole unoszą się do linii czarnych włosów – z pochodzenia jest Włochem, choć mimo to wciąż uważa się za rodzimego Duńczyka.

Wspólnie wchodzimy na kładkę. Odstawia skrzynie dwie stopy od wynalazku, który z pewnością ułatwi rybakom połów – jest to trwałe

rozwiązanie, jakiego moja magia nie jest w stanie zapewnić. Oparta o główny maszt, lśniaca harpuno-strzelba wygląda tak perfekcyjnie, jak sobie to wyobrażałam.

Ojciec przytula mnie mocno.

– Moja Evelyn, młody wynalazca.

– To nic takiego – odpowiadam, choć oboje wiemy, że to nieprawda.

Przerobienie strzelby i połączenie jej z harpunem zajęło mi całą zimę, ale jeśli moje obliczenia nie kłamią, to ustrojstwo będzie w stanie wystrzeliwać zarówno bomby harpunowe i harpuna na łańcuchu, obniżając szanse wieloryba na ucieczkę. Jeśli podczas tej wyprawy wszystko pójdzie dobrze, być może cały Havnestad zmieni sposób łowienia wielorybów.

– Wcale nie. To zapoczątkuje rewolucję.

Zadzieram głowę i unoszę brew.

– Co nie zmienia faktu, że rewolucja może poczekać jeszcze tydzień.

Ojciec wzdryga się, gdy poruszam ten wrażliwy temat. Nie tylko jego nie będzie na festiwalu, ale tak naprawdę więcej rybaków zostaje, niż wypływa, a to wszystko dzięki ostatnim owocnym łowom – albo raczej dzięki mojej pomocy. Ale tak naprawdę spośród wszystkich żeglarzy zależy mi tylko na nim. Z drugiej strony ojciec pracuje dla króla, dlatego jego udział w wyprawie motywowany jest rozkazem samego monarchy.

– Będą inne Festiwale Lithablót, Evelyn. Jeśli już raz posmakujesz chleba, będziesz chciała posmakować go jeszcze tysiące razy.

– Ale...

Uprzedza mnie, dotykając palcami mojego podbródka.

– Żadnego „ale”. Muszę korzystać ze szczęścia, póki mi dopisuje.

– Zgrubiałym kciukiem naciska na moją dolną wargę. – Wrócę przed końcem festiwalu... przed balem.

Mimo rozczarowania spowodowanym kolejnym pożegnaniem, przywołuję na usta nikły uśmiech.

– Jeśli już raz zobaczysz mnie w jedynej ładnej sukience, jaką posiadam, będziesz chciał mnie w niej widzieć jeszcze tysiące razy.

Pochyla się i delikatnie całuje mnie w policzek, drapiąc mnie miękką brodą.

– Zaopiekuj się Hansą, kochana.

Przytulam go mocno, chłonąc duszący zapach tytoniu.

– Zaopiekuję, jeśli mi na to pozwoli.

Ściska dłonią moje ramię i wypuszcza mnie z objęć, a ja odwracam się w stronę kładki i rzucam ostatnie spojrzenie na ojca oraz swój pierwszy wynalazek. Kiedy wracam na wypłowiełe deski doku, ojciec nakazuje załodze podnieść kładkę oraz kotwicę.

Nim statek opuszcza port, wykorzystuję rozkojarzenie żeglarzy nałożonymi na nich obowiązkami i przykładam kamień do statku, dokładnie pod wypisanym na dziobie wielkimi literami imieniem mojej matki. Zamykam oczy i szepczę zakłęcie, czując na twarzy powiew bryzy docierającej od Cieśniny Sund.

Rozdział 6

To idealna noc na palenie czarownic.

W końcu na tym polega Wigilia Świętego Jana. Jest to święto upamiętniające pozbycie się ludzi takich jak ja za pomocą stosów, topień lub banicji – zależy, co było w danym okresie popularne.

Na całe szczęście dziś pali się tylko kukły wykonane na podobieństwo wiedźm. Stanowi to symboliczne rozpoczęcie havnestadzkiej odmiany Festiwalu Lithasblot. W porównaniu z innymi królestwami, u nas zaczyna się on najwcześniej i trwa najdłużej – dokładnie pięć dni, w ciągu których mieszkańcy bawią się, śpiewają pieśni dla Urdy oraz jedzą tvøst og spik: mięso czarnego wieloryba, różowe sadło i ziemniaki. Nawet w trakcie Tørhedu – posuchy – obywatele Havnestadu byli skorzy poświęcić ograniczone zapasy żywności i złożyć je bogini w ofierze.

Płomienie wielkiego ogniska sięgają ku jasnoróżowemu niebu, wyznaczając początek festiwalu. Najpierw król Asger wygłasza przemowę o miłości i duchu rywalizacji.

Potem Nik wygłasza przemowę o miłości i duchu rywalizacji.

W dzień tej przerażającej burzy Nik osiągnął pełnoletniość i, zgodnie z tradycją, to on musi poprowadzić festiwal – najwyraźniej spojrzenie śmierci w oczy to żadna wymówka.

Dlatego gdy już odzyskał siły, praktycznie zamknięto go za wrotami pałacu, gdzie bez przerwy spacerował korytarzami, recytując pod nosem formułki, które przekazał mu ojciec. Dwa razy zdarzyło mi się usłyszeć, jak je powtarza – przed jego urodzinami i po nich, i za każdym razem wyszło mu to świetnie, choć może mówił trochę za szybko. Ale to tylko i wyłącznie dlatego, że robi coś takiego pierwszy raz w życiu. Wiem, że sobie poradzi.

Jednak księżę Asger Niklas Bryniulf Øldenburg III, pierwszy w kolejce do tronu niepodległego królestwa Havnestadu, wydaje się nie podzielać mojego zdania.

Twarz Nika ma kolor prześcieradła. Drżącymi palcami przylizuje włosy.

Ten dzień już i tak jest dla nas ciężki, jako że dziś mijają również dokładnie cztery lata od śmierci Anny, a przez dodatkowy stres wywołany nadchodzącą przemową, Nik wygląda, jakby zaraz miał się przekręcić.

Bez wahania wyciągam rękę i delikatnie łapię go za dłoń. Widząc jego zdenerwowanie, sama przestaję się przejmować własnymi zmartwieniami – tym, czy mojemu ojcu przyda się mój wynalazek i tym, że Iker jeszcze nie wrócił z wyprawy. Ściskam palce Nika.

– Ćwiczyłeś to cały tydzień. Poradzisz sobie.

– Ale ja się do tego nie nadaję, Evie.

– Oczywiście, że się nadajesz! Jesteś Øldenburgiem. Członkiem rodu, który od tysiąca lat sprawuje tu władzę. – Pochylam się w jego stronę, tak że moja twarz zasłania mu cały widok. – Tę przemowę masz we krwi.

Nik rumieni się i odwraca wzrok.

– Myślę, że trochę tej krwi ze mnie upłynęło, gdy walnąłem nogą w tamtą skałę, jak miałem dziesięć lat.

Powstrzymuję się od śmiechu, przypominając sobie, jak Nik niemal stracił przytomność na widok własnej krwi. To było dokładnie w połowie ścieżki wiodącej do Przełęczu Lille Bjerg. Razem z Anną zdjęliśmy pończochy i ciasno zawiązałyśmy je nad raną na jego łydce, po czym we dwie go podniosłyśmy i zaciągnęłyśmy na dół.

– Przypomnij sobie, jak to było na urodzinach. Nie wyglądałeś na zdenerwowanego, gdy śpiewałeś na ławce z cytrynami we włosach.

– Ale wtedy nie występowałem przed całym królestwem. Teraz tak.

– No i? Jaką różnicę robi kilka twarzy więcej?

Parska śmiechem, jak na księcia przystało.

– Od kiedy „kilka” to „setki”? Poza tym przypominanie mi o moim katastrofalnym przyjęciu urodzinowym raczej mnie nie uspokoi.

– Och, nie dramatyzuj.

Nik unosi brew.

– Och, bo ty wcale nie dramatyzujesz, kiedy wpatrujesz się maślanymi oczami w port, czekając na pewien statek z Zatoki Ridgeby?

Czuję ucisk w żołądku. Mimowolnie zerkam na morze, pragnąc ujrzeć na horyzoncie statek Ikera, ale nic tam nie widzę – wszystkie statki, które przypłynęły specjalnie na festiwal, łącznie z tymi należącymi do tutejszych wielorybników, stoją już zakotwiczone przy dokach.

Nik wzdycha, a ja wiem, że żałuje swoich słów. Po raz kolejny cieszę się,

że nie wie o pocałunkach, jakie wymieniliśmy z Ikerem. Ponownie ściska moją dłoń wciąż drżącymi palcami.

– Wróci. Iker może i ma swoje zasady, ale zawsze dotrzymuje słowa.

To ostatnie, co od niego słyszę, nim królowa Charlotte odciąga go na bok, żeby przygotował się do wygłoszenia przemowy. Powoli siadam na piasku i kładę na podołku małą lalkę ubraną w czerń i biel, która wkrótce ma obrócić się w popiół. Ledwie się zmuszam, by dołączyć do tegorocznej zabawy, przy której tym razem Nik nie będzie mi towarzyszył.

Podejrzewam, że *mogłabym* dołączyć do pałacowego personelu – znam ich odkąd byłam małą dziewczynką. Ale tak naprawdę nie jestem jedną z nich. A jeśli chodzi o moje rówieśniczki, to nigdy nie postrzegały mnie jako sobie równej – w ciągu tych wszystkich lat dały mi to jasno do zrozumienia.

Może wygnanie nie byłoby aż taką złą opcją – mogłabym po prostu uwolnić swoją magię w trakcie palenia małych lalek wykonanych na podobieństwo czarownic i raz na zawsze opuścić to miejsce. Ale wtedy opuściłabym też Nika. I pociągnęłabym za sobą całą swoją rodzinę.

Dlatego siedzę w odosobnieniu – wiedźma w przebraniu, przyjaciółka księcia, która nie zna swojego miejsca.

Wciąż znajduję się w zasięgu wzroku Nika, gdy ten przygotowuje się do przemowy, która stopniowo pozbawia go resztek odwagi, lecz wciąż jestem na tyle daleko, że mam dobry widok na morze.

Przypłyńcie.

Sam tak powiedział.

Zresztą i tak nie powinno cię to obchodzić.

Przenoszę wzrok z powrotem na rodzinę królewską oraz płomienie, którym będę musiała stawić czoła jeszcze przed ważną chwilą Nika.

Zgodnie z tradycją, na cześć tej „uroczystości” wygłoszona zostanie jeszcze jedna przemowa. Mimo że król przekazał obowiązki Nikowi, królowa nigdy w życiu nie odpuściłaby sobie kazania na temat tego, jakie to czary są potworne.

Królowa, dzięki swoim idealnym rysom i łabędziem wdziękowi, jest istnym uosobieniem piękna. Jej kręcone włosy upięte są na czubku głowy, tworząc jasne halo okalające koronę z szafirów i diamentów. Gdy kroczy po piachu w świetle płomieni, przypomina bardziej obraz niż człowieka z krwi i kości.

W dłoniach trzyma ceremonialną lalkę ubraną w krwistą czerwień.

Jakby śmierć każdego z Dane'ów była winą czarownicy.

Jakby Øldenburgowie nie spalili na stosach setek kobiet bez wyraźnych dowodów potwierdzających ich winę.

Jakby „koronowany łowca czarownic”, król Chrystian IV, nie szczyił się swoim przydomkiem i ilością żyć, które zrujnował.

– Dobry wieczór, kochani. – Królowa Charlotte uśmiecha się do tłumu, co przypomina pękający pod ciężarem lód. – Dzisiejszej nocy nie tylko świętujemy rozpoczęcie havnestadzkiego Lithasblotu, ale upamiętniamy również trud, jaki zadali sobie nasi przodkowie.

Zaciskam dłonie na swojej lalce tak mocno, że moje knykcie bieleją. To jest niemal gorsze niż wrzucanie swojej podobizny do ognia.

– W Królestwach Sundu żyjemy w bezpieczeństwie i harmonii dzięki odwadze króla Chrystiana IV. Żyjemy w bezpieczeństwie i harmonii dzięki ustanowionych przez nas prawom. Miejsce magii jest w czeluściach piekła.

– Królowa unosi nad głową czerwoną lalkę tak gwałtownie, że z małej wiedźmy spada kapelusz, który natychmiast zostaje połknięty przez płomień. – Jeżeli nasz ład zamieszkują jakiegokolwiek diabły, wiedzcie, że nie należą ani do tego miasta, ani do tego świata. – Przysięgam, że na moment jej wzrok wylądował na mnie. – Światło zwycięży, a diabły zostaną pochłonięte przez ogień i zwrócone waszemu rogowemu stwórcy.

Tłum szaleje, a królowa Charlotte obraca się w miejscu i wrzuca małą wiedźmę do ogniska – arystokracja się nas wypiera, ponieważ nasza moc stanowi zagrożenie dla ich władzy.

Wszyscy mają się teraz ustawić wokół ognia, ale ja nie mogę się na to zdobyć. Nie dołączę do nich. Zamiast tego wstaję i przerzucam lalkę ponad głowami tych, którzy idą do przodu, chcąc zamordować moje małe, drewniane podobizny. Moje, mojej matki, mojej ciotki i rodziny mojego ojca.

Odszukuję wzrokiem Nika, który idzie za tłumem z uśmiechem na ustach. Gdzieś w oddali rozlega się głośny, charakterystyczny rechot cioci Hansy. Wiem, że to jej zagrywka mająca na celu odwrócenie od nas uwagi, ale wciąż nie potrafię zrozumieć, jak może udawać, że tak dobrze się przy tym bawi. Jakby tego było mało, zrobiona przez nią lalka jest najbardziej kolorowa i jaskrawa, co stanowi rezultat jej eksperymentowania z pastami i farbami. W tym roku postawiła na siarczasty pomarańcz; wszystko dzięki klientowi, który przez pomyłkę zapłacił jej szafranem indyjskim.

Cóż za ironia losu: ci sami ludzie, którzy przychodzą do niej z poparzeniami skóry, radośnie korzystając z jej pradawnych metod leczenia, każdego roku regularnie obracają drewniane repliki naszych przodków w popiół. A ona jakby nigdy nic śmieje im się w twarz. Podczas gdy setki mieszkańców kierują się do ogniska, ja siadam z powrotem na piasku i wycieram dłonie w spódnice. To tylko pot, ale niemal odnoszę wrażenie, jakby to była krew.

Gdy już ostatnia wiedźma ląduje w płomieniach, tłum zawraca. Nik stoi w najbardziej widocznym miejscu na piasku, daleko przed swoimi rodzicami i zaraz przy ognisku. Nawet w czerwono-żółtym świetle płomieni jego skóra jest biała jak ściana. Wwiercam się w niego spojrzeniem i niemalże natychmiast przenosi wzrok na mnie. Uśmiecham się i kiwam głową.

Będzie dobrze.

Kąciki jego ust wykrzywiają się ku górze.

– Dobrzy obywatele Havnestadu, witajcie na otwarciu Lithasblotu, kiedy to oddajemy cześć Urdzie i ofiarujemy jej nasze błogosławieństwo oraz dary zrodzone zarówno z morza, jak i ziemi.

Podskakujący za nim ogień trzaska radośnie, a najwyższe z płomieni delikatnie muskają gwiazdy. Mimo że na plaży znajduje się masa ludzi, wyćwiczona przez te wszystkie lata cisza sprawia, że w powietrzu unoszą się jedynie odgłosy ogniska i szum fal. Wszyscy znamy już tę przemowę na pamięć i równie dobrze moglibyśmy ją recytować razem z Nikiem, jeśli coś takiego byłoby dopuszczalne. Przez większość czasu jest jednym z nas, lecz tej nocy jest naszym księciem, a my mamy obowiązek zachowywać się jak jego poddani.

Dlatego słuchamy w ciszy.

W trakcie tej pauzy Nik podnosi wzrok i ponownie patrzy mi w oczy. Kiwam głową, by dodać mu otuchy, mimo że jego twarz już odzyskała zdrowy kolor.

– W ciągu kolejnych czterech dni będziemy się bawić, ścigać i świętować w imieniu naszej bogini. Nie zapominajmy, że robimy to dla niej. To czas zabawy. Czas radości. Ale u podłoża tej uroczystości leży ona – Urda.

Słysząc, jak tłum wstrzymuje oddech – Nik zmienił słowa przemowy.

Mówi z głębi serca, a ja czuję, jak rozpiera mnie duma.

– W zeszłym roku robiliśmy to, co będziemy robić teraz – kontynuuje Nik, a jego głos zyskuje na sile. – Rzucaliśmy kawałki chleba tym, którzy są z nas

najchudsi. Śpiewaliśmy pieśni dla Urdy. Patrzyliście, jak przenoszę przez plażę najcięższy głaz.

Mówiąc to, napina biceps i uśmiecha się szeroko – całe jego zdenerwowanie zniknęło, zastąpione zuchwałością. Kilka osób chichocze, lecz na ich tle wyróżnia się szczególnie jeden głośny rechot, który należy do cioci Hansy, siedzącej przy stole zarezerwowanym dla seniorów.

Nik posyła uśmiech w jej kierunku, po czym z powrotem ściąga brwi, a jego głos odzyskuje poważny ton.

– Tak, zdaję sobie sprawę, że moja siła fizyczna jest iście przekomiczna, ale wszyscy od dawna doskonale o tym wiedzą. – Na jego ustach znowu widnieje szeroki uśmiech. – Poza tym to nie jest powodem, dla którego co roku to robimy. Robimy to dla Urdy. A w zamian ona daje nam nauczkę i przypomina o swojej sile.

Nik robi pauzę, a powietrze jest ciężkie i pozbawione wszelkich dźwięków.

Nawet płomienie ogniska nie mają odwagi przerwać tej ciszy.

– Rok temu mój ojciec stał dokładnie w tym samym miejscu co ja, i recytował tę samą przemowę, którą wygłaszał przez trzydzieści lat, i którą wcześniej jego ojciec również wygłaszał przez trzydzieści lat. Jednak wtedy trwał Tørhed, a dokładnie jego trzeci rok. I czy coś się zmieniło, kiedy wspólnie zebraliśmy się, żeby śpiewać Urdzie pieśni, aż zdarliśmy sobie gardła, a palce krwawiły nam od uderzania w struny? Nie. Czy coś się zmieniło, kiedy pokonałem wszystkich słabeuszy w przenoszeniu głazu? Nie.

Tym razem tylko ciocia Hansa jest na tyle odważna, by się roześmiać, jednak nikt nie patrzy w jej stronę. Wszystkie spojrzenia skupione są na naszym księciu. Nawet król i królowa chłoną każde jego słowo.

– Dlatego pamiętajmy, że mimo czci, jaką jej oddajemy, Urda nic nam nie jest dłużna. Jak ten pływ, który okala nasz brzeg – jej pływ i jej brzeg – równie łatwo może odebrać, jak i dać.

Znów milczy przez chwilę, patrząc ponad naszymi głowami na rysującą się w oddali przystań. Nagle uświadamiam sobie, że mówi też o Annie, odnosząc się do niej jako do jednej z rzeczy, które z rozkazu Urdy morze zabrało do siebie.

– Zatem okażmy szacunek Urdzie. Nie świętujmy na jej cześć, ale ją czcijmy. Jest naszą królową... wybacz, matko. Jest ziemią, która daje nam plony. Morzem, dzięki któremu mamy pożywienie na talerzu i monety w

kieszeniach. Jest czymś więcej niż boginią – jest nami. Jest Havnestadem. I wszystkimi jego mieszkańcami. Bez niej jesteśmy nikim. Nie oszuka jej żadna magia. Nie zawładną nią żadne słowa. Nie złamie jej żadna wola. Jest królową, a my jej poddanymi. – Tymi słowami kończy przemowę. Wzrok nadal ma utkwiony w falach, a sylwetkę pewną i wyprostowaną – dumną.

Prawdopodobnie jego oryginalność i szczerłość sprawia, że mija chwila, nim cały Havnestad w ogóle jest w stanie spostrzec, że przestał mówić.

Wstaję i zaczynam głośno klaskać, wydając z siebie radosny okrzyk. Nik przenosi spojrzenie na mnie i przez moment widzę malującą się na jego twarzy ulgę, lecz nagle przyjaciel znika za tłumem, który również się zrywa i obsypuje go wiwatami, a ja w pewnym sensie czuję, jakby dzieliły nas kilometry.

Rozdział 7

Po tym zamienienie z nim słowa graniczy z cudem.

Każdy pragnie uścisnąć mu dłoń. Powiedzieć, jaki jest oczarowany jego wspaniałomyślnością. Jak wspaniale mu poszło. Jak królewsko wyglądał.

Jakie zrobił na nich wrażenie.

Nik praktycznie tonie w komplementach.

I choć czekam, aż wyłoni się z tłumu, nie robi tego. Jest całkowicie odcięty przez poddanych, którzy po jakimś czasie zabierają go z dala od ogniska, prawdopodobnie już do końca wieczoru. Pozostali w końcu się rozchodzą, by korzystać ze święta, aż w końcu zostają tylko ja, siedząca na piasku razem z kilkoma duszami, które przegrały bitwę o darmowy hvidtøl.

Wstaję, czując odrętwienie w stopach, po czym wdycham do płuc słone powietrze i patrzę na port. Moje gardło zaciska się, a do oczu napływają łzy.

Wiem, jak to jest być samą. Praktycznie całe życie muszę sobie radzić z samotnością. Ale zawsze mogłam pójść do Nika, jeśli tego potrzebowałam.

Potrząsam głową. Nie dzisiaj. Może nawet już nigdy. *On niedługo zostanie królem, Evie.* Mam ochotę zaśmiać się z własnej głupoty, przez którą tego nie przewidziałam. Przecież to oczywiste, że od teraz wszystko będzie wyglądało inaczej.

Księżyc świeci tak jasno, że jestem w stanie bez problemu dostrzec jak daleko rozciąga się plaża. Za jasno, jak na mój ponury nastrój, ale może spacer poprawi mi humor. Uporządkuje myśli. W końcu powinnam cieszyć się szczęściem Nika.

Idę najpierw do doków, gdzie ostrożnie stąпам po starych deskach, podczas gdy poruszane przez fale statki szarpią liny, które mocują je do portu.

Królewski dok jest oczywiście największy w całym porcie – mieści ogromny parowiec króla, łódź mojego ojca oraz tuzin innych okrętów, łodzi, szkunerów i jednoosobowych łódek. Jednak na samym końcu znajduje się pusty słup – ten, do którego powinien być przycumowany królewski

parowiec.

Wpatruję się przez chwilę w wodę w tym miejscu, już po raz drugi dzisiaj modląc się w duchu, żeby ten statek nagle się tam zmaterializował. Żeby znikąd pojawił się z Ikerem, który natychmiast spojrzałby na mnie z błyskiem w oku i szerokim uśmiechem na ustach. Który, nie mogąc czekać ani chwili dłużej, zeskoczyłby ze statku, jeszcze zanim zdążyliby go zakotwiczyć. Który przyciągnąłby mnie mocno do siebie i złożył na moich ustach kolejny pocałunek.

Mrugam i ta myśl się rozwiewa.

Przy słupie wciąż nie ma żadnego statku.

Na horyzoncie również nie widać ani jednego okrętu.

Schodzę z doku, odwrócona plecami do fal, które odebrały mi Annę. W głowie i sercu czuję pulsowanie przypominające mi o tym, jak bardzo chciałabym, by ona również wróciła. Jak bardzo chciałabym odzyskać przyjaciółkę. Jak bardzo chciałabym przestać pokładać nadzieję w chłopcach, którym zależy na mnie tylko do momentu, gdy docierają do tej namalowanej na piasku niewidzialnej linii – linii krwi – a następnie mnie zostawiają. Choć być może Anna zachowałaby się tak samo, skoro również była wysoko urodzona.

Jestem zbyt niespokojna, by wrócić do domu i położyć się spać. By kiwnąć głową i uśmiechnąć się na widok pijackiego spotkania ciotki Hansy, na które zaprosiła swoich zamożnych przyjaciół – jakby ci przyjaciele jeszcze przed chwilą nie spalili tysiąca *naszych* podobizn. Dlatego idę wzdłuż linii brzegowej, w kierunku skraju zatoki. Wypatruję go w intensywnym świetle księżyca, odbijającego się od ziarenek piasku i tworzącego piękną ścieżkę zaraz przy brzegu.

Nie mam konkretnego celu, ale też żadnego nie potrzebuję. Jedyne, czego potrzebuję, to szansy na pozbycie się nagromadzonej energii, bym w końcu mogła spokojnie zasnąć bez przepełniającego moje serce smutku.

Mam przyjaciół, którzy nie pochodzą z rodziny królewskiej. Naprawdę mam.

Mam znajomych ze szkoły, którzy tolerują mnie ze względu na Nika, ale tylko wtedy, gdy jestem w jego towarzystwie. Jednak za każdym razem, gdy ich spotykam, zwykle na ich twarzach widzę niechęć.

Ta dziewczyna... nie potrafiła uratować własnej matki.

Ta dziewczyna... przeżyła, podczas gdy jej najlepsza przyjaciółka utonęła w morzu.

Ta dziewczyna... myśli, że praca jej ojca zapewnia jej wstęp do zamku.

Ta dziewczyna... myśli, że jest czymś więcej niż zwykłą zabawką dla naszego lekkodusznego księcia.

Docieram do pierwszych skał wyznaczających granicę zatoki i zatrzymuję się, pozwalając, by morska bryza smagała mi twarz kosmykami moich włosów. W tym miejscu wiatr zawsze wydaje się być niezwykle orzeźwiający

– jakby za pomocą jednego podmuchu był w stanie pozbawić Zatokę Sund fizycznego i psychicznego brudu.

Dziś zatoczka jest spokojna. Fale delikatnie uderzają o brzeg, całując zarówno piasek, jak i skały, z tą samą wrażliwą precyzją. W pobliżu nikogo nie ma, a sukienka, jaką mam na sobie, nie jest jakoś szczególnie wyjątkowa – żadna z moich rzeczy taka nie jest – więc ściągam buty i pończochy, po czym ostrożnie kładę je na części plaży, której nie sięgną fale. Czując, jak piasek przykleja mi się do palców u stóp, zeskakuję z plaży na pierwszą małą wysepkę i kolejno przeskakuję z głazu na głaz, aż docieram do Piknikowej Skały.

Choć wciąż pokrywa ją wilgoć, jaka pozostała po ostatnim przypływie, nie jest na tyle śliska, bym mogła z niej spaść. Podciągam spódnicę, przyciągam kolana do piersi i siedzę na skale z zamkniętymi oczami, oddając się morskiej bryzie.

W końcu moje serce zwalnia, a ja czuję, jak stopniowo ogarnia mnie wyczerpanie. Ale nie mogę tu zasnąć. Z wysiłkiem staję na zeszywniałych nogach, zabieram swoje rzeczy i idę w głąb plaży, gdzie mogę wejść na ścieżkę prowadzącą przez las do mojego domu. Z przodu widzę masę przecinających zatoczkę ostrych skał, które jako jedyne odznaczają się na płaskim brzegu. Jest niemal bezwietrznie, lecz mimo to czuję mrowienie na plecach. Krzyżuję ręce na piersiach, ale w żaden sposób nie mogę się ogrzać.

Wpatruję się w mrok, gdzie morze styka się ze skalną ścianą – *z każdym krokiem jestem coraz bliżej domu* – gdy nagle zauważam błysk jasnej skóry.

– Jest tam kto? – wołam, czując, jak moje ciało drży.

Odpowiada mi tylko wiatr, który, coraz silniejszy, nadchodzi od strony portu i kieruje się do morza.

W jednej chwili przytomnieję i ponownie patrzę na skalną ścianę, lecz nie

widzę nic oprócz cieni i fal.

Może jakaś ośmiornica zadomowiła się w zatoczce i postanowiła ze mnie zadrwić, podobnie jak drwią z cioci Hansy za każdym razem, gdy łapie je tylko po to, żeby wycisnąć z nich atrament i wlać go do butelek.

Ale pewnie się mylę i znowu mam zwidy.

Dokładnie tak, jak na urodzinach Nika.

– Może nie powinnaś była tu przychodzić podczas pełni, Evelyn – mamroczę pod nosem. Księżyc potrafi mieć zabawny wpływ na wiedźmy.

Nagle słyszę w głowie kolejny wers mojej żalosalnej pieśni: *Ta dziewczyna... widzi duchy w świetle księżyca.*

Cztery Lata Wcześniej

Chłopiec usłyszał plusk wody i wstał, całkowicie zapominając o flecie i nie odwracając wzroku od morza. Wstrzymał oddech i czekał, aż któraś z przyjaciółek wypłynie na powierzchnię. Obie potrafiły dobrze pływać, lecz brunetka miała zwyczaj być tą, która zwykle triumfowała.

Mielizna zaczynała się sto jardów od brzegu. W normalnych okolicznościach chłopiec pomyślałby, że to dobre miejsce na kąpiel, lecz gdy ponownie spojrzął na wodę, od razu wiedział, że coś było nie tak. Fale zachowywały się inaczej niż zwykle.

Morze było wściekłe.

Chłopiec wziął głęboki oddech i zrobił krok w stronę wody, pilnując, by nie podejść do niej zbyt blisko – jego matka często wygłaszała mu kazania na temat tego, jak słona woda może zniszczyć mu buty.

Blondynka pierwsza przebiła taflę. Zaczepnęła tchu i zanurzyła się z powrotem. W tej chwili wciąż znajdowała się około siedemdziesiąt pięć jardów od mielizny.

Chłopiec wziął głęboki oddech i zaczął przeczesywać wzrokiem fale w poszukiwaniu ciemnych włosów, wpatrując się w miejsce, gdzie według jego obliczeń przyjaciółka powinna się obecnie znajdować. Wciąż nic.

Blondynka ponownie się wynurzyła, tym razem o dziesięć jardów bliżej mielizny, i nawet na niego nie spojrzała. Wciąż nie było śladu po ciemnych włosach.

Zrobił kolejny krok w przód. Jedna z fal skorzystała z okazji i przykryła jedną z jego stóp. Odruchowo spojrzął w dół. Tak, skórka była całkowicie przemoczona, ale nie obchodziło go to. Natychmiast przeniósł wzrok na

morze, czując, jak szybko bije mu serce. Po chwili zabrał się za ściąganie zmoczonego buta.

Nagle, około trzydzieści jardów od miejsca, w którym się znajdował, ujrzał nie błysk czarnych włosów, lecz wystającą ponad lustro wody dłoń.

Chłopiec zanurkował pod wodę, napełniając wcześniej płuca powietrzem, i otworzył oczy. Nie odczuwał nic, oprócz nieprzeniknionej ciemności i kłującej oczy morskiej soli.

Pomyślał o przyjaciółkach oraz o dłoni, którą widział ponad taflą, dlatego dość szybko wynurzył się z wody. Z łatwością pokonywał fale. Dobrze pływał, choć w tej chwili czuł szarpiący go za nogawki spodni prąd. Tajemniczą siłę pochodzącą z głębin oceanu, która ciągnęła go na dno, prosto w ramiona żyjących tam syren – jeśli wierzyć bajkom, jakie opowiada się dzieciom w Havnestadzie.

Na powierzchni nic nie było widać. Ani kosmyku włosów, ani dłoni. Ale wiedział, gdzie były. Wiedział, dokąd miał płynąć.

Przełynął kolejne dwadzieścia jardów i ponownie otworzył oczy pod wodą. Spojrzał w dół, gdzie ciągnął go prąd. Pod stopami zobaczył kłęb czarnych włosów, wyglądających jak plama atramentu, oraz wyciągnięte ku niemu białe palce. Nie widział twarzy. Zanurkował, modląc się w duchu, by jeszcze nie było za późno.

Po chwili wynurzył się na powierzchnię, czując, jak płuca palą go z braku powietrza, i jedną ręką podtrzymywał przyjaciółkę pod pachami. Gdy się wynurzali, parcie wody odrzuciło jej z twarzy mokre strąki. Skórę miała niebieskawą i nie był w stanie stwierdzić, czy oddycha.

Wiedział jedynie, że ją odzyskał.

– No dalej, Evie. Dasz radę – mówił, zaklinając zarówno starożytnych, jak i luterańskich bogów, gdy już złapał oddech. Czuł, jak jego ciało stara się walczyć z prądem mimo dodatkowego ciężaru, gdy z wysiłkiem brnął w stronę migoczącego w oddali brzegu.

Uparcie płynął naprzód, obracając głowę na tyle, na ile pozwalały mu na to zmęczone mięśnie, i wypatrując na piasku burzy jasnych loków.

Lecz niczego takiego nie zobaczył.

Po wyjściu z wody natychmiast zaczął głośno wołać o pomoc. Położył Evie na piachu, po czym odgarnął jej włosy z twarzy i przyłożył ucho do jej ust.

Nie oddychała.

Przekręcił ją na brzuch i uderzył dłonią w plecy. W jednej chwili woda

wydostała się z jej ust i nosa.

Nagle na plaży pojawili się inni ludzie – żeglarze z doków i kobiety ze szlaku wodnego. Zebrali się wokół nich i zaczęli rozmawiać szeptem o czarnowłosej dziewczynie. Nigdy nie powiedzieli o niej miłego słowa, nawet w tej sytuacji.

Chłopiec przekazał żeglarzom, że w morzu została jeszcze jedna dziewczyna. Wskazał ręką w kierunku mielizny i fal. Nakazał im ją uratować, a oni z miejsca go posłuchali. Wszystko dzięki jego pochodzeniu.

Wdmuchał powietrze w płuca dziewczynki i ponownie poklepał ją po plecach, odgarniając włosy na bok, by uderzenia były bardziej efektywne.

Tym razem z jej ust wypłynęło dużo więcej wody, a ona sama zaczęła samodzielnie walczyć o oddech.

Zamrugła, otwierając ciemne, zmęczone oczy.

– Nik?

– Tak! Evie, całe szczęście! – Uśmiechnął się i przytulił ją mocno, choć było to niestosowne ze względu na jej odsłonięte ramiona oraz jego tytuł. Ale nie obchodziło go to; najważniejsze, że żyła. Evie żyła.

– A Anna? – zapytała.

Oboje odwrócili się w stronę morza.

Rozdział 8

Havnestad tętni życiem.

Światło letniego słońca łączy się z dreszczem emocji wywołanym przez festiwal Urdy, tworząc nastrój, który przywodzi na myśl początek burzy.

Sprawia on, że wstaję wcześniej, rześka i rozluźniona po ciężkiej nocy. Gdy idę w stronę portu, z ametystem w kieszeni, widzę przejeżdżający obok powóz Nika. Macham mu, ale nie jestem w stanie stwierdzić, czy odwzajemnił gest. Prawdopodobnie jedzie w stronę doliny, odwiedzić rolników w zastępstwie za ojca i w imię tradycji Lithasblotu. Okazujemy wdzięczność nie tylko Urdzie, ale również tym, którzy dbają o nasze ziemie.

Zakotwiczone w porcie statki stoją puste, lecz i tak przesuwam po nich pięścią i rzucam na nie zaklęcie, mimo że w ciągu kilku następnych dni nie wyruszą na żadną wyprawę. W tak piękny poranek nietrudno wymówić słowa zaklęcia ku czci Urdy, choć mimowolnie moje myśli wędrują w kierunku przemowy Nika. *Nie oszuka jej żadna magia. Nie zawładną nią żadne słowa.*

Nie złamie jej żadna wola. Czy moje zaklęcie to oszustwo? Nagle czuję zalewającą mnie panikę. Moje serce przyśpiesza, a nogi mam ciężkie jak z ołowiu. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Czy to moja kara? Zamykam oczy, by odzyskać równowagę. Co za głupia myśl. Moja magia nie ma nikogo oszukać. Słowa zaklęcia poświęcone są Urdzie i morzu. Mają przywrócić życie. Z pewnością bogini zdaje sobie z tego sprawę. Czuję, że moje serce zaczyna się uspokajać i opuszczam doki. Potrzebuję czegoś, co rozproszy moją uwagę.

Nik wróci najwcześniej w późnych godzinach popołudniowych, i podczas gdy ulice Havnestadu wkrótce zaleją uczestnicy festiwalu, prawdziwa zabawa zacznie się dopiero wieczorem, kiedy to Nik będzie musiał ocenić bydło.

Dlatego idę wzdłuż ulicy targowej, po drodze biorąc na koszt ojca późne śniadanie, na które składają się ogromne truskawki, kawałek śmierdzącego

samsø, słoik marynowanych śledzi, które nazywamy ślizgawkami, oraz świeży bochenek żytniego chleba, tak zbitego, że można by go pomylić z morskim głazem – i odnieść do Zatoki Havnestadu.

W okolicy jest cicho; kilka par spaceruje pośród skał, lecz nikt nie zwraca na mnie uwagi. Ściągam buty i pończochy, po czym odkładam je dokładnie w tym samym miejscu, co wczoraj, i przeskakuję pomiędzy małymi wysepkami, aż docieram do tej największej – Piknikowej Skały, która moimi ponownymi odwiedzinami jeszcze raz potwierdza znaczenie swojej nazwy. Powierzchnia głazu jest już prawie sucha od silnego słońca i subtelnej bryzy, dlatego kładę się na plecy, z twarzą skierowaną ku niebu, i zamykam oczy.

Mimowolnie moją głowę zalewają myśli o Ikerze. Wciąż nie wrócił z wyprawy, a ja powoli zaczynam czuć niepewność i panikę.

Co, jeśli coś poszło nie tak?

Co, jeśli wybuchł im komin?

Co, jeśli podczas polowania wieloryb uderzył w statek?

Czy to moja wina?

Wiem, że popadam w paranoję, ale najgorsze jest to, że nikt nigdy nie pozna odpowiedzi na te pytania. W tej chwili wszyscy mają wzrok utkwiony w łódzie, nie w morzu.

Z tego powodu moje myśli zaczynają krążyć wokół ojca, lecz nagle czuję na powiekach cień, jakby promienie słońca nie mogły przedrzeć się przez pojedynczą chmurę. Jakby nawet pogoda podzielała moje obawy...

– Przepraszam, panienko?

Ten głos.

Natychmiast otwieram oczy i szukam wzrokiem twarzy przyjaciółki, która opuściła nas dawno temu.

Lecz nade mną pochyła się inna dziewczyna.

Dziewczyna, którą widziałam w bulaju.

Ta, która uratowała Nika.

Ale to też wydaje się nieprawdopodobne. Naprawdę tracę dziś zmysły.

Siadam i mrugam kilka razy, starając się przyzwyczaić oczy do promieni słońca, lecz gdy ponownie skupiam wzrok, dziewczyna jest w tym samym miejscu, co wcześniej. Odsuwa się nieznacznie, powiewając długimi, jasnymi włosami. Kto wie, co musi teraz o mnie myśleć?

Jej twarz jest ucieleśnieniem jej głosu – wygląda jak starsza wersja Anny.

Pięgi na jej nosie również są podobne. Ma na sobie sukienkę, ładniejszą niż wszystkie moje razem wzięte, a skórka jej butów lśni nowością.

Buty. Stopy. Ani śladu po płetwie – może to nie ją widziałam. Z jakiegoś powodu czuję ucisk w żołądku.

– Trochę mi wstyd o to prosić, ale... – Spojrzenie dziewczyny ląduje na truskawce, którą trzymam w dłoni. – Prawie od dwóch dni nic nie jadłam.

Jestem w tak głębokim szoku, że zwyczajnie oddaję jej truskawkę. Nie spodziewa się tego i przez chwilę obraca ją w dłoniach, aż w końcu wgryza się w owoc. Podstawiam jej resztę swojego śniadania.

Anna uwielbiała ser i owoce.

– Och, nie, nie musisz... ja...

– Nalegam – mówię, zaskoczona, że tylko tyle wydostaje się z moich ust, gdy na końcu języka mam tak wiele innych słów. Tak wiele pytań. Jednak niemalże boję się je zadać, ponieważ zdaję sobie sprawę, że przez przypadek zwrócę się do niej – *Anna*.

Dziewczyna pałaszuje moje śniadanie, a ja próbuję wymyślić, co mam powiedzieć.

Czy to ty uratowałaś Nika?

Byłaś wcześniej syrenką?

Jesteś Anną?

Nie pamiętasz mnie?

Gdybym była na jej miejscu, każde z tych pytań sprawiłoby, że chciałabym stąd uciec. Dlatego gdy wgryza się w żytni chleb, otwieram słoik ślizgawek.

– Lepiej ci? – pytam.

– Tak, o wiele lepiej. Dziękuję. I przepraszam. Już skończyłam.

Potrząsam głową i przechylam słoik w jej stronę, a jeden ze śledzi podskakuje lekko w solance.

– Masz, jedz.

Przenosi wzrok na rybę i odsuwa się, machając dłońmi przed twarzą. Wyciągam śledzia i sama go jem; łapię rybę palcami za ogon i wysuwam z niego ości, po czym rzucam je w stronę zatoczki. Dziewczyna patrzy na mnie, jakbym właśnie odgryzła jej kawałek ucha.

To samo robiłam Annie. Ona też nie lubiła ślizgawek. Uśmiecham się w

duchu, choć przepelnia mnie smutek. Muszę przestać doszukiwać się zmarłych w ludziach, których spotykam na co dzień.

– Na pewno nie jesteś już głodna? – pytam. – Mam jeszcze trochę sera.

– Nie, dziękuję. – Lecz ostatnie słowo brzmi, jakby wypowiedziała je ze ściśniętym gardłem. Marszczy brwi, a skóra pod jej oczami czerwienieje; z jej oczu nie płyną łzy, ale wygląda, jakby zaraz miała się rozpłakać.

Odruchowo kładę jej rękę na ramieniu, żeby podnieść ją na duchu. Gdy dziewczyna ponownie odzyskuje oddech, znowu zaczyna mówić, a jej głos jest tak cichy, że niemal przypomina szept. Nie wygląda, jakby miała coś przeciwko temu, że bym ją dotykała.

– Uciekłam z domu.

– Och, Anno...

Dziewczyna natychmiast przenosi wzrok na mnie.

– Annemette. Skąd ty...

– Nie... ja tylko... przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałam.

Śmieje się ponuro.

– Chciałabym być tą osobą.

– Nie, nie chciałabyś – odpowiadam pośpiesznie, podczas gdy dziewczyna...

– Annemette – wyciera nos.

– Jej ojciec też był kłamcą? Karmił ją opowieściami o tym, gdzie był i czego dokonał, oraz na co wydał wszystkie oszczędności?

Kręcę głową, ponieważ nie wiem, co jej odpowiedzieć.

– Musiałam sprzedać połowę naszego majątku, żeby spłacić jego długi i mieć co włożyć do garnka. Nie mogłam już tego znieść. W końcu wczoraj postanowiłam pójść w stronę Lille Bjerg.

Jej słowa brzmią dziwnie. Jakby były wymuszone. Nic nie mogę na to poradzić – wpatruję się w jej twarz. Odkąd Annę pochłonęło morze, widziałam tysiące różnych twarzy, ale żadna z nich nie była aż tak bardzo do niej podobna. Nigdy nie słyszałam głosu, który miałby tę samą barwę. Gdyby ta dziewczyna nie była z krwi i kości, pomyślałabym, że właśnie widzę ducha.

Nagle zaczyna drapać się w twarz czystymi, równymi paznokciami.

Otwiera oczy i chwyta moją dłoń.

– Jestem okropna. Przerywam ci posiłek, kradnę twoje jedzenie i obciążam cię swoimi problemami, a nawet nie zapytałam, jak masz na imię.

– Evie – odpowiadam.

– Evie – powtarza. – To po brytyjsku?

– Evelyn, tak. Moja mama zakochała się w tym imieniu, gdy była w Brighton.

– Nie dziwię się – mówi z uśmiechem; jej zęby są czyste i proste, jak u księżniczki lub mleczarki.

Uprzedzam się w duchu, że to nie Anna. To nawet nie ta sama dziewczyna, którą widziałam przez bulaj i na brzegu. To zwykła wieśniaczka mieszkająca po drugiej stronie przełęczy. Czuję, jak krew uderza mi do policzków.

Annemette ściska moją dłoń.

– Dziękuję ci za twoją szczodrość, Evie... to prawdziwy dar. – Jej oczy znów czerwienieją, a usta zaczynają drżeć. – Wątpię, by jeszcze kiedykolwiek mi się tak poszczęściło.

Nie wiem, jak zareagować na taką szczerość. Czuję się nieswojo.

– Naprawdę nie masz nic ze sobą?

– Nic prócz ubrań i dumy.

Nie potrafię rozgryźć ani tej dziewczyny, ani swoich odczuć. Nie mam pojęcia, dlaczego chcę jej uwierzyć, ale tak jest. I chcę pomóc.

– Chodź ze mną.

Rozdział 9

Mały domek, który zbudował mój ojciec, znajduje się nieopodal Zatoki Havnestadu – leży niemal przy samym brzegu, na końcu alejki rozciągającej się w cieniu zamku Øldenborgów. Po jego drugiej stronie rośnie mały laszek, oddzielający dom od wiszącego nad morzem klifu.

– Uroczą chatka – mówi Annemette.

– To mój dom – odpowiadam, po czym otwieram drzwi wejściowe. Od dawna nie przyprowadziłam tutaj nikogo nowego. Gdy byłam mała, moi rodzice pozwalali innym dzieciom spędzić u nas trochę czasu, kiedy ich rodzice wypływali na morze, ale po śmierci mamy wszystko się zmieniło.

Ciocia Hansa stoi przy kominku i coś gotuje – sądząc po zapachu, prawdopodobnie pieczeń z szynki i grochu, którą przynosi na każdy Lithasblot, kładąc ją obok świni z rożna przeznaczonej na drugi dzień festiwalu, ponieważ „na tych targach rybnych zawsze mają za mało wieprzowiny”. Hansa jest odwrócona do nas plecami, a ja czuję, iż powinnam ogłosić, że przyprowadziłam ze sobą gościa – głównie ze względów bezpieczeństwa, by przez przypadek nie rzuciła jakiegoś zaklęcia.

– Ciociu Hanso, poznaj proszę moją przyjaciółkę.

Hansa wyciera ręce, a po sztywności jej ramion zgaduję, że mieszała zupę bez użycia chochli. Domowe zaklęcia nie są niczym widowiskowym, ale ciocia szczególnie je sobie upodobała, ponieważ nigdy nie planowała zakładać rodziny – razem z ojcem sprawiamy jej więcej problemów, niż byłaby skora to przyznać.

Gdy odwraca się w naszą stronę, jej usta wykrzywiają się w uśmiechu, a w oczach widać szczęśliwy błysk wywołany tymi niecodziennymi wieściami.

Hansa jest starsza od mojej matki o prawie dwie dekady, w ciągu których wielu ich braci przedwcześnie straciło życie z powodu chwiejnych nastrojów morza.

Jej reakcja na widok Annemette jest taka sama jak moja, z tym wyjątkiem, że ona mówi na głos to, co myśli.

– No proszę, Anno, w końcu postanowiłaś wrócić z morskich głębin, co? Annemette otwiera usta ze zdziwieniem, jakby zapomniała języka w gębie. Po jej radosnym nastroju również nie ma śladu.

– *Annemette*, ciociu – poprawiam ją. – Przyszła tu od strony doliny. Z gospodarstwa wiejskiego.

Hansa robi krok w naszą stronę i unosi brew – co wydaje się być niezłym wyczynem, biorąc pod uwagę, jak ciasno ma spięte włosy.

– Doprawdy? – Ciocia mierzy ją wzrokiem. – Te dłonie od lat nie miały styczności z ciężką pracą fizyczną. Włosy wyglądają, jakby nigdy nie widziały słońca. A ta sukienka jest warta więcej niż najlepsza krowa w dolinie. – Zbliżyła się jeszcze o krok i chwyta gładką dłoń Annemette. – Kim naprawdę jesteś?

– Ciociu, proszę, zostaw ją w spokoju, miała ciężką podróż...

– Cicho. Widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć. – Odwraca się z powrotem do Annemette i patrzy się na nią z taką intensywnością, jakby samą siłą woli była w stanie wpłynąć na jej umysł równie łatwo, jak okiełznała zupę. – No, to zapytam jeszcze raz... kim naprawdę jesteś?

Oczy Annemette znowu czerwienieją, ale nie płacze. Co więcej, tym razem widać w nich prowokujący błysk. Jakby zaakceptowała wyzwanie, jakie rzuciła jej Hansa, choć wciąż nie wiem, na czym miałyby ono polegać. Lecz gdy znowu się odzywa, mówi ostatnią rzecz, której bym się w tej sytuacji spodziewała.

– Zupa pani kipi.

Mało powiedziane. Jaskrawozielony płyn syczy i podskakuje nienaturalnie nad żelazną krawędź garnka.

– Ach! – wykrzykuje Hansa. – Spotkałam już kiedyś jedną z was.

Jestem w szoku. *Jedną z was?* Annemette jest wiedźmą?

Przenoszę na nią wzrok.

Kolejna wiedźma. W moim wieku. Obok mnie.

Ze wszystkich informacji o Annemette, w które trudno mi było uwierzyć, ta wieść wydaje się być najbardziej nieprawdopodobna.

Czuję, jak w mojej piersi coś pęka, gdy tak uważnie strzeżony przez nas rodzinny sekret wydostaje się do przesyconego zapachem zupy powietrza.

Wpatruję się w twarz dziewczyny, jednocześnie obcą i tak bardzo znajomą, a w głowie mi wiruje. Anna nie była wiedźmą, ale Annemette z pewnością nią jest.

Annemette kiwa głową, a płyn przestaje bulgotać.

Pokryte plamami dłonie cioci ponownie chwytają ręce Annemette, lecz w jej oczach, tym razem pozbawionych podejrzliwości, widać iskrę rozbawienia.

– Evie, dziecko, znalazłaś sobie całkiem interesującą przyjaciółkę.

Przez to, że ciocia Hansa postanawia dogłębnie wypytać Annemette o każdy szczegół na temat jej rodziny, jeszcze długo nie wychodzimy z chatki.

Okazuje się, że zabawnym zbiegiem okoliczności wszystkie jesteśmy spokrewnione z pochodzącą z duńskiego miasta Ribe naj słynniejszą wiedźmą, Maren Spliid. Gdy dwieście dwadzieścia lat temu król Chrystian IV kazał przywiązać ją do drabiny i wrzucić do ognia, zapisała się w historii zarówno jako legenda i swojego rodzaju przestroga. Miała ogromny talent, lecz zgubiła ją jej własna zuchwałość. Wraz z nią, z rozkazu koronowanego łowcy czarownic, zamordowano w Danii wiele innych wiedźm. Po tym wszystkim nigdy się nie podnieśliśmy – sabaty upadły, a magię trzyma się teraz w tajemnicy.

Biorąc pod uwagę czas i odległość, to, że Havnestad zamieszkuje jeszcze jedna rodzina spokrewniona z Maren, nie powinno mnie dziwić, ale wciąż trudno mi to przyjąć do wiadomości. Tak długo byliśmy sami.

Po tym, jak Hansa w końcu wyciąga zadowalającą ilość informacji na temat drzewa genealogicznego Annemette, razem z dziewczyną wychodzimy na zewnątrz. Udajemy się w stronę rozciągającego się za domkiem lasu, który ukryje nas przed spojrzeciami innych ludzi, nawet mieszkańców Zamku Øldenburgów.

Ziemia jest usłana powykręcanyimi korzeniami i gałęziami, które stanowią zagrożenie dla każdego, kto zdecyduje się nie patrzeć pod nogi. Ale ja znam tę stromą ścieżkę lepiej niż ktokolwiek inny, dlatego wykorzystuję tę chwilę, by spojrzeć badawczo na Annemette. Może i pochodzi spoza Havnestadu, ale widok jej znajomej twarzy sprawia, że czuję, jakby należała do tego miejsca.

O ile mi wiadomo, w żyłach Anny nie płynęła ani odrobina magii. Miała dwóch „pospolitych” rodziców oraz babkę, która kochała ją nad życie. Jej rodzice opuścili Havnestad wkrótce po jej pogrzebie i wyprowadzili się na Jutlandię – setki mil od miejsca, gdzie stracili córkę. Jej babka wciąż tu mieszka. Jest zniedołężniała i przepełniona żalem, spowodowanym utratą rodziny. Czasem spotykam ją w piekarni; na każdego woła Anna, nawet na mnie.

– Co? – pyta Annemette, zauważając, że jej się przyglądam, gdy przechodzimy między wąskimi, śliskimi od soków drzewami.

Nie mogę jej powiedzieć, o czym myślę, ale jest pewne pytanie, które chciałabym jej zadać.

– Ty... skąd wiedziałaś, że jesteśmy wiedźmami? Gdybyś się pomyliła, mogłybyśmy wydać cię władzom. Mogliby cię wygnać.

Pochyla głowę, żeby nie uderzyć czołem w gałąź.

– Po prostu to wyczułam.

Tak samo jak ciocia Hansa.

– Najwyraźniej marna ze mnie wiedźma – mówię. – Ja nie potrafiłam tego stwierdzić. Znaczy się, w tej chwili czuję to we krwi, ale godzinę temu?

Nic. – Jest jeszcze tyle rzeczy, których nie wiem o płynącej w moich żyłach magii.

– Na pewno jesteś dobrą wiedźmą, Evie.

Podaję mu rękę, że to miał być komplement, jednak wiem, że niekoniecznie oddaje on rzeczywistość. Ciocia Hansa uczy mnie tylko najprostszyc zaklęć.

Ale czytałam jej książki, oraz książki mamy, i zdaję sobie sprawę, że to tylko drobna część tego, czego mogłabym się dowiedzieć na temat magii.

Annemette swoimi słowami i wolą otworzyła dla mnie nowe możliwości.

– Jak to zrobiłaś? Te fale w garnku?

Annemette wzrusza ramionami i łapie dłonią drzewo, bujając się na nim jak na słupie.

– To było zwykłe zaklęcie animacyjne – oznajmia, jakby zaimponowanie cioci Hansie to był pryszcz.

Spokój, swoboda, wiedza, jaką posiada na temat magii – to wszystko sprawia, że skóra mnie swędzi z zazdrości. Tak bardzo chciałabym być na jej miejscu. Stworzenie zaklęcia na Tørhed wymagało kilku miesięcy studiowania ksiąg i eksperymentowania, a mimo to wciąż nie jestem pewna, czy działa ono w stu procentach. Jedyne, co posiadam, to niepotwierdzone dowody, a pani Seraphine nauczyła mnie, żeby się nimi nie sugerować podczas mierzenia swojego sukcesu.

Kilka kroków później docieramy do skrawka niewidocznej z Zatoki Havnstadu skalistej plaży, której używam jako skrót, gdy udaję się do Laguny Grety. Próbuję uspokoić nerwy, ale nigdy wcześniej nie odwiedzałam laguny w ciągu dnia. Zerkam na plażę. Z tego, co widzę, nikogo tam nie ma; w tej chwili wszyscy przygotowują się do dzisiejszych

zabaw.

– Ostrożnie – mówię, gdy docieramy do dwóch skał stojących na skraju plaży. – Woda w tym miejscu jest głęboka.

Zdejmuję pończochy i buty, po czym wchodzę do morza. Gdy docieram do piasku, odwracam się i widzę, że Annemette wciąż stoi obok skał.

– Chodź – zachęcam. Robię krok w jej stronę i wyciągam dłoń. – Weź mnie za rękę. Pomogę ci.

Zbliża się do mnie niepewnie i mocno chwyta moją dłoń. Uśmiecham się do niej.

– No, dalej. Wszystko w porządku.

Gdy dochodzimy do właściwego miejsca, odsuwam na bok małe głazy, które zakrywają wejście, i wpuszczam ją do środka. Mimo słońca, jaskinie pochłaniają cienie, więc zapalam świecę, by rozproszyć mrok. Na wystających kawałkach skały wiszą różnego rodzaju przyrządy, a na podłodze stoi wiadro z zamęczonymi ostrygami, czyli moja ostatnia porażka.

Półkę skalną zapęniają nalewki, butelki z atramentem, trucizny z meduzy oraz sproszkowane skorupy krabów.

– Zrobiłaś sobie tu niezłą norę.

Śmieję się.

– „Tajna pracownia” byłoby lepszym określeniem.

– Och, nie, to zdecydowanie nora. – Annemette odruchowo wyciąga rękę w kierunku półki skalnej. Podnosi do światła jedną z butelek, podziwiając chlupoczący w środku płyn.

Trąca butem wiadro z ostrygami.

– A co chciałaś zrobić z tymi maleństwami? – Wyciąga jedną z nich i trzyma w dłoni, jakby to był mały pisklak, a nie powód mojej frustracji.

– Są bezpłodne, ale miałam nadzieję rzucić na nie zaklęcie, by wytwarzały perły, które mogłabym sproszkować... – Annemette ucisza mnie machnięciem dłoni. Mruczy pod nosem coś, czego nie rozumiem, wpatrując się intensywnie w leżącą na jej dłoni ostrygę.

Chwilę później ostryga rośnie i robi się jasnoróżowa, przywodząc na myśl wschód słońca, po czym zaczyna się otwierać. W środku leży najpiękniejsza, najbardziej idealna perła, jaką w życiu widziałam.

– Jest piękna – mówię, choć słowa nie są w stanie oddać jej wspaniałości.

Jest niezwykła, przez co niemal można odnieść wrażenie, jakby nie była prawdziwa. Chcę jej dotknąć, ale się boję. Wygląda... jak żywa.

Annemette uśmiecha się tajemniczo.

– Moim zdaniem jest zbyt piękna, żeby ją sproszkować. – Nagle wydaje proste, staronordyjskie polecenie – *fljóta* – i sprawia, że perła unosi się w powietrzu. Następnie bez słowa rzuca czar na wiszącą na ścianie nitkę, i ją rozwija. Bierze do rąk nitkę oraz perlę, zasłaniając przede mną to, co dzieje się w jej dłoniach. Kilka sekund później otwiera je, ukazując idealny naszyjnik z perlą.

– Odwróć się i podnieś włosy – mówi.

Robię, co każe, a Annemette zawiesza wisiołek na mojej szyi. Osobiście nie posiadam biżuterii i nigdy żadnej nie przymierzałam, może z wyjątkiem obrączki ślubnej mojej matki – ojciec trzyma ją schowaną w małej szkatułce, wraz z listami, malowidłami i innymi memorabiliami z ich wspólnego życia.

Dotykam palcami perły i podnoszę wzrok na Annemette, lecz w tej chwili zajęta jest tworzeniem kolejnego naszyjnika. Po chwili zawiązuje sobie na szyi własny wisiołek.

– Teraz do siebie pasujemy – oznajmia.

Czuję ucisk w gardle. Przypominam sobie, że dokładnie to samo powiedziała mi Anna, kiedy zrobiłyśmy sobie naszyjniki z drewnianych koralików, które dał nam krawiec. Były strasznie prymitywne i dziecinne, ale wiele dla nas znaczyły. Teraz trzymam swój w małym pudełku pod łóżkiem.

Uśmiecham się z trudem do Annemette. Magiczna perła jest zimna w porównaniu do mojej skóry. Jednak, ku mojemu zdziwieniu, nie jest to nieprzyjemne uczucie i zastanawiam się, czy naszyjnik już zawsze będzie tak pulsować. Szczerze mówiąc, po części mam taką nadzieję.

– Nauczysz mnie? – pytam, nim udaje mi się powstrzymać.

– A co tu jest do nauczenia? Przecież też jesteś wiedźmą, prawda?

– Ja... ciocia Hansa nigdy nie uczyła mnie takich rzeczy. Wszystko, co wiem, to głównie przepisy na ser... jeden błąd i wszystko idzie na marne.

Annemette marszczy nos.

– To nie powinno być takie trudne. – Podnosi ostrygę. – Masz. Spróbuj.

Fljóta.

Annemette zauważa niechęć na mojej twarzy i przekrzywia głowę.

– To zwykłe polecenie. Wymów je pewnym głosem, a twoja magia cię posłucha.

Niepewnie biorę od niej ostrygę. Jest szara i jałowa. Do tego cuchnie rozkładem.

– *Fljóta*.

Wieko skorupy w moich dłoniach drga, ale nie unosi się. Mam wrażenie, że nie mogę połączyć swojej magii z trzymaną przeze mnie rzeczą, tak samo jak robię to za każdym razem, gdy rzucam zaklęcie na statek mojego ojca.

Czegoś brakuje.

– To ty kontrolujesz swoją magię, Evie. Ona należy do ciebie. Nie zapominaj o tym.

W jej głosie rozbrzmiewa nuta, która sprawia, że natychmiast przytomnieję – jakby nagle zepchnęła mnie z krawędzi klifu do morza.

Ściągam łopatki, po czym intensywnie wpatruję się w irytujące, zgniłe stworzenie. Czuję płynącą w moich żyłach krew mojej matki. Krew Maren Spliid. Krew czarnoksiężnika ukrywającego się w „pospolitym” ciele mojego ojca. Czuję duch Urdy – wokół mnie, we mnie, wszędzie – emanujący energią, z której korzystają wszyscy mieszkańcy Havnestadu. Kumuluję te doznania w sobie, wykorzystując całą swoją wolę. Wolę, by posiadać moc, która ocaliłaby Annę i moją matkę. Wolę, która raz na zawsze zakończyłaby Tørhed, a nie jedynie zamaskowałaby go marnym zaklęciem. Wolę, którą wydaje się posiadać Annemette.

– *Fljóta* – mówię, sięgając po całą tę wolę. Sięgając po ranę w sercu, powstałą po dniu, w którym straciłam Annę. Po dniu, w którym o mało nie straciłam również Nika, kiedy to ze wszystkich sił chciałam użyć swojej magii, by ich uratować.

Ostryga unosi się w powietrzu.

– *Líf* – szepcze Annemette. Życie. Powinnam tchnąć w nią życie.

– *Líf* – powtarzam. Ostryga zaczyna zmieniać kolor; szara skorupa barwi się na różowo, po czym przybiera pomarańczowy odcień przypominający wschód słońca.

Ostryga robi się gorąca. Na tyle gorąca, że teraz jej temperatura pasuje do obecnego koloru skorupy. Czuję na dłoniach ciepło, jakie od niej bije.

Annemette śmieje się.

– I właśnie tak, przyjaciółko, używa się magii.

Mimo że zaklęcie zostało już rzucone, wciąż czuję pulsującą w moich żyłach moc, która bucha ogniem tak gorącym, że jego płomienie przybierają niebieski kolor. Nigdy wcześniej nie czułam niczego podobnego. Nie chcę, by te doznania ze mnie uleciały, ale z drugiej strony wiem, że będę miała kłopoty, jeśli całkiem im się poddam.

Odstawiam ostrygę na stół. Zbudowałam go z kawałka wyrzuconego na brzeg drewna. Stoją na nim kolejne butelki i fiolki, ale szybko robię z nimi porządek i chwytam palcami perłę. W przeciwieństwie do tej stworzonej przez Annemette, moja wciąż jest ciepła. Podejrzewam, że zawarta w niej magia odpowiada inaczej w zależności od tego, kto ma z nią styczność – nie wiem tego na pewno, ale chcę się dowiedzieć.

Czas, bym w końcu w pełni zaakceptowała to, kim jestem. Ciocia Hansa zbyt długo trzymała mnie w niewiedzy. Moja matka była już doświadczoną uzdrowicielką, gdy była w moim wieku.

– Annemette, zostaniesz i będziesz mnie uczyć? – pytam.

– Nie mogę – odpowiada prędko. Usta zaciska w wąską linię, lecz widzę, jak drżą. Odwraca się w stronę wejścia do jaskini i opiera dłonie na skale, patrząc na ruch pływów.

Nic nie rozumiem. Dlaczego Annemette tak się zdenerwowała? Dlaczego nagle musi iść?

– *Możesz zostać* – oznajmiam z uporem. – Twój ojciec cię tu nie znajdzie.

Poza tym mamy w domu wystarczająco dużo miejsca. No i będziesz z nami.

Z rodziną, która się o ciebie zatroszczy i która cię *rozumie*. Nie musisz uciekać i szukać tego wszystkiego gdzie indziej. Tutaj możesz być sobą.

Annemette wbija we mnie spojrzenie, które dobrze znam, i z uporem godnym wikinga powtarza:

– Nie mogę.

Schyła się, zatapiając dłonie w piasku, po czym przesypuje go między palcami.

– Nie mogę tu zostać.

To ona. Już nie mogę temu zaprzeczyć. Ona również nie próbuje tego robić. Spojrzenie, jakie mi rzuciła, jest tym samym, które widziałam na plaży.

Tym samym, które widziałam w oczach dziewczyny pochylającej się nad Nikiem, nim zanurzyła się w morzu i zniknęła, ukazując nad taflą tylko płetwę.

– Nie możesz zostać – mówię.

Kiwa głową, a na jej twarzy widać niepokój.

– Nie jesteś czarownicą, prawda?

Kręci głową.

– Jesteś syreną.

Rozdział 10

– Jak się czuje... ten chłopiec? – Annemette przełyka ślinę i robi krok w moją stronę.

Instynktownie robię krok w tył, wpadając przy tym na stół i przewracając stojącą na nim fiolkę z atramentem. Nie wiem, czy to przez opowieści cioci Hansy, czy świadomość, że Annemette ewidentnie posiada moc o wiele potężniejszą niż te opowieści są w stanie to opisać, ale instynkt od razu nakazuje mi uciekać. Pośpiesznie wyciągam rękę i łapię fiolkę, nim roztrzaskuje się na podłodze. Perła na mojej szyi pulsuje. Chcę jak najszybciej wyjść z tej jaskini, jednakże widząc ból na twarzy Annemette, zdaję sobie sprawę, że chciała zadać mi to pytanie od momentu, gdy mnie spotkała.

W jednej chwili uświadamiam sobie, że nie jest tu ani dla mnie, ani dla mojej magii. Jest tu dla Nika.

Annemette przerywa niezręczną ciszę.

– Wszystko z nim w porządku? Jeszcze oddychał, kiedy wyciągnęłam go na brzeg, ale nie miałam czasu, żeby... ty przybiegłaś i jeszcze ten mężczyzna, a ja musiałam już wracać. On musi żyć, Evie. Proszę, powiedz coś!

Kiwam głową.

– Nic mu nie jest. Uratowałam go. – Gardło mi się ściska, a po policzkach spływają łzy. Gdyby nie Annemette, miałabym na sobie teraz strój żałobny.

– Już wrócił do zdrowia. Wręcz tryska energią. W tej chwili pewnie doi kozę!

Annemette niemal wpada mi w ramiona.

– Och, całe szczęście! Udało mi się go złapać, gdy wpadł do morza, ale prąd był tak silny, że...

– Przestań. Nie powinnam o tym wiedzieć – przerywam jej. – Nic więcej nie mów. To zbyt niebezpieczne...

– Ale przecież jesteśmy w podobnej sytuacji – mówi, prostując się. –

Twoja magia jest równie surowo zakazana co moja. – Kiedy podnoszę na nią wzrok, spojrzenie ma ostre i poważne, a ja uświadamiam sobie, że właśnie dokonaliśmy pewnego rodzaju wymiany. Niebezpiecznej wymiany.

Ja znam jej tajemnicę, a ona zna moją. Jeśli któraś postanowi zdradzić tę drugą, obie zapłacimy za to najwyższą cenę. Chowam fiolkę z atramentem do kieszeni sukienki.

Będziemy musiały zaufać sobie nawzajem.

– Obiecuję, że nic nikomu nie powiem – zapewniam ją, a w moim głosie pobrzmiewa lekkie poczucie winy.

– Dziękuję – mówi. – Ja również będę siedzieć cicho. – Przesuwa dłonią po swoich włosach i zaczyna nawijać na palec jeden z jasnych, falowanych kosmyków. – Jak ma na imię... ten chłopiec?

– Nik. Na imię ma Nik. Jest moim najlepszym przyjacielem. Tak się cieszę, że tam byłeś. Zbyt późno zauważyłam falę i w jednej chwili zniknął mi sprzed oczu. – Nagle w mojej głowie pojawia się myśl. Mimo iż praktycznie bez przerwy ratuję Nika, co zwykle dzieje się na parkiecie tanecznym, tej nocy pierwszy raz w życiu nie mogłam nic zrobić. Podczas gdy on cztery lata temu uratował mnie przed utonięciem, ja nie potrafiłam odwdziaczyć mu się tym samym. Uśmiech znika z moich ust i spuszczam wzrok na leżące u naszych stóp szare ostrygi. – Chciałabym ci się odwdziaczyć czymś więcej niż porcją jedzenia i naszyjnikami z perłą.

Annemette łapie palcem mój, przez co czuję się dziwnie. Mam wrażenie, że to zbyt intymny gest, ale nie chcę jej odpychać.

– Nie zrobiłam nic szczególnego – oznajmia. – Syreny to nie potwory, wbrew temu, co o nas mówicie. Po prostu nie mogłam pozwolić, by utonął.

Utonął. Jak Anna. A przynajmniej tak mi się wydawało.

W tej chwili Annemette wygląda tak pięknie. Tak niewinnie. Nagle napotyka mój wzrok.

– Chciałabyś go poznać? – pytam.

– Proszę.

Opuszczamy moją „norę” i wracamy drogą przez skały. Annemette idzie pierwsza, lecz wciąż sprawia wrażenie, jakby zjadały ją nerwy. To dziwne – i smutne – widzieć syrenę, która boi się morza. Zatrzymuję się na moment, by ostatni raz rzucić okiem na jaskinię i wtedy je czuję. W wodzie, między moją kostką a głazem, unoszą się trzy martwe strzeble – najprawdopodobniej fala roztrzaskała je o skały. Kręcę głową, przypominając sobie ostatni raz, kiedy

tego typu ryby pływały wokół moich stóp – nie powinnam myśleć o tym dniu.

Nie w tej chwili.

Gdy docieramy do brzegu, razem z Annemette wycieramy stopy i zakładamy buty, a następnie idziemy w stronę leśnej ścieżki. Po jakimś czasie las przerzedza się na tyle, że jesteśmy w stanie iść obok siebie, a ja w końcu mogę zasypać ją kolejnymi pytaniami.

– Zawsze byłaś syreną?

Annemette patrzy na mnie krzywo.

– A ty zawsze byłaś dziewczyną?

– Tak – odpowiadam. – Ale ty już nie jesteś syreną. A przynajmniej nie masz ogona. Dlatego zastanawiam się, czy byłaś nią od urodzenia.

Wybuchą śmiechem, a ja niemal potykam się o własne nogi, ponieważ znowu brzmi dokładnie jak Anna. Nasze łokcie zderzają się przez przypadek, kiedy odzyskuję równowagę. Chciałabym zadać jej pytania, które dręczą mnie już od dłuższego czasu, ale nie mogę się na to zdobyć.

– Muszę cię rozczarować – mówi. – Urodziłam się syreną i mam nadzieję, że nie będę nią do końca życia. – Z gracją staje na jednej nodze i unosi ręce w górę, przybierając pozycję arabski.

Zatrzymuję się. Ściągam brwi, czując nagły przypływ odwagi.

– A czy to możliwe, żeby człowiek utopił się i został syreną? Moja przyjaciółka...

Potrząsa głową, a ja milknę.

– Jak długo możesz tak zostać?

Annemette zerka na siebie, po czym podnosi wzrok i patrzy mi w oczy.

– Kilka minut.

– Nie, jak długo możesz być *człowiekiem*?

Ucieka wzrokiem, słysząc to słowo. Prostuje się i rozciąga kończyny.

– Niezbyt długo – mówi po dłuższej chwili. – A przynajmniej od tego momentu. Choć to zależy.

– Od czego? – dopytuję.

– Obiecuję, że ci powiem – odpowiada, choć widzę po jej wahaniu, że nie do końca mi ufa. Jej twarz blednie, niemal jakby była przerażona – albo zagubiona. – Po prostu muszę najpierw zobaczyć Nika. W przeciwnym razie żadna z tych rzeczy nie będzie miała znaczenia.

Perła pulsuje na mojej szyi – *lí f*. Jej magia jest potężna, ale dobra.

Uratowała mu życie. Przedstawię ich sobie, chociaż tyle mogę dla niej zrobić.
Zerkam na chowające się za górami słońce.

– Powinnyśmy się pośpieszyć. Niedługo rozpoczną się zabawy z okazji Lithasblotu – oznajmiam. – To festiwal, który urządzamy na cześć udanych zbiorów. Ludzie przybywają na niego z różnych części świata. Słyszeli o nas nawet w Kopenhadze.

– Brzmi nieźle – odpowiada Annemette. – I Nik też tam będzie?

Kiwam głową. Jeśli będzie chciała zrobić mu krzywdę, mam po swojej stronie magię cioci Hansy i mojej matki. Chwyta mnie mocno za rękę.

– Chodźmy więc.

Kiedy docieramy na plażę, na której mają być organizowane dzisiejsze zabawy, pałacowa służba i kilkoro wieśniaków wciąż są w trakcie przygotowań. Jesteśmy trochę za wcześnie. Scena przeznaczona na bydło nie jest jeszcze w pełni złożona, a jakaś setka ludzi plecie o poprawianiu dekoracji, wykładaniu jedzenia i pilnowaniu ogniska, nad którym wkrótce pieczony będzie wielki świniak.

– Może to nie Kopenhaga, ale wciąż jesteśmy w królestwie. Po zachodzie słońca na plaży zbierze się tyle ludzi, że ciężko ci będzie dostrzec piasek.

– Tam, skąd pochodzę, też organizuje się zabawy na piasku.

Śmieję się.

– Tak myślałam.

Annemette podchodzi do ogniska i wyciąga dłonie. Nagle uświadamiam sobie, że nigdy wcześniej nie widziała ognia z tak bliska.

– Hola hola, młoda damo – ostrzega pan Olsen, krawiec, odsuwając Annemette od płomieni, nim udaje mi się do niej dotrzeć. – Jeszcze krok i będziesz się piec razem ze świniakiem.

– Dziękuję. – Annemette kłania się z gracją. – Proszę o wybaczenie.

– Jesteś tu sama? – pyta mężczyzna.

– Nie, przyszłam zobaczyć festiwal razem z...

– Ze mną – wtrącam, odwracając jej uwagę od grymasu na twarzy krawca.
– Dziękuję, panie Olsen.

– Musimy wymyślić ci jakąś historyjkę... lepszą niż ta prawdziwa – szepczę, prowadząc ją w kierunku zamku. Mieszczanie lubią rozsiewać plotki, zwłaszcza o mnie, ale para królewska będzie potrzebowała jakichś konkretnych informacji na temat Annemette, skoro ich syn będzie widziany w jej towarzystwie. Nisko urodzona dziewczyna bez tytułu nie wystarczy;

wiem to z doświadczenia.

W końcu decydujemy się nadać jej tytuł córki barona, ten sam, który miała Anna: *friherrinda*. Friherrinda, która przyплыnęła z daleka – z Odense – by na własne oczy zobaczyć nasz wyjątkowy Lithasblot. Jej opiekunka zachorowała, dlatego zajmuje się nią ciocia Hansa, lecz w tej chwili to ja pełnię rolę opiekuna oraz przewodnika. Tak. To dobry plan. Kolejne kłamstwo na moim koncie. Widocznie w krążących po mieście plotkach jednak tkwi ziarno prawdy – rzeczywiście rozpowiadam bzdury i książę nie powinien mi ufać. Ale mówienie im prawdy tylko po to, by zyskać ich aprobatę, to ryzyko, którego nie mam ochoty podejmować.

– Kiedy zobaczymy się z Nikiem? – pyta Annemette, zmęczona ciągłym recytowaniem swojej zmyślonej historii.

– Nie martw się. – Wskazuję na kamienne monstrum, które stoi na wzgórzu. – Tam na mnie czeka.

Annemette patrzy we wskazanym przeze mnie kierunku.

– To zamek Øldenborgów – mówię. – Ma pięćset lat, a przeciągów w nim tyle, co na żaglówce.

Prowadzę ją do ogrodu królowej, w którym roi się od tulipanów we wszystkich możliwych kolorach. Annemette przygląda się kwiatom i oznajmia, że każdy kolejny jest jeszcze piękniejszy od poprzedniego.

– Kocham zajmować się ogrodem – wyznaje.

Nagle otwiera szeroko usta i zaczerpuje tchu, gdy docieramy do największej dumy królowej – rzeźb jej rodziny. Każda z nich jest wyższa od konia i umieszczona pośród tulipanów. Król i królowa wyglądają tak, jak w dniu ich ślubu, a powierzchnia marmuru, z którego wykuto ich pomniki, jest gładka i błyszcząca. Obok stoi najnowsza wersja rzeźby Nika – ma jedenaście stóp i wygląda, jakby wychylał się z dzioba statku.

– To... on?

Annemette staje na palcach, a i tak sięga mu zaledwie do gustownie rozpiętego kołnierzyka.

– Tak, tak. To on.

– Inaczej go zapamiętałam. Tu wygląda bardziej sucho. – Śmieje się.

Wspinamy się na schody, a na ich szczycie, odwrócony w stronę Przystani Havnestadu, stoi Nik. Wygląda, jakby wziął kąpiel od razu po powrocie z wizyty w gospodarstwie. Na jego mokrych włosach spoczywa skromna korona, którą rodzice kazali mu nosić podczas festiwalu. Zawsze uważałam,

że w tradycyjnym, niebiesko-złotym havnestadzkim garniturze wygląda śmiesznie, ale królowa Charlotte, jako że pochodzi z północnych fiordów, przywiązuje dużą wagę do tradycji. Upiera się, by podczas tego typu świąt Nik utrwał w oczach poddanych swój oficjalny wizerunek.

– Evie, jesteś – mówi, zauważając mnie jako pierwszą. Gdy jego wzrok ląduje na Annemette, natychmiast przybiera kamienny wyraz twarzy. Nie porusza niczym oprócz ust. – I przyprowadziłaś przyjaciółkę...

Uśmiecham się, gestem nakazując jej podejść bliżej.

– Wasza Księżęca Mość, przedstawiam ci Annemette. Annemette, oto księżę Niklas.

W chwili, gdy Nik napotyka wzrok Annemette, w jego oczach pojawia się nikły błysk. W pierwszym odruchu boję się, że ją rozpoznaje – że od razu uświadamia sobie, że to ona go uratowała. Albo że, słysząc pierwszą połowę imienia dziewczyny, dostrzega w niej dawną przyjaciółkę, która opuściła nas kilka lat temu.

Ale niemal od razu staje się jasne, że nie chodzi o żadną z tych rzeczy, ponieważ dzieje się coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam. Na jego policzkach wykwita *pokaźny* rumieniec. Jak Urdę kocham – rumieni się tak intensywnie, że nie wie, gdzie podziać oczy; najpierw zerka na mnie, po czym spuszcza wzrok.

Uważa, że jest piękna.

I ma rację – jest olśniewająca. Ale to u niego... niespotykane.

Przyznaję z ciężkim sercem, że jestem nieco zazdrosna. Tyle lat byłem jedyną dziewczyną, której Nik poświęcał swoją uwagę, i mimo to nigdy nie spojrzał na mnie w *taki* sposób. Choć z drugiej strony podejrzewam, że gdyby tak się stało, to nie bylibyśmy teraz przyjaciółmi. Czy właśnie tak się czuje, gdy jestem z Ikerem? Hmm, nie chcę teraz myśleć o Ikerze. Uśmiecham się do obojga, stojąc niezręcznie pomiędzy nimi. Chcę stąd uciec, ale obawiam się, że nie skończyłoby się to dobrze.

– Jestem zaszczycony – mówi, gdy w końcu odnotowuje, co powiedziałam, jednak rumieniec nie znika z jego policzków. – Skąd znacie się z Evie?

Myślałem, że znam wszystkich jej przyjaciół.

Wtrącam się szybko.

– Jej opiekunka zachorowała podczas podróży z Odense. Teraz zajmuje się nią ciocia Hansa. Annemette jest friherrindą, która bardzo chciała wziąć

udział w Festiwalu Lithasblot, ale ponieważ jej opiekunka nie czuje się najlepiej, zdecydowałam się ją oprowadzić. – Dotykam jej ramienia. – A spotkanie z samym księciem to dobry początek, prawda, Annemette?

Uśmiecha się szeroko.

– Och tak, jak najbardziej.

Policzki Nika odzyskują normalny kolor, gdy jego perfekcyjnie wyćwiczona samokontrola w końcu przybywa na białym koniu, by uratować go przed kompletnym upokorzeniem. Podobnie jak jego poczucie humoru.

– Cóż, w końcu świetna ze mnie atrakcja. Ponad sześć stóp wzrostu i mięśnie z kamienia. – Podnosi szczupłe ramię i poklepuje dłonią biceps.

– Ludzie ustawiają się do mnie w kolejce tylko po to, żebym odkręcił im słoik.

Puszczam oczko do Annemette.

– To prawda; do nikogo innego się o to nie zwracam. – *Proszę bardzo.*

Jestem dobrą przyjaciółką. W stosunku do obojga. Nie przeszkadza mi to. Ani trochę.

Annemette nie przestaje się uśmiechać, ale wygląda na nieco zdezorientowaną. Posiada sporą wiedzę na temat tego świata, ale nie na tyle dużą, by znać różnicę między puszką a słoikiem. Wyszczierzam zęby do Nika i robię wszystko, by uratować sytuację.

– To jak, masz teraz w planach otwieranie słoików, książę Niklasie, czy możemy pójść zobaczyć, co się dzieje na scenie?

– Naprawdę nie musisz mnie tytułować... wystarczy Nik – prosi, nie odrywając wzroku od Annemette. – Evie tylko żartuje. Tytuły mnie nie obchodzą. – Muska palcami koronę i znowu się rumieni. – Korony też...

Annemette kiwa głową.

– A co cię obchodzi?

– Głównie muzyka.

– Uwielbiam śpiewać. – Przęłykam ślinę, gdy to mówi, i nie jestem w stanie wymazać z pamięci wspomnienia przyjaciółki, którą upiera się, że nie jest.

Nik znowu się rumieni. Na jego ustach pojawia się niepewny uśmiech.

– W takim razie wykorzystam swój tytuł księcia i pożyczę później od kogoś instrument, bym mógł ci towarzyszyć.

Żołądek mi się przewraca. Świetnie. Po prostu świetnie.

Schodzimy ze schodów, a następnie wracamy do ogrodu. Widzę, jak Nik

odchodzi na chwilę na bok i zrywa różowego tulipana z końca jednego z rzędów, tak że królowa nie zauważy braku. Annemette kuca, by powąchać swoje ulubione kwiaty.

Zostaję nieco z tyłu i patrzę, jak Nik podchodzi do niej, trzymając kwiat za plecami. Kiedy Annemette wstaje i odwraca się do niego, ten wyciąga różowego tulipana w jej stronę i wykonuje królewski ukłon.

Annemette obdarza go szerokim uśmiechem, patrząc mu w oczy.

– Naprawdę? Mogę go sobie wziąć?

– Co byłby ze mnie za księżę, gdybym nie mógł zerwać jednego tulipana z własnego ogrodu?

– Och, dziękuję! To jeden z moich ulubionych.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Annemette. – Dziewczyna zabiera od niego kwiat i unosi go do twarzy, rozkoszując się zapachem.

Gdy otwiera oczy, napotyka mój wzrok, a ja uśmiecham się do niej.

– Czas ruszać na festiwal.

Rozdział 11

Nik wrzuca do ust prawdopodobnie już dziesiąty spandauer, którego słodkie okruszki ma przyklejone do ust. Gdy przechadzamy się po plaży, Nik zatrzymywany jest praktycznie przy każdym stole z jedzeniem, gdzie uczestnicy zabawy proszą go, by spróbował ich przysmaków. Nieważne, czy to stare i cuchnące sery, jagody i owoce pestkowe z tutejszych sadów, chrupiące żytnie i pszenne chleby, przysmaki z grochu będące konkurencją dla słynnej zupy cioci Hansy, czy góry deserów, Nik zmuszony jest spróbować wszystkiego, i za każdym razem zapewnia autora danego specjału, że to najlepsze, co w życiu jadł.

– Ratusz, Evie – mamrocze po ostatnim kęsie.

Czemu jej nie poprosisz o pomoc? – mam ochotę zapytać, widząc, że Annemette idzie zaraz obok mnie, ale zamiast tego podaje mu chustkę mojej mamy.

– Bierz małe kęsy, a potem jej użyj.

Humor nie poprawił mi się zbyt, choć próbuję myśleć pozytywnie.

Patrzenie na szarą twarz Annemette, której żołądek przewraca się na widok słynnych dla Havnestadu owoców morza, odrobinę mi w tym pomaga.

Przechodzimy obok stołów, gdzie sprzedają czarne mięso z wieloryba, różowy wielorybi tłuszcz, świeżo ugotowane czerwone homary, kraby wypełnione delikatnym mięsem, słoną ikrę z łososia, a nawet plastry pieczonego na wolnym ogniu węgorza.

Przy kolejnym stole Annemette chwytła mnie za dłoń i przybliżyła usta do mojego ucha.

– Dlaczego zabijacie morskie zwierzęta, kiedy macie tyle innych możliwości?

Wzruszam ramionami.

– Taki mamy sposób bycia. Życie Havnestadu uzależnione jest od sieci i harpunów. – Pewnie powinnam wykazać się nieco większą empatią, ale jest gorąco, a to ciągle zatrzymywanie się przy każdym stole jeszcze bardziej

psuje mi nastrój.

Marszczy brwi.

– Ale możecie jeść tyle innych rzeczy. – Pochyla się i zniża głos do szeptu, podczas gdy Nik próbuje splawić kolejnego mistrza sztuki kulinarnej. – Mój ojciec zawsze nam powtarza, żebyśmy trzymali się z dala od powierzchni, opowiada nam przerażające historie o tym, jak to nasz gatunek jest regularnie nabijany na harpuny, mówi, że ludzie to plaga dla tych wód, że potrafią jedynie polować i mordować. Ale to...

– Tak to już jest, Annemette – odpowiadam delikatnie, jakbym mówiła do dziecka. W pewnym sensie tak jest, mimo że Annemette ma tyle lat co ja. W końcu do tej pory spędziła w moim świecie zaledwie kilka godzin. – Robimy to, by przeżyć. Nie chcemy celowo wyrządzać krzywdy ani morskim stworzeniom, ani świniom, ani innym zwierzętom.

– Nie byłam na to przygotowana.

– A ja nie byłam dziś przygotowana na spotkanie syreny – szepczę z ustami tuż przy jej uchu. – Ale spotkałam.

Śmieje się głośno. Nik zerka w naszą stronę, a ja unoszę brew i zaciskam usta. Uśmiecha się szeroko do Annemette, lecz potem ponownie napotyka mój wzrok, a ja wiem, że prawdopodobnie podejrzewa mnie o plotkowanie.

Niemniej jednak nic sobie z tego nie robię.

Nik uwalnia się z kolejnego szturmu, po tym jak ktoś wciska mu w dłoń talerz ze świeżym, ociekającym tłuszczem torskiem, którego martwe oczy wpatrują się w przestrzeń.

– Pani Ulla upiera się, że to najlepszy torsk w całym Havnestadzie... niewykluczone, że w całej Danii, wnioskując po sposobie, w jaki to powiedziała. Annemette, jeśli szukasz prawdziwych atrakcji Lithasblotu, możesz zacząć od tego.

Chwytam talerz i przyciskam go do piersi Nika, z dala od Annemette.

– Ona nie jada ryb.

Nik wybucha śmiechem.

– Kto nie jada ryb? Przecież jesteśmy Duńczykami...

– Alergia – odpowiadam. – Po zjedzeniu ryby puchnie jak te francuskie, latające balony.

– Okropieństwo – mówi Annemette, gdy już powraca do rzeczywistości, i nadyma policzki.

Nik daje za wygraną. Bez wahania wkłada talerz w dłonie małego chłopca

o pulchnych policzkach, który uśmiecha się w odpowiedzi i biegnie do swojej rodziny.

– W takim razie czuję się zobowiązany, by chronić cię przed havnestadzkim zamięłowaniem do morskiej fauny i flory.

Wzrok Annemette na moment ląduje na mnie, po czym szybko wraca do Nika.

– Rzeczywiście odważny z ciebie książę.

Po tym, jak ognisko już całkiem gaśnie, a największy byk należący do Aleksandra Jessena zostaje tegorocznym zwycięzcą konkursu, razem z Nikiem i Annemette siadamy na deskach królewskiego doku i przy akompaniamencie muzyki wpatrujemy się w ocean.

Nik gra na gitarze prostą melodię, a Annemette śpiewa, dopasowując do nut stare szanty, które najwyraźniej są równie popularne w morskich głębinach, jak na lądzie. W tej chwili grają „Naprzód, dzielni żeglarze”.

„To dla króla ci żeglarze, chcą na morzu szukać wrażeń. Dziadki, babki, siostry, żony – o nich dbamy z każdej strony”.

Siedzę obok nich, wpatrując się w fale i, co dziwne, rozkoszując się czystym głosem Annemette. Jest równie piękny co głos Anny – bogaty, wysoki, z nutą niewinności pobrzmiewającej w każdym dźwięku.

„Ku czci każdej duńskiej damy, wszelki czyn nasz kierowany. Tak więc z Dannébrogiem nad masztami, będziem pływać dniami i nocami”.

Siedzą tak blisko siebie, że fałdy jej spódnicy dotykają materiału jego spodni. Żadne z nich nie wydaje się tym przejmować; wręcz przeciwnie – wraz z upływającymi minutami, stopniowo likwidują dzielącą ich przestrzeń.

Ja znajduję się po stronie Nika, i z każdą piosenką, śmiechem oraz fragmentem rozmowy, coraz bardziej odnoszę wrażenie, jakbym się od niego oddalała.

Cieszę się, że Nik jest szczęśliwy, a Annemette wyraźnie znalazła to, czego szukała, lecz mimo to wciąż nie mogę pozbyć się wiszącej nade mną ciemnej chmury, która pochłania mnie niczym unosząca się nad portem mgła i sprawia, że jeszcze bardziej się nad sobą uzalam. Annemette z taką łatwością zaczęła nadawać z Nikiem na tych samych falach i nikomu to nie przeszkadzało. Gdy szli obok siebie, ludzie uśmiechali się na ich widok i komentowali urodę dziewczyny oraz to, jak dobrze razem wyglądają.

Tymczasem ja wlokłam się za nimi. Piąte koło u wozu.

W tym momencie wiem, że jeśli zostanę w Havnestadzie, nigdy nie znajdę

tego, co oni. Nie odzywam się prawie do nikogo spoza swojej pozycji społecznej, a niektórzy nawet domagają się, by zamknięto mnie w brygu.

Chciałabym, by był tu Iker, lecz jednocześnie wiem, że nawet gdyby tak się stało, to zawsze będzie on dla mnie zwykłą dziecięcą fantazją. Może i mało obchodzi go zdanie innych na temat naszej dwójki, ale i tak skończy się na tym, że poślubi jakąś wysoko urodzoną dziewczynę. Znowu zostanę sama. Gdyby tylko była tu Anna. Prawdziwa Anna. Może wtedy wszystko wyglądałoby inaczej. Piosenka dobiega końca, a Nik i Annemette wpadają na siebie ze śmiechem.

– Masz piękny głos, Mette – mówi, używając skróconej wersji jej imienia; nie wiedziałam, że Annemette woli, by tak na nią wołano. Zastanawiam się, kiedy mu powiedziała, żeby tak ją nazywał. A może użył tego zdrobnienia po raz pierwszy, czując łączącą ich więź, której ja nigdy z nim nie nawiązałam.

– Jestem bardzo zobowiązana, Niku. – Pochyla się. Dygnięcie na siedząco. Coś nowego.

– Koniecznie musimy to jutro powtórzyć, Mette. Proszę, powiedz, że jutro też tu będziesz.

– Tak, tak, oczywiście, że będę. – Na rozjaśnionej światłem księżycą twarzy Annemette pojawia się uśmiech.

– Wspaniale. Czy powinienem rankiem przysłać po ciebie karetę? Gdzie się zatrzymujesz?

– U mnie – wtrącam, wykorzystując przygotowane w zanadrzu kłamstwo. – Jej opiekunka jest chora.

Nik marszczy brwi z niepokojem, choć może to powątpiewanie. Przez chwilę siedzi cicho, a ja błagam go w duchu, by coś powiedział.

– Ale w takim razie Mette też będzie chora – mówi w końcu, a ja wypuszczam powietrze z ust, choć nawet nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymywałam oddech. – I ty też, Evie. Obie możecie zostać w pałacu.

Nalegam. – Odwraca się do mnie z uśmiechem na ustach, choć na mojej twarzy prawdopodobnie maluje się czyste zdumienie. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, ale ta symboliczna linia na piasku, którą wspólnie narysowaliśmy, zawsze znajdowała się na progu zamku. Nigdy tam nie nocowałam – nawet w dniu, gdy Nik omal nie utonął, królowa Charlotte odesłała mnie do domu. – Powiadomię Hansę i każę przywieźć wasze rzeczy.

Nie. Nie może tego zrobić. Ponieważ wtedy dowie się, że Annemette nie ma ze sobą żadnych bagaży – nie ma nic oprócz ubrań, które ma na sobie.

– Bez obaw, sama po nie pójde! – wykrzykuję. – Hansa jest zbyt zajęta, by zajmować się pakowaniem walizek.

Nik kiwa głową, usatysfakcjonowany, skoro ostatecznie osiągnął swój cel. Bagaze to tylko formalność.

Annemette chwytam mnie za dłonie, patrząc mi w oczy.

– Dziękuję – mówi. W jej głosie słychać szczerłość i desperację, której nie słyszałam od momentu, kiedy zapytała mnie o Nika.

Właśnie. Uratowała go i zjawiała się tu, by go spotkać. Miała swoje powody.

Mogłabym całą noc wyrzucać sobie swoją drażliwość i rozgoryczenie, nawet jeśli tylko ja jestem świadoma tych emocji. Ale przynajmniej ja też osiągnęłam swój cel. Odwdzięczyłam się Annemette tym, że ich ze sobą poznałam. I wygląda na to, że wiele to dla niej znaczy. Dla nich obojga.

Jednakże wciąż czuję ucisk w żołądku, a malujący się przede mną dok kołysze się, jakbym to ja była otaczającym zatokę prądem, samotnym na otwartym morzu.

Rozdział 12

Nie mam ochoty odpowiadać na pytania. Chcę jedynie zjawić się w zamku, zanim królowa dowie się o zaproszeniu Nika. Zmyślona historyjka o Annemette nie wzbudziła podejrzeń Nika, ale on akurat chciał nam uwierzyć.

Jego matka z kolei... cóż, nie zdziwiłabym się, gdyby знаła każdego arystokratę od Danii do Prus.

Gdy docieram do chatki, wpadam przez drzwi jak wichura, po czym biegnę korytarzem i wpadam do swojej sypialni.

Moja obecność nie uchodzi uwadze cioci Hansy, mimo że prawdopodobnie jest głęboko pogrążona w myślach, stojąc przy świeczce i wyciskając atrament z ośmiornicy.

– Czy to nawałnica w postaci córki mojej siostry właśnie wpadła do domu?
– pyta, idąc korytarzem.

Ignoruję ją i zatraskuję za sobą drzwi, po czym przetrząsam komodę w poszukiwaniu jakichkolwiek części garderoby – gorsetów, bielizny, pończoch, butów i sukienek. Zabieram również książkę z zaklęciami o nazwie *Mity Morskie*, którą ukradłam z biblioteczki cioci Hansy. Być może znajdę tam przydatne informacje na temat syren.

Chwilę później Hansa otwiera drzwi. Zakłada ręce na piersi, unosząc brew.

– Nie przemycisz całej garderoby w tym kufrze, złotko.

– Kto powiedział, że chcę ją przemycić?

Ciocia Hansa robi krok do przodu i zirytowana zaciska usta w wąską kreskę.

– Pantalony wystają z przodu.

Rzeczywiście, zmarszczony kawałek materiału wystaje z kufra, przywodząc na myśl język topielca.

Hansa przekrzywia lekko głowę, unosząc brew jeszcze wyżej.

– Powiesz mi, czemu wpadasz jak burza do domu i pakujesz do kufra tyle ubrań, że wystarczyłoby na tygodniowy rejs? To ma coś wspólnego z twoją nową przyjaciółką, prawda?

Przez moment mam ochotę powiedzieć jej prawdę. Jeśli istnieje ktoś, kto uwierzyłby, że Annemette to syrena, jest to ciocia Hansa. Ale nie mogę zdradzić tego sekretu.

– No, dziecko? Wymyśliłaś sobie już idealne kłamstwo? Miałaś na to wystarczająco dużo czasu.

– To nie kłamstwo. Nik zaprosił mnie do zamku... mnie i Annemette.

To wywołuje u Hansy charakterystyczny rechot.

– Nowe obowiązki tak go przytłaczają, że biedny chłopiec musi sprowadzić sobie do pałacu moralne wsparcie?

– Coś w tym stylu – oznajmiam, choć wiem, że Hansa i tak mi nie wierzy. Jeszcze bardziej unosi brwi.

– Jesteś pewna, że ten smarkacz z Zatoki Rigeby nie nocuje dzisiaj w zamku?

Policzki mi płoną.

Chyba w moich snach.

– Iker jeszcze nie wrócił. – *I nie wiem, czy w ogóle wróci*, dodaję w myślach, lecz mimo ukłucia, jakie czuję w sercu, udaje mi się zachować obojętny wyraz twarzy. – Dlatego w zamian Nik zażądał mojej... naszej obecności.

– Och, *zażądał*, tak? – Ciocia Hansa patrzy na mnie wzdłuż swojego nosa, długiego jak u czapli. – Jedna przemowa tak mu zawróciła w głowie, że teraz musi żądać obecności swojej biednej przyjaciółki?

– Wiesz, że Nik taki nie jest. Poza tym ty zawsze się zjawiasz, kiedy wzywają słynną „Uzdrowicielkę Królów”, prawda?

– Nie odwracaj kota ogonem, dziecko. Akurat *ja* wiem, co robię.

– Ponownie wybucha śmiechem, kiedy ciągnę kufer w kierunku drzwi. W tej chwili Annemette pewnie skończyła zwiedzać miasto. Jeśli ktoś z pałacowej służby wygadał się, że Nik znalazł sobie towarzystwo, królowa nie zaśnie, póki z nim nie porozmawia.

– Skończyłaś? – Robię krok w stronę drzwi, w których stoi.

– Nie, nie skończyłam. – Na moment krzyżuje ramiona na piersiach i patrzy na mnie twardo, lecz po chwili odsuwa się od progu, robiąc mi miejsce. – Ale jesteś równie uparta co twoja matka, więc jeśli postanowiłabyś się ze mną kłócić, to stałybyśmy tu do rana.

Robię jeszcze jeden krok w jej stronę i pochylam się na tyle, na ile pozwalają mi na to bagaże, po czym całuję ją w wysuszony policzek.

– Dobranoc, ciociu Hanso.

Mijam ją oraz butle z cuchnącym atramentem, i kieruję się do drzwi frontowych. Gdy przechodzę przez próg, słyszę, jak woła:

– Nie spełniaj wszystkich zachcianek księcia, kochana. Mężczyźni zawsze proszą o więcej, niż im się należy.

Zwykle odwiedzam zamek w towarzystwie ojca, który dostarcza rodzinie królewskiej świeże ryby z ostatniego połowu, dlatego czuję się nie na miejscu, kiedy wchodzę sama przez główne wrota Zamku Øldenburgów. Po prostu niektóre rzeczy zarezerwowane są tylko dla wysoko urodzonych. Może i Malvina Christensen oraz jej podobni myślą, że nie znam swojego miejsca, ale jest wręcz przeciwnie. Rzeczywistość daje mi to do zrozumienia każdego dnia.

Właśnie idę przez ogród z tulipanami, ciągnąc za sobą ciężką walizkę, gdy nagle słyszę, że ktoś mnie woła.

Jest prawie północ, ale królowa Charlotte wygląda równie królewsko, co zawsze; wciąż ma na sobie suknię wieczorową, którą założyła na festiwal, a na jej idealnie ustylizowanych włosach spoczywa korona. Za nią widzę idącego w naszą stronę Nika.

– Evelyn – mówi królowa zniesmaczonym tonem, którego nawet nie próbuje zamaskować. – Niklas powiedział mi, że do nas dołączysz. – Rzuca synowi ostre spojrzenie, a ja wiem, że prawdopodobnie stoczył z nią długą walkę. – Friherrinda¹³ Annemette była na tyle uprzejma, że zasugerowała, by umieszczono was w tej samej komnacie.

– Rzeczywiście jest bardzo uprzejma, tak samo jak wy, Wasza Wysokość, za ugoszczenie nas tu dzisiaj – oznajmiam. Królowa kiwa głową, jakbym właśnie zdała test – wiem, jak wymaga, by się do niej zwracano.

– Cała przyjemność po mojej stronie – oświadcza, po czym zaczyna się oddalać. Jednakże nagle staje i po raz ostatni odwraca się w moim kierunku.

– Nie opuszczaj proszę skrzydła.

Kiwam głową. Tak, znam swoje miejsce.

Gdy królowa znika z pola widzenia, Nik szybko do mnie podbiega.

– Pomogę ci.

– Poradzę sobie. – Ale w chwili, gdy to mówię, on już chwyta za obie rączki i w miarę lekko podnosi kufer do piersi. – Nie powinieneś. Jeszcze nie doszedłeś do siebie!

– Nic mi nie będzie. To dobry trening przed przenoszeniem skały... w końcu muszę obronić tytuł.

– A odkąd aż tak bardzo zależy ci na wygranej? – ciągnę temat, by uniknąć rozmowy o jego matce.

– Widocznie wystarczyło jedno zwycięstwo, żebym zmienił zdanie.

– Albo potrzeba zaimponowania pewnej dziewczynie. A skoro już przy tym jesteśmy... gdzie ona jest?

Nik zbliża się do drzwi, a ja szybko go wyprzedzam, żeby je przed nim otworzyć.

– Mette tak bardzo była zachwycona swoją komnatą, że nie chciałem jej przeszkadzać. Poza tym moja matka... – Nagle urywa, gdy jeden ze strażników podchodzi do niego i bierze kufer. Z kolei Nik kładzie dłoń na drzwiach, bezpośrednio nad moją głową, i przytrzymuje je, bym sama nie musiała tego robić. Przez chwilę stoję w miejscu, próbując cokolwiek wyczytać z jego twarzy, ponieważ nie jest już tak otwarta jak zwykle. Jego emocje są mętne, jak woda zabrudzona magicznym atramentem cioci Hansy.

Nik zerka na strażnika.

– Oleg, zabierz proszę ten kufer do Komnaty Barokowej.

Oleg kiwa głową, a Nik wyciąga mnie z powrotem na zewnątrz, a następnie prowadzi na schody. Siada na najwyższym stopniu, a ja idę w jego ślady. Gdy już siedzę obok, przyciska ramię do mojego.

– Najwyraźniej dorastanie to nie tylko wygłaszanie przemówień – mówi niskim głosem, wpatrując się w swoje dłonie.

Moje serce zaczyna bić jak szalone i automatycznie chwytam go za ramię.

– Nik...

– Matka cieszy się, że to właśnie Annemette zaprosiłem do zamku jako pierwszą z tych jej „dziewcząt”.

Czuję suchość w ustach. Powinnam była to przewidzieć – podobnie jak większość rzeczy, które wydarzyły się w ciągu ostatnich kilku dni. Wyglądało na to, że Annemette nie wzbudziła podejrzeń królowej, nawet bez mojej pomocy.

– Kazała swoim damom rozesłać listy do wszystkich rodów szlacheckich w Danii i zaprosić każdą księżniczkę, komtesę⁴ i friherrindę na bal Lithasblotu i bóg jeden wie, co jeszcze. Jako że mam już szesnaście lat, powinienem zacząć sam zabiegać o jakąś damę, ale matka pomyślała, że

lepiej będzie sprowadzić panny do mnie.

– Och, Nik... – zaczynam, lecz ten nagle podnosi na mnie wzrok, a wyraz jego oczu sprawia, że czuję ucisk w gardle.

– Skusiła je też wiadomością, że będzie tu Iker...

Oczywiście, książę-lekkoduch, dwa lata starszy od Nika, lubujący się w ekscytujących opowieściach o morzu. Założę się, że każda wysoko urodzona panna bez wyjątku znajduje się teraz na pokładzie królewskiego parowca.

– Dwaj książęta w cenie jednego... obaj jesteśmy jak żywa oferta specjalna. – Śmieje się. – Nic dziwnego, że Iker jeszcze nie wrócił.

Celowo śmieje się z własnego żartu, próbując podnieść mnie na duchu, ale nie jestem w stanie odwzajemnić uśmiechu. W tej chwili najchętniej zamieniłabym się w kamień i została posągiem na wzór rzeźb stojących w ogrodzie. Musi istnieć na to jakieś zaklęcie. Przynajmniej wtedy nie musiałabym się przejmować tą zalewającą mnie falą rozczarowania. Okazuje się, że zdrowy rozsądek nie zawsze pomaga. Wręcz przeciwnie – sprawia, że czuję się jeszcze gorzej.

Jednak w pewnym sensie to zabawne – choć może „zabawne” to złe słowo, ale tak naprawdę oboje z Nikiem jesteśmy w pułapce. Ja już zawsze będę córką rybaka, zaplątaną w sieć szeptów i kłamstw, które rozprzestrzeniane są przez tych, co boją się otworzyć oczy i spojrzeć ponad czubek własnego nosa.

Nika z kolei wiąże królewskie tradycje, które nakazują mu poślubić kogoś, kogo nie kocha i kto również nie darzy go miłością. Wszystko ze względu na królewski rodowód. Nik już nigdy nie wyjdzie z cienia zamku, a ja nie mogę zrobić nic, by mu pomóc.

Chyba że królowa uwierzyła w historyjkę Annemette, która z pewnością jest lepsza od tych wszystkich komtes pchających się na nasz brzeg. Wygląda na to, że naprawdę uszczęśliwia Nika. Wiem, że znają się dopiero jeden dzień, ale nawet ja muszę przyznać, że nigdy nie widziałam, by Nik uśmiechał się tak często, jak wtedy, gdy jest z nią. To tylko drobne rzeczy, ale to zaledwie początek. Poza tym ona nie chce jego korony. Tego jestem pewna. Naprawdę jej na nim zależy. *Uratowała* go. Co więcej, jeśli w końcu wprowadzimy magię do pałacu, wszyscy z tego skorzystamy; być może nareszcie położymy kres brutalnym mantróm królowej Charlotte oraz paleniu lalek. Może, jako zaufana przyjaciółka księcia i księżniczki, nie będę już zmuszana do korzystania z drzwi prowadzących do pałacowej kuchni. Moja

rodzina nie będzie już musiała żyć w sekrecie. Jeśli Annemette naprawdę uczyni Nika szczęśliwym, obie będziemy mogły być wolne. *Przestań, Evie.*

Za bardzo się śpieszysz. Jednak mimo to na moich ustach wciąż widnieje uśmiech.

– Chodźmy do środka – zwracam się do Nika. – Wszystko będzie dobrze. Annemette czeka.

Rozdział 13

Budzę się skąpana w jasnym, błękitnym świetle poranka i siadam na łóżku. Sądziłam, że spędzenie nocy na najwygodniejszym materacu, na jakim kiedykolwiek miałam okazję spać, dobrze mi zrobi, ale myliłam się.

Przepełnia mnie niepokój.

Na miłość boską, przemyciłam do pałacu syrenę!

Annemette śpi w łóżku po drugiej stronie komnaty. Jasne loki ma rozrzucone na poduszce, a jedna z jej stóp wystaje spod kołdry, palcami skierowana w stronę sufitu.

Łatwo zapomnieć, że nigdy wcześniej nie spała w łóżku. Odrzucam koce i po cichu podchodzę do kufra zostawionego przez Olega obok ogromnej garderoby. Pod stertą ubrań leży księga, którą wrzuciłam tam w ostatniej chwili. Tytuł – *Mity Morskie* – może i nie wzbudza podejrzeń, ale mimo to cieszę się, że przybyliśmy do zamku na tyle późno, że służąca nie miała czasu rozpakować naszych bagaży. Choć pewnie powinnam być bardziej ostrożna.

Gramolę się na miękkie siedzisko w wykuszu i podstawiam księgę pod światło słoneczne, po czym przerzucam kartki w poszukiwaniu jakichkolwiek informacji na temat syren. Oczywiście pamiętam historie, jakie przekazuje się dzieciom. Wciąż słyszę w głowie głos cioci Hansy, która zawsze lubiła dzielić się tego typu opowieściami przy ognisku.

Syreny zwabiają żeglarzy w samo serce burzy, a ich śpiewowi i urodzie trudno się oprzeć. To prawdopodobnie mit. Annemette jest piękna, ale to nie ona sprawiła, że Nik wpadł do morza. Poza tym gdyby znajdował się teraz pod wpływem jej uroku, potrafiłabym to wyczuć. Chyba.

Oprócz tego jest jeszcze: *Syreny z łatwością potrafią wywołać sztorm i za jego pomocą składają żeglarzy w ofierze, by oddać hołd morzu.* Modłę się do Urdy, by to również był mit. Nagle przed oczami migają mi twarze ojca i Ikera, a po plecach przechodzi mnie dreszcz.

Aczkolwiek jedna pogłoska w szczególności przyprawiała mnie i Annę o

dreszcze, a brzmi ona: *Syreny porywają niegrzeczne dzieci i rzucają je rekinom na pożarcie w zamian za ochronę.* Ha! Akurat w tym przypadku sporo zawdzięczam cioci Hansie. Ta informacja wiele razy powstrzymała mnie przed robieniem głupstw, choć koniec końców i ona nie wystarczyła.

Żałuję, że razem z Anną nie wzięłyśmy sobie tego ostrzeżenia bardziej do serca. Żadna z tych pogłosek mnie nie uspokaja. Póki co jedyna pozytywna informacja, jaką posiadam na temat syren, pochodzi z mojego własnego doświadczenia: *Dobra syrena może zabrać cię z powrotem na brzeg.*

Ale ta księga musi zawierać coś więcej niż kilka bajek z dzieciństwa. Po dłuższej chwili nareszcie znajduję rozdział poświęcony syrenom, który umieszczony jest zaraz po szczegółowej rozprawie na temat krakena. Nie mówi mi on za wiele – zawiera jedynie nieco bardziej rozbudowane wersje pogłosek, które już znam na pamięć, choć moją uwagę przykuwa pewien fragment.

O syrenach wychodzących na ląd często słyszy się od rzekomo uratowanych przez nie żeglarzy – często taki człowiek zarzeka się, że otworzył oczy w tym samym momencie, gdy syrena zanurzała się z powrotem w morzu.

Na ogół te morskie stworzenia opisywane są jako niezdolne do dłuższego przebywania na lądzie.

Dokładnie tak to wtedy wyglądało. Może w dalszej części będzie coś więcej na temat tego, co dzieje się po wspomnianym ratunku. Przewracam stronę, spodziewając się sekcji mówiącej, że syreny posiadają umiejętność przybierania ludzkiej formy, ale niczego takiego nie znajduję. Ani opisu, ani odnotowanych tego typu przypadków, ani hipotez.

Wpatruję się w Annemette. Na pewno nie jest pierwszą syreną, która zmieniła się w człowieka. To niemożliwe. Prawdopodobnie zdarza się to tak rzadko, że taka pogłoska jeszcze się nie rozpowszechniła.

Annemette, zapewne czując na sobie ciężar mojego spojrzenia, budzi się i wyciąga ręce wysoko nad głowę. Otwiera oczy i zauważa, że się na nią patrzę. Po części spodziewam się, że będzie zdezorientowana, że nie będzie wiedzieć, gdzie jest i czym jest, ale tak się nie dzieje. Zamiast tego najzwyczajniej w świecie ziewa.

– Mogłabym do tego przywyknąć. – Obraca się w moją stronę i wskazuje

chudym palcem na swoją łydkę. – Ale czy to normalne, że ta część ciała mnie boli? Piecze. I palce mnie... swędzą.

– Jakby ktoś wbijał w nie małe szpilki? – podpowiadam.

– Raczej noże – odpowiada bez wahania. – Ale nic mi nie będzie. –

Podpiera się dłońmi, znowu ziewając.

Kładę księgę między sobą a szybą.

– Może to efekt uboczny. No wiesz... spowodowany twoją transformacją – mówię, a następnie korzystam z okazji, by zapytać: – Inne syreny też potrafią przybrać ludzką formę?

– Nie jestem pierwsza – odpowiada. – Ale cóż... często kończy się to śmiercią. Jednak w moim przypadku będzie inaczej – oznajmia pewnym głosem. Wstaje i odwraca się do mnie plecami, po czym otwiera drzwi garderoby, która, jak się okazuje, jest po brzegi wypełniona sukniami.

– Skąd one się tu wzięły? – pytam, otwierając usta ze zdziwienia.

Podchodzę do garderoby.

– Wyczarowałam je wczoraj, gdy spałaś.

Chcę jej powiedzieć, że powinna być bardziej ostrożna, ale te kreacje są niesamowite. Jedwabne suknie dzienne są w kolorach różowym, modrym i ciemnofioletowym, a każda z nich posiada białe kołnierzyki i perłowe guziki.

Chwytam palcami perłę, którą mam na szyi, i zastanawiam się, czy jej naszyjnik również pulsuje tak jak mój. Suknie wieczorowe wyglądają nawet jeszcze szykowniej. Tworzą je obfite spódnice, długie treny, złote hafty i koraliki. Ludzie pomyślą, że jest najbogatszą friherrindą na świecie.

– Podobają ci się? – pyta. – Mam nadzieję, że zadziałają.

Kiwam głową z entuzjazmem.

– Zadziałają?

– Sprawia, że będę mogła tu zostać – mówi, ściskając w dłoniach sukienkę w kolorze havnestadzkiego błękitu i damaskinaż z masy perłowej. – Nie chcesz, żebym została?

– Oczywiście, że chcę, Mette – zapewniam ją, pierwszy raz używając tego zdrobnienia. W jednej chwili uświadamiam sobie, że powiedziałam to szczerze. Nie tylko dlatego, że chcę, by chroniła Nika przed podłymi zamiarami jego matki i pomogła mi stawić czoła mieszkańcom miasta, ale również po to, bym miała przyjaciółkę, która posługuje się magią i która wie, kim naprawdę jestem. Nie miałam pojęcia, jak bardzo tego pragnęłam, dopóki jej nie spotkałam. – Ile masz czasu? – pytam, licząc, że tym razem

otrzymam odpowiedź. – Chcę pomóc.

– To zakłęcie utrzymuje się cztery dni – oznajmia. – Zostały mi trzy. Moje dobre samopoczucie pryska.

– Tylko tyle?

– Ale te trzy dni mogą zmienić się w wieczność, jeśli moja prawdziwa miłość również się we mnie zakocha, zanim ostatniego dnia wybije północ.

Również.

Nik.

Wieczność.

– Ja go kocham, Evie. Naprawdę. – Annemette pada na łóżko, całkowicie pozbywając się wrażenia podejrzanego dziewczyny, której prawdziwe pobudki owiane są tajemnicą. Teraz przypomina dziewczynę, z którą kilka lat temu często plotkowała o chłopcach w zaciszu jej pokoju. – To z jego powodu wróciłam. Wiem, że też może się we mnie zakochać. Przecież widziałaś nas wczoraj.

– A co, jeśli tak się nie stanie? – pytam.

Annemette odwraca się i patrzy przez okno na widoczne w oddali morze.

– Co wtedy? – Podchodzę do niej, a następnie siadam na jej łóżku. – Powiedz mi, Mette.

Potrząsa głową i chowa twarz w dłoniach. Gdy w końcu odpowiada, brzmi, jakby recytowała formułkę z książki – i może rzeczywiście tak jest.

– Jeśli syrena pragnie wyjść na ląd w ludzkiej postaci, musi wypełnić magiczny kontrakt i dokonać wymiany: jej życie za cztery dni na suchym lądzie. – Robi pauzę, a jej ciało drży. Bierze głęboki oddech. – Jeśli po czterech dniach nie wróci do morza, już nigdy nie będzie syreną.

Czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

– Czekaj... *umrzesz?* – Co to było za zakłęcie? Nik to najbardziej niesamowity chłopak, jakiego kiedykolwiek spotkałam, ale żeby oddać życie za kogoś, kogo ledwo zna?

Siada, kiwając głową.

– Wiem. To obłąd. Ale nic nie rozumiesz. To właśnie jego mi brakowało.

Wiedziałałam, że jest mi przeznaczony już w chwili, gdy wpadł do morza. W *moje* ramiona. A co do pozostania w ludzkiej postaci? Evie, nie masz pojęcia, jakie masz szczęście.

Nawet nie wiem, co o tym myśleć. Oczywiście, że nie chcę, by umarła i pragnę szczęścia dla ich obojga, ale niby jak ma to zadziałać? Zakochanie się

w kimś w ciągu czterech dni brzmi... nierealistycznie, delikatnie mówiąc.

Ostrożnie dobieram słowa, gdy pytam:

– Jak poznasz, że naprawdę się w tobie zakochał?

Twarz Annemette ponownie przybiera rozmarzony wyraz.

– Potrzebny mi jedynie pocałunek prawdziwej miłości.

Omam nie wybucham śmiechem. Teraz brzmi to nierealistycznie i absurdalnie. Tak bardzo, że jestem kompletnie zbita z tropu.

– Pocałunek, poważnie? Twoje życie za pocałunek? I tyle? Ciekawa magia.

– Chodzi o emocje, jakie niesie ze sobą ten pocałunek. Będę wiedziała, że to prawdziwa miłość. Magia to wyczuje.

Przypominam sobie, jak wyglądał Nik, gdy siedział ze mną na schodach – z pewnością był zauroczony, ale zakochany? Nie. A przynajmniej jeszcze nie.

Podchodzę z powrotem do siedziska w oknie. Muszę odetchnąć. I pomyśleć. Gdyby życie Annemette nie znajdowało się teraz w niebezpieczeństwie, nie wiem, co bym sobie pomyślała, gdyby Nik rzeczywiście zakochał się w niej w ciągu trzech dni. To wszystko wydaje się niewłaściwe – życie Annemette zależy od tego, czy Nik obudzi potężną moc, zakochując się w dziewczynie, którą dopiero spotkał. Którą lubię i którą on również polubił. Której już zawsze będę wiele zawdzięczać. Ale wciąż mam wątpliwości... musi istnieć jakiś inny sposób na to, by ją ocalić bez zmuszania Nika, żeby się w niej *zakochał*.

Gdy podnoszę wzrok, Annemette podchodzi do mnie prędko. Wciska się na siedzisko obok mnie i chwyta moje dłonie. Ma bladą twarz.

– Evie... nie wchodzę ci w drogę, prawda? – Marszczy czoło ze zmartwienia. – Szukałaś go tamtej nocy... czekał na ciebie w pałacu wczoraj wieczorem. On nie jest...? Czy ty...?

– Nie kocham Nika, a on z pewnością nie kocha mnie. – W swoim życiu wiele razy musiałam powtarzać to zdanie. Ostatnio powiedziałam to Malwinie. – Jesteśmy tylko najlepszymi przyjaciółmi.

Wzdycha z ulgą, a jej dłonie drżą, kiedy przygląda nimi włosy.

– Wydajecie się być blisko, a ja nawet nie zapytałam... pewnie myślisz, że jestem okropna.

– Wcale nie! Nik i ja od lat jesteśmy nierozłączni. – Z całych sił staram się utrzymać z nią kontakt wzrokowy mimo jej przytłaczającej obecności.

– Ludzie często tak to interpretują.

Wyraźnie zalewa ją fala ulgi i z powrotem opada na leżące w oknie poduszki.

– To w takim razie masz kogoś? Kogoś, kto sprawia, że twoje serce bije tak szybko, jakby miało wyskoczyć ci z piersi?

Przed oczami widzę twarz Ikera z szerokim uśmiechem, który sięga jego jasnoblękitnych oczu. Przygryzam wargę.

– Mam... miałam. Nie wiem. – Annemette patrzy na mnie, czekając, aż powiem coś więcej, więc niechętnie kontynuuję: – Widziałaś go... to ten chłopak, który był ze mną tamtej nocy na plaży. – Kiwa głową ze zrozumieniem. – Cóż, to kuzyn Nika, jest księciem Zatoki Rigeby. Ale to nie ma znaczenia, Mette. Wypłynął w rejs, a my mamy teraz ważniejsze rzeczy na głowie. *Trzy dni...*

– Och, Evie, jesteś taką dobrą przyjaciółką – mówi Annemette, zamykając mnie w objęciach.

Trzy dni na zakochanie się. Trzy dni, żeby przeżyć. Trzy dni do balu, w którym weźmie udział każda wysoko urodzona dama ze wszystkich Królestw Sundu. Kręcę głową. Już samo znalezienie prawdziwej miłości jest trudne, nawet bez konkurencji.

Rozdział 14

Nie mam pojęcia, jakim cudem Annemette udaje się zachować stoicki spokój, gdy idziemy dołączyć do Nika przy śniadaniu. To pewnie zasługa płynącej w jej żyłach morskiej wody, zdolnej oprzeć się nawet największej nawałnicy.

Natomiast moje ciało jest jednym wielkim kłębkim nerwów, zaciśniętym dodatkowo marynarskim węzłem.

Annemette z podniesioną głową wychodzi z sali balowej na skąpany w świetle poranka balkon; jej morska sukienka podkreśla błękit jej oczu, a jasnoblond włosy lśnią w promieniach słońca.

Z tego miejsca mamy zapierający dech w piersi widok na port. Znam przystań jak własną kieszeń, ale nigdy nie widziałam jej z tej perspektywy, gdzie niemal całe wybrzeże znajduje się w zasięgu mojego wzroku.

Wyobrażam sobie, jakie to musi być potężne uczucie patrzeć na krajobraz, nad którym sprawuje się władzę. Prąd jest silniejszy niż normalnie o tej porze roku, podobnie jak tamtego feralnego dnia. Odwracam się plecami do morza, nie chcąc zatracić się w przykrych wspomnieniach.

– Dzień dobry, młode panie. Usiądźcie, proszę. – Nik wstaje i odsuwa krzesło po swojej prawej stronie. – Mette?

Annemette rumieni się, zajmując wskazane miejsce. Uspokajam nerwy i puszczam do niego oczko, gdy odsuwa krzesło również dla mnie. Wtedy zauważam, że na widok Annemette jego policzki również robią się różowe.

Romantyczny Nik. To z pewnością dobry znak.

Nik dotrzymuje słowa i chroni Annemette przed okropieństwami naszej diety, składającej się głównie z morskich przysmaków; kazał pałacowym kucharzom zaserwować kielbasę, słodkie bułki ociekające świeżym masłem i pokryte rosą maliny, zamiast tradycyjnego śledzia. Do tego podano gorącą, aromatyczną, czarną herbatę.

Na widok tych pyszności burczy mi w brzuchu. Tak naprawdę mój żołądek odzywa się już od rana, co prawdopodobnie jest wynikiem wyczerpującego mnie stresu. Umieram z głodu.

– Bogowie, Evie. Chowasz pod tą suknią tygrysa? – śmieje się Nik, trzymając przy ustach filiżankę z herbatą.

– Znasz mnie, zawsze przyprowadzam na śniadanie dzikie zwierzęta – odpowiadam żartobliwie.

– Tego mogłem się spodziewać po twojej czarnej magii. – Nik ponownie wybucha śmiechem, odstawiając filiżankę na spodek, żeby nie oblać się herbatą.

Annemette nie ukrywa zdziwienia. Patrzy na mnie skonsternowana. Po całej tej tyradzie, jaką wygłosiłam odnośnie ukrywania naszej magii, sam książę swobodnie sobie żartuje na jej temat.

– Nik nie powinien rozpowiadać takich plotek. – Delikatnie trącam go łokciem. To pewnego rodzaju zabawa, w której oboje bierzemy czynny udział. Często żartujemy, że moja rodzina rzekomo zajmuje się „czarami”, mimo że te dowcipy są bliżej prawdy, niż Nik mógłby się tego spodziewać.

– Moja ciocia, Hansa...

– Zmienia ludzi w ropuchy i robi z nich zupę – wtrąca Nik, unosząc wysoko brwi. Annemette wybucha śmiechem, co tylko go dopinguje. – Masz szczęście, że nie jadłaś wczoraj jej zupy grochowej.

Annemette otwiera szeroko usta.

– Nie bez powodu ma zielony kolor. – Puszczam jej oczko.

Razem z Nikiem śmiejemy się głośno. Dobrze jest się odprężyć. Nagle widzę, że nieznacznie przesuwają dłoń w kierunku jej nadgarstka. Może jednak jest nadzieja.

– Tak tylko żartujemy, Mette – kontynuuje Nik. – Ciocia Hansa jest medyczną cudotwórczynią. Kilka razy uratowała mojego ojca, gdy zwykły lekarz nie był w stanie nic zrobić, za co jestem jej niezwykle wdzięczny.

Dobrze się zajmie twoją opiekunką... i tak naprawdę nie potrafi zmieniać ludzi w ropuchy. – Annemette kiwa głową, a na jej ustach pojawia się krzywy uśmiech. Nik odwraca się z powrotem do mnie i zniża głos, jakby mówił o czymś ściśle tajnym. – Choć nie zdziwiłbym się, gdyby rzuciła urok na mojego lekkodusznego kuzyna, by powściągnął się od psot i oszalał na punkcie jej siostrzenicy.

Znowu dźgam go łokciem, tym razem mocniej, i razem z Annemette wybuchają śmiechem.

– Jeśli rzeczywiście ma taką moc, to musiała coś spartaczyć, skoro nie przypłynął na festiwal – mówię.

- Tu akurat Iker popełnił błąd – stwierdza Nik, biorąc do ręki słodką bułkę.
- Ja nie popełniam błędów, kuzynie.

Podnosimy wzrok. Iker stoi w progu, opierając się plecami o framugę. Skórę ma opaloną po kilkudniowym rejsie, a jego włosy wyglądają na jaśniejsze niż kiedykolwiek. W roztargnieniu drapie się po delikatnym zarostie na kwadratowej szczęce, który z pewnością królowa Charlotte każe mu natychmiast zgolić. Mam szczerą nadzieję, że jej nie posłucha.

Serce mam w gardle, kiedy przenosi wzrok na mnie i nasze oczy się spotykają. Uśmiecha się szeroko.

Nie uśmiechaj się. Nie wstawaj. Przecież obiecał, że wróci kilka dni temu. Bądź silna.

Poddaję się. Nieznacznie unoszę kąciuki ust, a on w odpowiedzi uśmiecha się jeszcze szerzej. Nagle podchodzi do stołu, a ja boję się, że mnie pocałuje na oczach wszystkich. Na oczach Nika. Staje przede mną i pochyla się, po czym muska palcami mój podbródek i przybliża twarz do mojej.

Proszę, nie.

Ale na boga, tak bardzo chcę, żeby to zrobił.

Całuje mnie lekko w czoło. Wypuszczam powietrze, choć nie wiem, czy to przez ulgę, czy rozczarowanie.

- Witaj, Evelyn – mówi, po czym prostuje się. – Wybacz spóźnienie.

Nim udaje mi się cokolwiek odpowiedzieć, podchodzi do Nika, kradnąc mu z dłoni bułkę.

- Witaj, kuzynie. Dobrze widzieć, że stanąłeś na nogi. – Bierze kęs bułki.

Nik wstaje, a następnie oboje wpadają sobie w ramiona.

– Matka była rozgorączkowana twoim spóźnieniem. Mam nadzieję, że odnalazłeś tego wielorybiego króla, którego szukałeś.

– Chciałbym – odpowiada Iker, a w jego głosie pobrzmiwa frustracja. W końcu zawsze dostaje to, czego chce. – Ścigaliśmy go aż to krańca Jutlandii, ale to szybki skurczybyk.

- Pewnie dlatego zwał go „królem”, kuzynie.

Iker uśmiecha się, klepiąc Nika po ramieniu.

– Sprytne z nas niecnoty, co? Na zmianę wypełniamy powierzone nam zadania albo od nich uciekamy.

- A ty w obu przypadkach zawsze się spóźniasz.

– Wszystko można nadrobić wielkim wejściem i dobrą historią.

Unoszę brew.

– To z pewnością twoje życiowe motto. – Ton mam bardziej surowy, niż zamierzałam. Widzę, że Iker lekko się wzdryga.

– Myślę, że jak dotąd dobrze na tym wychodziłem.

– Oczywiście, że tak myślisz – mówi Nik. Teraz stoi obok krzesła Annemette i muska dłonią jej ramię. – Ale wystarczy tej dyskusji, kuzynie.

Pragnę przedstawić ci friherrindę Annemette.

Annemette wstaje i robi krok w stronę Ikera. Wyciąga dłoń, sprawiając wrażenie, jakby robiła to już setki razy, a Iker chwyta ją i składa pocałunek na jej palcach.

– Miło cię poznać, Annemette. Ośmielę się stwierdzić, że z pewnością zapamiętałbym tak piękną twarz podczas wielu moich podróży po Sundzie.

Powiedz więc, z którego brzegu cię wyłowiono?

Serce podchodzi mi do gardła i napotykam wzrok Annemette. Wiem, że po prostu jest uprzejmy, ale i tak czuję niepokój.

– Z Odense – odpowiada opanowanym głosem, podczas gdy ja mam wrażenie, jakby serce miało mi zaraz wyjść przez nos. – Spotkałam Evie wczoraj, a ona zgodziła się mnie oprowadzić. Nik chętnie do nas dołączył.

– A kto by tego nie zrobił? – pyta. – Ja zgodziłbym się bez wahania. – Iker uśmiecha się do niej, lecz w jego oczach czai się podejrzliwość. To tylko nikły błysk, ale nie zmienia to faktu, że tam jest – i nawet nie stara się go ukryć. Oboje z Nikiem go zauważamy, zanim urok Ikera wraca z pełną siłą.

Kłania się Annemette. – Byłem już wszędzie i na całym świecie nie ma kobiet piękniejszych niż te dwie, które stoją na tym oto balkonie.

W jednej chwili ja i Annemette czerwienimy się w odpowiedzi na ten komplement o spektakularności godnej Ikera. Zerkam na Nika i widzę, że on również się rumieni, a jego wzrok nie opuszcza Annemette.

Iker patrzy na całą naszą trójkę.

– Co? – pytam.

W końcu kręci głową.

– Wasza zgraja nigdy nie zacznie korzystać z życia, jeśli nie nauczycie się przyjmować komplementów ani prosić o to, co chcecie. Kuzynie, przecież widać, że nie możesz oderwać oczu od tej dziewczyny. Może poprosisz ją, by towarzyszyła ci podczas dzisiejszych festiwalowych zabaw? Jestem pewien, że jeszcze wiele może ci o sobie powiedzieć.

Annemette, owijając kosmyk włosów wokół palca, odwraca się w stronę Nika, który śmieje się nerwowo.

Iker nie zwraca na nich uwagi i mówi dalej:

– A skoro wy będziecie zajęci, Evie i ja możemy w tym czasie wybrać się do ogrodu.

– Naprawdę? – pytam. – Nie sądzisz, że najpierw powinienś zapytać mnie o zdanie?

– Wybacz mi, Evelyn. Sprawisz mi ten zaszczyt?

Powinnam odmówić. W końcu jaki to ma sens? Lada chwila będzie tańczył z połową komtes, które zostały zaproszone na bal i z której jedna bez wątplenia zostanie jego żoną. Ale nie potrafię powstrzymać tej pokusy.

Napotykam motywujący wzrok Annemette. Ona też potrzebuje spędzić trochę czasu z Nikiem. Dwie magiczne istoty i dwaj książęta. Mam ochotę się roześmiać. Może czas przestać spełniać oczekiwania, jakie mieszkańcy Havnestadu mają wobec kogoś takiego jak ja, i zacząć zachowywać się jak dziewczyna, za którą mnie uważają.

– Będę zobowiązana, Ikerze – odpowiadam, wstając z krzesła.

Nagle Nik również się podnosi, sprawiając wrażenie niezwykle spiętego.

Jego uszy też robią się czerwone.

– Iker, nie sądzę, by to był dobry pomysł.

W oczach Ikera pojawia się błysk. Rzuca Nikowi to samo podejrzliwe spojrzenie, którym obrzucił wcześniej Annemette. Mierzy wzrokiem wyraz twarzy i posturę kuzyna, wyraźnie próbując stwierdzić, czy chodzi mu o to, że zostanie sam na sam z Annemette, czy o coś innego. Nagle przypominam sobie, co powiedział mi na pokładzie statku: *Nie chcę wchodzić mojemu kuzynowi w paradę.*

– Przecież nie zbezczeszczę tej dziewczyny, kuzynie. Pocałujemy się tylko i pogadamy. – Nik prycha z pogardą, lecz Iker jedynie się uśmiecha. – Nie żebyśmy już wcześniej tego nie robili.

Nik przenosi wzrok na mnie, a ja wiem, co sobie myśli. Pewnie nietrudno mu sobie wyobrazić, jak Iker mnie całuje, podobnie jak wszystkie dziewczyny, z którymi ma styczność.

Spuszczam wzrok – żałuję, że dowiedział się o tym w taki sposób. Nie chcę patrzeć na jego nieszczęśliwy wyraz twarzy.

Wtedy Iker zerka na Annemette i unosi brwi, dając Nikowi do zrozumienia, by skorzystał z okazji i nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Zaciskam kciuki z nadzieją, że go posłucha. W końcu dziewczynie zostały tylko trzy dni. Iker zdejmuje rękę z mojej talii i bierze mnie pod

ramię, a następnie prowadzi w stronę drzwi.

– Idź w moje ślady, kuzynie, ale nie moim śladem.

Poranne słońce kuje nas w oczy, gdy wychodzimy z cienia zamku i zapuszczamy się do ogrodu królowej. Wchodzimy na kamienną ścieżkę i potykamy się lekko, gdy próbujemy przyzwyczać się do światła, a nasze ramiona przez moment się stykają – i tylko Urda wie, czy robimy to umyślnie, czy przez przypadek.

Iker tu jest. W końcu to do mnie dociera.

Wrócił. I od razu przyszedł do mnie.

Całe to rozczarowanie i strach, że coś mu się stało, w jednej chwili ze mnie ulatuje. Nie chcę o tym rozmawiać. O Annemette również staram się nie myśleć. *Nie musisz brać za wszystkich odpowiedzialności, Evie* – ciocia Hansa powtarzała mi to tysiące razy. Annemette jest teraz ze swoim księciem, a ja jestem ze swoim.

Po latach snucia fantazji moje marzenie jakimś cudem nareszcie staje się rzeczywistością: spacerujemy po ogrodzie, trzymając się za ręce. Pomimo mojego statusu społecznego. Pomimo jego statusu społecznego. Pomimo ścieżek, jakie są nam przeznaczone. Czuję ciepło na szyi, a moje policzki rumienia się pod wpływem zalewającego mnie skrępowania. Iker nigdy nie może się dowiedzieć, jak często sobie to wyobrażałam.

Ale czy to wszystko dzieje się naprawdę? Czy może jestem we śnie? Może syrena rzuciła na mnie urok? Albo już całkowicie straciłam rozum, a Annemette jest tylko wytworem mojej wyobraźni? Tak samo jak Iker?

Z pewnością myślałabym, że śnię, gdyby nie to, że Iker wciąż obejmuje mnie w talii, przyciągając do siebie jeszcze bliżej, i prowadzi w stronę kamiennej ławki stojącej pod ciemnym dębem.

Przestań zadawać pytania Evie.

Korzystaj z okazji, póki możesz.

Pachnie morzem. Uciezką. A ja chcę do niego dołączyć; patrzeć, jak jego skóra różowieje, a potem brązowieje pod wpływem słońca, obserwować wieloryby na horyzoncie i czuć wiatr we włosach. Odwraca się do mnie, kładąc teraz drugą dłoń na mojej talii, i pochyla głowę ku mnie. Na jego ustach pojawia się uśmiech, jakby wyczytał myśli z moich oczu.

– Martwiłaś się, że nie wrócę – mówi, odgarniając mi z policzka kosmyk włosów.

Nie zaprzeczam.

– Natrafiłem na pewnego rodzaju problem – wyjaśnia spokojnym głosem, a jego spojrzenie jest lekko nieobecne. – Straciłem jednego z członków załogi.

Fala zepchnęła go do morza w samym środku dnia, po tym jak zadokowaliśmy w Kalø. Szukaliśmy go dwa dni.

Wstrzymuję oddech. To okropne, ale takie tragedie często się zdarzają na ekspedycjach. Widzę po wyrazie twarzy Iker, że również zdaje sobie z tego sprawę – jest rozczarowany, ale jednocześnie wie, że nie ma na to żadnego wpływu. Jednak po chwili w jego oczach na nowo pojawia się błysk i opowiada dalej.

– W końcu go znaleźliśmy. Unosił się na falach między dwoma skałami.

Wyobrazasz sobie? Ledwo oddychał i był cały poobijany, ale żył. To dziwne uczucie... odnaleźć coś, co wydawało się niemożliwe do odnalezienia.

Nagle w jego głosie pobrzmiwa żartobliwa nuta.

– Dlatego nie powinnaś była we mnie wątpić.

– Nie wątpiłam. Wątpiłam we własną nadzieję.

Iker unosi brwi, przenosząc wzrok na moje usta.

– Nadzieję na co?

– Na to, że chciałeś tu wrócić równie mocno, jak ja tego chciałam.

Słyszając to, przyciąga mnie do siebie tak blisko, że klatką piersiową napiera na mój gorset, a ja czuję kształt jego nóg między fałdami spódnicy.

– Co do tego również nie miej wątpliwości.

Przyciska usta do moich, pozbawiając mnie tchu. W pierwszej chwili pocałunek jest delikatny, lecz nagle Iker zaciąga nas oboje na ławkę.

Otocza mnie zapach soli morskiej i limonek, a moje serce bije tak mocno, że z pewnością czuje je przez materiał gorsetu i swojej koszuli.

Chwyta moją twarz w dłonie i przesuwając kciukami po policzkach. Trzyma mnie tak przez kilka sekund, po czym powoli się odsuwa.

– Masz swój dowód, Evelyn.

Formułuje to jako stwierdzenie, nie pytanie.

Zaciskam wargi w zadumie.

– Szczerze mówiąc nie jestem pewna, czy wystarczy mi tak mała próbka.

Twarz Iker przybiera drapieżny wyraz.

– Mogę ci je zapewniać całe popołudnie. Do kolacji nie mam w planach żadnych książących obowiązków. – Nagle poważnieje. – Czy to ci wystarczy,

moja miła?

Pochyliam się i całuję go delikatnie w usta.

– To tak na dobry początek.

Cztery Lata Wcześniej

Młodzieniec stał w doku, słysząc narzekających za nim rodziców, mimo że podróż, jaką odbyli, nie była długa. Musieli jedynie przepłynąć na drugi koniec Cieśniny Sundu – była to trasa, którą mógł przebyć z zawiązanymi oczami i przy pomocy własnej łodzi, gdyby miał ku temu okazję.

I planował to zrobić w kolejnym roku, nieważne, czy rodzice mu na to pozwolą, czy nie.

Pogoda była ładna; słońce mocno świeciło, wysuszając deski doku szybciej niż morze miało czas je zmoczyć – nawet mimo silnych fal nadchodzących od strony Zatoki Rigeby.

Pałacowi lokaje przybyli do portu, by odprowadzić rodziców młodzieńca i zabrać ich bagaże, zostawiając go sam na sam z jego własnymi myślami. W wieku czternastu lat te myśli poświęcone były głównie dziewczętom.

Brunetkom.

Blondynkom.

Rudowłosym.

Całkowicie zaprzętywały mu głowę, choć zważywszy na pozycję, jaką pełnił, powinien dawać lepszy przykład – nagle przypomniał sobie pouczające metafory, które matka nieustannie mu powtarzała.

„Tulipany więdną bez względu na ich piękno; klejnoty w koronie trwają wiecznie”.

„Więzy krwi są silniejsze niż fantazje”.

„Królewska waza pomieści tylko jeden kwiat, nieważne ile ich zbierasz”.

Nogi same zaprowadziły go na piasek. Podniósł wzrok i zauważył w oddali blondynkę oraz brunetkę. Biegły wzdłuż plaży w rytm melodii, którą ledwo był w stanie usłyszeć.

Kilka jardów dalej zatrzymały się i wskazały dłońmi na mieliznę wystającą ponad niespokojną powierzchnię wody. To wtedy je rozpoznał – dwie dziewczyny z wioski, przyjaciółki zawsze skore do przeżycia kolejnej przygody, tak samo jak on, choć miał wrażenie, że blondynce trudniej było zaimponować. Za nimi włókł się chłopiec, jego kuzyn. Kolejny książę.

Nagle dziewczynki zaczęły zdejmować sukienki, a śnieżna biel ich halek odbijała promienie słońca.

Nie mógł oderwać od nich wzroku.

Patrzył, jak składają ubrania i pozostawiają je na piachu. Jak biegną w stronę fal. I jak prąd okazuje się być równie silny co w zatoce, lecz młodzieniec był zbyt zajęty wpatrywaniem się w ich halki, by je o tym ostrzec.

Dopiero gdy księżę zanurkował za przyjaciółkami, młodzieniec zdał sobie sprawę z powagi sytuacji.

Odruchowo ruszył w ich stronę. Chciał im pomóc. Żadna z dziewczyn nie wypłynęła jeszcze na powierzchnię, a minęło już stanowczo zbyt dużo czasu.

Przebiegł pięć kroków i zamarł. Tym razem w jego głowie odezwał się głos ojca, kolejnego Øldenburga, który sprawował władzę nad nimi wszystkimi.

„Nie próbuj zgrywać bohatera, Iker; w końcu jesteś księciem”.

Królestwo potrzebowało go żywego. Gdyby cokolwiek mu się stało, przyszłość kraju i jego rodziny byłaby zagrożona. Jednak mimo to usłyszał kolejny głos – tym razem jego własny.

„Ale Nik...”.

Jego kuzyn ostatnimi czasy sporo urósł – teraz miał przynajmniej sześć stóp wzrostu, ale widywał tulipany o łodygach grubszych od ramion Nika i harpuny szersze niż jego nogi. Młodzieniec był równie wysoki, ale budową przypominał młodego wikinga. Miał dużo siły. Mógł pomóc.

Jednak wciąż nie ruszał się z miejsca. Wstrzymał oddech i patrzył, jak jego kuzyn w końcu wypływa na powierzchnię, trzymając w ramionach bezwładne ciało brunetki. W następnej chwili Nik zaczął płynąć w kierunku plaży.

Gdy jego kuzyn położył brunetkę na piachu, młodzieniec w końcu wypuścił powietrze z płuc i obserwował z podziwem, jak dwunastoletni chłopiec bezbłędnie robi przyjaciółce sztuczne oddychanie. Wokół nich zgromadzili się mieszkańcy miasta, chwilowo porzucając przygotowania do Lithasblotu na rzecz przyglądania się dziewczynie, która znalazła się o włos od śmierci; najwyraźniej morze uznało, że pochłonęło już wystarczającą ilość ofiar.

Jednakże cała zalewająca go ulga ulotniła się w ciągu sekundy, gdy jego kuzyn zaczął krzyczeć do otaczających go ludzi, sfrustrowany brakiem ich reakcji. W końcu kilku mężczyzn weszło do wody, ale Iker znał swojego kuzyna. Znał jego charakter. Wiedział, co robi. Zamierzał wrócić między fale.

Przez lata te dwie dziewczyny stanowiły nierozzerwalną część jego życia;

jedna była jego prawą ręką, a druga lewą. Obie były piękne – przyznał to nawet sam Nik, gdy młodzieniec odwiedził go ostatni raz. Brunetka bardziej wpasowywała się w gust kuzyna, ale młodzieniec wiedział, że to blondynka podkochiwała się w Niku – było to widać gołym okiem.

Młodzieniec patrzył, jak księżę ponownie nurkuje w morzu, i w końcu zaczął biec w kierunku plaży, wykorzystując całą siłę, którą dawała mu tętniąca w jego żyłach krew wikingów.

Krzyknął do mężczyzn, którzy właśnie gramolili się na brzeg z pustymi rękami, rezygnując z prób odnalezienia blondwłosej dziewczyny:

– Hej, wy, wasz księżę ma wszystko robić za was? Wracajcie do wody.

Dopóki Nik się nie podda, nie traćcie nadziei.

Żeglarze natychmiast zwrócili się w kierunku wody i ponownie zanurkowali do morza, choć na ich twarzach malowało się zrezygnowanie. Wyraźnie zdawali sobie sprawę, że po prostu na tym polegała rzeczywistość w Królestwach Sundu – morze zabierało tyle, ile dawało.

Ale i tak chciał, by byli w wodzie na wypadek, gdyby Nik opadł z sił. Ci mężczyźni powinni chronić swojego księcia. Ich rodzina nie zniosłaby takiej straty, nieważne jak bohaterska byłaby to śmierć.

– Evelyn, nic ci nie jest? – Rzucił się na piasek obok niej, chwytając dłońmi jej szczupłe ramiona.

– Iker? – Zamrugła, patrząc na niego, jakby miała halucynacje, a jej oczy przepelniał strach. – Anna. Nik...

– Wiem – powiedział, używając swojego opanowanego, księżęcego tonu, który regularnie ćwiczył w pałacu przed lustrem, gdy tak naprawdę jego serce lgnęło do oceanu.

Iker ponownie odwrócił się do Evelyn. Oczy zasły jej łzami, a usta wykrzywiła w wyrazie wdzięczności. Znał tę dziewczynę na tyle, by wiedzieć, co do niego czuła i jak bardzo chciała go w tym momencie pocałować.

Wiedział też, że z powodu swojego statusu społecznego – który dzieliła razem z rybakami i rolnikami – nie robi tego.

Zamiast tego chwyciła go mocno za przedramiona, jakby wciąż znajdowała się pod powierzchnią wody i to on uratował ją przed utonięciem.

– Dziękuję. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym straciła jedno z nich.

Zerknęła w dół na swoje dłonie, jakby mogła znaleźć odpowiedź w szlaku rysujących się na nich żył, które symbolizowały bicie serca, życie i przeznaczenie.

– Żałuję, że nie mogę pomóc – powiedziała wciąż słabym głosem.

I tyle. Sam również nie mógł zrobić nic więcej. Owszem, Nik był jego kuzynem, ale Iker zawsze traktował go raczej jak brata i bez względu na ich stopień pokrewieństwa, wciąż byli rodziną. A rodzina powinna robić dla siebie wszystko, czego wymagała sytuacja.

Iker ścisnął ramiona Evelyn, po czym wstał, ściągnął buty, i pobiegł w kierunku pieniających się fal.

Rozdział 15

– Och, Evie, to było niesamowite – mówi Annemette po tym, jak opadła bezwładnie na ławkę w oknie wykuszowym. Jej blond włosy są potargane, jakby właśnie wydostała się z serca nawałnicy, i teraz kaskadą spływają na jej ramiona. Na jej rozradowanej twarzy maluje się rumieniec, a błękitne oczy błyszczą w zachwycie.

Cieszy mnie ten widok. Iker i ja całe popołudnie spacerowaliśmy, wymieniając się drobnymi gestami i nie szczędząc sobie słodkich słówek, i mam nadzieję, że ona z Nikiem podobnie spędzili ze sobą czas.

– *Nik* jest niesamowity – poprawiam ją, lecz Annemette łapie mnie za dłoń.

– Bardziej niż sobie to wyobrażałam, ale ty jesteś równie niesamowita. Bez twojej pomocy nigdy by do tego wszystkiego nie doszło. – Jej oczy zachodzą łzami, a policzki różowieją.

Ściskam jej dłoń.

– To nic takiego – mówię, choć wiem, że bez niej nie doszłoby również do mojego spotkania z Ikerem. Szczerze wątpię, by zaraz po przybyciu do zamku sam z siebie zdecydował udać się do mojej chatki leżącej na drugim końcu alei. Trudno mi sobie wyobrazić wspaniałego Ikera stojącego w domku, który jest mniejszy od jego pałacowej sypialni – pewnie nawet gdy jest na pokładzie swojego szkunera, jego osobowość wciąż jest tak przytłaczająca, że musi znaleźć ujście w morskim powietrzu.

– Myślisz, że się w tobie zakochuje? – pytam, wybierając suknię na dzisiejsze festiwalowe zabawy.

– Tak sądzę – odpowiada. – Taką mam nadzieję. Szkoda, że nie mam więcej czasu. – Uśmiecha się słabo.

– Im szybciej wyjdziemy, tym więcej czasu będziesz miała. Gotowa?

Zapina kilka ostatnich perłowych guzików swojej różowej, jedwabnej sukni.

– Prawie – odpowiada, po czym patrzy na moją znoszoną, granatową sukienkę. – Tę zakładasz?

Kiwam głową. Prawdopodobnie sama mogłabym wyczarować całą szafę sukienek, jeśli mocno bym się skoncentrowała, ale to tylko zachęci miejscowych do rozprowadzania kolejnych plotek.

– Nie, nie. Załóż tę – zachęca, podając mi suknię w kolorze królewskiej purpury z naszywanymi złotymi tulipanami. – Zrobiłam ją dla ciebie. Na pewno spodoba się Ikerowi.

Biorę od niej suknię i przesuвам palcami po drogim jedwabiu.

– Dziękuję. Jest piękna, ale nie mogę jej włożyć. Wyobrażasz sobie miny ludzi na widok mnie ubranej w coś *takiego*? Co powiedzą mieszczanie?

– Może w końcu coś miłego – odpowiada Annemette, uśmiechając się krzywo.

Wiem, że to nieprawda, ale nie mogę oderwać wzroku od sukienki. Jest zjawiskowa – tak skomplikowanego wykonania nie można by było osiągnąć bez pomocy magii. I nagle to sobie uświadamiam. *Przecież mamy magię.*

– Annemette...

– Tak? – pyta, zaplatając złote kosmyki w szykownego koka.

– Mogłabyś rzucić zaklęcie... na Nika? To znaczy... gdyby coś poszło niezgodnie z planem. Ja też widzę, że może się w tobie zakochać. Ale... zostały ci tylko trzy dni... teraz już niecałe dwa... nie masz cza...

– Nie – mówi, wsuwając we włosy ostatnią spinkę. – Gdy już bal dobiegnie końca i zegar wybije północ, miłość musi być prawdziwa. Tyle. Magia może manipulować uczuciami, ale Urda nigdy wcześniej nie zadowolila się tego typu podstępem. Te sukienki i inne drobne rzeczy to wszystko, co mogę zrobić. On musi pokochać prawdziwą mnie. Żadnych sztuczek. Evie, obiecaj mi, że nie będziesz się w to mieszać.

Kiwam głową, zaciskając usta. Ma rację. Ja też nie chcę manipulować uczuciami Nika, ale jeśli Annemette się nie uda, konsekwencje będą ogromne.

Ubieram wyczarowaną przez nią sukienkę. Chłodny materiał ślizga się po mojej skórze, a krój idealnie pasuje do mojej sylwetki. Gdy patrzę w lustro, ledwo się poznaję – wyglądam jak arystokratka. Może przez cały ten czas odpowiedni strój był wszystkim, czego potrzebowałam.

– Wyglądasz jak księżniczka. – Annemette całuje mnie w policzek. – W drogę. Nasi książęta czekają.

Chwytam ją za rękę i ruszamy pałacowym korytarzem, a następnie wychodzimy przez bramę. Ta noc, trzecia noc festiwalu, jest tym, co zawsze

przyciąga uwagę uczestników Lithasblotu. Dzisiaj rzucanie w sąsiadów kawałkami żytniego chleba i twardymi bułkami nie tylko jest tolerowane, ale również postrzegane jako komplement.

Niewątpliwie Malvina Christensen z utęsknieniem wyczekiwała tego dnia. W końcu będzie miała szansę popisać się swoimi zdolnościami, a wszyscy doskonale wiedzą, że zrobi wszystko, by wyrzucić dobre wrażenie. Jednakże jej specjalnością nie będzie haftowanie czy inne tego rodzaju umiejętności, których komtesy mają obowiązek się nauczyć. Będąc małą dziewczynką, Malvina bez przerwy plątała się pod nogami kucharzy i obserwowała ich przy pracy, dlatego podczas dzisiejszych uroczystości wykorzysta zdobytą wiedzę i zaprezentuje swoje wypieki. Muszę przyznać, że jest w tym całkiem dobra, nie licząc tego niebieskiego potwora, którego upiekła z okazji przyjęcia urodzinowego, choć po części ponoszę odpowiedzialność za jego marny los.

Każdemu, kto kwestionuje jej upodobanie, powtarza, że to hobby, mimo że pasowałoby ono raczej do kogoś takiego jak ja. To dziwne, że z jednej strony uważa mnie za zbyt prostacką, by poświęcać mi jakąkolwiek uwagę, a z drugiej otwarcie chwali się swoimi przyziemnymi talentami. Najwyraźniej kiedy jesteś u władzy, możesz robić wszystko.

Słońce jeszcze nie zaszło, ale mieszkańcy już chodzą między stołami z jedzeniem, szukając swoich smakołyków; Malvina zarezerwowała sobie najbardziej widoczne miejsce przy ognisku i z każdej strony otaczają ją przeróżne specjały: kruche ciastka, bułeczki po brightońsku, smażone aebleskivery¹⁵¹, chrupiące żytnie drożdżówki, miękkie bułki ze słodkiej rosyjskiej pszenicy – obie upieczone na wzór krzyża słonecznego. Jest tam również ogromne ciasto jagodowe ze złocistą kratką na soczystym musie.

– Malvino, no proszę, po raz kolejny przeszłaś samą siebie – mówi Nik, uśmiechając się szeroko, gdy podchodzimy do jej stanowiska.

Twarz dziewczyny rozpromienia się na jego widok.

– Och, dziękuję, Niku. To byłby zaszczyt, gdybyś zechciał spróbować jednego z tych smakołyków, nim rozpoczną się obchody.

Nik macha dłonią.

– To nie...

– Nalegam. Proszę, skosztuj czegoś. Dla Urdy jest aż nadto.

Mając już wiele razy do czynienia z przytłaczającą hojnością Malviny, Nik

nauczył się, że dalsze protesty nie mają sensu.

– Skoro tak, to z chęcią wezmę mały kawałek.

Jej uśmiech robi się jeszcze szerszy, gdy pochyła się nad kocem i bierze kruche ciastko, wypieczone w idealnie odwzorowanym, francuskim stylu.

– Dla twoich przyjaciół też wystarczy – dodaje po namyśle.

Jestem w szoku. Malvina nigdy wcześniej niczym mnie nie częstowała, lecz nagle uświadamiam sobie, że prawdopodobnie mnie nie poznaje. To przez sukienkę. Musi być wyszyta niezwykle potężną magią, skoro zmyliła kogoś takiego jak Malvina.

– Jak miło z twojej strony – oznajmiam, biorąc do ręki bułeczkę i patrząc, jak w jej grafitowych oczach pojawia się błysk świadczący o tym, że mnie rozpoznała. I wreszcie go widzę – grymas.

– Och, Evie – wzdycha. – Na boga, cóż za piękna suknia. Skąd ty...

– To prezent. Ode mnie, friherrindy Annemette – przerywa jej Mette, skubiąc słodką bułkę. – W podziękowaniu za przyjaźń i ciepłe powitanie. – A potem robi coś, czego nikt się nie spodziewa – łapie mnie i Nika za ramiona i przyciąga nas do siebie.

Malvina tak mocno zaciska usta w uśmiechu, że na szyi widać jej żyły.

– Cóż, mała rada od komtesy dla friherrindy. Jeśli już raz zafundujesz swojej służce drogie prezenty, wkrótce będzie chcieć więcej.

– Taką mam nadzieję – oznajmia Annemette. – Tam, skąd pochodzę, mam tego dużo więcej. Dziękujemy za poczęstunek.

I odchodzi. Tak po prostu. Nik wygląda na lekko zdumionego. Jego status wymaga od niego zachowania zimnej krwi niezależnie od sytuacji, ale nawet on nie potrafi powstrzymać się od śmiechu.

– Ma rację, Evie. Pięknie wyglądasz.

– Podpisuję się pod tym – mówi Iker, biorąc mnie za rękę.

Dziękuję im za komplement już chyba trzeci raz w ciągu tego wieczora.

Prowadzimy ich w stronę sceny przeznaczoną na dzisiejsze święto żniw. Razem z Annemette siadamy w małych, białych krzesłach zarezerwowanych dla arystokracji – kolejne nowe doświadczenie. Wcześniej siedziałam tylko na piachu. Gdy niebo robi się ciemniejsze, Nik zaczyna coś mówić, ale nie jestem w stanie koncentrować na tak wielu rzeczach jednocześnie. Zawsze wydawało mi się, że znam Festiwal Lithasblot od podszewki. Każdego roku wygląda tak samo, choć był taki okres, kiedy nie brałam w nim udziału.

Podczas Lithasblotu, który wypadał zaraz po śmierci Anny, ani razu nie

wyszłam z domu. Nik, ciocia Hansa i ojciec próbowali wspólnymi siłami wyciągnąć mnie z łóżka, pewni, że radosna atmosfera festiwalowych zabaw poprawi mi humor.

Ale śpiew i taniec nie są w stanie zagoić takiej rany. Wręcz przeciwnie – widok rozweselonych ludzi, którzy bez reszty oddają się śpiewom i tańcowi jakby nic się nie stało, jeszcze bardziej by pogłębił tę ranę.

Nie poszłam. Ani wtedy, ani rok później.

Próbowałam przeznaczyć ten czas na czytanie magicznych ksiąg cioci Hansy – jedynych rzeczy, dzięki którym wtedy nie zwariowałam – ale nawet to wymagało ode mnie zbyt dużo wysiłku. Całą energię, jaką posiadałam, poświęcałam na zagłuszanie śmiechów oraz muzyki.

Dopiero rok temu zgodziłam się pójść z Nikiem na festiwal.

On też stracił przyjaciółkę, ale ze względu na swoją pozycję musiał wziąć udział w festiwalu, który wypadł w dniu jej śmierci. Musiał włożyć szykowny strój i przyjmować podarunki, jakie mieszkańcy składali Urdzie.

Nie wygłaszał jeszcze przemów, tak jak robi to w tym roku, ale niemniej jednak stanie z podniesioną głową na oczach wszystkich, kiedy od środka rozrywał go żal, z pewnością było dla niego bolesne.

Teraz już tak to nie wygląda – oczywiście rana jeszcze się nie zagoiła, ale póki co festiwal daje mi tyle radości, ile dawał mi za czasów, gdy Anna była wśród nas. Tamtego roku Iker przyплыł z rodzicami z Zatoki Rigeby. Sporo podrośł od czasu, gdy widziałam go ostatni raz. Każdej nocy wspólnie z Anną zachwycaliśmy się jego urodą, szeptałyśmy o jego oczach i chichotałyśmy przytulone w zaciszu jej sypialni. Dopiero rok wcześniej powiedziała mi, że tak naprawdę woli Nika, a moją głowę zalały fantazje o tym, jak to obydwie zostajemy królowymi – od friherrindy i nędzarki do księżniczek oraz wybranek serca dwóch Øldenburgów, władców obu stron Zatoki Sund.

Oczywiście Annemette nie jest Anną, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że gdyby wtedy nie doszło do tragedii, byłybyśmy teraz dokładnie w tym miejscu. Zerkam na Annemette, która wpatruje się w stojącego na platformie przed ogniskiem Nika. Usta ma lekko rozchylone i chłonie każde jego słowo z precyzją drapieżnika, starając się zapamiętać wszystko, co mówi. Nigdy nie widziałam, by Anna patrzyła na Nika w sposób, w jaki robi to Annemette, ale przypuszczam, że jedenastoletki są nieco lepsze w ukrywaniu swoich prawdziwych uczuć.

Nagle Annemette uśmiecha się lekko, a rozmarzony wyraz znika z jej oczu. Podążam za jej spojrzeniem i zerkam na Nika. Patrzy prosto na nią, a w następnej chwili przenosi wzrok na mnie, ze wszystkich sił próbując skupić się na przemowie, jednak mimo to jego uszy stopniowo robią się czerwone.

Następnie Iker podaje Nikowi ceremonialny, pierwszy bochenek chleba – wielki jak kula armatnia i wypieczony z ciemnego żyta na kształt krzyża słonecznego. Nik unosi bochenek nad głową.

– Dlatego więc ślijmy podziękowania Urdzie za pomocą tego oto chleba – naszej ostoji życia. Dzielimy się ziarnem razem z naszymi sąsiadami. Niech każdy, kto jest w potrzebie, będzie wzięty pod uwagę. Niech wszyscy zostaną obrzuceni wypiekami z najwyższą ostrożnością i troską, i niech ten czyn będzie błogosławieństwem nadanym nam przez Urdę.

Nik odrywa z bochenka kawałek chleba i podaje go królowi Asgerowi.

Kolejny ofiarowuje królowej Charlotte, a trzeci Ikerowi, którego rodzice nie przyłączyli do festiwalu w tym roku. Następnie rodzina królewska ustawia się razem w rzędzie przed ogniskiem, trzymając w rękach chleb.

Nik unosi swój kawałek nad głową, na której spoczywa korona.

– Częstujmy się.

Cała czwórka rzuca chleb w tłum. Kawałek, który trzymał Nik, ląduje na podołku Annemette. Dziewczyna chichocze, a jestem tak zajęta śmianiem się razem z nią, że nie zauważam, gdy twarda bryła żytniego chleba trafia mnie prosto w klatkę piersiową, po czym odbija się od gorsetu i ląduje na moich kolanach. Podnoszę wzrok i widzę drapieżny uśmiech na twarzy Ikera, który właśnie pochyla się nad królewskim stołem po więcej kawałków.

Biorę bochenek ze stołu obok i wstaję, a następnie łamię go na dwie połówki i daję jedną Annemette.

– Celuj w Ikera.

Ściąga brwi, zdeorientowana.

– Myślałam, że chleb jest tylko dla najbiedniejszych.

Wskazuję ręką na niebo.

– Chleba jest pod dostatkiem. Możesz być pewna, że nikt nie wyjdzie stąd głodny.

Annemette również patrzy w górę i widzi, że powietrze rzeczywiście pełne jest latających kawałków różnych odmian chleba. Nagle uchyla się przed słodką bułką, która nadchodzi od strony Malviny. Odbija się z soczystym mlaskiem od pani Ulli, a następnie wpada w pulchne rączki stojącego obok

niej szkraba.

– To tylko zabawa – zapewniam ją i rzucam kawałek wypieku w kierunku Iker. Unosi ręce, by zasłonić twarz, ale opuszcza je za wcześnie, i dostaje w nos bryłą od Annemette.

To jedynie sprawia, że uśmiecha się szeroko i zgarnia ze stołu dwie wiśniowe tarty. Jedną z nich wciska Nikowi w dłoń, po czym oboje idą na nas szturmem, a w ich oczach tańczą chytre ogniki.

– Uciekaj! – piszczę, łapiąc Annemette za rękę.

Przeciskamy się przez tłum, a następnie wybiegamy na pustą plażę. Wspólnie pędzimy wzdłuż brzegu, ale chłopcy są szybsi i po chwili każda z nas dostaje w głowę tartą. Padamy na piach i zwijamy się ze śmiechu – a jest to coś, czego nie robiłam od czterech lat.

Chłopcy podnoszą nas z piachu. Iker łapie mnie jedną ręką pod kolanami, a drugą kładzie między łopatkami. Przesuwa palcem po moich plecach, gdzie do niedawna prestiżowo wyglądająca suknia jest teraz mokra od morskiej wody i przesiąknięta musem malinowym, a następnie unosi go do moich ust.

– Piaskowa tarta dla damy.

Zaciskam wargi, potrząsając głową.

– Musisz, dla Urdy.

Jego wyraz twarzy jest tak niedorzeczny, że mimowolnie rozchyłam nieco usta, a on natychmiast korzysta z okazji i umieszcza mus na moim języku.

Dławię się i gwałtownie cofam głowę, krztusząc się ze śmiechu, po czym wyplątuję się z jego ramion i padam na piasek.

Iker kładzie się obok mnie. Jego oczy lśnią, gdy pochyla się nade mną i całuje mnie w usta. Całkowicie ulegam pocałunkowi, rozkoszując się gładkością jego świeżo ogolonej skóry.

– Mmmm – mruczy, zlizując z warg wiśniowy mus. – Pyszna, choć trochę... krupiasta.

Śmieję się.

– Piaskowe tarty zawsze takie są.

– Wy Havnestańczycy macie dziwne upodobania kulinarne.

– Nie marudź i jedz. Nik spodziewa się, że jutro będziesz w pełni sił – mówię.

Iker unosi brew, wykrzywiając chytrze usta.

– A co jeśli powiem mu, że oszczędzam siły dla ciebie?

Odsuwam go od siebie i wstaję z piasku, po czym odwracam się do niego

plecami, zakładając ręce na piersiach.

– Żartowałem – rzuca błagalnym głosem. – *Wszystkie zabawy odbywają się jutro?*

Kiwam głową, otrzepując się z piachu, podczas gdy on wciąż leży na ziemi.

– Czyli to oznacza, że jutro będziesz przechodzić przez kłodę?

Gdy nie uzyskuje odpowiedzi, wstaje i oplata mnie ramionami od tyłu.

Przesuwa dwoma palcami po mojej talii, udając, że to para nóg.

– Tak, jak obiecałam, mój książę – mówię ze śmiechem. *Dlaczego zawsze mu ulegam?*

– Tak...

Przerywa mu krzyk. *Annemette*. Oboje z Ikerem gwałtownie odwracamy głowy w kierunku Annemette i Nika. Są bliżej tłumu; Annemette kuca na piasku, a Nik zatacza się lekko, nim klęka na ziemi obok niej, trzymając się za brzuch. Obok nich stoi Malvina, która wyciąga ręce przed siebie, jakby właśnie rzuciła sztyletem.

Iker staje na równe nogi, a ja widzę, że wszystkie mięśnie ma napięte ze zdenerwowania.

– Kuzynie?

Nik wstaje chwiejnie i zbywa go machnięciem dłoni, po czym całkowicie odwraca się do nas. Jego biała koszula i jaskrawy płaszcz stanowią teraz mieszaninę różnych odcieni czerni, jak łzy, które uroniłam dwa razy w życiu.

Iker robi krok w ich kierunku, zaciskając dłonie w pięści.

Lecz nagle Nik wskazuje na swoje buty. Na ciasto, które właśnie leży na piasku spodem do góry.

– Urda niezwykle hojnie potraktowała ciasto jagodowe Malviny. Bogini najwyraźniej uznała, że moja garderoba i plaża też potrzebują jedzenia.

– Powiedziawszy to, Nik wybucha śmiechem.

Iker natychmiast do niego dołącza, a ja napotykam wzrok Annemette, która podnosi się z przysiadu. Mimowolnie parska śmiechem, lecz gdy przenosi wzrok na zwijającego się ze śmiechu Nika, zaczyna chichotać. Z początku patrzę na rozgrywającą się przede mną scenę wstrzymując oddech, ale w końcu i ja dołączam do salwy śmiechu.

Jedyną osobą, której ta sytuacja nie bawi, jest Malvina. Jest wyraźnie zawstydzona, choć z wyrazu jej twarzy widzę, że nie ma wyrzutów sumienia.

Zamiast przeprosić, ciężkim krokiem mija Annemette – która niewątpliwie

stanowiła jej cel – i szybko zabiera leżący u stóp Nika talerz po cieście.

Wstaje i odwraca się w jego stronę. Nik próbuje zachować powagę na tyle, by spojrzeć jej w oczy, lecz ani trochę mu to nie wychodzi, ponieważ na jego twarzy wyraźnie widać ślady rozbawienia, gdy jagodowa breja ze słodkim ciastem ześlizguje się z wyszywanego złotymi nićmi płaszcza i spada na piasek.

– Mam nadzieję, że ten podarunek dla Urdy sprawi wam przyjemność – ogłasza Malvina, zadzierając nos, a następnie, powiewając złotymi włosami, obraca się na pięcie na tyle, na ile pozwala jej na to piaszczyste podłoże.

Gdy znika z pola widzenia, zbieramy się wokół Nika i oceniamy szkody.

Koszula, płaszcz i nawet spodnie są całkowicie zrujnowane.

Ale Nik, jak to on, zwyczajnie się uśmiecha i rozkłada szeroko ręce, prezentując przesiąknięte ubrania w pełnej krasie.

– Ciasta, miłe panie? Urda nalega.

Rozdział 16

Następnego ranka budzę się o wschodzie słońca, wciąż czując w sercu ciepło wywołane wczorajszym dniem i wrażeniem, że w końcu znalazłam swoje miejsce. Zeszły wieczór był snem na jawie i nie chciałam, by kiedykolwiek się skończył, lecz pod wpływem białego światła poranka w jednej chwili otrząsam się z błogiej fantazji i wracam do rzeczywistości.

Annemette wciąż pogrążona jest w głębokim śnie; jej palce u stóp skierowane są ku górze, a ręce spoczywają luźno nad głową, zaplątane w złotych falach. Leżę przez chwilę w łóżku, słuchając odgłosu mew, gdy nagle zdaję sobie sprawę, że teraz mam swoją szansę. Mogę zrobić dzisiaj coś dobrego.

Podchodzę na palcach do garderoby i otwieram drzwi. Pierwsza sukienka po prawej stronie jest tą, którą miałam na sobie dwa dni temu podczas mojego pierwszego spotkania z Annemette. Nie mogę uwierzyć, że minęło już tyle czasu, ale jednocześnie ciężko mi zaakceptować fakt, że tak niewiele nam go zostało. Mamy jeszcze dzisiejszy dzień i jutrzejszy do północy, a potem nastąpi albo najbardziej tragiczny koniec, albo wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie.

Annemette wciąż wydaje się być pewna siebie, a ja dotrzymuję danego słowa i nie wchodzę jej w paradę, a przynajmniej nie za pomocą magii, ale nie potrafię zaakceptować myśli, że mogę stracić kolejną przyjaciółkę.

Najpierw była Anna, potem mało brakowało, a Nik też by zginął, i teraz Annemette jest w niebezpieczeństwie – mimo że ledwo ją znam, to już zdążyła pomóc mi otworzyć się na świat, co w samo w sobie jest niesamowite. Nawiązałam z nią więź, której nigdy nie mogłabym nawiązać ani z Anną, ani z Nikiem. Tylko ona zna moje tajemnice. A przynajmniej większość z nich.

Do tej pory starałam się zduszać w sobie te emocje; powtarzałam sobie, że to jej decyzja i powinnam zamiast tego cieszyć się życiem, tak jak robi to Annemette, ale nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie znosić to uczucie

bezradności.

Przynajmniej wciąż istnieje jeden cel, dla którego mogę użyć swojej magii.

Przeszukuję kieszeń sukienki. Muskam palcami próbówkę z atramentem i zamykam je wokół ametystu spoczywającego dokładnie w miejscu, gdzie go zostawiłam. Mogę jedynie mieć nadzieję, że to moje nocowanie z dala od doków poskutkowało tylko jednym słabym połowem, albo nawet nie miało żadnych konsekwencji – to zaklęcie jest na tyle nowe, że nie wiem, co się stanie, gdy go *nie* użyję.

Pośpiesznie ubieram suknię i kilka minut później kieruję się do doków, nie widząc po drodze żywej duszy. Kamienne uliczki usłane są pokrytymi rosą kawałkami chleba, którymi jeszcze nikt się nie zajął po poprzednim dniu, wliczając ptaki.

Doki również są puste; na horyzoncie nie widać ani jednego statku, a z portu również żadne nie wypływają, choć za kilka godzin to może się zmienić. Uczestnicy festiwalu w szczególności upodobali sobie bieżący dzień. Obżarstwo z poprzedniego wieczora przyciąga gości, tak samo jak ostatni dzień żeglowania i zabaw, ale najwięcej ludzi pojawi się podczas dzisiejszych rozrywek.

Zabawy te nie są tak skomplikowane jak starożytnie dyscypliny olimpijskie, o których pani Seraphine opowiadała nam w szkole, ale mieszkańców Havnestadu w zupełności satysfakcjonują.

Podnoszę dłonie, zamykam oczy i raz po raz przyciskam ametyst do kadłuba każdego zakotwiczonego statku, mrużąc pod nosem słowa zaklęcia, które wydają się mieć teraz większą moc, głównie dlatego, że nikogo nie ma w pobliżu i mogę je mówić na głos.

„Knorr yfir haf, knorr yfir haf, sigla trygg, fanga þrír.

Knorr yfir haf, knorr yfir haf, sigla trygg, fanga þrír”.

W moich uszach te słowa brzmią dziecinnie. Tak naprawdę gdy wymawiam je w myślach, wydają się dużo bardziej wyrafinowane. Żałuję, że nie potrafię stworzyć prostego, staronordyjskiego polecenia – czegoś, co z pewnością Annemette byłaby w stanie zrobić. Chętnie bym teraz spróbowała swoich sił, ale boję się konsekwencji, jakie mogą wyniknąć z tej zmiany.

Moje słowa przypominają w tej chwili wierszyk dla dzieci – ale działają. Rzuciwszy zaklęcie na ostatni statek, staję na krawędzi królewskiego portu –

najdłuższego pomostu w Przystani Havnestadu – i zwracam się w kierunku cieśniny.

– Urdo, proszę, zanieś moje słowa ojcu, gdziekolwiek jest. Daj mu ochronę, niech do mnie wróci. Nie potrzebujesz go. Proszę, nie odbieraj mi go tylko dlatego, że możesz.

Przed oczami widzę twarz Anny, szczerą i pełną radości. Ale natychmiast zduszam w sobie ten obraz, wraz z innymi czarnymi myślami. Muszę być jak Annemette, jak Iker, i korzystać z życia.

Odwracam się, po czym wracam do zamku.

W pierwszej chwili jestem tak zapatrzona w zaróżowione chmury, że go nie zauważam, ale w pewnym momencie moich uszu sięga delikatnie brzdąkanie gitary nadchodzące od strony ogrodu z tulipanami. To znowu ta piosenka z przyjęcia.

– Nik? – Odrywa wzrok od morza i nieznacznie przekrzywia głowę w moim kierunku. Siedzi na kamiennej ławce pod zacienionym drzewem niczym zaniedbana wersja swojego pomnika – ma na sobie pomiętą piżamę, a rozczochrane włosy zaczesuje palcami do tyłu, żeby nie wpadały mu do oczu. – Wyszedłeś rano na zewnątrz, żeby ptaki wygrzebały ci zza uszu ostatnie okruchy ciasta?

– Kąpałem się wczoraj, ale dzięki, że zauważyłaś.

– W takim razie pewnie spędzasz poranek na obmyślaniu planu, jak pobić Ikera w przenoszeniu skały.

Nik unosi rękę, a następnie klepie się po ledwo zarysowanym bicepsie.

– Tylko tego potrzebuję, moja droga.

Uderzam go pięścią w ramię i przez chwilę siedzimy w ciszy. Różowa poświata na niebie nabrała morelowego odcienia, który wkrótce zmieni się w złotą żółć, nim w końcu klasyczny, czysty błękit wygra tę walkę, gdy już słońce pokaże się nad horyzontem w pełnej krasie.

Nik ponownie odsuwa z czoła luźne kosmyki włosów i przenosi wzrok na rozciągającą się u naszych stóp kamienną ścieżkę. Bierze oddech i patrzy mi w oczy, a ja mam przeczucie, że w końcu dowiem się o przyczynie jego porannych rozterek.

– Evie... – zaczyna i czuję ukłucie w sercu, słysząc jego smutny ton. *O nie.* – Evie, czy ty kiedykolwiek pocałowałaś Ikera?

Moje serce zamiera. Przez moment siedzę nieruchomo, zaciskając zęby. Nie wiem, co powiedzieć. Nie jestem jeszcze gotowa, by rozmawiać o mnie i

Ikerze. A przynajmniej nie z Nikiem. Śmieję się i dźgam go łokciem w żebra, mając nadzieję, że nieco zmniejszę żal w jego głosie.

– Pytanie brzmi, czy ty pocałowałeś już Annemette?

Mam nadzieję, że się zarumieni. Powie, że tak. Przyzna, że dobrze będzie dać Annemette szansę, żeby tu została – żyła! – i zapełniła lukę w naszych sercach.

Jednak zamiast tego krzywi się, jakby powąchał coś zgniłego.

– Oczywiście, że nie. Jestem romantykiem, ale nie łajdakiem... nie jestem... – Ikerem? – Mój ton jest bardziej gniewny, niż zamierzałam, choć i tak przepełnia mnie nieprzyjemne uczucie. Coś jak rozczarowanie, nie tylko z powodu jego oczywistej pogardy wobec Ikera, ale również wobec wszystkiego, co *ja* z nim robię.

Zamiera i wzdryga się lekko, a ja widzę, że chce się wytłumaczyć, ale nie wie, od czego zacząć. Rzadko się na niego złościę. Tak rzadko, że nie jest w stanie przywołać swojego książęcego uśmiechu lub wymownego spojrzenia – lekarstw na niezręczne sytuacje, których nauczył się od swojej matki.

– Zdaję sobie sprawę, że to głupie – mówi w końcu. – Mam szesnaście lat i książęce obowiązki do wypełnienia... powinienem się bawić, choć matka nigdy nie pozwoliłaby mi aż tak długo zbaczać z tej ścieżki. Ma wobec mnie plany. Ja po prostu... lubię Annemette. Ale to nie... to nie jest – patrzy na mnie, a w jego oczach widać emocje, które trudno mi odgadnąć – tak jak w bajkach. – Podnosi na mnie wzrok, wykrzywiając twarz na znak nagłej zmiany nastroju rozmowy. – I żeby *on* śmiał pocałować *ciebie* ... – Nik kręci głową, kuląc się w sobie. – Na bogów, pewnie brzmię żałośnie...

– Wcale nie – mówię, zaczerpnąwszy powietrza tylko na te dwa słowa.

Śmieje się delikatnie pod nosem.

– Wcale tak. Brzmię jak wariat.

– Brzmisz, jakbyś miał mętlik w głowie. „Wariatów” możesz sobie poszukać w książkach, które czytaliśmy jako dzieci. O tych książkach, którzy zamykają młode dziewczyny w wieży, żeby coś udowodnić – ich możesz nazywać wariatami.

Nik kiwa głową.

– Tak, Mette to miła dziewczyna. Kochana. I piękna. I smutno mi, że niedługo będzie musiała wrócić do Odense, ale nie sądzę, żebym kiedykolwiek pokochał ją na tyle, by być... być... jej księciem z bajki.

Czuję ucisk w żołądku. Ale Nik mówi teraz prosto z serca. Nie wie, że

Annemette nie wróci do żadnego Odense. Że tak naprawdę... nigdzie nie będzie wracać. Myśli, że jest po prostu kolejną dziewczyną, z którą matka chce go związać. Co, jeśli powiem mu prawdę? Może coś by to zmieniło.

Evie, o czym ty mówisz? Chcesz mu powiedzieć, że Annemette jest syreną?

Ale może wtedy dostrzeże, jaka jest wspaniała i będzie chciał ją ocalić, tak samo jak pragnął uratować Annę. Jednak wtedy cała odpowiedzialność spoczywałaby na jego barkach. Całe poczucie winy. Czy można pokochać kogoś z żalu? Czy to byłaby prawdziwa miłość? Nie wiem... skąd mogę wiedzieć, czym jest prawdziwa miłość? Nie. Jeśli powiem mu prawdę, mogę wszystko zrujnować. To moja wina; cały ten czas wałęsałam się z Ikerem, dając Nikowi powód do zmartwień, przez co spychał Annemette na dalszy plan. Muszę zastosować inną taktykę.

– Tak bardzo przypomina mi Annę... – wyznaję, czując się, jakbym wchodziła na grząski grunt.

– Racja, kolory się zgadzają – przyznaje, choć nie mówi nic więcej. Nie na taką odpowiedź liczyłam.

– I rysy twarzy. Śpiew.

Wzrusza ramionami i siada prosto.

– Ale wiesz, co się nie zgadza? Sposób, w jaki na mnie patrzy... Annie nigdy nie przeszłoby przez myśl, że jestem przystojny.

– Bzdura! Szalała na twoim punkcie i dobrze o tym wiesz. – Trącam go w ramię, choć czuję się dziwnie, robiąc sobie żarty z osobistych uczuć Anny.

Milczę przez chwilę, po czym dodaję: – Daj Annemette szansę, proszę. Dla mnie.

– Ale co z tobą i Ikerem?

– Przestań myśleć o Ikerze, Nik! Jestem z nim szczęśliwa, ale nie pozwolę, by doprowadził mnie do płaczu, a wiem, że właśnie tego się boisz. Nie jestem aż tak głupia. – Rumieni się, ale mówię dalej. – Chcę, żeby twoje szczęście było dla ciebie najważniejsze.

Cztery Lata Wcześniej

Chłopiec zanurkował z powrotem w morzu. Zwyczajnie nie mógł wszystkiego zostawić w rękach tych mężczyzn. Jedną przyjaciółkę już uratował; teraz musiał spróbować odnaleźć drugą.

W Havnstadzie często dochodziło do utopień – morze zabierało tyle, ile

dawało – ale to, co działo się teraz, nie mogło się tak skończyć.

Woda natychmiast próbowała wciągnąć go na piaszczyste dno, wykorzystując jego ciężkie, przemoczone ubranie.

Nagle usłyszał głos ojca i zdanie, które powtarzał mu bez przerwy. Nie zgrywaj bohatera, Nik; przecież jesteś księciem.

Mówił to za każdym razem, kiedy Nik robił coś szczególnie lekkomyślnego.

Do poprzedniego zdania dołączył jeszcze pewien komplement. Nie jesteś jakimś tam księciem, jesteś również dziedzicem. Jedynym dziedzicem.

I tak głos ojca odbijał się echem w jego głowie, napierając na niego równie mocno co fale.

Wypłynął z powrotem na powierzchnię i strzepnął z siebie i słowa, i wodę, po czym nabrał powietrza. Wokół siebie widział walczących z prądem żeglarzy, lecz żaden z nich nie trzymał Anny.

Chłopiec zanurkował jeszcze raz i otworzył oczy mimo kłującej, słonejskiej wody.

Błękit. Wszędzie błękit.

Zamrugał, starając się przyzwyczaić wzrok do nowego otoczenia.

Ciemność ustąpiła rosnącym na piaszczystym dnie morza i poruszonym przez prąd wody wodorostom. W niebieskiej toni unosiły się algi, pył i malutkie koniki morskie, lecz nigdzie nie widział dryfującego ciała dziewczyny.

Spojrzał w lewo, w prawo. Wykonał pełny obrót.

Jest tutaj. Jest gdzieś tutaj. Musi być.

Ponownie przebił się przez lustro wody, tym razem niedaleko mielizny. Nikt go nie wołał. Nikogo nie ciągnął na dno ciężar blondwłosej dziewczyny w halce.

Znowu pod wodę, głębiej, głębiej, razem z prądem ciągnącym go w ciemną pustkę.

Otworzył oczy, przeszukując wzrokiem dno. Płuca paliły go z wycieńczenia, ale zszedł jeszcze niżej.

Nagle coś zauważył.

Sto jardów od miejsca, gdzie się znajdował. W szczelinie. Biały błysk.

Stopa, blada i naga, pośród wodorostów i koralowca.

Wbił spojrzenie w ten konkretny punkt, a następnie wypłynął na powierzchnię – potrzebował powietrza, jeśli chciał do niej dotrzeć. Wziął osiem głębokich, świszczących oddechów.

Dam radę. Dopłynę do niej.

Zanurkował z powrotem, po czym zaczął płynąć przed siebie, wwiercając wzrok w białą poświatę. Tak daleko. Tak głęboko.

Jego płuca płonęły. Uszy zatkały mu się przez nagłą zmianę ciśnienia.

Czerń zaczęła zasłaniać mu widok.

Jednak wciąż widział jaśniejącą biel. Ale nie zbliżał się do niej. Miał wrażenie, że ani trochę nie staje się większa. Po prostu leżała na dnie oceanu, niczym gwiazda, której nie był w stanie dosięgnąć.

Jego umysł zaczął zwalniać, a ręce i nogi słabnąć, niezdolne do dalszej walki z prądem.

Nie zgrywaj bohatera, Nik; przecież jesteś księciem.

Nie jesteś jakimś tam księciem, jesteś dziedzicem.

Jedynym dziedzicem.

Gdy ponownie zaczęło brakować mu powietrza, podjął ostateczną decyzję.

Zanurkował głębiej.

Jego życie nie było warte więcej niż życie jego przyjaciółki. Miał szansę ją uratować i ta szansa nie powinna być uzależniona od krwi, która płynęła w jego żyłach.

Kopał wodę, czując ogień w mięśniach i walcząc z brakiem powietrza. Ale był tak blisko. Widział już palce u stóp. Głowa bolała go z niedoboru tlenu, żyły kłuły pod wpływem zmiany ciśnienia, ale płynął dalej, odpychając się rękami od wody.

Lecz nagle poczuł na stopie ucisk. Ktoś pociągnął go do tyłu, a potem do góry. Ciągnął go, aż ucisk zniknął, jednak natychmiast zastąpiły go łokcie pod pachami. Klatka piersiowa na jego plecach. I niewiarygodna siła, która pchała go w stronę tafli.

W tej samej chwili jego płuca w końcu zaczęły domagać się powietrza i mimowolnie wziął oddech, lecz wciąż otaczała go błękitna głębia. Woda dostała mu się do krtani i natychmiast wykrztusił ją z powrotem do morza.

Przebił się przez powierzchnię, walcząc o oddech. Powietrze wydawało się tak świeże, że aż go paliło, a w płucach czuł ucisk. Język miał spuchnięty od soli morskiej, która dostała się do jego ust.

Kaszlał i raz za razem zaczerpywał tchu – w końcu mógł oddychać – a następnie otworzył oczy mimo zalewającej je wody.

Ale twarz osoby, która wyciągnęła go z głębi, była znajoma.

– Nie! Iker... – zaczął, lecz ponownie zaniósł się kaszlem. Kaszlał, a z jego

ust wydostało się jeszcze więcej słonej wody, która spływała po jego podbródku. Wytarł usta rękawem tak wilgotnym, że w rezultacie jego twarz była jeszcze bardziej mokra.

– Trzymam cię, kuzynie. Nie martw się. Jesteś bezpieczny.

– Ja... – Znowu zakaszłał, a następnie wziął oddech, długi i głęboki.

– Muszę ją uratować.

Teraz, gdy już odzyskał dech w piersiach, spróbował wydostać się z ramion kuzyna.

– Już po niej, Nik. Już po niej. Jeszcze trochę i byłoby również po tobie.

– Nie! Jest na dnie. Widziałem ją. Ty też musiałeś ją widzieć. Jest na wyciągnięcie ręki...

– Nie zgrywaj bohatera, Nik. – Silne ramiona nie wypuszczały go z objęć.

Nik trzymał ręce sztywno wzdłuż ciała i tylko machał nogami, lecz to tylko niosło ich coraz bliżej brzegu. I dalej od niej.

– Iker, proszę. Ona nas potrzebuje. Anna nas potrzebuje. Możemy ją uratować. Możemy...

– Nie możemy – przerwał mu kuzyn łamiącym się głosem i zaczął płynąć szybciej. – Nie możemy.

– Możemy! Możemy ją ocalić! – krzyczał, choć jego własny głos był zachrypnięty, a słowa niewyraźne.

W odpowiedzi Iker jedynie wzmocnił uścisk. Przybliżył usta do ucha księcia i powiedział ciszej, niż wydawało się to możliwe:

– To, że zginiesz, próbując ją uratować, nie doda otuchy ani twoim rodzicom, ani podwładnym. Jedyne, co im ofiarujesz, to kolejne ciało do pochowania.

– Ale to nie ciało. Ona tam jest. Tak blisko. – Ale nawet gdy to mówił, zdawał sobie sprawę, że minęło już zbyt dużo czasu. Dziesięć minut, choć miał wrażenie, jakby to była wieczność.

Wtedy zaczął płakać. Słone łzy spływały po jego policzkach i skapywały do morza. Nie wytarł ich. Pozwolił im swobodnie płynąć i dołączyć do leżącej na dnie Anny.

Rozdział 17

Tegoroczne zabawy festiwalowe rozpoczynają się równo w gorące południe. Mieszkańcy Havnestadu i goście, którzy przybyli z innych części Zatoki Sund, zalewają plażę, gotowi wziąć udział w rozrywkach mających odbyć się jak Havnestad długi i szeroki – od gór do rozciągającego się u ich stóp morza.

Pierwszy raz od dłuższego czasu chłopcy nie są robieni na bóstwo przed wyjściem do ludzi. Jedyna zmiana w ich wyglądzie polega na dokładnym ogoleniu brody – w końcu podczas zabaw muszą pokazać wszystkim piękną i zadbaną twarz – ale mają na sobie proste, bawełniane spodnie oraz koszule z rękawami podwiniętymi do łokci. Ten rodzaj ubioru również jest tu tradycją.

Dzisiaj wszystko obraca się wokół pokazu zręczności. Nie kłamałam, gdy mówiłam Ikerowi, że te zabawy są przydatne – tak naprawdę zrodziły się z praktycznych potrzeb. Wspinanie się po skałach i górski sprint.

Przechodzenie przez kłodę nad potokiem, który wpływa do portu. Pływanie w morzu. Każda z tych dyscyplin jest niezbędna w naszym życiu. Przydatna – łącznie z przenoszeniem skały wzdłuż plaży, co może być odpowiednikiem dostarczania skrzyń z towarem na brzeg.

Co więcej, każdy mieszkaniec ma prawo dołączyć do rywalizacji. Nieważne, czy masz dziewięćdziesiąt pięć, czy dziesięć lat, jeśli możesz chodzić, otrzymujesz pozwolenie na udział, a rodzina królewska albo trzyma za ciebie kciuki, albo z tobą konkuruje.

Po zjedzeniu samsø, żytniego chleba i brzoskwiń, ojciec Nika każe mu najpierw sprawdzić, jak przebiegają zabawy, które odbywają się w górach. Te sporty cieszą się mniejszą popularnością, dlatego król Asger o wiele bardziej woli poświęcić całą swoją uwagę dyscyplinom rozgrywającym się na plaży.

W rezultacie król jak zwykle dostaje to, czego chce – nawet od swojego własnego syna.

Nik, jak to on, kłania się – tym razem jego głowy nie zdobi korona – po

czym łapie jeszcze jedną brzoskwinę oraz piersiówkę z wodą, i ciągnie Annemette w kierunku Przełęczy Lille Bjerg.

Patrzę z ukosa na Ikerą, gdy ten nie rusza się z miejsca.

Silną dłonią delikatnie łapie za mój nadgarstek i przyciąga mnie do siebie. W mgnieniu oka nasze usta dzieli zaledwie kilka cali. W świetle słońca głębia jego oczu jest uderzająca, a ten efekt podkreślony jest przez dobry, nocny wypoczynek spędzony w prawdziwym łóżku, zamiast w wilgotnej kajucie.

– Zostańmy tu we dwoje.

Przenoszę wzrok na plażę.

– We dwoje... z pięcioma tysiącami ludzi, wliczając twoją ciotkę i wuja.

Iker śmieje się, lekko przeczesując palcami kosmyki moich włosów, które spływają mi po ramionach.

– Tyle ludzi, a nikt nawet nie patrzy w naszą stronę.

Nieprawda, patrzą. Czuję to. On po prostu jest przyzwyczajony do bycia w centrum uwagi. Odsuwam się od niego i łapię go za nadgarstek drugiej ręki, podczas gdy on wciąż trzyma mój, a następnie ciągnę go w kierunku Przełęczy Lille Bjerg.

– Od głównego szlaku odchodzi mnóstwo mniejszych, zarośniętych ścieżek.

Unosi brew i w końcu robi krok do przodu.

– Byłoby szkoda, gdybyśmy się zgubili.

– Wielka szkoda. Nik będzie zawiedziony.

– Tylko, jeśli zgubi się w tych samych krzakach, co my.

To prawda. Po naszej porannej rozmowie Nik wydaje się być zupełnie inną osobą. Teraz poświęca Annemette dużo więcej uwagi niż wcześniej.

Splatamy palce i ruszamy wzdłuż uliczki handlowej. Jesteśmy dość daleko za Annemette i Nikiem, choć pewnie wkrótce się to zmieni, jako że poruszają się zółwim tempem – Annemette nie miała jeszcze okazji dokładnie zwiedzić miasta, dlatego zagląda do każdego okna, by zobaczyć, co sprzedają w konkretnym budynku. Właściciel sklepu ze słodyczami już zdążył dać jej lizaka, który zabarwił jej język na okropny, krwistoczerwony kolor. Nawet odwróciła się do nas i nam go pokazała, wystawiając go tak bardzo, że niemal dotknęła nim podbródka. Muszę przyznać, że to niezły widok – krwawa paszcza należąca do dziewczyny o anielskiej twarzy. Choć pewnie jej zdaniem to najśmieszniejsza rzecz na świecie. Dziękuję w duchu Urdzie,

że Malvina tego nie widziała.

Nik też się zaśmiał, patrząc na nią z czułością. Nie ma pojęcia, jaką drogę musiała przejść, by swobodnie spacerować z nim główną ulicą i na własne oczy zobaczyć rzeczy, które dla nas są codziennością.

– Byłem kiedyś w Odense – odzywa się Iker, mrużąc oczy, przez co wokół nich tworzą się zmarszczki. – To nie Kopenhaga, ale też nie zabita dechami wieś. Jednak patrząc na sposób, w jaki Annemette obchodzi się z tym lizakiem, można by odnieść wrażenie, że nigdy w życiu nie jadła cukierków.

– Pokazywanie, że coś ci sprawia przyjemność, nie jest przestępstwem, Iker. – Taka prawda, ale wiem, że ta odpowiedź ani trochę nie tłumaczy zachwytu Annemette, dlatego ponownie się do niego odwracam. – Nie każdego tak ciężko zadowolić jak zramolałego księcia Zatoki Rigeby.

Unosi kąciki ust, przenosząc spojrzenie na mnie.

– Dobrze wiesz, że uśmiech praktycznie nigdy nie schodzi z mojej twarzy.

Nieważne, czy przez trzy tygodnie jestem o jednym śledziu, czy jedzenia mam pod dostatkiem. – Ściska moje palce, a ja całuję go w ramię. – Chodziło mi o to, że ten jej zachwyty wydaje się nieco sztuczny.

– Spróbuj się postawić w jej sytuacji. – Macham mu przed twarzą wolną ręką. – Przypląnęła do Havnstadu z chorą opiekunką, nikogo tu nie znając.

Mimo wszystko została tu ciepło przyjęta, dostała łóżko w pięknym pałacu, a pewnemu energicznemu księciu, którego miała okazję tu spotkać, wyraźnie na niej zależy. – Podnoszę nasze splecione dłonie. – Powiedziałabym, że to istne tornado zachwyty. Prawie wyrwało mi z głowy kosmyk włosów, a tylko stoję obok.

Śmieje się pod nosem. Wolną ręką zaczesuje z powrotem niesforny lok i tak go przygląda, że już nie odstaje na tle reszty włosów. Odsuwa dłoń i patrzy, jak na nowo zwija się w spiralę.

– To byłaby tragedia. Nawet najlepsze paryskie salony nie dałyby rady ich odtworzyć.

Na moich policzkach wykwita rumieniec, gdy docieramy do końca brukowanej uliczki i stajemy u początku Przełęczu Lille Bjerg.

Annemette z Nikiem już zniknęli za zakrętem. Wychodzę przed Ikera, wstępując na wąską ścieżkę, i puszczam jego dłoń.

– Tak tylko mówię – kontynuuje Iker. – Bo co tak naprawdę wiemy o Annemette? Skąd możemy mieć pewność, że jest tą, za kogo się podaje?

Śmieję się, próbując sprawić wrażenie, jakby jego uzasadniona troska była

czymś niedorzecznym.

– A co, twoim zdaniem jest oszustką, która jeździ po festiwalach i kradnie królewskie klejnoty? – To najbardziej absurdalny scenariusz, jaki mi w tej chwili przychodzi do głowy, choć swoją groteskowością i tak nie umywa się do prawdziwej wersji wydarzeń.

– Nie. Nie. To urocza dziewczyna... po prostu coś mi w niej nie pasuje. I nie podoba mi się to uczucie, zwłaszcza gdy w grę wchodzi moja rodzina.

– Wiem, co to za uczucie – mówię, mając nadzieję, że w końcu uda mi się zakończyć ten temat; zarówno ze względu na dobro Annemette, jak i swoje.

– Ona wygląda jak Anna.

Słyszę, jak rytm jego kroków lekko się chwieje.

– Twoja przyjaciółka, która utonęła?

– Ta sama.

– Racja. Też ma jasne włosy.

– Tak. I niebieskie oczy. I kremową skórę. I twarz w kształcie serca – wszystko. Podobieństwo jest uderzające. – Oczy mimowolnie zachodzą mi łzami. – W pierwszej chwili myślałam, że zobaczyłam ducha.

Iker staje w miejscu. Odwracam się, i widzę, że patrzy na mnie, ściągając z powagą brwi. Wygląda tak samo jak wtedy na balkonie, gdy obrzucał Annemette tym podejrzliwym spojrzeniem.

– Jesteś pewna, że ta dziewczyna o tym nie wiedziała? Że celowo nie wybrała imienia Annemette? Może wykorzystuje was oboje, używa waszych wspomnień jako broni.

Pochylenie terenu sprawia, że nie muszę zadzierać głowy, by na niego spojrzeć. Podnosi ręce i muska kciukami kąciki moich oczu, wycierając łzy, które tam się zebrały. Kładę dłoń na jego piersi.

– Kim są te oprychy, których spotykasz na morzu? Czy ktokolwiek mógłby być aż tak nikczemny? Nie wierzysz w swoich przyjaciół?

– Evelyn, zdaję sobie sprawę, że nie jesteś naiwna, ale chyba powinienem przypomnieć zarówno tobie, jak i mojemu kuzynowi, że ludzie nie zawsze są tymi, za kogo się podają.

– Tu akurat masz rację. – Robię krok w jego stronę, po czym dotykam czołem jego czoła, przybliżam usta do jego ust i głęboko patrzę mu w oczy.

– To urocze, że tak się troszczysz, ale to tyle w tym temacie. Może i Annemette nie jest Anną, lecz wciąż jest moją przyjaciółką. I nie zostałam przez nią oszukana.

Przyciskam usta do jego warg. Wzdycha ciężko, lecz w końcu kładzie dłonie na moich plecach i wplata mi palce we włosy. Stoimy tak przez kilka minut, ale dopiero gdy zamyka oczy, wiem, że wygrałam tę rundę.

– Wybraliście sobie dłuższą trasę?

Odsuwam się od Iker'a i widzę stojącą kilka stóp od nas Annemette. Nik prawdopodobnie jest zaraz za zakrętem. Unosi brew, lecz na jej wiśniowych wargach tańczy nikły uśmiezek.

– Nie słyszałaś? Ja nigdy nie zjawiam się na czas. – Uśmiecha się szeroko na swój skromny komentarz, jednak w jego oczach wciąż czai się sceptyczny błysk, gdy wbija w nią wzrok.

Annemette łapie mnie za rękę i obie wybuchamy śmiechem. Naprawdę można odnieść wrażenie, jakby Anna wciąż była wśród nas.

Ruszamy ścieżką, kierując się ku festiwalowym rozrywkom, ale w chwili, gdy docieramy na miejsce, Iker z Nikiem natychmiast zostają odsunięci na bok i zmuszeni do wzięcia udziału w wyścigu po górach. To sprawia, że razem z Annemette zostajemy same i pilnujemy tych, co przechodzą przez kłodę. W normalnych okolicznościach poszłabym razem z nimi – jestem dużo szybsza niż na to wyglądam – ale Annemette już zaczyna mieć problem ze stopami; bołą ją jeszcze bardziej niż poprzedniego dnia. Dlatego teraz umilamy sobie czekanie na spoconych i wzbogaconych o nowe, ekscytujące opowieści chłopców obserwując, jak uczestnicy festiwalu wspinają się po skale.

– Jak ty to robisz? – pyta ściszym głosem.

– Co masz na myśli? – odpowiadam.

– Jak to robisz, że Iker tak cię całuje? – wyjaśnia, a w jej głosie pobrzmiwa nuta irytacji. – To głupie, ale patrzyłam na was, żeby...

– Poszukać inspiracji? – Mam ochotę się roześmiać. Myśl, że ktoś może się mną inspirować w sprawach sercowych jest niedorzeczna. Poza tym sama wciąż się zastanawiam, czy za pocałunkami Iker'a kryją się jakiegokolwiek uczucia, ale Annemette wygląda na zdesperowaną. *Jest zdesperowana.*

Na policzkach Annemette wykwita rumieniec, choć górskie słońce nieco przyćmiewa jego intensywność.

– Robiłam wszystko, by pokazać mu, co do niego czuję i mimo to wciąż mnie nie pocałował! Ale naprawdę myślę, że mnie lubi.

– Owszem. Oczywiście, że lubi! – Całkowicie odpycham od siebie wspomnienie dzisiejszego poranka. Nik musiał usłyszeć, co miałam do

powiedzenia. Wiem to. Wszystko będzie w porządku.

Przez moment siedzi cicho, a po wyrazie jej twarzy widzę, że jest głęboko pogrążona w myślach.

– Mój ojciec, król mórz, zawsze powtarza, że gdy wszystko idzie po twojej myśli, przestajesz zwracać uwagę na drobne niedoskonałości.

Jestem nieco w szoku, że król mórz, którego kojarzę tylko z bajek dla dzieci, jest tak samo prawdziwy jak siedząca naprzeciwko mnie syrena. W końcu kiwam głową.

– Twój ojciec jest mądry.

– Ale nie jestem ślepa. Jego mądre słowa pobrzmiewają w mojej głowie za każdym razem, gdy próbuję cieszyć się życiem. Zamiast tego nie zwracam uwagi na to, jak bardzo do siebie pasujemy, tylko staram się doszukiwać powodów, dlaczego Nik mnie nie kocha.

– Znam to uczucie – mówię.

– Nie, Iker cię kocha.

Potrząsam głową.

– Chciałabym, żeby Iker mnie kochał. Tylko, że Iker słynie z łamania serc dziewczynom, które szaleją na jego punkcie. I nie tylko mnie miękną kolana na jego widok. Iker i ja nie będziemy zawsze razem, ale próbuję nie czuć się źle z tego powodu.

Patrzy na swoje stopy, a ja marszczę nos, ponieważ była to prawdopodobnie najbardziej banalna rzecz, jaką w życiu powiedziałam.

– Czyli inne dziewczyny też traktuje tak, jak ciebie?

– Tak. Albo traktował. Nie wiem. – Czuję, jak na moje policzki wpełza rumieniec. – Ale Nik taki nie jest! W tym morzu jest tylko jedna ryba i jesteś nią ty...

– To porównanie jest bez sensu, Evie.

– A myślałam, że to ja jestem tą rozsądną, biorąc pod uwagę twoją sytuację.

Annemette zaciska powieki, a mnie nagle zalewa poczucie winy, ponieważ nie powinnam żartować z niej w taki sposób.

– Moją sytuację. Tak. – Parska śmiechem. – Cóż za sytuacja! Zakochałam się w chłopcu, który nawet nie chce mnie pocałować. Byłam taka pewna, że dzięki niemu będę mogła żyć długo i szczęśliwie, ale widocznie pozostaje mi spędzić z nim tylko kilka dni.

Rozdział 18

Po powrocie Nik i Iker czują głęboką potrzebę, by podbudować swoje ego po porażce, jaką odnieśli w porannym wyścigu, dlatego za wszelką cenę chcą teraz udowodnić, który z nich jest silniejszy, szybszy i zwinniejszy. Wygląda na to, że syn krawca, mały Johan Olsen, nie jest już taki mały.

– W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak biegał – przyznaje Nik, gdy wspólnie idziemy w stronę rzeki Havnestad, która spływa z gór i uchodzi do morza. – To było niesamowite.

– Chcesz zobaczyć coś niesamowitego? – pyta Iker. – Wyzwij mnie w przechodzeniu przez kłodę, kuzynie. Mogę pokonać dziesięciu takich Olsenów. I ciebie też.

Przenoszę wzrok na Annemette, która uśmiecha się szeroko i chichocze razem z chłopcami, a ponieważ sama chcę zobaczyć, jak Iker wpada do rzeki Havnestad, również dołączam do salwy.

Nik parska – jest to bardzo książęce parsknięcie, ale jednak parsknięcie.

Gdy docieramy do brzegu rzeki, wciąż jest pogrążony w myślach. Stawia jedną stopę na krańcu kłody. Po jej lewej stronie znajduje się druga, przez którą będzie przechodził Iker.

– O ile mnie pamięć nie myli – mówi Nik. – Niedawno słyszałem, jak pewna osoba o czarnych włosach obiecała ci, że jeśli weźmiesz udział w tych festiwalowych dziwactwach, to przejdzie przez kłodę, i nie byłem to ja, kuzynie.

Nik! Jak on mógł? Ale i tak odrzucam głowę do tyłu, wydając z siebie iście ikerowy rechot. Nik również nie potrafi zachować powagi – trzęsie się tak mocno, że jego stopa ześlizguje się z kłody, przez co Nik omal nie przewraca się na drewnianą belkę.

Annemette jednak zachowuje trzeźwość umysłu. Prostuję się i widzę, że patrzy w moim kierunku ze złośliwym uśmiechem na twarzy i błyskiem w oczach.

– Co powiecie na kompromis? Nik i Evie będą się ścigać. Zwycięzca

zmierzy się z Ikerem.

Iker unosi wysoko brwi, a jego twarz natychmiast się rozpromienia, słysząc tę propozycję. Klaszcze w wielkie, silne dłonie.

– Tak. Idealnie. Ta dama ma świetny pomysł.

Kręcę głową.

– Świetny pomysł na to, jak samej się nie zmoczyć.

Annemette wzrusza ramionami i robi kilka kroków w tył, wchodząc między małą grupkę osób, które przez ten czas zdążyły się zgromadzić pośród skał i ściętych pni drzew.

– Ja jestem tylko widzem.

Nik śmieje się i wykonuje długi skok, lądując obok niej, po czym delikatnie trąca ją łokciem.

– Też próbowałem tak grać, i zobacz, w jakiej roli mnie to postawiło.

Unoszę brew.

– W roli mojej pierwszej ofiary.

– Hola hola, a skąd pewność, że wygrasz? – pyta Nik, uśmiechając się nieznacznie, mimo że próbuje brzmieć na oburzonego.

– Czasem po prostu takie ma się przeczucie, mój książę. Nie masz ze mną szans, Asgerze Niklasie Bryniulfie Øldenburgu III.

Widownia zaczyna wykrzykiwać imię Nika, który właśnie stawia stopę na kłodzie obok mojej. Obie belki wiszą nad strumieniem, a po obu stronach przytwierdzone są linami do gruntu, by nie obracały się w trakcie trwania wyścigu – ma to wyrównać szanse między zawodnikami.

Oba końce dzieli około dwadzieścia pięć stóp. Oboje musimy przejść na drugą stronę, dotknąć dłonią brzegu i wrócić do punktu wyjścia. Ten, kto do samego końca utrzyma się na kłodzie, wygrywa. Jeśli oboje wpadniemy do wody, wyścig kończy się remisem, nieważne, kto spadł pierwszy.

Nasz kolega z klasy, Ruyven Van Horn, czyli chłopiec o rudych włosach oraz uszach jak u słonia, stoi pomiędzy nami, gotów do ogłoszenia oficjalnego rozpoczęcia wyścigu.

– Gotowi... do startu... start!

Wskakujemy na kłody. Nik ma o wiele dłuższe nogi niż ja, dzięki czemu wyprzedza mnie o krok, ale to również oznacza, że jego środek ciężkości znajduje się znacznie wyżej, przez co natychmiast zaczyna się chwiać.

– Już tracisz równowagę, kuzynie? – śmieje się stojący za nami Iker.

Nie widzę Nika, ale jestem pewna, że również się uśmiecha.

– Miałeś mnie dopingować, a nie denerwować.

Podczas gdy on tracił czas na odzyskiwanie równowagi i przekomarzenie się z Ikerem, mnie udało się zrobić pięć kroków do przodu. Powierzchnie kłód są śliskie, ale moja jest na tyle szeroka, że bez problemu jestem w stanie opierać na niej stopy. Imitując parodię francuskiego baletu, tanecznym krokiem docieram do środkowej części belki. Kątem oka widzę, że Nik nie zmienił swojej strategii i nadal próbuje walczyć z grawitacją poprzez stawianie ogromnych kroków, lecz jednocześnie dzięki swojej sile i wyczuciu równowagi wciąż utrzymuje się w pionie.

Udaje mi się przejść na drugą stronę i w momencie, gdy dotykam palcami gruntu, pomocnik Ruyvena unosi flagę.

– Znakomicie, Evie! – woła radośnie Annemette.

Wskakuję z powrotem na kłodę dokładnie w chwili, gdy Nik schodzi ze swojej i bezpiecznie ląduje na ziemi.

– Mette, to zdrada! – krzyczy Nik, rzucając się na kłodę nieco za szybko.

Kątem oka widzę, jak macha rękami w powietrzu, próbując odzyskać równowagę. Tłum wstrzymuje oddech.

– Mniej gadania, więcej chodzenia, kuzynie. Evie bije cię na głowę!

– Kibicujesz mi, bo masz nadzieję, że będziesz miał okazję pokonać mnie w kolejnej rundzie. Nie masz z nią szans i dobrze o tym wiesz.

Wciąż jestem na prowadzeniu, choć niewiele mu do mnie brakuje, ponieważ teraz idę powoli i stawiam kroki z większą dokładnością. Przez wiele lat naoglądałam się, jak uczestnicy wpadają do wody zaraz przed metą.

Z drugiej strony bez problemu mogłabym wyszeptać jedno z zaklęć cioci Hansy, by potajemnie wysuszyć kłodę, ale tego nie zrobię. Nie oszukuję.

Dlatego, z sercem w gardle, koncentruję się na belce, słysząc w uszach jedynie odgłos szumiącego u dołu strumienia.

Nik jest obok mnie, ale nie zwracam na niego uwagi – nie wiem, czy macha rękami, czy może również zdecydował się zwolnić tempo. Odzyskuję świadomość otoczenia dopiero, gdy moje stopy dotykają ziemi i Ruyven podnosi moje ramię. Patrzę na Nika i widzę, że stoi z dłońmi na biodrach, próbując odzyskać oddech.

– Wygrywa dama, o mały włos! – oznajmia Ruyven. Annemette klaszcze, Iker również, choć na jego twarzy już widać ducha rywalizacji. Reszta tłumu w dużej mierze zachowuje ciszę, aż w końcu Nik unosi ręce nad głowę w geście podziękowania – dopiero wtedy widownia szaleje.

– Dobra robota, Evie. – Nik ściska moje ramię. Następnie pochyla się ku mnie, by nikt inny go nie usłyszał. – Zignoruj ich. Wiwatują tylko dlatego, że muszą. – Odwraca się z powrotem do tłumu, krzyząc: – Brawa dla Evie!

Po jego okrzyku wiwaty zyskują na sile, lecz słychać również kilka okrzyków niezadowolenia – co mnie zbytnio nie zaskakuje. Nagle spojrzenia wszystkich spoczywają na Ikerze. On za to wzrok ma utkwiony we mnie, a radosny błysk w jego oczach już ustępuje miejsca skupieniu. Jeśli Iker ma zamiar rywalizować z tym samym zapałem, który towarzyszy mu we wszystkim, co robi, będę musiała dać z siebie dużo więcej. Może nawet skorzystam z magii, chociaż wolałabym tego uniknąć.

Odwracam się i stawiam stopę na kłodzie.

– Jesteś pewna, że tak szybko chcesz opaść z sił, Evelyn?

– Nie marudź, Romeo. Ruszajmy.

Zerkam na Ruyvena, który wyraźnie dobrze się bawi naszym kosztem, lecz gdy napotyka mój wzrok, na jego bladej twarzy wykwita wściekły rumieniec.

Unosi flagę, chcąc rozpocząć wyścig. Iker wciąż stoi dwa kroki od kłody i przymila się widowni. Stawiam stopę na drewnie, napinając mięśnie łydek.

– Gotowi... – Iker rejestruje komendę z chwilowym opóźnieniem. Ruyven już zaczyna mówić kolejną jej część, nim księciu Zatoki Rigeby udaje się choćby odwrócić w kierunku rzeki. – Do startu... – Ikera wciąż znajduje się jard od kłody. – Start!

Wskakuję na belkę i natychmiast pochylam się do przodu, usztywniam biodra i lekko uginam nogi w kolanach. Mam pięć kroków przewagi nad Ikerem, gdy ten w końcu wchodzi na swoją kłodę, ale biorąc pod uwagę jego budowę ciała, będzie w stanie nadrobić stracony czas za pomocą dwóch dłuższych susów.

W jednej chwili powietrze przecina fala okrzyków tak głośnych, że nie mogę całkowicie skupić się na zadaniu i płynącej poniżej wodzie – Iker zawsze lubi mieć okazałą widownię.

– Dorwij go! – krzyczy Annemette.

– Dobrze ci idzie, Evie! – dopinguje mnie Nik.

Ale tak nie jest. Ikera już dzieli jard od końca kłody; jego kroki są nieostrożne, ale skuteczne. Mnie wciąż brakuje około dziesięciu kroków do brzegu, na którym będę musiała jeszcze się obrócić. Gdy Iker ląduje na ziemi, od razu wskazuje dłonią na chłopca trzymającego flagę, by pokazać mu, że dotknął gruntu, po czym odwraca się do tłumu, unosząc z dumą rękę.

– Nikt nie kibicuje czempionowi? Czyżbym był dla was zbyt szkaradny?

Słyszając to, wszystkie dziewczyny na widowni, z wyjątkiem Annemette, wykrzykują jego imię. Jest to ten sam obrazek, który widnieje w mojej głowie zawsze, gdy wypływa w podróż po wszystkich Królestwach Sundu.

Jednakże jego pokaz zabiera mu cenny czas, dzięki czemu mnie udaje się już dotknąć dłonią ziemi, gdy on dopiero wskakuje z powrotem na drewnianą belkę. Wyraźnie zdaje sobie sprawę, że popełnił błąd, i teraz stara się nadrobić stracone sekundy, idąc szybkim krokiem w stronę drugiego końca, by zachować przewagę.

Kusi mnie, by przyspieszyć i zacząć stawiać większe kroki, ale powstrzymuję się, ponieważ kłoda jest teraz bardziej śliska niż wcześniej.

Dlatego utrzymuję powolne tempo. Robię szybkie, lecz krótkie kroki, nie spuszczać wzroku z kłody i biorąc głębokie, uspokajające oddechy.

W połowie drogi wychodzę na prowadzenie, a przed oczami już widzę swoje drugie zwycięstwo. Jednak właśnie w tym momencie ktoś z tłumu dochodzi do wniosku, że ksiązę nie może przegrać po raz kolejny, więc posyła w moim kierunku gałąź, która trafia mnie w szyję.

Ból jest tak ostry, że tracę równowagę. Nim udaje mi się zareagować, spadam w kierunku wody. Gdy znajduję się w powietrzu, przez myśl przechodzi mi zakłęcie lewitacji, którego kilka dni temu użyła Annemette, i prawie je wymawiam, ale nie mogę tutaj użyć magii. Jednak mimo to czuję, że na ułamek sekundy zawieszam się w przestrzeni i napotykam wzrok Annemette, a w jej oczach widzę tę samą koncentrację, którą widziałam w Lagunie Grety. *Nie rób tego. Wwiercam się w nią spojrzeniem. Nie tutaj.*

Wpadam do rzeki i natychmiast prąd wpycha mnie pod kłodę Ikera. Nad strumieniem rozlegają się krzyki, ale nie jestem w stanie ich od siebie odróżnić. Następnie widok zasłania mi biel i błękit, w uszach słyszę szum, a po mojej twarzy ściekają strużki wody.

Tłum głośno wstrzymuje oddech, ale dopiero, gdy silna dłoń łapie mnie za tył sukienki, dociera do mnie, że Iker wskoczył do wody. Jedną ręką trzyma się kłody, by prąd nie poniósł go w dół rzeki.

– Wszystko w porządku?

Kiwam głową. Jakimś cudem ostry ton jego głosu zaskakuje mnie równie mocno, co sam upadek.

Iker popycha mnie delikatnie, a ja łapię się brzegu rzeki i, walcząc z nurtem, podciągam się na brzeg. Annemette pochyla się nade mną,

wyciągając do mnie dłoń; dół jej pięknej sukienki jest pokryty błotem.

Nik stoi nieco dalej i krzyczy. Co więcej, szarpie chłopca, który rzucił we mnie gałęzią i wyrzuca go z konkursu. Nigdy nie widziałam Nika w takim stanie.

Annemette podciąga mnie z ziemi. Za mną Iker również wstaje, podpierając się dłońmi na ubłoconym gruncie. Oboje jesteśmy w opłakanym stanie – przemoczeni i brudni od błota.

Nikt nic nie mówi, łącznie z nami. Nik dołącza do naszej grupki i wspólnie zwracamy się w kierunku ścieżki. Nawet Nik nie przerywa niezręcznej ciszy.

Wciąż kipi ze złości.

Gdy już oddalamy się od tłumu, Nik raz po raz zerka na mnie i mamrocze coś pod nosem. Sprawia wrażenie, jakby chciał mnie wziąć za rękę, ale już Iker obejmuje mnie ramieniem, więc mówi tylko:

– Osobiście dopilnuję, żeby już nigdy nie mógł wziąć udziału w tych rozrywkach.

Nie wiem, co myśleć – to nie w stylu Nika w taki sposób wykorzystywać swój tytuł księcia i władzę, ale nie przeczę, że poprawia mi to humor.

Oczywiście cała ta sytuacja jedynie da mieszkańcom kolejny powód do rozprowadzania plotek i utwierdzania się w przekonaniu, że nie znam swojego miejsca. Pocieram tworzący się na mojej szyi siniak, jaki pozostawiła za sobą gałąź, i przenoszę wzrok na Annemette. Ma nieobecny wyraz twarzy, usta zaciśnięte, a czoło zmarszczone. Idzie kilka kroków od Nika, by dać mu trochę przestrzeni i spokoju.

Znowu to zrobiłam, prawda? Po raz kolejny odwróciłam uwagę Nika od tego, co ważne. W tej chwili chcę być sama, puścić wszystkich przodem, ale gdy docieramy do miasta, Iker ciągnie mnie lekko do tyłu i odłupuje zaschnięte na butach błoto za pomocą wystającej części bruku. Kiedy już oboje mamy czyste podeszwy, a Nik z Annemette znajdują się zbyt daleko, by nas usłyszeć, Iker łapie mnie za rękę.

– Dlaczego tu zostałam?

Patrzę na niego, mrugając, zdezorientowana.

– Co masz na myśli?

– Gdy kilka dni temu wypłynąłem na polowanie... dlaczego zostałam w miejscu, gdzie ludzie rzucają w ciebie patykami i wygadują okropne rzeczy na twój temat?

Umiejętności obserwacyjne Ikera mogłyby rywalizować ze

sposstrzegawczością cioci Hansy, lecz jego słowa brzmią, jakby sam nie wierzył w to, co mówi.

– Traktują mnie tak od dawna – odpowiadam. – Poza tym twoja propozycja nie była szczerą. Oboje o tym wiemy.

Potrząsa głową i patrzy na mnie intensywnie.

– To nieprawda, Evie. Ta propozycja wciąż obowiązuje, zwłaszcza teraz, niezależnie od tego, czy mi wierzysz, czy nie. Moje obowiązki związane z festiwalem dobiegają końca, więc wyносmy się stąd. Tylko my dwoje i łódź.

A jeśli od czasu do czasu złapiemy jakiegoś wieloryba, to nawet lepiej.

Brzmi to idealnie. Przed oczami widzę marzenia, które teraz mogą stać się rzeczywistością – marzenia o wolności, o Ikerze, o morzu, które możemy wspólnie podbić. Ale to wydaje się zbyt idealne. Nie mogę stąd odejść, nawet jeśli trwałoby to kilka tygodni – dlaczego nie potrafi tego zrozumieć?

Jednak nagle w mojej głowie pojawia się Annemette – poświęciła wszystko dla chłopca, w którym się zakochała, podczas gdy ja nie poświęciłam nic.

Nawet jeśli umrze – choć ta myśl sama w sobie jest dla mnie bolesna – zrobi to wiedząc, że wycisnęła z życia więcej niż ja przez te wszystkie lata, jakie spędziłam w Havnestadzie.

Podnoszę wzrok na Ikera. Mojego niedoskonałego Ikera. Nagle staje się jasne, że nie mogłabym podjąć lepszej decyzji.

– Upolujmy sobie wieloryba – mówię.

Przyciąga mnie do siebie i całuje w usta, a ja oddaję się emocjom, wyobrażając sobie dni spędzone na morzu i noce przespane z głową opartą na piersi Ikera.

Cztery Lata Wcześniej

Dziewczyna o kruczoczarnych włosach nie mogła zostać na plaży. Po prostu nie była w stanie leżeć beczynnym, podczas gdy jej najbliżsi byli w morzu.

Podniosła się do pozycji siedzącej, ale natychmiast poczuła, jak wyczerpanie ciągnie ją z powrotem na ziemię niczym napierający na nią prąd wody.

Mieszkańcy, którzy patrzyli na nią wcześniej, nie pomogli jej wstać, nie ruszyli na pomoc. Szeptali do siebie, ale nie na tyle cicho, by nie była w

stanie wylapać ich słów. Już to wszystko wcześniej słyszała i teraz ich szepty odbijały się echem w jej głowie:

Co za dziewczyna – pozwalają jej wchodzić do zamku, a idiotka myśli, że już tam mieszka.

Księżę nie jest twoim bratem, dziewczucho.

Nie zdziwię się, jeśli się okaże, że to ona stoi za tą tragedią – wykorzysta każdą okazję, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Brunetka wstała z piachu, nie spuszczać wzroku z Iker, który właśnie brnął przez fale. Rozprostowała palce dłoni przy bokach. Chciałaby jakoś im pomóc.

Zrobiła krok do przodu. Potem kolejny. Walczyła z własnymi myślami i uparcie szła przed siebie. Jej serce biło zgodnie z rytmem brzmienia imion jej najbliższych – Anna, Nik, Anna, Nik, Anna, Nik.

I Iker. Był taki silny. Na pewno ich uratuje.

Dotknęła stopami wody i zatrzymała się. Ponownie rozprostowała palce.

Oddałaby wszystko za atramenty matki oraz kryształy, księgi zaklęć i wiedzę ciotki. Za świat, w którym swobodnie mogłaby korzystać ze swojej magii – nie ryzykując, że zostanie za to spalona na stosie lub wygnana.

Iker wypłynął na powierzchnię. Odrzucił głowę, zaczerpując powietrza, i ponownie zanurkował, uderzając przy tym stopami o lustro wody.

Odnalazł jedno z nich. Może nawet obojga. Ile już czasu minęło? Może było za późno?

Dziewczyna spojrzała na swoje palce u stóp, na strzeble pływające wokół jej kostek, jakby w pobliżu wcale nie rozgrywała się największa tragedia, jaką w życiu zobaczą.

Jakby jej przyjaciele nie walczyli właśnie o życie i jakby to wcale nie była jej wina.

A była. To ona powiedziała Annie, że Nik z pewnością będzie pod wrażeniem jej odwagi. Że zawsze był nią oczarowany – więc dlaczego Anna miałaby nie wykorzystać tej okazji? Przecież tak bardzo się w nim podkochiwała.

To wszystko była jej wina. To ona wpadła na ten pomysł. To ona zasiała w głowie przyjaciółki chęć zaimponowania chłopakowi, na którym jej zależało.

To ona poddała się duchowi rywalizacji i kopnęła dłoń przyjaciółki, gdy ta w połowie drogi próbowała ją złapać za nogę. A teraz mierzyła się z konsekwencjami.

Anna. Nik. Anna. Nik. Anna. Nik.

Jednakże wciąż nie była bezradna, prawda? W jej głowie zaświtało wspomnienie i w jednej chwili z jej ust wydostały się słowa. Starodawne i mroczne, ale warte ryzyka. Nie miała przy sobie atramentu ani kryształów.

Ale miała te słowa. Były niczym powiew życia. I były wszystkim, co jej pozostało.

Dlatego teraz dziewczyna o kruczoczarnych włosach stała na płyciźnie i recytowała ostatnie zaklęcie, jakie jej matka wypowiedziała przed śmiercią.

Jej skóra natychmiast zaczęła się rozgrzewać, a z morskiej wody unosiła się para. Czuła, jak jej krew śpiewa pod wpływem magii; stała odwrócona plecami do ludzi, którzy spaliliby ją na stosie lub wygnali, gdyby zobaczyli, co robi. Uklękała w wodzie i zanurzyła w niej dłonie – bliższy kontakt gwarantował większą efektywność.

Zamknęła oczy.

Słowa wciąż spływały z jej ust i całe jej ciało zaczęło drżeć. Mocno. Para unosiła się z morza i muskała materiał jej halki.

Plusk. Kolejny. Męskie głosy.

Otworzyła oczy i wytężyła wzrok.

Nik.

Iker trzymał Nika w ramionach.

Wrzeszczeli na siebie, lecz oboje żyli. Głos Nika przebił się przez fale, niosąc ze sobą jedno słowo na tyle głośne, że dziewczyna była w stanie je usłyszeć.

– Nie!

Brunetka poczuła ucisk w żołądku. Starożytnie słowa ucichły. Spóźniła się.

Oni wszyscy się spóźnili.

– Och, Anno. Tak bardzo cię przepraszam. – Zaczęła płakać; zaklęcie zamarło na jej języku, a skóra już odzyskiwała normalną temperaturę.

Zamrugła i świat pochłonęła ciemność. Widok zasłaniała jej płynna, nikczemna czerń. Wzdrygnęła się, spoglądając w dół. Po jej policzkach spływały smoliste łzy, które skapywały do wody, rozpuszczając się w morskiej toni.

Tylko nie to.

Dziewczyna potarła oczy dłońmi, po czym wytarła je w materiał halki. Gdy ponownie była w stanie zobaczyć, co się wokół niej dzieje, spojrzała na swoje stopy. Na powierzchni wody unosiły się martwe strzeble, a rosnące na dnie

wodorosty szerniały i zwiędły.

Zatoczyła się do tyłu i opadła na suchy ląd. Teraz, gdy starożytne słowa były dla niej już tylko wspomnieniem, zdała sobie sprawę, że podczas gdy jej przyjaciel płynął właśnie w stronę brzegu, jej przyjaciółka wciąż leżała na dnie morza, razem z jej łzami. Łzami, które pozbawiły życia istoty u jej stóp.

Dziewczyna odwróciła się w stronę tłumu i ponownie potarła oczy dłońmi wciąż brudnymi od czarnych łez. Czuła, jak magia wsiąka w jej skórę.

Usłyszała, jak mieszkańcy głośno wzdychają.

– Och, dajcie spokój, to tylko morski osad. Przecież ona prawie utonęła!

– Ciocia Hansa. Staruszka wyszła przed tłum i przyciągnęła siostrzenicę do siebie, po czym szepnęła jej na ucho: – Wynośmy się stąd. Szybko. Twoje życie jest ważniejsze niż patrzenie, jak ci dwaj chłopcy wychodzą na ląd.

Rozdział 19

– Na pewno nic ci nie jest? – pyta Annemette, gdy wychodzimy z pałacu, trzymając w dłoniach po kilka truskawek. Wróciłyśmy do zamku, żebym mogła się przebrać w coś suchego, a Annemette w mniej ubłoconego.

Przekąska i spacer były moim pomysłem; potrzebowałam czegoś, co pozwoliłoby mi uporządkować myśli. Wszystko wydawało się takie mętne – czy ja właśnie zgodziłam się uciec z Ikerem? Ale nie mogę powiedzieć o tym Annemette.

– Na pewno. To nic takiego. Naprawdę...

– Zwyczajnie nie rozumiem, dlaczego ci ludzie tak okropnie cię traktują – mówi. – Jesteś taka hojna i mądra, i piękna, i do tego przyjaźnisz się z ich księciem!

Wzdycham i odsuwam dłonie od oczu.

– Właśnie dlatego. Widzisz, pochodzę z biednej rodziny, ale to nic szczególnego, bo prawie każdy tutaj jest biedny. Ale w Havnestadzie, i prawdopodobnie w każdym innym mieście, biedota nie przyjaźni się z arystokracją. Oni im służą. Ta przyjaźń powinna była się zakończyć dawno temu, kiedy jeszcze nie była aż tak kontrowersyjna.

– Dlaczego tak się nie stało?

– Ze względu na ciocię Hansę. Uratowała życie królowi, gdy jeszcze był małym chłopcem. Wyleczyła go z jakiejś okropnej choroby, a wiele lat później znowu go ocaliła, po tym jak uległ wypadkowi w trakcie jednej z morskich wypraw. Moja rodzina została doceniona. Ojca mianowano nadwornym rybakiem, a Nik i ja mogliśmy pozostać przyjaciółmi. Nieważne, jak bardzo królowa Charlotte nie chciała do tego dopuścić, nawet po tragicznej śmierci mojej matki. – Annemette nie drąży tematu, więc kontynuuję: – Jak na ironię, ciocia Hansa też nigdy nie pochwałała mojej przyjaźni z Nikiem, lecz zna mnie na tyle dobrze, że nie zakazuje mi się z nim spotykać. Wie, że i tak bym jej nie posłuchała. Ale jeśli chodzi o mieszkańców Havnestadu... oni myślą, że wykorzystuję pozycję Nika, by

pokazać, że uważam się za lepszą od nich. Nienawidzą mnie z tego powodu. I nigdy się to nie zmieni.

Mijamy rząd ceglanych domów, z których każdy posiada z przodu mały ogródek.

– Anna? Anneke? – woła ktoś za nami.

Annemette mruga, a ja odwracam się w kierunku, z którego dochodzi głos. W uliczce, podparta na drewnianej lasce, stoi pani Liesel – babcia Anny. Staruszka wskazuje zakrzywionym palcem na Annemette, uśmiechając się do niej.

– Anneke, chodź, przytul babcię. Tak długo się nie widziałyśmy.

Annemette zerka na staruszkę, a następnie przenosi wzrok na mnie.

– Pani Liesel, to moja przyjaciółka, Annemette. Pochodzi z Odense.

Staruszka nie zwraca na mnie uwagi. Jak zwykle.

– Anneke, chodź, przytul babcię. Tak długo się nie widziałyśmy – powtarza.

Po raz kolejny w ciągu kilku dni czuję się, jakbym żyła w innym świecie.

W takim, gdzie Anna żyje, onieśmiela urodą i swoim anielskim głosem śpiewa piosenki o chłopcach i truskawkach, a następnie mocno przytula swoją babcię, którą po wielu latach spotyka na ulicy.

Ale dla Annemette to nie jest spotkanie po latach.

– Pani Liesel, mam na imię Annemette, miło...

Nagle okazuje się, że pani Liesel jest silniejsza niż na to wygląda, ponieważ odrzuca laskę na bok i z całej siły przyciska Annemette do piersi.

Annemette nie próbuje jej odpychać. Zamiast tego zatapia twarz w miejscu, gdzie znajduje się bijące serce staruszki.

– Anna, moja Anneke, dlaczego nie odwiedziłaś babci? Gdzież ty się podziewała? Twój ojciec zamartwia się na śmierć... ja zamartwiam się na śmierć.

Annemette podnosi głowę i ostrożnie kładzie dłonie na ramionach staruszki. Jej twarz emanuje dobrocią.

– Wyjechałam z miasta, babciu. Tak bardzo cię przepraszam. Jak się czujesz?

Czuję ucisk w gardle, gdy patrzę, jak Annemette ofiarowuje staruszce to, czego nie mogła dostać od nikogo w Havnestadzie – ukojenie.

– Och, staram się dbać o zdrowie, ale w moim wieku wolałabym już raczej latać wśród czarownic.

– To bardzo prawdopodobne, babciu.

Pani Liesel wciąż kurczowo ściska Annemette, która pochyła się nieco, po czym podnosi laskę, którą staruszka wcześniej rzuciła na ziemię, i podaje jej ją.

– Proszę, babciu. To gdzie się wybierasz?

Pani Liesel łapie laskę w prawą dłoń, lecz lewą nadal trzyma Annemette, opierając na niej cały ciężar ciała.

– Do domu, kochana. Właśnie szłam do domu.

Annemette napotyka mój wzrok.

– Pomożemy ci, babciu.

Trzymam się nieco z tyłu, gdy Annemette i pani Liesel idą ramię w ramię wzdłuż linii brzegowej, a następnie w kierunku zamku, zanim w końcu skręcają w uliczkę pełną wielkich rezydencji, biegnącą po słonecznej stronie Zamku Øldenburogów. Pani Liesel oczywiście prowadzi Annemette, gdyż droga do domu jest na szczęście jedną z niewielu rzeczy, jakich jeszcze nie zapomniała, ale Annemette wygląda na tak zrelaksowaną, że trudno uwierzyć, by za jej zachowaniem stało coś innego niż miłość do babki.

Dom Anny znajduje się po prawej stronie alei, trzy rezydencje dalej – tworzą go proste linie i czerwona cegła. Ten dom od początku należał do pani Liesel, ale kiedy cała rodzina wyjechała do Jutlandii, nie chciała się z niego wyprowadzać. Gdy pani Liesel wskazuje na niego palcem, uważnie obserwuję twarz Annemette i zduszam w sobie nikły płomyk nadziei, że go rozpozna – że dziewczyna, która zrodziła się z morskiej piany, naprawdę jest moją przyjaciółką z dzieciństwa. Ale jeśli Annemette rozpoznała rezydencję, nie widać tego po jej twarzy.

– Jesteśmy, babciu – mówi Annemette czystym i słodkim głosem.

Wspólnie przechodzą po drobnych kamyczkach, nim stają przed frontowymi drzwiami.

– Dziękuję ci, dziecko, moja Anneke. – Opiera laskę o próg i otwiera drzwi. – Napijmy się portwino i porozmawiajmy o twoich wyprawach. Chcę usłyszeć wszystko ze szczegółami, zwłaszcza historie o chłopcach, którzy ustawiają się w kolejce, by poprosić cię o rękę.

Annemette śmieje się delikatnie.

– Dobrze, babciu, wszystko ci opowiem. Ale czy może to trochę poczekać?

Mam już plany z Evie.

– Och, ty i Evie zawsze trzymacie się razem. Dwie ryby w całym morzu.

Syn Asgera zawsze chciał się z wami bawić, lecz widocznie nawet sam księżę może okazać się piątym kołem u wozu. – Chichocze pod nosem.

– Zgadza się, babciu. – Annemette lekko klepie panią Liesel po ramieniu i w końcu całkowicie uwalnia się z uścisku staruszki. Jednakże ta wolność trwa tylko sekundę, nim pani Liesel ponownie łapie ją za dłoń.

– Ale uważaj na tę dziewczynę, Anneke. Podąża za nią ciemność. Czarna śmierć. Martwe strzeble unoszą się wokół jej stóp. – Annemette napotyka mój wzrok, a ja nie wiem, co powiedzieć. – Ta mała wiedźma sprowadzi na ciebie śmierć, jeśli nie będziesz ostrożna.

Rozdział 20

Nie jesteśmy nawet jeszcze poza terenem rezydencji, gdy nagle Annemette łapie mnie za rękę i zaciąga między drzewa rosnące obok królewskiego ogrodu z tulipanami.

– Gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy, nazwałaś mnie Anną. Ciocia Hansa też wspomniała o jakiejś Annie. Teraz ta kobieta upiera się, że jestem jej wnuczką. Co to za dziewczyna? Skąd ją znasz?

– Znałam. Nie żyje.

Spojrzenie Annemette łagodnieje.

Przełykam ślinę, ale nie odwracam wzroku. W końcu mam okazję powiedzieć jej to, co przez te kilka dni podpowiadał mi głos z tyłu głowy, dlatego bez wahania dodaję:

– Myślę, że byłaś nią, nim zostałaś syreną.

Unosi brew.

– Co masz przez to na myśli? Coś jak wędrówka dusz? Jak się nazywa to, w co wierzą ludzie z dalekich lądów... reinkarnacja?

– Nie, nie reinkarnacja... *osoba*, którą byłaś wcześniej. Osoba, z której cię stworzono.

– Stworzyli mnie rodzice – oznajmia stanowczo. – Nie można stworzyć syreny w inny sposób.

– Ale co jeśli jednak można? – Wyszarpuję dłonie z jej uścisku i tym razem to ja łapię ją za nadgarstki. – Zdaję sobie sprawę, że to szalony pomysł, ale moja najlepsza przyjaciółka, Anna Liesel Kamp, utonęła cztery lata temu.

Wyglądała dokładnie jak ty, tylko młodziej – blond włosy, ciemnoniebieskie oczy, piegi na nosie. Inne rzeczy też się zgadzają. Kochała śpiewać. Była bardzo energiczna. Była...

– Evie, ile blondynek widziałyśmy w ciągu ostatnich kilku dni. Sto?

Tysiąc? Pewnie nawet Malvina ma trzy siostry o jasnych włosach. W Havnestadzie jest więcej blondynek niż na dnie oceanu. Ile dziewczyn ma tu

niebieskie oczy? Ile z nich lubi śpiewać? Albo ma cięty język?

– Wiem, ale...

– To nie dowód, tylko zwykły zbieg okoliczności. – Annemette uwalnia się z mojego uścisku i wskazuje na tłum ludzi na plaży. – Ci wszyscy ludzie na pewno pamiętają Annę, ale z wyjątkiem tej staruszki, twojej cioci i ciebie, odkąd tu jestem jeszcze nikt mnie z nią nie pomylił.

– Bo myślą, że *nie żyjesz!*

Annemette opuszcza ręce do boków, zaciskając dłonie w pięści. Przyznaję, że zawładnęła mną frustracja i już nie kontroluję tego, jak głośne są moje słowa. Nie wiem, czy je wykrzyczałam, czy wyszeptałam. Wiem tylko, że w tej chwili na twarzy Annemette zamiast irytacji maluje się troska. Otwieram usta, by powiedzieć, że Nik i Iker też dostrzegają te same podobieństwa, ale mnie uprzedza.

– Myślisz, że nią jestem... cały ten czas myślałaś...

– Na początku tak myślałam, ale później zmieniłam zdanie. To z tobą się zaprzyjaźniłam, Annemette, ale czy w głębi serca wciąż miałam nikłą nadzieję – wciąż *wierzyłam* – że jesteś Anną? Oczywiście, że tak!

W chwili, gdy słowa opuszczają moje usta, zdaję sobie sprawę, jak bardzo ta nadzieja do tej pory wpływała na to, co robiłam. Nie tylko wyobrażałam sobie, jak wyglądałaby alternatywna wersja wydarzeń, gdyby Anna wciąż żyła; naprawdę wierzyłam w tę wizję. Wierzyłam, że staje się ona rzeczywistością.

Obniżam ton głosu i odwracam się tyłem do ogrodu z tulipanami.

– Anna utonęła. Jej ciało nigdy nie zostało odnalezione. I nagle, pewnego dnia, ty wyłaniasz się z tych samych wód i wyglądasz dokładnie tak, jak ona.

Co miałam sobie pomyśleć?

Annemette ma spięty wyraz twarzy, zaciśnięte usta i zamknięte oczy, a jej jasne włosy zasłaniają policzki, dlatego nie widzę, czy spływają po nich łzy.

Zdaję sobie sprawę, że zastanawia się nad odpowiedzią, ale nie mogę znieść tej ciszy.

– Jak dobrze pamiętasz swoje dzieciństwo? – pytam. – Pamiętasz cokolwiek? Co robiłaś pięć lat temu? Dziesięć? Masz jakiegoś przyjaciela z dzieciństwa?

Gdy Annemette w końcu otwiera oczy, widzę w nich gniew, choć ton jej głosu jest w miarę spokojny, a jej słowa w żaden sposób nie stanowią odpowiedzi na moje pytania.

– Przykro mi z powodu twojej straty, Evie, ale nie jestem twoją przyjaciółką. Nie jestem nią. Jestem Annemette. – Nagle obniża ton głosu, w którym pobrzmiwa teraz ból. – Poza tym twoje marzenie nie może się spełnić dokładnie z tego samego powodu, dla którego tu jestem.

– Co masz na myśli?

W jednej chwili przybliżyła twarz do mojej, zaciska zęby ze złością i lekko rozszerza nozdrza.

– W przeciwieństwie do was, ludzi, syreny nie mają duszy, Evie. Nie mogłam powstać z kogoś, kto ją posiadał. Twoja przyjaciółka Anna jest teraz w lepszym miejscu, a nie w ciele, które wkrótce zmieni się w morską pianę.

Każde jej słowo boleśnie uderza mnie jedno po drugim, niemal całkowicie gasząc tłący się w środku płomyk nadziei. Raptem w mojej głowie rozbrzmiewają powiedzenia cioci Hansy: *Jedyną rzeczą, której magia nie zna, są jej granice*. Wszystko jest możliwe. Otwieram usta, by powiedzieć coś więcej, by zaprzeczyć temu, co właśnie usłyszałam, ale Annemette unosi dłoń.

– Przestań, Evie. Przestań. Jedynie robisz sobie krzywdę.

Wpatruję się w nią. Czy ona naprawdę jest Anną? Lecz nagle w mojej głowie rozbrzmiewają jej słowa sprzed chwili. *Twoje marzenie nie może się spełnić dokładnie z tego samego powodu, dla którego tu jestem*. Czuję, jak krew w moich żyłach zaczyna się gotować.

– Dlaczego tu jesteś? – pytam, przyglądając jej się ze zmrużonymi oczami.

– Co masz na myśli? Jestem tu, bo kocham Nika – odpowiada.

– Nie. – Potrząsam głową. – Jesteś tu dla duszy, prawda? Nieważne czyjej.

To był twój plan od samego początku? Sprawić, że Nik się w tobie zakocha, pocałuje cię, a w rezultacie ty skradniesz jego duszę? To jakaś chora gierka? – Moje serce bije tak mocno, że ledwo słyszę własne słowa.

Jej oczy łagodnieją.

– Nie, Evie. Źle mnie zrozumiałaś. Kocham Nika. I tak, jeśli się we mnie zakocha i mnie pocałuje, przekaże mi część swojej duszy. Będę mogła żyć w ludzkim ciele i pozostanę człowiekiem już na zawsze. Niemniej jednak to poświęcenie nie różni się niczym od tego, jak ty sama ofiarowujesz część siebie jemu i wszystkim ludziom, na których ci zależy. Ja nie mogę tego zrobić, ale moim zdaniem pragnienie, by ktoś tak się dla mnie poświęcił, nie jest niczym złym.

Moje serce zwalnia, choć jednocześnie zaczynam brać szybsze i płytsze

oddechy. Jak mogłam powiedzieć coś takiego? To było okropne. Annemette chwyta moje dłonie i zamyka mnie w ramionach, a morski zapach jej włosów działa na mnie uspokajająco. Podnoszę wzrok, gdy słyszę niosący się kamienną uliczką stukot butów i moim oczom ukazują się zmierzający ku nam Iker z Nikiem. Odsuwam się od Annemette, pewna, że moja twarz wygląda jak jej – z rumieńcem na policzkach i zaczerwienionymi oczami.

– Uśmiechnij się – mówię. – Nasi książęta czekają.

Annemette łapie mnie za ramię, unosząc kąciki ust.

– Dziękuję, Evie.

Powiedziawszy to, odwraca się i biegnie w stronę chłopców, a po chwili wpada w ramiona Nika i bierze od niego różę, którą dla niej przyniósł. On też się przebrał; zastąpił ubłocone buty oraz przepocone ubrania niemal identycznym, lecz czystym i suchym zestawem.

– Nie mogliśmy was nigdzie znaleźć i już myśleliśmy, że wsiadłyście na któryś ze statków i odpłynęłyście.

Iker puszcza nam oczko.

– Cóż, *on* tak pomyślał. Ja od początku wiedziałem, że nie jesteście aż tak nierozsądne.

Podaje mi czerwonego tulipana, a ja natychmiast wpadam mu w ramiona i wdycham bijący od niego zapach soli, limonek i morza, mimo że również ma na sobie świeże, wykrochmalone ubrania.

Nik zerka na uliczkę z rezydencjami, na końcu której stoi dom Anny. Jego wzrok chwilowo zawiesza się na czerwonej cegle, po czym przenosi go na mnie.

– To był niegdyś dom naszej przyjaciółki – oznajmia Nik, wskazując podbródkiem na rezydencję. – Evie powiedziała ci o Annie?

Annemette kiwa głową.

– Przed chwilą spotkałyśmy jej kochaną babcię. Biedaczka myślała, że jestem jej wnuczką.

Delikatnie muska kciukiem jej policzek.

– Przyznaję, że jesteś podobna do naszej przyjaciółki, ale biorąc pod uwagę fakt, że w ciągu tych wszystkich lat pani Liesel już każdego – łącznie ze mną – wzięła za Annę, raczej nie powinnaś się tym przejmować.

Nik i ja śmiejemy się nieznacznie, a reszta dołącza do nas, choć wciąż trudno nam rozmawiać o Annie. Mimo że kłótnia z Annemette wyczerpała mnie psychicznie, wciąż nie mogę zdusić w sobie nadziei, że gdzieś w głębi

niej tkwi moja dawna przyjaciółka. Czuję to w kościach. W sercu. Wiem, że mam rację.

Naprawdę nią jest.

Jutrzejszy dzień nie może być jej ostatnim. Jeśli Nik nie będzie mógł – lub nie będzie chciał – pomóc mi spełnić jej marzenia, znajdę inny sposób.

Cztery Lata Wcześniej

Bohater znacznie urósł. Utrudniało mu to wchodzenie drzwiami we wszystkich budynkach oprócz pałacu. Przebywanie pod pokładem statków jego ojca było zdecydowanie najgorsze, co mogło wydawać się nieco ironiczne, biorąc pod uwagę tętniącą w jego żyłach krew wikingów.

Nie widział się z nią od tygodnia. Cały tegoroczny Lithasblot spędziła zatopiona w kocach i rozpaczy. Przed rozpoczęciem festiwalu odwiedzał ją każdego wieczora; przychodził do pokoju wypełnionego butelkami i zapachem kadzideł świadczących o ciężkiej pracy cioci Hansy. Nigdy przedtem do niej nie przychodził – zawsze to ona składała mu wizyty. Miał wrażenie, jakby jej dom należał do innego świata – i w pewnym sensie tak było.

Od tragedii minęło już kilka tygodni, właśnie zaczynał się wrzesień.

Jednakże ona wciąż nie wychodziła na zewnątrz, jakby serce nie pozwalało jej opuszczać własnego pokoju.

Tego popołudnia była w lepszej formie. Siedziała na łóżku oparta plecami o ścianę i we wpadającym przez okno nikłym świetle czytała jakąś starą księgę. Podniosła wzrok, gdy przeszedł przez próg, pochylając głowę, by nie uderzyć czołem w futrynę, i usiadł na krańcu jej łóżka, nie zważając na maniery, jakie nieustannie wpajała mu matka na temat relacji damsko-męskich.

– Jak wygląda świat na zewnątrz?

– Żywo?

Wzdrygnęła się. Nie mógł jej za to winić, sam też prawie się wzdrygnął.

Za każdym razem, gdy ktoś nazywał go bohaterem, ponieważ uratował życie siedzącej przed nim przyjaciółki, czuł ucisk w żołądku na myśl, że wciąż jednak nie był wystarczająco dzielny. Mieszkańcy widzieli, jak Iker wyciąga go z wody. To on go powstrzymał, ale wszyscy i tak zakładali, że zawiódł.

Wszyscy, łącznie z Evie. Widział to w jej oczach, widział czający się w nich

mrok.

Widział w nich również poczucie winy. Wypełniało pustkę pozostawioną po Annie i było równie przytłaczające i uparte co jedenastoletnia dziewczyna. On obwinał się za to, że nie dał rady jej uratować, lecz ona wyrzucała sobie, że naraziła Annę na niebezpieczeństwo. Niektórzy mieszkańcy nawet wyrażali rozczarowanie, że uratował córkę rybaka zamiast friherrindy. Był bohaterem, ale w ciemnych zakątkach Havnestadu dało się słyszeć konspiracyjne szepty mówiące, że jest również zdrajcą własnej klasy społecznej.

– Tak samo jak ty, Evie. Jesteś tu. A za tymi ścianami jest cały świat.

By podkreślić swoją rację, wszedł głębiej do pokoju. Patrzyła na niego, jakby zaraz miał przebić się przez sufit, ale jedynie podszedł do okna i odsunął zasłony, przez które wpuścił nieco oślepiającego, białego światła.

Dziewczyna zamrugała kilka razy, po czym zamknęła oczy. Chciał coś powiedzieć, ale czekał, aż w końcu jego przyjaciółka na niego spojrzy.

– Świat jest tuż za tym szkłem. Tęskni za tobą.

– To nieprawda. – I rzeczywiście mogła mieć rację. Ale nie obchodził go cały świat. To on za nią tęsknił.

Zajęło mu to jeszcze cztery wizyty, zanim w końcu wyciągnął ją z domu.

Unikali plaży oraz zatoki, i trzymali się głównych uliczek – tak na dobry początek. Opiekował się nią najlepiej, jak mógł; kupował przyjaciółce bułki z miodem i słoną lukrecję, próbując przekazać jej całą radość, jaką tętniło to letnie popołudnie. Jednakże mieszkańcy wciąż świdrowali ich wzrokiem. W każdej uliczce i w każdych drzwiach widniała para oczu, która patrzyła na nich z wyrzutem.

– Zachowuje się, jakby to ona była ofiarą.

– Morze zabiera tyle, ile daje; tak to już jest, złotko.

– Uratował ją sam książę i nawet nie zaszczyci nikogo uśmiechem.

Evie wbijała wzrok w kamienną uliczkę. Nie było mowy, by mogła cieszyć się słońcem, będąc pod ostrzałem tych spojrzeń – nawet, jeśli bohater szedł tuż obok.

Dlatego ją stamtąd zabrał.

Chwytał ją za nadgarstek i zaprowadził w stronę gór, po czym oboje wspięli się na górę wijącym się szlakiem Przełęczy Lille Bjerg.

Na końcu szlaku, z dala od brukowanych uliczek, znalazł sztywną kłodę.

Leżała w miejscu z widokiem na pola uprawne, które wypełniały rozciągającą się poniżej dolinę, oraz morze, będące źródłem ich ostatnich

kłopotów i rozterek. Nigdy wcześniej nie spędzali czasu w ten sposób. A przynajmniej odkąd oboje byli dziećmi, choć nawet wtedy praktycznie zawsze towarzyszyła im Anna.

Chwycił papierową torbę ze słoną lukrecją i podał jej ją z uśmiechem.

– Słona lukrecja na gorzkie myśli?

Nawet nie tknęła torby.

– Wiedziałam, że tak zareagują. – Wskazała za rysujące się za nią miasto.

Nie było sensu zaprzeczać – sam widział i słyszał reakcję mieszkańców.

Kiwnął głową.

– Zachowywali się tak samo jak po śmierci mojej matki, gdy mój tata zabrał mnie na rynek po produkty spożywcze, ponieważ ciocia Hansa wyjechała na kilka dni.

Bohater wiedział, że miała wtedy sześć lat. Dość, by zachować w głowie trwałe wspomnienia z tego czasu. Odwróciła od niego wzrok i spojrzała na skąpane w promieniach słońca pastwiska.

– Chciałabym zakraść się na statek i uciec stąd, nie oglądając się za siebie.

Chcę być sobą... – Zamierzała powiedzieć coś jeszcze, ale w tej samej chwili jedną dłonią złapał ją za rękę, a drugą zgarnął słodycze.

– W takim razie chodźmy do doków. Teraz, w tej chwili.

Pobiegła razem z nim, a z każdym krokiem jej entuzjazm rósł.

– Gdzie płyniemy? Do Kopenhagi? Sztokholmu? Oslo? Amsterdamu?

Brighton? Powiedz, gdzie chciałabyś teraz być!

– Wszędzie, byle jak najdalej stąd.

– Jak sobie życzysz.

Tego dnia dziewczyna i bohater przemierzyli cieśninę i wpłynęli do Zatoki Rigeby. Ciotka, wuj i kuzyn bohatera byli na początku zaskoczeni – zarówno ich wizytą, jak i tym, że przyплыnęli sami – lecz i tak powitali ich obiadem.

Jego matka była wściekła, gdy dwa dni później wrócił do zamku ubrany w strój, który pożyczył mu kuzyn – luźny w ramionach i z za krótkimi rękawami.

Wciąż jednak wspominał czas, jaki tam spędzili – Evie, Iker i on, cała ich trójka po drugiej stronie cieśniny. Nie przestawał o tym myśleć nawet, gdy jego rodzice zabrali go do królewskich komnat, z dala od uszu służących, by przebrać go w jego własny strój.

Spacery po plaży z hvidtølem (którego wtedy spróbował pierwszy raz w życiu), mrozące w żyłach morskie opowieści jego kuzyna i unoszące przez morską bryzę włosy Evie. Od śmierci Anny nie spędzali ze sobą czasu w ten

sposób. Jego kuzyn wypił na tyle dużo hvidtølu, że zaczął się chwiać, podczas gdy bohater przestał na jednym kieliszku.

– Masz dwanaście lat i jesteś dziedzicem, co ty sobie myślisz?

Całą trójką poszli nawet do lasu zebrać sok z drzew na syrop, zatapiając się w cieniach gęściejszych niż kłębiące się na niebie chmury.

– W Havnestadzie masz obowiązki względem swoich poddanych i swojego ojca. Jesteś za stary na takie ucieczki. Zbyt mądry i zbyt ważny, by dać się ponosić takim zachciankom.

Patrzył na jej uśmiech i okruszki na ustach, gdy królowa karmiła ją maślanymi ciastkami, by nieco ją utuczyć.

– Evelyn to urocza dziewczyna, ale za bardzo ci na niej zależy. Uwierz mi, gdy mówię, że spędzanie z nią czasu źle się dla ciebie skończy.

Jego kuzyn osobiście zabrał ich z powrotem do Havnestadu. Kazał swojemu opiekunowi zejść pod pokład, podczas gdy cała ich trójka wspólnymi siłami zajęła się sterowaniem łodzi.

– Nik, słuchaj, gdy do ciebie mówię. Ja też kiedyś byłam młoda. Wiem, jak to jest zakochać się w kimś, z kim nie możesz być.

W końcu zamrugął i skupił wzrok na królowej.

– Ona jest moją przyjaciółką, matko. – Ale wiedział, że te słowa nie brzmiały przekonująco i w najmniejszym stopniu nie oddawały tego, co naprawdę czuł do dziewczyny.

– Myślę, że powinieneś przestać się z nią widywać. Dla swojego dobra. To jedyne spo...

– Nie! – krzyknął bohater.

– Daj mu spokój – powiedział jego ojciec, wychodząc z cienia komnaty.

– Evelyn to dobra dziewczyna. Ani ja, ani Nik, ani ty, moja droga żono, nie bylibyśmy tu, gdyby nie Hansa. Mogą być przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi.

Mam rację, synu?

Bohater kiwnął głową.

– Tak, ojcze.

Rozdział 21

Gdy nadchodzi czas na oficjalne zakończenie dzisiejszych zabaw, słońce już chowa się za horyzontem, rzucając na plażę ostatnie, złote promienie. Pijany hvidtølem tłum drży z ekscytacji, niecierpliwie wyczekując wielkiego finału – mistrzostw w przenoszeniu skały. Swąd spoconych ciał miesza się z wonią królewskiego wina i ciężkim zapachem świeżo usmażonego torska.

Razem z Annemette obrałyśmy sobie za cel to, co zostało z półmiska owoców i sera – winogrona, kilka plasterków chleba żytniego oraz porcji samsø i sera Havarti, który jakimś cudem nam wcześniej umknął. Dzielimy się również filiżanką herbaty z miodem, która skutecznie koi moje nerwy.

Iker z Nikiem rozgrzewają się razem z konkurencją, między innymi kilkakrotnie przebiegając wyznaczoną trasę, która ma sto jardów długości.

Wśród uczestników obecnych jest sześcioro zwycięzców dzisiejszych dyscyplin, gotowych dodać do swojej kolekcji jeszcze jedną wygraną po przejściu dwóch eliminacji. Księżęta, oczywiście, są automatycznie kwalifikowani do ostatniej rundy. Nik nie cierpi specjalnego traktowania, ale jako że ludzie cieszą się na widok jego udziału w dyscyplinie, nie protestuje.

Skały, które mają nieść, leżą na plaży obok miejsca, gdzie siedzimy. Są ciężkie; każda z nich waży około pięciu kamieni, choć różnią się rozmiarem.

Johan Olsen również przygotowuje się do udziału w wyścigu. Nik miał rację: jego wygląd rzeczywiście robi wrażenie. Jest tak wysoki, że z łatwością może konkurować ze wzrostem Nika i siłą Ikera. Najstarszym z finalistów jest ojciec Malviny, Greve Leopold Christensen. Jego córki siedzą po naszej stronie areny. Malvina udaje, że nas nie widzi, a uwagę skupia jedynie na swoim ojcu albo na trzymanym w dłoniach cieście. Pozostałych czterech uczestników to rybacy, których często widuję rano w dokach – mają około dwudziestu lub trzydziestu lat.

– Co jeśli któremuś z nich skała spadnie na stopę? – pyta Annemette, patrząc, jak Nik przygotowuje się do startu, raz za razem podrywając skałę z ziemi. Odkąd chłopcy się od nas odłączyli, prawie w ogóle się nie odzywała.

– Znowu ją podnoszą.

– I co wtedy? Idą do domu z uszkodzoną stopą?

– Najprawdopodobniej. – Śmieję się, choć to okrutne. – Nie martw się, Mette. Nik nie robi tego pierwszy raz. Tak się składa, że zeszłym roku wygrał tę konkurencję. Na pewno będzie w stanie zatańczyć z tobą na dzisiejszym balu.

Niestety oznaczało to, że będzie w stanie tańczyć również ze wszystkimi konkurentkami, które godzinę temu przyplłynęły do Havnestadu na pokładzie parowca tak wielkiego, że mógłby rywalizować ze statkiem króla. Dzisiaj doki były zapełnione przez dziewczęta, ich opiekunki oraz, w niektórych przypadkach, również ich rodziców, a każdy z nich posiada swój tytuł – księżę, markiz, hrabia, baron i wiele innych.

To przytłaczające. Jakby tego było mało, ci wszyscy ludzie goszczą teraz w zamku; zajmują przestrzeń swoimi bagażami, nieprzerwanie składają żądania pałacowej obsłudze oraz nie odstępują królewskiej pary na krok. Król Asger znosi to z kamiennym wyrazem twarzy, ale za to królową Charlotte wyraźnie cieszy bycie w centrum uwagi. W tej chwili lawiruje między dziewczętami, jakby każda z nich była jednym z tulipanów, jakie hoduje w swoim ogrodzie.

Nik, jak zwykle, zachowuje się jak na dżentelmena przystało i powtarza imiona podchodzących do niego panien, po czym całuje dłoń każdej z nich, jednak mimo to udaje mu się kilkakrotnie spojrzeć ukradkiem w stronę Annemette. Iker, jak to Iker, jest głośny, wszechobecny i dostojny, ale widzę w jego oczach, że nie wkłada serca w tę farsę.

Odwracam od niego wzrok, czując, że w końcu mogę być pewna uczuć Ikera. Annemette z kolei, nie przestaje obserwować pochłoniętych w rozmowach ludzi. Zwłaszcza królowej.

– Jak myślisz, jakie królowa ma o mnie zdanie? – Annemette przenosi na mnie wzrok. – Póki co była uprzejma w stosunku do mnie... ale teraz widzę, że każdą z tych dziewcząt traktuje w ten sposób. – Zniża głos niemal do szeptu. – Poza tym musiałyby być głucha, żeby nie usłyszeć krążących po mieście plotek... Malvina z pewnością nie jest jedyną osobą, która zauważyła, jak dużo Nik spędza ze mną czasu.

Uśmiecham się w odpowiedzi, wiedząc z doświadczenia, że ma całkowitą rację. *Wierz mi, wszyscy to zauważyli.*

Jako że wyścig za chwilę ma się rozpocząć, królowa Charlotte zmieniła

miejsce, żeby obserwować wszystkich uczestników, ale ja wiem, że tak naprawdę wyszukuje wśród nich Nika, chcąc po raz ostatni życzyć mu powodzenia.

– Jej syn jest jej całym światem. Dlatego chce, by poślubił właściwą wybrankę.

Annemette zaciska dłoń na moim ramieniu. Odwracam się w jej stronę i widzę w jej oczach gniew.

– Właściwą wybrankę? Wiem, że wcześniej się pokłóciłyśmy, ale nie musisz być aż tak okrutna, Evie. Mam takie same szanse jak wszystkie pozostałe dziewczęta.

– Nie to miałam na myśli, Mette, przysięgam. Jedynie stwierdziłam fakt.

Jeśli chcesz go zdobyć, a dobrze wiesz, że cię w tym wspieram, musisz zrozumieć sytuację Nika. Jego matkę trudno zadowolić. – Zniżam głos do szeptu. – Twój ojciec jest królem. Myślisz, że ucieszyłyby się, gdybyś sprowadziła do domu pierwszego lepszego chłopaka?

Wściekłość opuszcza jej twarz.

– Cóż, nie...

Nagle Annemette blednie.

– W takim razie nie ma znaczenia, czy tu zostanę... w końcu i tak dowie się, że nie mam prawa do tytułu, jakim się przedstawiam... – Przygląda się konkurentkom; każda z nich ma na sobie piękne suknie z jedwabiu, a we włosach wstążki. – W przeciwieństwie do tych dziewcząt.

– Nie powiedziałam, że ostateczna decyzja należy do niej. – Czekam, aż przenosi wzrok z powrotem na mnie, po czym przywołuję na usta delikatny uśmiech. – Jeśli Nik jest w tobie zakochany, będzie o ciebie walczył.

Niemniej jednak nie zaszkodzi zrobić na królowej dobre wrażenie. Podczas balu będziesz musiała pokazać zarówno jej, jak i tym dziewczętom, z jakiej gliny cię ulepiono.

Annemette śmieje się.

– Och, z pewnością to zrobię.

Wszelkie rozmowy ucina nagły ryk konchy⁶ oznaczający rozpoczęcie wyścigu. Obracamy głowy w kierunku kłębiącego się piachu i ciał, które w jednej chwili puszczają się biegiem wzdłuż wyznaczonej trasy. Iker już zdążył wyjść na prowadzenie, lecz Nik i Johan depczą mu po piętach. Ku zdumieniu wszystkich, Leopold Christensen jest czwarty, nadrabiając wiek

doświadczeniem zdobytym w poprzednich latach.

Zrywamy się na równe nogi razem z resztą publiczności, zaciskamy z przejęciem dłoń w pięści, i krzyczymy ponad rykiem widowni:

– Dalej, Nik!

– Biegnij, Iker!

I po mojej prawej:

– Johannnnnn!

Po drugiej stronie areny Malvina i jej siostry unoszą dłonie nad blondwłosymi głowami i wołają:

– Papa! Papa! Papa! Papa! Papa!

Gdy przebiegają linię mety, w pierwszej chwili panuje cisza. Jednak po sekundzie powietrze przecina odgłos wiwatów, a król i królowa biją brawo.

Nik unosi ręce nad głową. Wskakuje na swoją skałę, klaszcze i macha do publiczności.

Zwycięstwo należy do niego.

Pozostali uczestnicy zbierają się wokół Nika i przybijają mu piątkę albo klepią go po plecach tak mocno, że na moment traci równowagę. Iker podchodzi do kuzyna jako ostatni; ściąga go ze skały i zamyka w niedźwiedzim uścisku, a następnie podnosi go z ziemi i biegnie z nim z powrotem do linii startu.

W powietrzu słychać pisk dziewcząt i śmiech widowni. Tłum jest tak gęsty, że dotarcie do dwójki kuzynów zajmuje nam kilka minut. Obaj walczą o oddech, stojąc z dłońmi opartymi na biodrach, a po ich czołach spływają krople potu. Iker odnajduje mój wzrok i pośpiesznie zaczerpuje tchu, by powiedzieć:

– W przyszłym roku go pokonam. Co za łajdak.

Nik wciąż oddycha z trudem, dlatego zamiast odpowiedzieć, jedynie potrząsa głową.

– Mało brakowało – przyznaje Annemette, a policzki ma rozpalone z podekscytowania.

– Myślę, że to twoja uroda go zmotywowała, Annemette. W końcu pędrak musiał ci czymś zaimponować.

Słyszając to, krzywię się nieznacznie.

– Chcesz powiedzieć, że ty już nie musisz mi niczym imponować?

– Wręcz przeciwnie. – Pochyliła się w moją stronę, a ja czuję na uchu jego gorący oddech. – Właśnie miałem zamiar zaimponować ci dzisiaj w inny

sposób.

Nim udaje mi się przewrócić oczami – lub go spoliczkować – Nik odciąga Ikerą z dala ode mnie i odzyskuje głos.

– Iker, jeśli chcesz mieć dziś wolny wieczór, sugeruję, byśmy już się zbierali. – Nik wskazuje podbródkiem na schody, po których schodzi grupa dziewcząt z kokardami we włosach oraz sama królowa.

– Słuszna uwaga, kuzynie. – Iker łapie mnie za rękę, po czym popycha lekko Nika w przeciwnym kierunku do zbliżających się kobiet. – Prowadź.

Rozdział 22

Rzucam się na piasek w Zatoce Havnestadu.

Powyżej widzę migoczące na niebie gwiazdy oraz księżyc w pełni, rzucający na wody zatoki jasne, choć subtelne światło w tę oto czwartą noc Lithasblotu, kąpiąc w swojej srebrnej łunie wszystko, czego udaje mu się dosięgnąć.

Iker kładzie się obok mnie. Przytulam się do jego piersi, dlatego jedyne, co widzę, to zarys jego pokrytego nikłym zarostem podbródka, śmiejące się oczy i rozjaśnione słońcem małe loczki przy skroniach. To idealna chwila, lecz mimo to moja uwaga koncentruje się na drugiej stronie skalnej ściany. Tam, gdzie obecnie przebywają Nik z Annemette. Dziewczyna śpiewa pieśń, a jej nieziemski sopran wzbija się ku gwiazdom.

Proszę, Nik, pocałuj ją.

Ku mojemu niezadowoleniu głos Annemette przypomina mi o dniu, w którym straciłam Annę. Śpiewaliśmy tę piosenkę na chwilę przed tym, jak zanurkowałyśmy w morzu. Nagle słyszę w głowie słowa pani Liesel: *Podąża za nią ciemność. Czarna śmierć. Martwe strzeble...* Nie. Zduszam w sobie te myśli, nim całkowicie zatruwają mój umysł. Minęło zbyt dużo czasu, bym dalej miała się obwiniać za tę tragedię oraz konsekwencje, jakie za sobą pociągnęła. Nie potrzebuję więcej zmartwień.

Przenoszę wzrok na Ikera. Mówi o naszej przyszłej wyprawie. Miastach, które odwiedzimy i morskich stworzeniach, jakie upolujemy. Najwyraźniej nie tylko ja do tej pory pogrążałam się w fantazjach.

– Co sądzisz? – pyta, chwytając mnie delikatnie za podbródek i przekrzywiając moją głowę, by spojrzeć mi w oczy.

– O czym? – odpowiadam.

– Hirsholmene czy Port Voerså?

– Och, zdaję się na ciebie – mówię.

– O co chodzi, Evie? Nie chcesz tego? – Wrażliwość w jego głosie jednocześnie mnie zadziwia i w pewnym sensie pokrzepia.

– Oczywiście, że chcę – zapewniam go. – Po prostu zastanawiam się, co powiedzieć ojcu i cioci. Sam wiesz, że to może nie być takie łatwe.

– Powiedz im, że pewien książę chce cię porwać. To powinno wystarczyć.
– Iker przybliżyła twarz do mojej, aż niemal muska ustami moje wargi.

– Gdyby tylko było to takie łatwe – szepczę. W końcu zamyka odległość między nami, a ja rozkoszuję się jego obecnością. Muska kciukiem moją kość policzkową, a następnie przesuwają się lekko i chwyta moją twarz w dłonie.

Nasze oddechy mieszają się ze sobą. Zamykam oczy, odpychając od siebie wszystkie zmartwienia i całkowicie zatracając się w pocałunku.

Annemette pada na łóżko, rozrzucając wokół głowy złote fale, a w świetle świeczki widać podskakujące na pościeli ziarenka piasku. Ja z kolei siadam przy toalecie i też próbuję strzepać z siebie pozostałości naszego pobytu na plaży. Jednak coś jest nie w porządku. Annemette ma łzy w oczach, a jej twarz jest biała jak prześcieradło.

– Co się dzieje? – pytam. – Opuściliśmy plażę, gdy po waszej stronie zrobiło się cicho. Myślałam, że może...

Przesuwa dłońmi po bosych stopach, krzywiąc się z bólu.

– Potrzebujesz czegoś? Istnieje jakieś zaklęcie, dzięki któremu nie będą cię boleć nogi? Może znajdę coś w księdze Hansy. Czeka, zaraz poszu...

Lecz nagle Annemette podnosi wzrok, a ja widzę, że to nie nogi sprawiają jej ból.

– Zawiodłam, Evie. Nie uda mi się. Wiem to!

Przełykam z trudem ślinę, ponieważ w głębi serca obawiam się, że może mieć rację. Ta myśl dręczyła mnie cały dzień.

– Wciąż mamy jeszcze jutrzejszy dzień – mówię, starając się podtrzymać ten płomyk nadziei. – Nie możesz się poddać, Mette.

Ale w odpowiedzi tylko kręci głową, jakbym swoim uporem jedynie pogorszyła sprawę.

– Syreny nie wychodzą na ląd. Nie powinnam była tego robić! Jak mogłam być taka głupia?

Czuję, jak po policzkach spływają mi łzy. Zaciskam gardło, by powstrzymać szloch i przenoszę wzrok na Annemette – na jej zagubiony wyraz twarzy i opuchnięte, suche oczy. Nagle przypominam sobie, że nie potrafi płakać.

Nie ma duszy, więc nie może uronić łez. Co to za życie?

Ale jeśli nam się nie uda, wcale nie będzie żyła. A czas ucieka.
Został nam jeden dzień.

Cztery Lata Wcześniej

Ta, która przeżyła, nareszcie zaczęła się czuć, jakby wciąż tliło się w niej życie.

W dużej mierze zawdzięczała to chłopcu, który wyciągnął ją na słońce, do szkoły i na wycieczkę w góry.

Jednak wciąż odczuwała różnicę.

Różnił się czas. Ludzie. Ona sama.

Zbliżała się zima, a razem z nią kończył się sezon na wieloryby, co wiązało się z tym, że teraz jej ojciec mógł spędzać czas w domu, spokojnie sącząc kawę i czytając w swoim fotelu. Rozmawialiby o wyprawach, a dziewczyna, która ocalała, zachodziłaby w głowę, co zrobić, by ułatwić życie swojemu ojcu – by kolejny rok przyniósł mu większe zyski. I co zrobić, by samej odnieść w życiu sukces i odpłynąć gdzieś daleko – jak najdalej od nawiedzających ją tragicznych wspomnień.

Spędzała czas również z ciotką; chłonęła wszelkie informacje na temat magii, którymi starsza kobieta była chętna się z nią podzielić i kradła wiedzę, którą ciotka pomijała milczeniem. Mianowicie zakradała się po cichu do jej sypialni, by wziąć ze starego kufra jedną z magicznych ksiąg. Niemniej jednak wciąż odnosiła wrażenie, jakby miała zbyt wiele do nauki i zbyt mało czasu.

Czasem przyłapywała się na tym, że patrzyła na własne dłonie, żałując, że nie potrafiła tego dnia uratować swojej przyjaciółki za pomocą magii. Ta porażka wciąż nie dawała jej spokoju.

Wciąż jednak mimo tutejszych, archaicznych zasad dotyczących magii – ustalonych przez tych samych Øldenburgów, którzy jeszcze dwieście lat temu masowo przepędzali wiedźmy z Ribe – ocalała chciała uzbroić się na przyszłość, by już nigdy nie czuć się tak bezradnie.

Wiedziała, że odwaga przyjdzie razem z doświadczeniem. Magia sama ją poprowadzi i da jej siłę.

Dlatego czytała tyle, ile mogła. Błagała ciotkę o kolejne lekcje i zaklęcia, jakich mogła ją nauczyć. Tej zimy dziewczyna znacznie poszerzyła swoją wiedzę magiczną, motywowana przez potrzebę poznania siebie oraz swoich

możliwości.

Próbowała nawet odnaleźć znaczenie słów ostatniego zaklęcia, jakie wypowiedziała jej matka. Przetrzęsła leżące w skrzyni książki, które lata temu ukrył przed nimi jej ojciec, jednak ciotka w końcu dowiedziała się o ich istnieniu i natychmiast dodała je do swojej magicznej kolekcji. Ich zakurzone okładki były już tak pomarszczone, że z powodzeniem można było je schować między fałdami pościeli i nie zauważyć różnicy między materiałami.

Tak więc wzięła się za naukę. Wieczorem w trakcie obiadu razem z ciotką ćwiczyła zaklęcia, a po wszystkim siedziała przy płomieniach kominka u stóp swojego ojca i słuchała opowiadanych przez niego historii.

Rozdział 23

Trzy godziny później tylko ja i srebrny księżyc jeszcze nie poszliśmy spać. Północ minęła już dawno temu, lecz szalejąca w mojej głowie burza myśli nie pozwala mi zasnąć. Annemette zostało jeszcze mniej niż dwadzieścia cztery godziny, ale nie mogę tak po prostu stać z boku i patrzeć, jak zmienia się w morską pianę. Tym razem nie pozostanę bezradna.

Wychodzę spod pościeli i podchodzę na palcach do swojego kufra. Otwieram go powoli. Pod halkami trzymam ametyst i fiolkę z czarnym atramentem z ośmiornicy. Wcześniej nosiłam je w kieszeni sukienki, którą miałam na sobie podczas biegu przez kłodę, i schowałam je tu, zanim oddałam kreację pokojówkom do prania – na życzenie Nika. Biorę obie rzeczy do rąk i zamykam wieko kufra, po czym ubieram się pośpiesznie i zabieram buty z miejsca obok drzwi. Zamiast włożyć je od razu, wychodzę na korytarz, czując na bosych stopach chłód, jaki bije od marmuru.

Zamykam drzwi najciszej, jak to możliwe, a następnie wychodzę do ogrodu z tulipanami. Mimo że skrzydło przeznaczone dla gości jest pełne, nie spotykam po drodze żywej duszy – ani Nika, ani Ikera. Z kolei para królewska na całe szczęście przebywa dwa skrzydła dalej.

Powietrze na zewnątrz jest ciepłe, niebo ma kolor głębokiej czerni, a księżyc znajduje się za chmurami. Nieco dalej, przy łuku wejściowym, stoi strażnik. Nie mogę pozwolić, by mnie zobaczył. Nawet nie chcę myśleć, jakie plotki chodziłyby po mieście, gdyby ktoś zauważył, że wymykam się nocą z zamku, dlatego przygotowałam się na taką ewentualność. Zaciskam dłoń na ametyście, który trzymam w kieszeni, i koncentruję się, czując jak magia zaczyna wypełniać moje żyły. Gdy już jestem gotowa, biorę atrament i wydaję z fiolki korkową zatyczkę. Moje nozdrza wypełnia zapach morza i zamieram na chwilę, zanim przytykam naczynie do ust. *Greíma*, mówię w myślach, a następnie wlewam atrament do gardła, czując jak słony płyn łaskocze mnie w język.

Wstaję powoli i czekam, aż zaklęcie zacznie działać. Jednakże nic się nie

dzieje. *Nie zadziałało*. Czuję ucisk w żołądku. Spędziłam całą noc w łóżku, w kółko ćwicząc ten czar i próbując wzorować się przy tym na Annemette. Ale wypięłam już całą fiolkę atramentu, więc nie mogę spróbować jeszcze raz.

Odwracam się, by wrócić do zamku, lecz w jednej chwili zdaję sobie sprawę, że ciało odmawia mi posłuszeństwa. Serce mi przyspiesza i czuję ogromny ciężar na klatce piersiowej. Tracę czucie w nogach, a oczy zachodzą mi mgłą.

Gdy wszędzie słońce, Nik niewątpliwie znajdzie tu moje martwe ciało – straci kolejną przyjaciółkę.

Lecz wszystko kończy się równie szybko, jak się zaczęło. Wciągam oddech z sykiem i podnoszę dłonie do twarzy, by otrząsnąć się z szoku, ale uświadamiam sobie, że są przezroczyście. *Zadziałało!* Poruszam palcami przed twarzą, lecz jedyne, co widzę, to tulipany królowej. Jestem niewidzialna – albo raczej zlewam się z otoczeniem; moje ciało i ubrania zespalają się materiałem, z którym mają styczność.

Wstrzymuję oddech, po cichu mijam strażnika i wychodzę bramą, nie oglądając się za siebie, ponieważ boję się, że jednak mnie zauważył. Gdy znajduję się już poza terenami zamku, uśmiecham się z satysfakcją i natychmiast ruszam w kierunku swojej ulicy, zatrzymując się tylko po to, by włożyć buty.

Zdejmuję je dopiero na ganku, ciesząc się, że moje kroki tłumione są jeszcze przez cienki materiał pończoch. Biorę buty w rękę, przechodzę na palcach przez próg i wchodzę do domu. W powietrzu unosi się zapach kawy, solanek cioci Hansy i atramentu z ośmiornicy. Z pokoju cioci Hansy dobiega głośny odgłos chrapania. Drzwi do sypialni ojca są otwarte, a łóżko stoi puste jeszcze do jutrzejszego wieczora. Mój pokój znajduje się naprzeciwko jego; jest zamknięty na klucz, ale to nie tam muszę wejść.

Opieram się o drzwi do pokoju cioci, czując delikatną woń suszonych płatków róż. Nie słyszę nic oprócz chrapania. Przekręcam gałkę, po czym uchylam drzwi na tyle, by precyzyjnie się do środka. Z obu stron blokuję je butami, dzięki czemu wpuszczam do sypialni nieco światła. Gdy mój wzrok przyzwyczaja się do ciemności, wchodzę do pokoju.

Ciocia Hansa leży na łóżku, oczy ma zamknięte, a rytm jej chrapania nie uległ zmianie, więc koncentruję się na celu mojej wizyty.

Jej kufrze.

Zdaję sobie sprawę, że wyższa magia przypomina handel. Że jeżeli chcę

pomóc Annemette, muszę ofiarować magii i Matce Urdzie coś w zamian – słowa, dary albo idealne połączenie obu tych rzeczy. Potrzebuję jedynie, by wiedza magiczna dała mi wskazówki co do natury tej ofiary.

Kufer cioci stoi w rogu; jego wieko przykrywa skóra z łosia, tak samo jak wtedy, gdy znalazłam tam mój ametyst – jeśli zauważyła jego brak, zachowała tę informację dla siebie. Tak samo jak to, że od śmierci Anny niemal co tydzień zakradałam się do jej pokoju i pożyczałam od niej książki, by studiować magiczne techniki, których ona nie chciała mnie nauczyć.

Ostrożnie podnoszę skórę i otwieram wieko. Zawiasy skrzypią, a odgłosy chrapania na moment zmieniają rytm. Zamieram, po czym powoli odwracam się w kierunku cioci Hansy. Przesuwa się delikatnie w stronę ściany, a słabe światło przedostające się przez drzwi do sypialni odbija się od srebrnych warkoczy, tworząc wokół jej głowy aureolę.

Gdy odgłosy chrapania wracają do normy, wracam do skrzyni i unoszę wieko wyżej, aż w końcu mogę je oprzeć o ścianę.

Zawartość kufra jest dokładnie taka, jaką ją zapamiętałam – butelki z miksturami leżą po prawej stronie, stos kamieni po lewej, a pod nimi widzę to, czego szukam.

Magiczne książki.

Wyjmuję kolejno butle i kładę je na skórze, następnie robię to samo z kamieniami. W trakcie opróżniania kufra okładki ksiąg stają się coraz bardziej widoczne.

Nie jestem pewna, która z nich będzie posiadać wiedzę dającą Annemette możliwość zostania tu na zawsze, ale jeśli mam zgadywać, jest to ta, którą ciocia trzyma na samym dnie. Wyjmuję cztery książki na szczycie – prawdopodobnie o miksturach, biorąc pod uwagę zainteresowania cioci Hansy – ukazując te o bardziej wytartych, starych grzbietach. Przybliżam twarz do zawartości kufra, aż w końcu jestem w stanie odczytać tytuły tomów.

Księga Czarów Spliid.

Wyciągam książkę i kładę ją na kolanach, czując jej ciężar, który zawdzięcza nie tylko ilości stron, ale również tłęcej się w niej mocy. Zawiera ona zaklęcia zbierane od pokoleń. Przesuwam dłonią po okładce, muskając wyryte tam kwiaty, rośliny i symbole. Zamykam oczy, biorąc głęboki oddech, a moje nozdrza wypełnia zapach starej skóry, pergaminu i

starożytnych atramentów. Czuję na karku uderzenie gorąca, to samo, które płynęło w moich żyłach, gdy Annemette nauczyła mnie rzucać zaklęcie na ostrygi – *líf*.

Księga domaga się mojej uwagi, wzywa mnie, kusi, by ją otworzyć. Jednakże nagle uświadamiam sobie, że w pokoju jest cicho. Ciocia Hansa przestała chrapać.

Zerkam przez ramię. Ciocia Hansa leży teraz na drugim boku, lecz wciąż sprawia wrażenie pogrążonej we śnie. Nie wiem, jak długo moje zaklęcie maskujące będzie jeszcze działać, ale marnuję zbyt dużo czasu. Chowam tom pod gorsetem i czuję, jak lekko przygniata mi zebra. Na materiale widać uwypuklenie, ale w razie gdybym na nowo stała się widzialna, ciemność powinna to zamaskować. Chwilę później wkładam pozostałe księgi do kufra, zachowując oryginalną kolejność, po czym biorę się za butelki i kamienie.

Właśnie odkładam ostatni kamień, gdy nagle czuję wilgoć na uchu.

– Ty wstrętna, bezczelna dziewucho. Jak śmiesz przychodzić tu w środku nocy i mnie okradać?

Odsuwam się gwałtownie, czując jak moje serce na moment zamarło, ale ciocia Hansa przysuwa twarz do mojej. Brwi ma ściągnięte, a usta wykrzywione w kwaśnym wyrazie. Jej rzymski nos i ostro zarysowana szczeka jedynie podkreśla wściekłość malującą się na jej twarzy. Wściekłość, której nigdy wcześniej tam nie widziałam i która teraz przeraża mnie jak nic innego.

– Tylko pożyczam. Jakim cudem mnie widzi...

Łapie mnie mocno za nadgarstek, przez co upuszczam kamień na ziemię.

– Z punktu widzenia właściciela, który właśnie śpi w swoim łóżku, takie pożyczanie *jest* kradzieżą.

W jej pomarszczonych dłoniach moja skóra na zmianę staje się widoczna i zlewa się z otoczeniem, aż w końcu moje blade ramię i reszta ciała odznacza się na tle otaczającej mnie ciemności niczym jaśniejący na niebie księżyc.

Zaklęcie przestało działać.

– Wiedźma zawsze potrafi wyczuć magię, która płynie również w jej własnych żyłach.

Wyrzuty sumienia ściskają mi gardło. Jej pokój to nie sklep i nie jestem na tyle niedojrzała, by tak myśleć, dlatego mówię:

– Nigdy w życiu bym cię nie okradła, ciociu. Ja tylko próbuję zrobić coś dobrego... wykorzystać twoją wiedzę w dobrym celu.

– Jeśli należy zrobić coś dobrego, sama się tym zajmę. Duma i ignorancja nie mogą nauczyć się czarować i uratować całego świata. Mogą tylko siać spustoszenie. – Wykręca palcami skórę mojego nadgarstka. – Co tu robisz?

Co planujesz?

Nie mogę jej powiedzieć. Wiem, że mi uwierzy, i właśnie w tym tkwi problem. Obiecałam Annemette, że nigdy nikomu nie zdradzę jej prawdziwej tożsamości.

– Przysięgam, próbuję zrobić coś dobrego!

– Nie. – Ciocia kręci głową. – To ma coś wspólnego z tą dziewczyną.

Dziewczyną, która cuchnie czarną magią bardziej niż żeglarz rybami.

Annemette, tak?

Nie odpowiadam. Nawet nie oddycham, ponieważ mam wrażenie, że każdy mój najmniejszy ruch mógłby wszystko zrujnować. Próbuję wstać, ale ciocia Hansa ciągnie mnie z powrotem w dół.

– Nie jesteś ślepa, dziecko. Nie jesteś też głupia, ale wciąż wierzę, że twój plan jest wstrętny i bezczelny. I myślę, że ma on coś wspólnego z tą dziewczyną. Kim ona jest? – W kącikach jej oczu pojawiają się zmarszczki, gdy niemal natychmiast się poprawia: – *Czym ona jest?*

– Ja...

– Nie ukryjesz zbyt wiele przed starą wiedźmą, Evelyn.

Nie. Nie mogę. Ale zawsze pozostaje jeszcze zmiana tematu.

– Ja po prostu nie chcę, żeby mnie opuściła.

– Samotność to najsłabszy pretekst do użycia magii, jaki istnieje, i nie łączy się dobrze z dumą i ignorancją. – Wskazuje podbródkiem na leżący obok mnie kamień. Ten, który upuściłam. – To, że mnie okradasz i odnosisz w tym sukcesy, nie sprawia, że jesteś dobrą wiedźmą. Czyni to z ciebie złodziejkę.

Świadomość, że wie o całej wiedzy magicznej, jaką brałam od niej bez pozwolenia, powinna mną wstrząsnąć, ale zamiast tego mój umysł koncentruje się na jednym słowie w jej ostatniej wypowiedzi.

Sukcesy.

To, co robiłam w dokach, działało! To była prawdziwa magia. Moja magia.

Praktykowana bez niczyjej pomocy.

Ja to robiłam.

I mogę to zrobić jeszcze raz.

Moje serce rośnie. Czuję, jak pewność siebie rozgrzewa mnie od środka.
Księga zakłęcz pali moją skórę.

Mogę to zrobić.

Mogę uratować Annemette. Jeśli jestem w stanie pokonać Tørhed i stać się niewidzialna, mogę zrobić wszystko. Potrzebuję jedynie właściwych środków.

Przyciskam usta do suchego policzka cioci Hansy, po czym wkładam kamień do jej dłoni.

– Proszę, ciociu. I przepraszam. Obiecuję, że już nigdy nie będę traktować twojej własności z takim lekceważeniem.

– Och, owszem, będziesz, dziecko. Są ci już znane. Nie można tak łatwo nauczyć się szacunku do rzeczy, którym się w przeszłości tego szacunku nie okazywało. Zapominamy o swoich granicach. – Kładzie obie dłonie na mojej twarzy i ściska policzki, bym spojrzała jej w oczy. – Tyczy się to również ludzi, których znasz.

Kiwam głową.

– Przepraszam.

– Ja również, dziecko.

Puszcza mnie, lecz dopiero, gdy wkładam buty na zewnątrz, dochodzi do mnie, że nie miała na myśli tylko siebie, gdy mówiła o ludziach, których znam.

Miała na myśli każdego, kto bierze udział w tym przedstawieniu – Ikera, Nika i, przede wszystkim, Annemette.

Rozdział 24

Błękitne światło poranka jest subtelne i kojące, ale i tak wyrywa mnie ze snu, a w moich uszach rozbrzmiewają odgłosy morza. *Morze.*

Otwieram oczy. Świecek wciąż się palą. Książka leży otwarta na moich kolanach, a ja siedzę oparta plecami o skalną ścianę.

Zasnęłam w swojej pracowni. *Mojej norze*, poprawiam się w duchu i uśmiecham się pod nosem, jednak natychmiast wracam do rzeczywistości. To nie była część planu.

Łapię za księgę zaklęć i ostrożnie otwieram ją na właściwej stronie, czując pod palcami delikatną teksturę cienkiego pergaminu. Szukam informacji o trytonie. Przekartkowuję księgę, ale nie znajduję jej za pierwszym razem. Jest za ciemno. Wzdycham z frustracją, biorę księgę oraz świeczkę, a następnie przechodzę po brudnym gruncie w kierunku wejścia do nory.

Do świtu jest jeszcze kilka minut; na horyzoncie zaczyna pojawiać się jaśniejszy odcień błękitu, odznaczając się na tle granatowego nieba. Przy pomocy nikłego światła wschodzącego słońca i łuny bijącej od płomienia świeczki, jestem w stanie uspokoić nerwy i odczytać słowa wypisane na stronach księgi zaklęć, mimo że moje oczy jeszcze nie odzyskały całkowitej ostrości.

Na szczęście zeszłej nocy, zanim moje ciało przegrało walkę ze zmęczeniem, udało mi się odnaleźć to, czego szukałam. Mogę niemal wyrecytować to z pamięci, ale nie chcę kusić losu, ponieważ pamiętam panikę, w jaką wpadłam na myśl, że zaklęcie maskujące nie zadziałało.

Wyteżam wzrok w nikłym świetle i próbuję odczytać wyrazy na kartkach, skupiając się w szczególności na prawym, górnym rogu.

Gdzie to jest?

Po kilku minutach znajduję to, czego szukam – tryton. Wryty w pergaminie symbol króla mór. Pochyliłam się nad właściwą stroną i zabieram się do czytania.

Naturę morza definiuje pływ, który, w imię sprawiedliwej wymiany, zawsze

zabiera tyle, ile daje. W magii, tak jak i w życiu, morze nie traktuje swoich poddanych pobłaźliwie – wymaga ceny, równorzędnej wartości, niezależnie od prośby, jaką ma spełnić. Skorupa, ryba, najpiękniejsza w świecie perła – nikt nie może osiąść żadnej z tych rzeczy, nie oferując nic w zamian.

Znam magiczną zasadę wymiany. Znam ją praktycznie od urodzenia. Widziałam ją w oczach swojej matki na moment przed tym, jak umarła, oddając własne życie, by mnie uratować. Jeśli istnieje zaklęcie, którego Annemette użyła, by wyjść na ląd, znajdę je.

Zerkam na wschodzące słońce.

Osiemnaście godzin do północy.

Za osiemnaście godzin Annemette skończy się czas.

Nie mogę jej stracić po raz kolejny.

Zdmuchuję świeczkę, chowam księgę w szczelinie w skalnej ścianie i podsuwam pod nią skrzynię z ostrygami.

Dotykam palcami perły na mojej szyi – *perły Annemette* – światła, które pokazało mi drogę do mojej własnej magii. Jestem za to wdzięczna Annemette i teraz mogę spłacić ten dług, a przynajmniej taką mam nadzieję.

Kieruję się do doków. Wiatr nadchodzący od strony Zatoki Sundu przebija się przez rząd statków, niosąc ze sobą świeżą bryzę i zapach słonej wody.

Każde miejsce na statek jest zajęte, a połowa z nich za kilka godzin opuści Havnestad. Połowa, łącznie z łodzią Ikera – ze mną na pokładzie. Czuję w sercu ciepło, gdy w zasięgu mojego wzroku pojawia się jego szkuner, naprawiony po burzy i przywiązany do królewskiego doku.

Przykładam ametyst do dzioba łodzi Ikera i trzymam go tam dwa razy dłużej niż zwykle. Następnie podchodzę do każdego innego statku, mamrocząc pod nosem słowa zaklęcia. Muszę wypełnić swój obowiązek, zanim sięgnę po magię, która pozwoli Annemette tu zostać.

Godzinę później rzucam zaklęcie na ostatni statek. Świt nadszedł już w pełni, a horyzont emanuje w tej chwili szkarłatem i pomarańczą. Jest na tyle jasno, że muszę mrużyć oczy, gdy patrzę na wschodzące słońce, stojąc na krawędzi królewskiego doku – tego, który sięga najdalej w głąb portu.

Moje serce przyspiesza, a po plecach przebiega nerwowy dreszcz.

Siedemnaście godzin. Wiem, jak wymienić słowa na to, co chcę, ale nie rzeczy materialne. Jednak w końcu nadszedł czas, by zobaczyć, jak to się robi. Kładę jedną dłoń na perle, a drugą zaciskam wokół ametystu. Są to dwie najdroższe rzeczy, jakie posiadam. Rzeczy, które są dla mnie niezwykle

ważne i nie jestem pewna, którą z nich powinnam poświęcić. Zaciskam oczy i podejmuję decyzję.

Następnie przywołuję pewność siebie, jaką zawsze widzę u Annemette. Magię mojej matki. Własną nieustępliwość.

Nie ma powodu, dla którego miałoby to nie zadziałać.

Mogę to zrobić.

Mogę to zrobić.

– *Skipta.*

Od stóp do głów przesywa mnie najstarsza magia niczym nordycki lód przebijający się przez dziób statku. W moich żyłach płynie morze.

Wrzucam ametyst do wody i patrzę, jak opada na dno.

I czekam. Serce bije mi tak mocno, że słyszę je w uszach, a mój strach miesza się z chłodem wywołanym przez magię. Perła na mojej szyi zaczyna pulsować. Nakazuję sobie zachować spokój. Pamiętać, o poprzedniej nocy.

Przez chwilę to działa, ale po kilku wdechach panika jest tak silna, że padam na kolana.

Kapryśne morze, które nie da nic w zamian.

Rzucam się w stronę krawędzi doku, po czym zaciskam palce na deskach i przysuwam twarz jak najbliżej lustra wody, starając się odnaleźć w błękitnej toni swój cenny magiczny kamień.

Ale widzę jedynie swoje odbicie. Błądą twarz, na której malują się przerażenie, wyczerpanie i niepokój.

– Co ja zrobiłam?

Czuję, jak zalewa mnie fala wstydu. Do policzków uderza mi krew, a po plecach przebiega dreszcz. Podnoszę głowę i opadam na deski, rozrzucając włosy po mokrym drewnie. Palcami trącam perłę.

Ciocia Hansa miała rację – jestem złodziejką, która ma dużo szczęścia, ale tak naprawdę stać ją tylko na marne sztuczki magiczne. W przeciwieństwie do mojej ciotki, matki i Maren Spliid, jeszcze nie jestem wiedźmą. Jestem tylko...

Moje myśli przerywa wodny gejzer, który wystrzeliwuje z morza, jakby pod powierzchnią pływał wieloryb. Wytrzeszczam oczy, skupiając wzrok na unoszącym się we mgle przedmiocie. Siadam z trudem i wyciągam rękę, gdy obiekt zaczyna się obniżać.

Kiedy w końcu ląduje na mojej dłoni, zaciskam ją mocno, chroniąc przedmiot. Chroniąc nadzieję, która w jednej chwili zapłonęła w moim sercu.

Biorę oddech, po czym otwieram dłoń.

Moim oczom ukazuje się kamień błękitny jak popołudniowe niebo, gładki jak szkło i lekki jak mój ametyst.

Zaklęcie zadziało.

Ja złożyłam ofiarę. Morze ją zaakceptowało. Ono oddało coś w zamian. A ja to przyjął.

Dokładnie na to liczyłam.

Ściskam kamień, skaczę na równe nogi i wpatruję się w morze.

– *Skipta*. – *Wymiana*.

Wrzucam kamień z powrotem do wody i wstrzymuję oddech, myśląc o swoim ametyście. Czuję wzbierającą we mnie nadzieję na to, że uda mi się sprawić, by morze dokonało ze mną takiej wymiany, jakiej chcę.

– *Skipta* – powtarzam, a następnie szepczę jedyne wiadome mi staronordyjskie słowo o znaczeniu zbliżonym do tego, czego potrzebuję.

– *Bjarg*. – *Kamień*.

Łączę dłonie i czekam, wpatrując się w horyzont. Na powierzchni wody latają dwie mewy; nurkują, rozchlapują wodę i ponownie wzbijają się w powietrze.

Gdy przelatują mi nad głową, z morza wystrzeliwuje kolejny wodny strumień, tym razem większy i silniejszy. Ochlapuje królewski dok i przy okazji mnie, ale nie ruszam się z miejsca. Wyciągam rękę.

Na moich dłoniach ląduje kolejny przedmiot. Wciąż trzymam je złączone, kiedy pocieram nadgarstkiem oczy, by pozbyć się z nich słonej wody i mrugam kilkakrotnie, aż w końcu mój wzrok odzyskuje ostrość. Wstrzymuję oddech i otwieram palce, ukazując nie mój ametyst, lecz coś jeszcze bardziej błyszczącego.

Kamień w kolorze krwistej czerwieni, z powierzchnią poznaczoną malutkimi kryształkami, przywodzącymi na myśl kawałki cukru. Jego centralna część jest równie czerwona jak moje serce, jakby w środku tlił się magiczny płomień.

Nie tego oczekiwałam, ale i tak zachwycam się jego pięknem – jest piękniejszy niż mój ametyst. Ale czy ma to samo zastosowanie? Czy może zepsuje moje zaklęcie?

Nie mogę się teraz tym przejmować. Wnioskując z magicznej reakcji na moją prośbę, morze dokonuje tylko równorzędnej wymiany. Wyglądałaby ona tak samo, gdybym na miejscu kamienia znajdowała się Annemette. A nie

mam ciała, które mogłabym złożyć wodom w ofierze.

A to *jest* problem.

Ale może ten problem został już dawno rozwiązany – cztery lata temu morze odebrało mi przyjaciółkę. Być może teraz mogę dokończyć tę wymianę.

– Nie wiedziałem, że z ciebie taki ranny ptaszek.

Nik.

Odwracam się i chowam kamień między fałdami spódnicy, mając nadzieję, że trzymam go we właściwym miejscu, by niepostrzeżenie upuścić go do kieszeni.

Błysk w oczach Nika nie zdradza, jak długo mnie obserwuje. Jest ubrany w formalny strój, brodę ma świeżo ogoloną, ramiona wyprostowane, a dłonie trzyma na biodrach.

– Przysięgam, że nie chodzę za tobą, by znowu wypytywać o pocałunki.

– Hmm, jasne.

Na policzkach Nika nagle wykwita rumieniec, a ja wiem, że teraz żałuje, że tak szybko się ogolił.

– Naprawdę cię za to przepraszam. To nie moja sprawa.

Uśmiecham się do niego.

– Oczywiście, że twoja. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Robi dwa kroki do przodu i siada na deskach, zwieszając nogi z krawędzi.

Odnajduję suchy kawałek drewna i do niego dołączam.

– Niezły ze mnie przyjaciel – mówi. – Zawsze zostawiam cię dla książęcych obowiązków. I nawet nie możesz ze mną rozmawiać o chłopakach... jedno słowo o całowaniu i robię się czerwony jak cegła.

Kładę mu jedną dłoń na łokciu, a drugą wsuwam kamień do kieszeni sukni.

– Trzeba przyznać, że mowa tu o twojej najlepszej przyjaciółce całującej twojego kuzyna, który jest dla ciebie jak brat.

Kiwa głową.

– To prawda. Dlaczego nie mogłaś sobie znaleźć kogoś, kto nie byłby tak *blisko*? Na przykład Ruyvena, Didrika albo Jana?

Nie mogę się powstrzymać: od razu marszczę nos z niesmakiem.

– Ponieważ Ruyven, Didrik i Jan... – *Myślę, że uważam się za lepszą od nich.*

– Nie są Ikerem? – Nik unosi brew.

Teraz na moich policzkach wykwita rumieniec i wskazuję na nie ze śmiechem.

– Właśnie tak wyglądasz, gdy rozmawiamy o całowaniu.

Nik śmieje się. Samo słowo *całowanie* sprawia, że się rumieni. Gdy nasze oczy się spotykają, wyraz jego twarzy łagodnieje. Odgarnia mi z policzka kosmyk włosów – nie w romantyczny sposób, w jaki robi to Iker, tylko tak, jak może to zrobić ktoś z rodziny.

Trzyma kciuk i palec wskazujący w moich włosach, a ja chichoczę, ponieważ nie jestem pewna, jak inaczej zareagować. Gdy odgłos zanika, brakuje mi tchu. Mogę jedynie wpatrywać się w jego oczy.

– Wchodzimy na moje terytorium, kuzynie?

Odwracamy się gwałtownie i widzimy Ikera, który również ma na sobie formalny strój, ale jego twarz nie jest ogolona, a wokół ramienia ma zawinięty sznur od statku.

– Nic nie poradzę, że moja najlepsza przyjaciółka jest najpiękniejszą dziewczyną w Havnestadzie.

Iker nie śmieje się w odpowiedzi. Jego głos jest równie ostry co dziób okrętu.

– Nie mówiłbym tego tak głośno. Z doświadczenia wiem, że lepiej nie denerwować blondynek.

Mam ochotę skrzywić się na wspomnienie innej dziewczyny w przeszłości Ikera, lecz tylko komicznie wydymam wargi.

– Czyżby ktoś tu się na kimś spalił?

Iker uśmiecha się złowieszczo, a w jego lodowatych oczach na nowo pojawia się radosny błysk.

– Tak, i nadal boli. – Unosi sugestywnie brew. – Moja matka zawsze powtarzała, że trzeba pocałować, by przestało.

Wstaję. Wciąż czuję we włosach palce Nika.

– Później będzie na to mnóstwo czasu.

– Zgadzam się – dodaje Nik. – A teraz wracajmy do pracy. Twój statek sam się nie przygotuje do wypłynięcia.

– Zabawne, że to mówisz, biorąc pod uwagę, że to ty pierwszy zdecydowałeś się tu przyjść.

– Gdzie płyniecie? – pytam, bojąc się, że Iker chce wypłynąć beze mnie.

– Ojciec chce zgromadzić na parowcu pałacową obsługę w celu uczczenia dzisiejszego Święta Morza.

Przez cały ten czas byłam tak wyczerpana i skupiona na balu, że całkowicie zapomniałam o Świącie Morza – przyjęciu odbywającym się w porcie zaraz przed głównym widowiskiem. To dość przyjemne wydarzenie, w którym bierze udział każdy, kto obecnie przebywa w Havnestadzie, podczas gdy statki części z nich znajdują się kilkanaście metrów od nich. Dzięki temu możemy nieco bardziej zżyć się z naszym kochanym morzem i jednocześnie podziwiać, jak piękny jest nasz dom.

– W każdym razie – kontynuuje Nik – matka planuje zebrać wszystkich gości specjalnych i ich niańki na pokładzie trójżaglowca. A Iker nie chce, byśmy dołączali do żadnej z tych grup.

– To byłoby kulawe jak pijany koń – mamrocze Iker.

– Dlatego wpadliśmy na królewsko wspaniałą pomysł, by wsiąść na szkunera.

To głupie, ale oddech i tak staje mi w gardle.

– Tylko we czwórkę?

– Dokładnie – mówi Nik, kiwając głową. – Musimy się stąd zmyć, zanim moi rodzice zaczną coś podejrzewać.

Moje serce przyspiesza. Tylko nasza czwórka, cały dzień na statku. Będziemy się śmiać, śpiewać, jeść, a potem przebierać i tańczyć cały wieczór – będzie to znakomity sposób na zakończenie Lithasblotu i rozpoczęcie nowego życia. Ciężar leżącego w mojej kieszeni kamienia podpowiada mi, że to właściwa decyzja.

– Idealnie.

Rozdział 25

Gdy wracam do zamku, Annemette jest już ubrana i stoi przy oknie ze wzrokiem utkwionym w morzu. Mimo że przez szkło wpada jasne światło poranka, bije od niej ponura aura, i nic dziwnego. Ten dzień – pozostałe szesnaście godzin – zaważają na jej życiu. Jeśli usłyszała, jak wchodzę do komnaty, nie daje tego po sobie poznać.

Nie pyta, gdzie byłam. Jednak po chwili w końcu się odzywa.

– Morze wygląda pięknie z tej perspektywy. – Odwraca się w moją stronę.
– Ale już nigdy nie będę mogła tam wrócić i nie mogę zostać również na lądzie. Ten widok tylko mi o tym przypomina. Och, Evie, nie powinnam była tu przychodzić! – Jej ciałem wstrząsa szloch, twarz chowa w dłoniach.

Podchodzę do niej prędko. To nie czas na wyrzuty sumienia. Nie czas na „co by było, gdyby”.

– Wiem, co trzeba zrobić – oznajmiam.

– Nie! – Podnosi głowę, a na jej twarzy maluje się furia, mimo że głos ma spokojny. – Mówiłam ci. Nie możesz użyć żadnej magii miłosnej, Evie. Nie rozumiesz, jak to działa! Co zrobiłam. Co...

– Rozumiem. – Robię krok w jej stronę. – I jeśli Nik nie zna odpowiedzi, ja ją mam. Znalazłam odpowiednie zaklęcie. We dwie możemy sprawić, byś mogła tu zostać. Wiem to. Już rozpracowałam...

– Nie! – Dopada do mnie i chwyta moje nadgarstki. Na jej anielskiej twarzy widnieją krwistoczerwone wypieki. – Nieważne, jakie zaklęcie stworzyłaś. Nie ma to żadnego znaczenia. Magia nic innego nie zaakceptuje.

To nie zadziała. Nie zadziała. Nie zadziała... – Lecz w jednej chwili cały opór opuszcza jej ciało, przez co zatacza się lekko i traci równowagę.

Przytrzymuję ją, próbując złagodzić upadek, gdy ląduje na kamiennej podłodze, otoczona przez jedwabne fałdy wyszywanej złotymi nićmi sukni.

Opiera głowę na moim podolku, jej ramiona trzęsą się gwałtownie pod wpływem szlochów, a z gardła wydobywa się jęk. Po jej twarzy nie spływają łzy, teraz już to wiem. Kładę delikatnie dłoń na jej włosach i przeczesuję

palcami kosmyki. Biorę głęboki oddech, próbując uspokoić głos.

– Cały dzień spędzimy z Nikiem na statku. Tylko nasza czwórka. Potem będzie bal. Bale to najbardziej romantyczne wydarzenia na świecie oraz miejsca narodzin prawdziwej miłości.

Annemette przechyla głowę z boku na bok, ale nie odpowiada.

– Jeśli po ostatnim tańcu magia wciąż nie będzie miała dość, zrobimy to po naszymu. – Oplatam ją ramionami i kładę głowę na jej. – Nie pozwolę ci odejść.

Gdy wychodzimy na słońce, zdenerwowanie Annemette jest równie widoczne co jej piegi.

Denerwuje się na myśl o czasie, jaki jej został.

O uczuciach Nika.

I, przede wszystkim, denerwuje się przebywaniem na wodzie. Teraz wiem, że w chwili, gdy zdecydowała się przybrać ludzką formę, musiała rozstać się z morzem, które już nie przyjmie jej z powrotem, nawet jeśli chce jedynie cieszyć się krótkim rejssem na jego grzbiecie.

Łapię ją za rękę i ściskam jej dłoń, gdy naszym oczom ukazuje się szkuner Ikera. Zarówno Iker jak i Nik trzymają w dłoni tulipany – różowy dla Annemette i czerwony dla mnie.

– Miłe panie – mówi Iker. – Wyglądacie dziś tak pięknie, że nawet syreny będą płonąć z zazdrości.

Dygam delikatnie, a Annemette idzie w moje ślady.

– W takim razie dobrze się składa, że mamy do dyspozycji was, żebyście mogli nas wyrwać z ich szponów.

Iker unosi brew i pośpiesznie przyciąga mnie do siebie, by pocałować mój policzek.

– Ty będziesz tylko w moich szponach. – Ściska mnie mocno w talii.

Nik, czerwony jak cegła, przewraca oczami.

– Czy będę musiał patrzeć na to cały dzień?

Iker napotyka mój wzrok.

– Najprawdopodobniej.

Nik ponownie przewraca oczami i ciągnie lekko Annemette za ramię.

– Chodźmy stąd, zanim zbierze się tu tak dużo ludzi, że nie będziemy w stanie opuścić doku.

Napotykam wzrok Annemette i unoszę brwi, chcąc dodać jej otuchy, po czym mówię bezgłośnie „będzie dobrze”. Odwraca się do Nika, posyłając mu

nerwowy uśmiech.

Iker z Nikiem pierwsi wskakują na pokład szkunera i wyciągają do nas ręce, jako że nie ma kładki, po której można przejść nad wodą. Dołączam do nich na statku i natychmiast żałuję, że nie pomogłam najpierw Annemette.

Twarz ma wciąż bladą i teraz stoi sama na deskach doku, ściskając tulipan obiema dłońmi.

– Wszystko w porządku? – pyta Nik, robiąc krok do przodu.

Annemette kiwa głową, ale robi to bez przekonania.

– Jest nieco zdenerwowana... przeżyła wypadek na morzu, gdy była dzieckiem.

Życzliwość malująca się na twarzy Nika chwyta mnie za serce.

– Znam to uczucie. Nie mówiłem ci o tym, co mi się ostatnio przydarzyło, prawda? To było przerażające, ale najlepszym sposobem na pokonanie tego strachu jest powrót na wody. Poza tym będzie ci dzisiaj towarzyszył mistrz żeglarstwa, Mette – stwierdza Nik, klepiąc Ikera po plecach. – Najlepszy żeglarz, jakiego znam. Jesteś tu bezpieczna. Obiecuję.

Annemette kiwa głową, ale nie rusza się z miejsca.

– Śmiało, skacz – zachęca Nik. – Złapię cię.

Annemette bierze głęboki oddech. Po kilku sekundach skacze w kierunku jego wyciągniętych ramion.

W ostatniej chwili odsuwam się na bok, by zrobić im więcej miejsca.

Znakomity zmysł równowagi Nika utrzymuje ich w pionie, a Mette delikatnie i z gracją ląduje na dziobnicy statku. Patrzy na niego rozpromieniona, uśmiechając się z wdzięcznością, przytulona do jego piersi. Dokładnie tam, gdzie powinna być.

– Może letniego wina, Mette? Działa uspokajająco – mówi Iker, siadając na ławce obok mnie. Annemette kręci głową.

Napotykam wzrok Nika.

– A może wody? – Nik wskazuję podbródkiem na Ikera, dając mu znać, by wyjął ją ze skrzyni, którą wcześniej wypełnił połamanym lodem.

Bez problemu dotarliśmy do ujścia przystani i teraz przyjemnie dryfujemy z prądem. Cóż, przyjemnie z punktu widzenia wszystkich oprócz Annemette, która unika patrzenia na morską wodę.

Iker wraca z manierką, po czym podaje ją Nikowi, który otwiera ją dla Annemette.

Bierze duży łyk.

– Lepiej? – pyta Nik, na co Annemette ponownie bez przekonania kiwa głową.

Iker bierze duży dzban, a następnie wlewa jego zawartość do puszek – sądząc po zapachu, jest to hvidtøl.

– Tak szybko zaczynasz, Iker? – W oczach Nika pojawia się błysk, gdy bierze łyk wody Annemette.

– Zaczynam dokładnie w porę. Zresztą kim ty jesteś, by kwestionować poczynania kapitana tej łodzi?

– Kimś, kto często musi brać odpowiedzialność i zachować trzeźwy umysł, by wypełnić swoje obowiązki.

– Trwa festiwal i, jak na moje standardy, mieliśmy stanowczo za mało okazji do picia. Mam osiemnaście lat i jestem księciem. Wolno mi dobrze się bawić na swoim własnym statku.

– Iker, mogę napić się wody? – pytam, ponieważ muszę przerwać tę wymianę zdań. To nie tak, że jestem w stanie ich powstrzymać, ale i tak próbuję odwrócić ich uwagę, jeśli ma to oznaczać, że przestaną się kłócić. W końcu to *ma* być romantyczne popołudnie.

Iker opada na ławkę obok mnie i bierze duży łyk ze swojej puszeki.

– Jeśli twój trzeźwy książę pragnie się z tobą podzielić, to oczywiście, że możesz.

Zerkam na piersiówkę – prawdopodobnie Iker trzyma w niej tylko wodę.

Nik wypija już jedną trzecią puszeki zaledwie dwoma łykami.

– Nie chcę kwestionować poczyznań kapitana, ale to wszystko, co masz do picia?

Iker kręci głową z ustami przy puszcze.

– Jak mówiłem, jest jeszcze letnie wino – mówi, po czym podnosi dzbanek, który trzyma w ręce. – I hvidtøl. Nie jestem idiotą – zdaję sobie sprawę, że jest gorąco.

Przewracam oczami.

– A co mamy do jedzenia?

Iker wstaje i otwiera kolejną skrzynię z lodem, a następnie zatapia w niej wolą rękę.

– Ach, tak, ser, owoce, i nic więcej. Co to ma być, piknik? Nie ma nawet śledzi.

– Mette jest uczulona – wtrąca Nik. To on pakował jedzenie.

– Cóż, ja nie jestem. Uczulona, dobre sobie. Po prostu chce patrzeć, jak ją

obskakujesz, by się jej przypodobać.

Annemette krzywi się, a policzki Nika czerwienieją, zwiastując kłótnię.

Cieszy mnie widok wściekłości na twarzy Nika wywołanej komentarzem o Annemette, ale wolę, by chłopcy nie wyrzucali się nawzajem za burtę.

Kładę dłoń na przedramieniu Iker. Ta wymiana zdań zaczyna dawać wszystkim w kość niemal tak mocno jak brak wody i jedzenia. Jeśli zaraz nie skończą, nic nie pójdzie zgodnie z planem. Odwraca się do mnie, a ja uśmiecham się do niego delikatnie, próbując go uspokoić.

– Mamy słońce, błękitne niebo i siebie. Nic więcej nam nie trzeba.

Iker przyciąga mnie do piersi – aromat morskiej soli i limonek zaburza teraz kwaśna nuta hvidtølu. Nik spuszcza wzrok.

– Evie i jej wyczucie. Zawsze pojawia się w idealnym momencie, nawet jak nie ma racji – stwierdza Iker.

– Ja zawsze mam rację. – Klepię go lekko w ramię, ale nie odsuwam się od niego. Czuję, jak jego serce zwalnia, gdy stopniowo opuszcza go ochota na kłótnie.

– Nie bądź taka pewna siebie, Evie, bo każdy błąd zaboli cię jeszcze mocniej – mówi żartobliwie.

Po kilku godzinach Annemette w końcu odrywa się od Nika i wygląda na to, że zaczyna się dobrze *bawić* na naszym małym przyjęciu. Wciąż trzyma się blisko niego, lecz uspokaja się na tyle, by podzielić się ze mną jagodami oraz serem, i od czasu do czasu dołączać do rozmowy.

Iker i ja siedzimy oparci plecami o kadłub, patrząc na Annemette i Nika, którzy znajdują się przy głównym maszcie. Nik zaczyna stopniowo odpływać, jako że wypił nieco za dużo wina, ale wygląda na to, że nie ma nic przeciwko towarzystwu Annemette. Iker wciąż pije hvidtøl z niesłabnącym entuzjazmem i, zamiast zasypiać, robi się coraz bardziej pobudzony, niczym kot, który wyciąga pazury na widok pierwszych promieni słońca.

– Już ci lepiej, Friherrindo Mette? – pyta Iker.

Annemette kiwa głową z gracją.

– To dobrze. W takim razie już się nie boisz? Czy to dlatego, że twój książę śpi?

Dźgam Iker łokciem. Mocno.

– Dość – mówię. – Nie wiem, co dzisiaj w ciebie wstąpiło. Jesteś taki... niemiły.

– Wybacz, Evelyn. Masz rację, to nie jest miłe. Jestem księciem i mimo, że

niezbyt mi się to podoba, zwykle zachowuję się zgodnie z obowiązującymi normami społecznymi. Ale jeśli moja rodzina jest w to zamieszana, sprawy mają się inaczej. – W jego zimnych oczach pojawia się błysk. – Jeśli moja rodzina jest w to zamieszana, nigdy nie jestem miły. Nie ma to sensu, jeśli broni się czegoś ważnego.

Annemette przełyka ślinę, a ja odnoszę wrażenie, jakby cała nasza trójka jednocześnie zerknęła na pogrążonego we śnie Nika.

Powinnam coś powiedzieć i powstrzymać Ikerę, ale nie mogę tego zrobić. Zależy mi na Niku, podobnie jak Ikerowi, a jeśli teraz stanę w obronie Annemette, zostanie to odebrane w zły sposób. I jeszcze bardziej podgrzeję atmosferę – tak bardzo, że zaważy to na naszej morskiej wyprawie. Dlatego, słuchając swojego tchórzliwego serca, zamykam oczy, pozwalając mu kontynuować atak.

– Dlatego chcę wiedzieć o tobie wszystko, Friherrindo Mette. Począwszy od tego, jak tu przybyłaś i dlaczego przypląnęłaś przed wszystkimi gośćmi.

Chcę również wiedzieć, skąd wiedziałaś, że musisz zaprzyjaźnić się z Evie, by dotrzeć do Nika.

Krzywię się, ponieważ ma rację, ale jestem zbyt przerażona, by otworzyć oczy i zobaczyć reakcję Annemette. Zarówno na jego pijackie oskarżenia, jak i moją tchórzliwą ciszę.

– Dziękuję za troskę, kuzynie. – Otwieram oczy i widzę, jak Nik siada prosto. Annemette przysuwa się do niego, podczas gdy Iker wyszczerza zęby na kształt uśmiechu, lecz efekt jest przerażający. – Jednak przesłuchiwanie naszego gościa nie jest dobrym sposobem na rozwiązywanie tego typu problemów.

– Jeszcze nikt jej dobrze nie sprawdził.

– A kim jesteś, moją matką? Od kiedy to przestaliśmy wierzyć ludziom na słowo?

– Akurat ty nie masz wyboru w tej kwestii.

Iker zrywa się na równe nogi, a Nik robi to samo. Pochylają się ku sobie; szczęki mają zaciśnięte, a twarze zaczerwienione.

– Jesteś dziedzicem klejnotu, jakim jest Królestwo Sundu, najbogatszej wioski rybackiej w całej zatoce – rzuca wściekle Iker. – Nie możesz tak po prostu rujnować swojej przyszłości dla obcej dziewczyny.

– A ty niby świecisz przykładem? Uwodzisz każdą dziewczynę, jaką spotykasz i rzucasz je, jakby nigdy nic!

– Skoro jestem taki okropny, to dlaczego, na *wszystkich bogów*, pozwalasz mi zalecać się do kogoś, kogo *kochasz*?

Moje serce przyspiesza, choć nie da się inaczej opisać naszej przyjaźni. Nik patrzy przez chwilę na Ikerę, po czym oznajmia:

– Ponieważ miałem nadzieję, że Evie uda się sprawić, byś się w końcu ustatkował. I biorąc pod uwagę waszą przyszłą wyprawę, myślę, że odniosła sukces.

Przenoszę wzrok na Annemette, i widzę w jej oczach zaskoczenie, które czuję również ja – nie miałam pojęcia, że Nik wie o naszym planie. Kryje się tam coś jeszcze, ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ chłopcy znowu zaczynają się kłócić; ich twarze są zaledwie cal od siebie, dłonie zaciskają w pięści po bokach, a policzki mają czerwone.

– Evie nie ma z tym nic wspólnego. Tu chodzi o fakt, że to coś w twojej klatce piersiowej sprawia, że nie potrafisz dostrzec, kim ta dziewczyna jest naprawdę. W ogóle jej nie znasz i nie jesteś w stanie stwierdzić, czy jest tą, za którą się podaje. – Iker zaciska mocno dłonie na ramionach Nika. – Jej historia jest dziurawa i nikt nie jest w stanie jej potwierdzić, a to sprawia, że jej motywy również stoją pod znakiem zapytania. W trakcie swoich wypraw miałem okazję spotkać wielu ludzi, którzy...

– To, że ty dużo podróżujesz, nie znaczy, że to ja jestem naiwny. – Nik odsuwa dłonie Ikerę, a następnie cofa się o krok. – Poza tym wolę, by kierowało mną to coś w mojej klatce piersiowej niż w spodniach...

Nagle powietrze przeszywa odgłos błyskawicy, na tyle głośny, że ucina dalszą dyskusję. Cała nasza czwórka zamiera i odwraca się w kierunku, z którego dochodzi dźwięk, czyli na północny wschód. Na horyzoncie pojawia się chmura tak wielka i ciemna, że wygląda jak noc. Tak samo jak w dzień urodzin Nika, burza nadeszła znikąd – tak nagle, że wydaje się to niewiarygodne.

Ale to tylko burza, a nasza trójka dokładnie wie, jak się zachować. Nie tracąc ani chwili, razem z chłopcami bierzemy się do roboty i zaczynamy biegać wokół Annemette, która przytula się do głównego masztu, podczas gdy łódź zaczyna się bujać bardziej niż normalnie.

W porcie jest stanowczo zbyt dużo statków, a my znajdujemy się praktycznie na jego granicy, blisko otwartego morza – o wiele dalej niż w dzień urodzin i na dużo mniejszej łodzi.

We trójkę odsuwamy na bok jedzenie, chwytamy długie wiosła i obracamy

statek, po czym możemy jedynie płynąć naprzód – dokładnie jak pozostałe łodzie w zatoce. A przynajmniej wszystkie oprócz królewskiego parowca, który dryfuje w kierunku doku, mijając po drodze mniejsze, wolniejsze okręty.

Statki powoli zapełniają port, choć poruszają się dużo wolniej niż chmury na niebie. Burza depcze nam po piętach, posyłając nam wiatr w żagle, jednocześnie ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Im silniejszy wiatr, tym mniej dzieli nas od sztormu.

– Evie! – krzyczy bez tchu Nik, podczas gdy z Ikerem wspólnymi siłami walczą z prądem. – Pomóż Mette.

Opuszczam swoje miejsce przy kole, po czym ostrożnie przesuwam się w stronę głównego masztu, którego z całej siły trzyma się Annemette. Staję obok niej i przyciskam gorset do jej pleców, starając się chronić ją przed burzą najlepiej, jak potrafię.

Zaczyna padać, a ja czuję, jak ciałem dziewczyny wstrząsa dreszcz.

– Chcę do domu.

– Wiem, Anno... Mette. Mette, wiem.

Nie zwraca uwagi na moją pomyłkę. Jedynie powtarza w kółko te same słowa. Niebo rozdziera błyskawica, a w bok głowy uderza mnie coś twardego i zimnego. Strzepuję to i odwracam się w kierunku, w którym spadło na ziemię.

Grad.

Czuję ucisk w sercu, podnoszę głowę. Powietrze wypełniają spadające z nieba białe, sklezione kawałki lodu, zalewając przystań jasnym deszczem.

Przeczesuję wzrokiem horyzont. Od portu dzieli nas jeszcze przynajmniej czterysta jardów, a drogę blokują nam dwa tuziny statków. Nasza łódź jest na tyle mała, że jesteśmy w stanie z łatwością ominąć większe okręty, ale mimo siły chłopców i szybkości ich wiosłowania, nie jestem pewna, czy uda nam się minąć wszystkie.

Zerkam w lewo, na zatoczkę – naturalny schron. Jest całkowicie otwarta, a na jej drodze nie widać żadnych statków.

– Zatoka! Możemy wpłynąć do zatoki?

Za mną głos Ikera przebija się przez odgłosy deszczu, stukot gradu i huk burzy.

– Lepsze to niż nic, zgadzasz się, kuzynie?

Nik unosi głowę i nawet się nie krzywi, kiedy dwie bryły lodu trafiają go

w mokre włosy.

– Nie jestem pewien, czy to będzie takie łatwe, ale nie mamy innego wyjścia.

Uznając to za zgodę, ściskam ramię Annemette, po czym biegnę do koła i pomagam skrócić łódź we właściwym kierunku, podczas gdy Iker ustawia główny maszt, by zmienić kurs. W końcu płyniemy w stronę zatoczki. Iker odwraca się ku mnie.

– Evie, zostań, gdzie jesteś. Ktoś musi przypilnować, by wiatr nie zepchnął nas z kursu.

Zerkam na Annemette. Potem na Nika. Iker ma rację.

Mijamy trójmasztowca królowej, dwa inny szkunery, słup i małe jednoosobowe łodzie, a następnie płyniemy prosto do zatoczki. Naszym oczom ukazuje się najpierw niewidoczna wcześniej część plaży, potem kamienna ściana i w końcu Piknikowa Skała.

Kiedy wpływamy do zatoki, wzdycham z ulgą; ramiona trzęsą mi się z wysiłku od kurczowego trzymania koła, a na mojej nagiej skórze zaczynają się pojawiać czerwone plamy pozostawione przez grad.

Nagle Annemette zaczyna krzyczeć.

– Skręcaj! Skręcaj! Skręcaj!

Podążam za jej spojrzeniem, ale nic nie widzę. Nie widać nic oprócz wzburzonej wody, a nasza łódź wciąż znajduje się zbyt daleko od małych wysepek, by coś nam zagrażało.

– Mielizna!

W momencie, gdy słowo opuszcza jej usta, gwałtownie stajemy w miejscu – natrafiamy na podwyższone dno, otoczeni przez wodę z każdej strony.

Napotykam jej wzrok i natychmiast zdaję sobie sprawę, skąd wiedziała, że akurat w tym miejscu – niedostrzegalnym z naszego punktu widzenia – natrafimy na mieliznę.

Ona jako jedyna z naszej czwórki pływa tak daleko od brzegu.

Czekam na pytania, ale nikt nic nie mówi. Zamiast tego Iker bez słowa wychyla się za dziób statku, by ocenić sytuację – zarówno to, jak głęboko tkwimy w mieliznie i jak bardzo ucierpiał przez to szkuner. Mam szczerą nadzieję, że wcale.

– Czas na skok do morza, załogo.

Nik wychyla się za barierkę, kiwając głową.

– Racja.

– Nie! – krzyczy Mette, wciąż przytulona do masztu. – Nie mogę.

Ale Nik nie przyjmuje takiego tłumaczenia.

– To tylko pięćdziesiąt jardów. Nic ci nie będzie.

Iker rzuca kotwicę, by łódź nie odpłynęła po tym, jak burza się skończy i szkuner wydostanie się z mielizny. Podchodzi do mnie i strzepuje mi z włosów kilka mokrych grudek lodu.

– Skaczymy razem? – Bierze mnie za rękę, a następnie podchodzimy do krańca dzioba. Powierzchnia wody jest wzburzona, a fale na tyle agresywne, że odkrywają ośmiornicę, która całe lato nawiedza zatoczkę, oraz ławice wielkich ryb oraz kilka delfinów. W zatoce jest o wiele więcej stworzeń, niż powinno – niespotykanych stworzeń. Nagle myślę o swoim zaklęciu – codziennej prośbie o urodzaj.

Nie, to niemożliwe. To nie moja zasługa – nie zaburzyłam równowagi morskiej flory i fauny. Jednak nie mam czasu się nad tym zastanawiać, ponieważ Iker ciągnie mnie za rękę i wspólnie wskakujemy do zimnej wody. Grad ustąpił, a chmury burzowe zaczynają chować się za łańcuchem górskim otaczającym Havnstad. Niebo nadal rozświecłają pnącza piorunów, a deszcz nie traci na sile. Wciąż udaje mi się brnąć przez fale. Moje ruchy są gwałtowne i szybko się męczę, jednak docieram do brzegu zaledwie kilka sekund po Ikerze. Gramolę się na piasek, walcząc o oddech. Przewracam się na plecy, po czym raz po raz napełniam płuca słonym powietrzem.

– Musisz usiąść. – Iker wstaje z ziemi.

Pomaga mi podnieść się do pozycji siedzącej. Patrzę na zatoczkę, gdzie widzę, jak Nik przemierza fale, zaciągając Annemette w bezpieczne miejsce.

Trzyma ją blisko siebie, z głową nad powierzchnią wody. Moje serce rośnie na ten widok, wiedząc, że nie tak dawno temu to ja byłam dziewczyną, którą wyciągnął na brzeg, z dala od rozszalałego morza.

Nik nawet na chwilę nie zwalnia i po chwili wspólnie wychodzą na ląd. Oboje oddychają ciężko, on z wyczerpania, ona ze strachu. Jestem pewna, że widzę w jego oczach miłość – i mam nadzieję, że w trakcie dzisiejszego balu ta dwójka zrobi z niej użytek, a Annemette w końcu będzie mogła zostać w domu.

Trzy i Pół Roku Wcześniej

Najnowsza syrena stała się kolejną królewską siostrą; jej wspomnienia

zostały tak gruntownie wyczyszczone, iż myślała, że od urodzenia żyje pod wodą. Wszyscy tak mówili, lecz wciąż miała wrażenie, jakby jej życie składało się z jednej długiej rozmowy, którą odbyła o wiele lat za późno.

Była tylko małą syrenką pływającą w cieniu swoich pięciu starszych sióstr – Lidy, Clary, Aidy, Oleny oraz Galii. Cała szóstka dziewcząt była dumą swojej babki, Królowej Matki Ragnhildr, choć ona wolała, by nazywano ją Babcią Ragn.

Mała syrenka mocno kochała Babcię Ragn – przy niej czuła się jak w domu. Jej długie, białe włosy, ciepła skóra i piosenki, które zawsze nuciła głosem tylko odrobinę głośniejszym niż bicie jej serca, zawsze budziły w niej miłe uczucia.

Ale Babcia Ragn nie ograniczała się tylko do ciepłych objęć i kojącego głosu. To ona pokazała im, jak żyć w pałacu. Była ich nauczycielem.

Przykładem. Wzorem. Dni zaczynały się od lekcji na temat zasad panujących pod wodą oraz sposobów sprawowania władzy, a po nich odbywały się zajęcia z nauk ścisłych oraz sztuki. Noce poświęcone były muzyce i magii, a lekcje stawały się mniej poważne i bardziej abstrakcyjne.

Z punktu widzenia małej syrenki jej życie zawsze tak wyglądało. I zawsze tak będzie wyglądać. Lecz pewnego dnia wydarzyło się coś, czego nie przewidziała.

Pewnego ranka podwodnym światem wstrząsnęło wielkie zamieszanie, a jedna z jej starszych sióstr, Aida, znajdowała się w jego centrum. Pokój Aidy obwieszony był girlandami z poskręcanych wodorostów i świecących skorup małż. Mała syrenka przepłynęła przez rośliny, podziwiając każdy szczegół dekoracji, choć nie wiedziała, czemu one miały służyć.

Mała syrenka podплыnęła do siostry, która była jej najbliższa wiekiem – dwunastoletniej Galii. Ustawiła się obok niej tak, że ich ramiona niemal się stykały, i nachyliła się do jej ucha, podczas gdy pozostałe dziewczęta otaczały Aidę i poprawiały wstążki w jej włosach.

– Co się dzieje?

Galia otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknęła, by kilka sekund później ponownie je otworzyć.

– Dzisiaj mija piętnaście lat od narodzin Aidy.

Mała syrenka pomyślała, że może to oznaczać ewentualne przyjęcie. Galia zauważyła jej zdezorientowany wyraz twarzy, dlatego zaciągnęła małą syrenkę do cienia i ponownie się odezwała, dobierając słowa równie

ostrożnie, co wcześniej.

– Z okazji piętnastej rocznicy swoich narodzin, syrena może wyjść na powierzchnię.

Mała syrenka wytrzeszczyła oczy.

– Na powierzchnię? – Nigdy nawet nie przeszło jej przez myśl, że istnieje taka możliwość – zawsze słyszała okropne historie na temat czyhających na górze niebezpieczeństw. Historie o ludziach z harpunami i siatkami i o przerażającej rzeczywistości. Nie było to coś, do czego chciałyby się zbliżyć.

Nigdy. Ale na twarzy Galii widniał uśmiech.

Uśmiech.

Podobnie jak w przypadku pozostałych siostr. Choć radość było prawdopodobnie lepszym określeniem.

Mała syrenka czuła się, jakby ten zgiełk był czymś, co powinna pamiętać – w końcu dwie spośród jej siostr zapewne już świętowały ten dzień. Zamiast tego jej umysł zalewała bezkresna ciemność, nie pozostawiając miejsca na nawet odrobinę wspomnień.

Wciąż jednak powstrzymała dręczące ją pytania i starała się zachowywać, jakby doskonale wiedziała, o czym mowa.

– Och, tak, oczywiście.

Nie powstrzymało jej to przed wpadnięciem w kłopoty.

Rozdział 26

Nik i Iker, przemoczeni i wyczerpani, odłączają się od nas, po czym udają się do swojego skrzydła, nakazując służbie przygotować posiłek oraz kąpiel.

Zobaczymy się z nimi za trzy godziny – będą stać przy pałacowych wrotach do sali balowej i witać gości, którzy przyjdą na Bal Lithasblotu.

Jest to uroczyste zwieńczenie festiwalu, choć nie tylko arystokracja może wziąć w nim udział. Każdy otrzymuje zaproszenie i razem z innymi może cieszyć się muzyką, tańcem i wielką ucztą – tej nocy wszyscy mieszkańcy Havnestadu są sobie równi.

Zwykle Nik, jak na księcia przystało, wybiera partnerkę do tańca spośród tutejszych arystokratek lub mieszczanek, dając każdej z nich równe szanse.

Jednakże tego roku sprawy będą miały się inaczej. Nie licząc Annemette, na bal przyjdzie jeszcze tuzin dziewcząt królowej, które za wszelką cenę będą walczyć o jego względy.

Dziewczęta te prawdopodobnie wciąż znajdują się na pokładzie trójmasztowca w porcie, schowane przed gradem i deszczem.

Schowane, w przeciwieństwie do nas.

Razem z Annemette idziemy powoli korytarzem dla gości, a ja nawet nie chcę myśleć, w jakim jesteśmy stanie. Dziękuję w duchu Urdzie, że w pobliżu nie ma królowej, która, widząc nas, natychmiast wyraziłaby swoją dezaprobatę. Niemniej jednak wygląd Annemette nie napawa mnie nadzieją.

Złote włosy ma potargane, jej ramiona poznaczone są czerwonymi obrzękami pozostawionymi przez spadające bryły lodu, a czoło i nos ma zaczerwienione od słońca, które świeciło jeszcze przed nadejściem burzy, i teraz dorównują kolorem naturalnemu rumieńcowi na jej policzkach.

Mogę tylko mieć nadzieję, że kąpiel i trzy godziny przerwy, jakie przeznaczymy na przygotowanie się do balu, poprawią nam nastroje. Trudno jest czerpać przyjemność z najbardziej romantycznego wieczoru życia, gdy wygląda się jak widmo czarnej plagi.

Kiedy docieramy do naszej komnaty, Annemette, wciąż mokra,

natychmiast pada na łóżko. Odbija się przez moment na miękkim materacu, po czym leży w bezruchu pośród włosów i przemoczonych tkanin.

– Wszystko w porządku? – pytam, siadając na łóżku po drugiej stronie pomieszczenia.

Uśmiecha się.

– Więcej niż w porządku. Nik poprosił mnie, bym otworzyła z nim bal.

Zaczerpuję tchu. Każdego roku król z królową otwierają bal wspólnym tańcem. A teraz, jako że Nik osiągnął już pełnoletniość, ich syn naturalnie będzie tańczył wraz z nimi – z czego do tej pory nie zdawałam sobie sprawy.

Z czego być może nawet Nik nie zdawał sobie sprawy, dopóki do Havnestadu nie przybyli goście zaproszeni przez jego matkę.

– To wspaniale. – Jeśli to zaproszenie nie jest oznaką kwitnącej miłości, nie wiem, co nią jest. Nie ma mowy, by Nik nie wypełnił magicznego kontraktu po całej nocy wpatrywania się w oczy Annemette.

– Owszem – przytakuje. – Jestem wyczerpana. Mamy czas na drzemkę, prawda?

Kątem oka zauważam swoje odbicie w oknie i widzę czerwone plamy na zaróżowionej skórze oraz burzę potarganych włosów. Iker nie poprosił mnie, bym zatańczyła z nim w pierwszym tańcu, mimo że na pewno również będzie na parkiecie. Może uważa, że nie musi mnie pytać. Może, uważa, że to oczywiste.

– Nie wiem... przygotowania mogą nam zająć całe trzy godziny i...

– *Ljómi* – mówi Annemette. Od razu czuję na głowie i ramionach powiew bryzy. Jest tak zimna, że odruchowo zamykam oczy, aż ustaje.

Gdy ponownie je otwieram i patrzę na siebie w lustrze, wyglądam zupełnie inaczej. Moje włosy są czyste i miękkie, a skórę mam lśniącą i pozbawioną czerwonych plam. Promienieję. Mój strój wciąż jest w opłakanym stanie, ale cała reszta wygląda lepiej niż wcześniej. Po raz kolejny uderza mnie, że Annemette o wiele lepiej posługuje się magią, niż ja kiedykolwiek będę w stanie to robić. Ona *jest* magią.

– Dziękuję... Jak długo to się utrzyma?

– Z pewnością nie wiecznie, ale na tyle długo, by Iker zapomniał, że dziś wyjątkowo wyglądasz trochę inaczej. – Ziewa. – Później wyczaruję ci kolejną suknię. Teraz potrzebuję snu.

– Mette, nie możesz. Do północy mamy jeszcze osiem godzin, a ja muszę nauczyć cię tańczyć.

Annemette zamyka oczy.

– Poradzę sobie. Syreny znają się na tańcu lepiej niż na pływaniu.

Nie. Nie. Nie. Co jest z nią nie tak?

– Tańczenie na nogach wygląda zupełnie inaczej, Mette. To znaczy... wiem, że jesteś zgrabna, ale czy wiesz, jak tańczy się havnestadzkiego walca?

Każda dziewczyna w tej sali zna kroki na pamięć. Jeśli nie będziesz w stanie zrobić tego poprawnie, wszyscy zorientują się, że twoja historia jest fałszywa.

Król, królowa... Nik. Cały plan rozpadnie się na kawałki, zanim wybije północ.

Annemette siada i uśmiecha się.

– W porządku. Wygrałaś. Będę spać, kiedy już zdobędę jego serce. – Unosi ręce, bym chwyciła jej dłonie, po czym zaciągam ją na środek naszej luksusowej komnaty. Nagle uświadamiam sobie, że rzuciła na siebie czar, gdy nie patrzyłam, pozbywając się śladów burzy; jej skóra lśniła, a suche włosy opadały kaskadą na ramiączka sukienki. Moje wciąż są mokre, ale nie chcę jej prosić, by to zmieniła. Jeszcze nie. Musi się teraz skoncentrować. Już prawie dotarliśmy do końca naszej drogi, a bal jest ważniejszy niż wszystko, co do tej pory na niej spotkałyśmy.

Kładę jej dłoń na moim ramieniu, a drugą trzymam w powietrzu. Ja z kolei kładę rękę na jej biodrze. Dziękuję w duchu wszystkim bogom, że królowa Charlotte nigdy nie zdecydowała, by to lansjer był oficjalnym tańcem balowym – w życiu nie byłabym w stanie samodzielnie nauczyć syreny jego skomplikowanych figur.

I zaczynamy.

– Raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy.

Poprawia dłoń na moim ramieniu, wyraźnie niezadowolona ze stanu mojej sukienki.

– *Purr klædi.*

Materiał wysusza się niemal natychmiast, a my obie nie przestajemy wirować po podłodze komnaty. Annemette depcze mi po palcach i od razu się poprawia, ale nie przeprasza.

– Czekał, aż pokażę ci suknię, jaką dla ciebie wyczaruję. Gdybym wiedziała, że ta poprzednia stanie się ofiarą ciasta Malwiny, aż tak bym się nie wysilała, dlatego tym razem muszę się jeszcze bardziej postarać. Wszyscy będą ci zazdrościć – dziewczęta królowej również. Iker nie będzie w stanie

oderwać od ciebie oczu.

Uśmiecham się do niej.

– Dziękuję – mówię. Naprawdę jestem jej wdzięczna. Dzisiejsze popołudnie było ciężkie dla nas obu i pragnę jedynie, byśmy odzyskały naszą relację z dzisiejszego poranka.

– Sprawię, że będziesz wyglądać jak księżniczka.

– Ale już raz to zrobiłaś. – Śmieję się.

– Och, zaczynamy kręcić nosem? Dobrze, w takim razie będziesz wyglądać jak królowa!

Śmieję się tak mocno, że niemal przypomina to iście królewskie parsknięcie. Następnie obracam nas obie, mocno ściskając jej dłoń.

Siedem Dni Wcześniej

Urodziny Aidy odblokowały coś w umyśle najmniejszej syrenki. Jeszcze nie była w stanie stwierdzić, co tam się kryło, ale usłyszała już szczeł klucza wchodzącego do kłódki. Wiedziała, że coś czyhało w mroku. Czekają, aż będzie mogło ją pochłonąć, niczym schowany w rafie rekin.

Po tym wydarzeniu odkryła coś jeszcze. Swoją fatalistyczną obsesję.

Na punkcie ludzi.

Zdawała sobie sprawę, że są niebezpieczni. Że zatruwali morze i pozbawiali życia wszystkiego, co się rusza. Zaburzali równowagę poprzez zabijanie morskich istot, a swoją żądzą, statkami, siatkami i harpunami rujnowali relację z morzem.

Gdyby kiedykolwiek dowiedzieli się, że „legendy” o syrenach są prawdziwe, bez zastanowienia zaczęliby na nie polować, a następnie zamknęliby je w zbiornikach i sprzedali za jak najwyższą cenę.

Potwierdzenie istnienia syren skończyłoby się dla nich śmiercią.

Jednak, im mniej dzieliło ją od piętnastych urodzin, tym bardziej chęć obserwowania ludzi nad powierzchnią wody rosła. Nieraz pod osłoną nocy opuszczała mury pałacu swojego ojca i pływała obok statków, by podsłuchiwać i obserwować znajdujących się na nich ludzi, chcąc dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Im mniej dzieliło ją od urodzin, tym te wyprawy stawały się coraz częstsze.

Kilka dni przed tym wyjątkowym dniem podpłynęła do łodzi, która idealnie wpasowywała się w jej gust. Była wielka i dryfowała w jednym miejscu,

poruszana jedynie przez fale. Co więcej, w kadłubie miała śmieszne, małe okna. Widziała już takie kilka razy; można było zobaczyć w nich wnętrze statku, gdzie ludzie lubili grać w karty albo przechowywać skarby – zależnie od rodzaju okrętu.

Ale te okna były ciemne. Wszyscy ludzie znajdowali się na górze, grając muzykę na tyle głośno, że dźwięk docierał pod lustro wody. Mała syrenka od zawsze kochała muzykę, dlatego teraz pływała wokół statku blisko powierzchni, dopasowując się do jej rytmu.

Lecz w pewnej chwili, po kilku godzinach zabawy, w oknach pojawiło się światło. Jaśniejsze, niż syrenka kiedykolwiek widziała. Światło, którego nie mogła emitować jedna świeczka. Prędzej kilka świeczek. Albo coś większego... pochodnia, na przykład.

Mała syrenka zatrzymała się w miejscu i podpłynęła do jednego z okien.

Przysunęła twarz najbliższemu szkła, jak było to możliwe.

I spojrzała w głąb swojej przeszłości.

Widok znajdującej się w środku dziewczyny uderzył ją jak błyskawica.

Nagle cała ciemność, jaka panowała w jej umyśle, została rozproszona przez światło i w jednej chwili była w stanie zobaczyć wszystko, czego wcześniej nie dostrzegała. Wspomnienia przebiły się przez mrok i kolejno, jedno po drugim, wypływały na powierzchnię, swoją siłą odrzucając ją do tyłu.

Lecz zanim odsunęła się od okna, nawiązała kontakt wzrokowy.

Dziewczyna ją widziała.

Dziewczyna ją rozpoznała.

Evie. Ta dziewczyna miała na imię Evie.

A jej własne imię nie brzmiało Annemette, tylko Anna. Anna Kamp.

Friherrinda Anna Kamp.

I syn króla.

Nik.

Nik, chłopiec o słodkiej buzi i ciemnych oczach. Majestatyczny mimo chucherkowatego wyglądu. Miłośnik muzyki i sztuki. Najmilsza osoba na świecie. Pierwsze wspomnienia na jego temat przyszły do niej w złotej chmurce, jakby osobiście napełnił ją światłem słonecznym.

Musiała się z nim zobaczyć.

Syrenka zebrała całą swoją siłę i ruszyła naprzód, podpływając z powrotem do okna. Evie i Nik zawsze trzymali się razem. Jeśli Evie

znajdowała się na statku, Nik też tam był. Nie miała ku temu wątpliwości.

Jeśli Nik znajdował się na statku, to pewnie był na górze.

Tam, gdzie wszyscy śmiali się, tańczyli i śpiewali.

Bez niej.

I właśnie wtedy dotarły do niej również ponure wspomnienia, sprawiając jej taki ból, że musiała zamknąć oczy.

Przypomniała sobie tamten dzień. Evie i ogromne fale. Zakład. Silny prąd.

Napór wody. Wciąż by żyła, gdyby Evie nie zaproponowała wtedy tego wyścigu.

Mała syrenka zaczęła szlochać – tym razem boleśnie świadoma, że jako syrena nie mogła uronić łez, w przeciwieństwie do osoby, którą była w poprzednim życiu. I, och, jak bardzo tego w tej chwili pragnęła.

Tamtego dnia utonęła.

Albo prawie utonęła – nie umarła, ale jej życie zostało skradzione. Jej ojciec – król mórz – ją ocalił. Okłamał ją. Wszyscy ją okłamali. Wmówili jej, że jest jedną z nich. Cały ten czas trzymali ją w niewiedzy.

Mała syrenka znów zaniósła się szlochem, śledząc dryfującą na powierzchni morza łódź, gdzie w tej chwili trwało życie, które ona straciła.

Wtedy właśnie ustąpiły resztki spowijającego jej umysł mroku, a ona przypomniała sobie ostatnie chwile swojego ludzkiego życia.

Pamiętała nurkującą ku niej Evie.

Pamiętała, jak wątku sylwetka Nika dopadła do nieruchomego ciała jej przyjaciółki i podciągnęła Evie na powierzchnię. Evie pierwszą. Oczywiście, że w tej kolejności.

Kilka minut później jego cień wrócił; patrzył na jej ciało, które spoczywało niemalże na dnie morza. Pamiętała, jak wypłynął z powrotem na powierzchnię.

Zanurkował ponownie, ale nagle się zatrzymał. Złapał go inny chłopiec.

Ten, w którym podkochiwała się Evie – Iker. Kolejny książę.

Nik mógł się bardziej opierać, ale zamiast tego pozwolił, by Iker wyciągnął go z morskiej głębi. Poddał się.

Ich przyjaźń. To, co do niego czuła. Jej życie. Żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia.

Złota łuna bijąca od wspomnień o Niku i chwilach, jakie z nim spędziła, ulotniła się w jednym momencie. Jej czułe wspomnienia o Evie – dziewczynie, która była dla niej jak siostra – zniknęły bez śladu. Szczęśliwe wspomnienia o

Ikerze – niezwykle przystojnym księciu – zapomniane.

To wszystko zostało zastąpione przez wściekłość.

Furię.

Gniew.

Chciała każdego z nich zniszczyć. Roztrzaskać. Zrujnować.

Pragnęła zemsty za wszystko, co zostało jej odebrane.

To właśnie z powodu wyborów, jakich dokonała ta trójka, przestała być człowiekiem. Ale teraz miała po swojej stronie magię. Była istotą stworzoną z potężnej i pięknej magii. Nie można było wskazać u niej miejsca, w którym kończyła się magia, a zaczynała ona. Straciła życie, które należało do niej; straciła duszę. Jednak wciąż miała swoją magię i wściekłość.

I zamierzała zrobić z nich użytek.

– Veðr.

Burza. Tak. Burza.

– Veðr – powtórzyła, czując, jak magia krąży w jej żyłach, wsiąka w skórę, kłuje ją pod powiekami.

Była magią. Była burzą.

– Veðr – Nad jej głową rozbrzmiał huk sztormu tak głośny, że wstrząsnął falami. Była to najpiękniejsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszała. Chciała zobaczyć to na własne oczy. Pragnęła zobaczyć zniszczenia, jakie spowodowała. Niebieska toń rozciągała się w nieskończoność, a mała syrenka czuła się jak w klatce.

Ale się w niej nie znajdowała. W ciemności rozbłysło światło, a ona wiedziała, w którą stronę ma płynąć.

Za trzy dni miała świętować dzień, który wszyscy wokół nazywali jej urodzinami, jednak tak naprawdę nimi nie były. Był to dzień, w którym utraciła swoje życie i narodziła się na nowo, a nie prawdziwy dzień jej urodzin. W przeszłości świętowała go razem z Nikiem, więc jeśli dziś wypadały jego urodziny, oznaczało to, że było to również jej święto. Miała piętnaście lat. Mogła już wyjść na powierzchnię.

Mała syrenka płynęła ku lustru wody, cały ten czas powtarzając w głowie magiczną komendę. Błyskawice zyskiwały na sile, podobnie jak wiatr i fale.

Kadłub statku zaczął się bujać i nagle cały się rozświetlił. Ludzie uciekali od jej mocy. Chowali się w dolnej części okrętu.

Ale nie wszyscy.

Gdy przebiła taflę wody, jej oczom ukazały się trzy osoby obecne w jej

wspomnieniach – we wspomnieniach z tamtego feralnego dnia. Wiedziała, że tam będą. Zawsze próbowali zgrywać bohaterów.

Z wyjątkiem sytuacji, kiedy chodziło o jej życie. Najwyraźniej ich odwaga miała swoje granice.

A ona zamierzała sprawić, by ponieśli za to konsekwencje.

Łódź szarpnęła się pod wpływem fal, podczas gdy Evie z Ikerem próbowali ją ustabilizować. Nik wypełniał polecenia kuzyna – jak zwykle – i podszedł do bocznej części statku, by odciąć od niego mały szkuner.

To była jej szansa.

– Veðr.

Fale uderzyły w statek, a księżę zatoczył się i z całej siły złapał się barierki.

I dokładnie w momencie, gdy zaczął odzyskiwać równowagę, mała syrenka posłała w stronę statku największą falę – większą niż ściana wspomnień, jaka w nią wcześniej uderzyła, większą, niż kiedykolwiek widziała – prosto w chłopca, który jej nie uratował.

Statek się przechylił, a Nik wypadł za burtę do rozszalałego morza.

Powieki miał zaciśnięte, gdy pojawił się przed jej oczami. Uderzył głową w kadłub szkunera, wpadając do wody, ale w błękitnej toni nie było krwi. Tylko Nik; dryfował naprzeciwko niej i sprawiał wrażenie, jakby był pogrążony we śnie.

Jakby był pozbawiony wszelkich zmartwień.

Mała syrenka ujęła jego twarz w dłonie. Wyglądał starzej, a pod opuszkami palców poczuła zarost.

– Dlaczego o mnie nie walczyłeś? Dlaczego?

Odpowiedź Nika zmieniła się w bąbelki. Zaczęło brakować mu powietrza.

Przez ułamek sekundy chciała, by się utopił.

Chciała, by zmienił się w kupkę kości leżących na dnie oceanu. Pragnęła zemsty. Jednak to nie było w porządku. Chciała czegoś więcej. Taki obrót spraw nie przyniósłby jej satysfakcji.

Dlatego zaprowadziła go z powrotem na powierzchnię. Wyniosła na brzeg.

W głowie wirowało jej od ogromu możliwości, gdy czuła na ramionach ruchy jego klatki piersiowej.

Król mórz zrobił z niej syrenę – wbrew jej woli. To nie było coś, czego chciała. Mała syrenka pragnęła żyć ponad lustrem wody. Dlatego postanowiła, że znajdzie zakłęcie, które jej na to pozwoli.

A wtedy się zemści.

Rozdział 27

Kolejka prowadząca do rodziny królewskiej wydaje się nie mieć końca – ciągnie się korytarzami, potem schodami, a następnie wychodzi poza Zamek Øldenburgów. Nie sięga zewnętrznych schodów i ogrodu z tulipanami, ale gdyby czekali pięć minut więcej, z pewnością by tak było.

Stoimy na końcu kolejki. Obok nas znajduje się kilku znajomych z klasy, łącznie z Ryuvenem i Didrikiem. Malvina czeka przed nami. Jak zwykle jestem pod ostrzałem zimnych i lekceważących spojrzeń nadchodzących z każdej strony oraz towarzyszących im konspiracyjnych szeptów. Wszyscy myślą, że coś planuję – że każdy mój czyn motywowany jest rządzą utrzymaniu mojej pozycji w pałacu, w miejscu, do którego nie należę.

Choć podejrzewam, że tym razem miałoby rację. Mam plan.

Ale nie dotyczy on mnie.

Jeśli pocałunek nie załatwi sprawy, ja to zrobię. Zabiorę Annemette to Zatoki Havnestadu i przekażę morzu swoje żądania. Poproszę o to, co jest mi winne – co jest *nam* winne. Morze zabrało Annę. Zasługuję na Annemette.

A Annemette... cóż. Najwyraźniej myśli, że zasługuję na magię, którą była skłonna się ze mną dziś podzielić. Wyczarowała suknię, którą mam na sobie – kreację w kolorze havnestadzkiego błękitu, wyszywaną czarną koronką przy gorsecie. Jej suknia ma podobny odcień, ale zaakcentowana jest kolorem kości słoniowej. Nasze perły i warkocze sprawiają, że wyglądamy jak swoje przeciwieństwa – jak dzień i noc.

Próbuję wziąć głęboki oddech i uspokoić napięte nerwy, ale mam bardzo ściśnięty gorset.

– Duma boli – szepnęła mi do ucha Annemette, zawiązując górę mojej sukienki. Zastanawiam się, jak ciasno królowa musi w takim razie wiązać sobie gorsety, ale śmiech tylko przyniesie mi więcej cierpienia.

Goście ustawiają się za nami, podczas gdy kolejka ślimaczym tempem przesuwa się do przodu, a my wraz z nią. Po jakimś czasie, jaki spędzamy stojąc w holu, w końcu widzimy wejście do królewskiej sali balowej.

Zauważam wysoką sylwetkę króla Asgera z koroną na głowie oraz mieniące się pod wielkimi żyrandolami szafiry, które kąpią hol w złotym blasku.

Zerkam na lewo i widzę Nika oraz jego nieco skromniejszą koronę. Obok niego jest Iker, który, po raz pierwszy od początku tej podróży, ma na sobie swoją koronę, udekorowaną rubinami z Zatoki Rigeby.

Jeszcze trochę.

Stojące na przedzie dziewczęta cieszą się uwagą, jaką w końcu poświęcają im obaj książęta. Królowa promienieje, tak samo jak Nik – nigdy nie śmiałyby zawieść oczekiwań tych ludzi. Nawet za milion lat. Iker ma twarz księcia z bajki i, utrzymując swoją reputację, puszcza oczko i całuje dłoń każdej z panien.

Po dłuższej chwili w końcu przychodzi nasza chwila na spotkanie z królem.

– Evelyn, wyglądasz dziś nawet piękniej niż zwykle.

– Dziękuję, Wasza Miłość. – Uśmiecham się, ściskając jego dłoń.

– Tak, całkiem pięknie – dodaje królowa Charlotte, mrużąc powieki. – Masz śliczną sukienkę.

Jestem pewna, że zastanawia się, skąd wzięłam tak kosztowną rzecz; czy kupił mi ją Nik, czy może ukradłam tę sukienkę jednej z dziewcząt, które zaprosiła. Jest zbyt miła, by coś powiedzieć na ten temat w obecności innych ludzi, choć bez wątpienia niedługo dotrze do mnie wymyślona przez nią plotka.

Chwytam jej dłoń i dygam.

– Evie, wyglądasz fantastycznie – mówi Nik, gdy do niego podchodzę. Z zaskoczeniem zauważam, że jego wzrok utkwiony jest we mnie, nie w stojącej za mną Annemette, która wygląda jeszcze bardziej zachwycająco.

Odwracam się do niego, a on bierze moją dłoń, po czym ją całuje. Czuję, jak oddech więźnie mi w gardle.

– Tak, fantastycznie. Pośpiesz się, kuzynie – mówi z poirytowaniem Iker.

Pochylam się w stronę Nika, całuję go w zarumieniony policzek i ściskam jego dłoń. Wygląda stylowo w śliskim, czarnym garniturze, z włosami idealnie ustylizowanymi pod koronę.

Stojący obok nas Iker odchrząkuje. Nik po raz ostatni ściska moją dłoń, a następnie kłania się Annemette.

Razem z Nikiem żartujemy o roli księcia z bajki, jaką na dziś przyjął Iker,

lecz ani trochę nie ujmuje mu to uroku. Moje serce już i tak biło jak szalone, ale teraz na jego widok czuję, że robi mi się gorąco.

Ma na sobie eleganckie, granatowe spodnie oraz długie, lśniące buty. Biała koszula wystaje spod wyprasowanego płaszcza, który błyszczy od wyszywającej go złotej nici i herbu Zatoki Rigeby. Rozjaśnione słońcem kosmyki włosów podkreślają błękit jego oczu. Korona z rubinami jest symbolem jego statusu, owszem, ale nawet w łachmanach – nawet nagi – wyglądałaby jak księżę.

Iker ujmuje moją dłoń, składając na niej pocałunek, tak samo jak w przypadku wszystkich pozostałych dziewczyn w kolejce. Ma delikatne wargi; jego nikły zarost na podbródku drapie mnie w skórę i w jednej chwili mój rumieniec staje się bardziej intensywny.

W następnej chwili staje prosto i ściąga ramiona, a na jego ustach tańczy subtelny uśmiech, od którego miękną mi kolana.

– Czekam z niecierpliwością na nasz dzisiejszy taniec, moja miła.

W jego oczach czai się tajemniczy błysk, gdy pochyla się i szepcze mi na ucho:

– Wyglądasz dzisiaj jak ucieleśnienie komtesy, ale poruszasz się z gracją królowej, a w twojej krwi kryje się morska kobieta, dla której straciłem głowę.

Muszę wykorzystać całą swoją siłę woli, by nie pocałować go na oczach wszystkich. Ale po dzisiejszym wieczorze będziemy mieli na to mnóstwo czasu. Będziemy mieli całe życie. We dwoje.

Sześć Dni Wcześniej

To nie wyjście cało ze spotkania z ludźmi sprawiało jej największą trudność, tylko powrót do morskiego zamku i dawnego życia, jakby nic się nie stało, podczas gdy już nic nie było takie samo.

Mała syrenka już wiedziała, kim jest. I mijając koralowe wrota do zamku, ławice ryb, które dopiero niedawno zawitały w tych wodach, mogła myśleć tylko o jednym.

O tym, jak wrócić na powierzchnię.

Na lądzie jej magia była słabsza. Tyle pamiętała. Evie magia na lądzie działała. Za dziecka tego nie wiedziała, ale teraz, gdy w jej żyłach krążyła magia, łatwo było zauważyć ją również w domu jej przyjaciółki, zwłaszcza u

jej dziwnej ciotki.

Och, cóż za cudowny sekret. Nie zdradziła go nawet swojej lojalnej przyjaciółce.

Magia istniała, ale była nielegalna. Stanowiła niebezpieczeństwo dla równowagi i porządku – przynajmniej w oczach Øldenburgów.

A to jedynie ułatwiało małej syrence wymierzenie zemsty. Podsuwało jej plan na to, czym ona powinna być.

Użyje magii Evie przeciwko niej. Zmusi ją, by skorzystała z mocy na oczach innych ludzi. A nawet lepiej – sprawi, by to jej najbliżsi ją za to ukarali.

Z Nikiem będzie miała problem. Ukaranie Evie sprawi mu ból, doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale to jej nie wystarczy. Ukaranie Evie będzie zaledwie początkiem jego własnej pokuty.

A Iker... cóż, tego prostaka zgubi przede wszystkim jego własna pewność siebie; prawdopodobnie nawet nie będzie musiała nic robić.

Jednak zanim mogła w pełni dopracować swój plan, najpierw musiała dowiedzieć się, jak wyjść na ląd. Znała historie o „ich” matce. Ona też kiedyś była człowiekiem – wiedźmą, którą ludzie próbowali utopić na wybrzeżu Hirtshals. Ale ojciec – król mórz, a nie jej prawdziwy ojciec – dotarł do niej w samą porę. Uczynił ją swoją królową. Powiedział, że po tym wydarzeniu już nigdy nie był w stanie czegoś takiego zrobić.

Kłamał.

Wszyscy ją okłamali.

A to oznaczało, że mieli przed nią jeszcze więcej sekretów. Ale teraz wiedziała, gdzie szukać.

Za każdym razem, gdy jej siostry obchodziły piętnaste urodziny, królowi mórz bardzo zależało na tym, by zapisać ich imiona w wielkiej księdze, którą trzymał u siebie na biurku i która stanowiła oficjalną królewską listę wszystkich syren i trytonów mających pozwolenie na wyjście na powierzchnię.

Król mórz uwielbiał wykorzystywać porządek i przepisy, by chronić swoich poddanych przed poznaniem prawdy.

Drobnostkowość była jego zabezpieczeniem i, póki co, spełniała swoją rolę.

Zapisywał w księdze wszystkie magiczne wymiany, więc jeśli istniał sposób na wyjście z wody, najprawdopodobniej go tam zanotował.

Dlatego, wciąż czując na skórze zapach Nika, mała syrenka powróciła do pałacu i natychmiast wślizgnęła się do komnat swojego ojca. Wszystkie ważne dokumenty trzymał w salonie – w pomieszczeniu z widokiem na rozciągającą się poniżej wielką rafę koralową, która emanowała milionami kolorów w świetle oceanu.

Z jego sypialni dobiegały odgłosy chrapania. Nie miała pojęcia, jakim cudem mógł tak spokojnie spać. Nie tylko dlatego, że ją okłamał, ale również z powodu pochłaniającego jego wody chaosu. Magia zaburzyła naturalną równowagę podwodnego życia. Pewne zakłęcie urodzaju gromadziło w ich oceanie wodne istoty z zewnątrz. Pożerały ich zasoby, które już i tak kilka lat temu poważnie ucierpiały w wyniku dziwnej choroby, jaka zaatakowała wtedy morską toń. Czarna plaga, tak ją nazwali. Większość wierzyła, że ona również była wywołana przez magię.

Ale mała syrenka wiedziała, że te problemy już wkrótce nie będą jej dotyczyć.

Ostrożnie przepłynęła obok półek z książkami króla mórz i zbliżyła się do ogromnego biurka. Zwinnymi palcami otworzyła księgę i przekartkowała ją do zapisków pochodzących z czterech lat wstecz.

W tamtym dniu nikt nie świętował piętnastych urodzin, więc na kartce nie widniało żadne imię. Zawierała ona jedynie codzienne wpisy na temat regulacji magicznej aktywności. Jednakże na samym dole kartki, napisana zaskakująco bezpretensjonalnie, była informacja o jej narodzinach.

Tego dnia, w jej jedenaste urodziny, dołączyła do nas Annemette. Wspólnie z jej siostrami zabrałyśmy ją do królestwa, wykorzystując tę samą magię, która dała mi Mette. Zakłęcie to zadziało po raz pierwszy od trzydziestu lat.

Jeśli zostało to zapisane w księdze, to dlaczego wszyscy ją okłamałi?

Prawda była na wyciągnięcie ręki i wszyscy w królestwie ją znali. Dlaczego o niczym jej nie powiedzieli?

Dokładnie w chwili, gdy furia zaczęła wypełniać jej żyły, mała syrenka uświadomiła sobie, dlaczego wszyscy przez cały ten czas mydlili jej oczy.

Wiedzieli, że będę chciała wrócić.

Czyli to było możliwe. Musiał istnieć jakiś sposób.

Przewróciła kolejne kartki, szukając dłuższych wpisów, które mogłyby zawierać jakieś szczegóły na temat tego, jak to zrobić.

Ale nic nie znalazła. Każdą ze stron zapełniały nudne interesy... „zatopiliśmy statek, zestawienie liczy dwudziestu dwóch ludzi, pięć beczek

ropy, siedemnaście antałów wina i dziesięć palet jedwabiu”.

Mała syrenka zaczęła zastanawiać się nad innymi możliwościami.

Czymkolwiek.

Nagle ją olśniło: przewróciła kartki o trzydzieści lat wcześniej, szukając wpisu notującego „narodziny” zmarłej już królowej, Mette.

Znalazła fragment z datą 17 lutego, 1899 – okropny czas na topienie ludzi.

Hipotermia mogłaby ją zabić nim zdążyłaby umrzeć z braku powietrza. W trzystronicowym wstępie król mórz dokładnie opisał, jak zaklęcie, którego użył do uratowania Mette, zadziałało, ale niemal pozbawiło go życia. Po wszystkim miał tak mało siły, że ledwo mógł utrzymać w ręku pióro, by to wszystko upamiętnić w księdze. Ta magia wyglądała na typową wymianę – poprosił o coś i to otrzymał – ale cena była tak wysoka, że prawie go to zabiło.

I pod wpływem swojej słabości oraz kwitnącej miłości, powiedział Mette o tym, jak została syreną. Chciał, by owa piękna, obca istota doceniła poświęcenie, na jakie się zdobył, by uratować jej życie – może dzięki temu odwzajemniłaby jego uczucia. Jednak zamiast tego jego wyznanie odblokowało falę wspomnień, które sprawiły, że kobieta natychmiast chciała powrócić na powierzchnię.

Była wiedźmą. Znała magię, jaką posługiwała się w życiu, jakie wiodła na lądzie. I znała też magię, jaka panowała pod wodą.

I ponieważ ją kochał, pozwolił jej odejść.

Serce małej syrenki zaczęło bić jak szalone. Trzęsącymi się palcami przewróciła kolejne kartki.

W końcu, po długim fragmencie opisującym okres, w którym król stopniowo powracał do zdrowia, znalazła to, czego szukała.

Dziś królowa Mette zaczęła testować zaklęcie, które mogło sprawić, by syreny były w stanie wyjść na ląd w ludzkiej postaci. W ciągu kilku ostatnich tygodni królowa eksperymentowała na lojalnych podwładnych, ale mimo wiedzy, jaką posiadała na temat magicznej wymiany, ani razu nie udało jej się wysłać ich na powierzchnię; zaklęcie zbyt wcześnie traciło swoją moc, wyczerpując królową Mette i zsyłając cierpienie na przedmioty badań. Lecz tego ranka doznała olśnienia.

To zaklęcie w najmniejszym stopniu nie przypomina żadnego, jakie jest mi znane. Ta magia potrzebuje dodatkowego wsparcia – zużywa zbyt dużo energii i jeśli ten warunek nie zostanie spełniony, skutki mogą okazać się

katastrofalne.

Tylko życie może spełnić warunek wymiany i zapęłnić tę pustkę. Ja byłem dość potężny, by uratować ją nie oddając własnego – być może siła mojej miłości również miała na to wpływ – ale kolejna próba mogłaby mnie zabić. A to oznacza, że aby wyjść na powierzchnię, Mette potrzebuje czyjś życia – ludzkiego życia.

Przez trzy kolejne dni nie było żadnych wpisów.

A potem żaden z wpisów nic nie mówił na ten temat. Mała syrenka szukała dalej.

Ponad rok później pojawił się nowy fragment, który wyglądał, jakby pisany był drżącą ręką.

Na nasze wody burza wprowadziła pewnego człowieka. Mette wykorzystała swoją okazję – mimo że w końcu odwzajemniła moje uczucia, wciąż tęskniła za domem. Chciała wypróbować zaklęcie, które stworzyła.

Moja królowa nie mogła zabić człowieka, ale życie tego mężczyzny było już skończone. Położyła na nim dłonie i wyrecytowała słowa zaklęcia.

– Líf. Dauði. Minn líf. Minn bjóð. Seiðr. Seiðr. Seiðr.

Nagle człowiek otworzył oczy i wypuścił powietrze z ust. Jego skóra lśniła w miejscach, gdzie Mette go dotykała i wkrótce blask był tak oślepiający, że przez chwilę nie byłem w stanie nic zobaczyć.

W mgnieniu oka światło zniknęło, mężczyzna był martwy, a obok niego pływała Mette, która wyglądała dokładnie tak, jak za dnia, gdy ją odnalazłem – miała nogi, płuca i walczyła o oddech. Wypłynąłem z nią na powierzchnię,

znalazłem kawałek roztrzaskanej łodzi, którego mogła się przytrzymać i zabrałem ją na najbliższy brzeg. Nie jestem pewien, jak długo zaklęcie się utrzyma albo co się po tym stanie. Albo czy jeszcze kiedykolwiek ją odzyskam.

Mette szuka właśnie pewnej wiedźmy, która może jej pomóc. Zna jedną w Havnestadzie – taką, która dotrzyma naszej tajemnicy.

Boję się, że ją stracę. Boję się, że nasi ludzie przez to ucierpią.

Mała syrenka przewróciła stronę. Nic.

Przewróciła kolejną. Nic. Król mórz musiał czekać kilka dni na powrót swojej królowej. Mała syrenka wiedziała, że w końcu do tego doszło, ponieważ to ona była biologiczną matką dziewcząt, które ona osobiście nazywała siostrami.

Czwartego dnia po tym wydarzeniu pojawił się nowy wpis.

Widziałem się z moją kochanką Mette! Wiedźma z Havnestadu dała jej

cztery dni. Po tym będę musiał zmienić ją z powrotem w syrenę, ponieważ w przeciwnym wypadku ani ląd, ani morze nie przyjmą jej z powrotem.

Powiedziałem jej, że jestem zbyt słaby. Że nie mogę tego zrobić, ale wiedźma uśmiechnęła się tylko i odparła, że nie doceniam wpływu, jaką miłość ma na moją magię. Mette nie kochała mnie, gdy ją przemieniłem, ale teraz mnie kocha. I właśnie na tym polegała różnica.

Mała syrenka przebiegła wzrokiem resztę wpisów. Musiał istnieć sposób na to, by zatrzymać nogi na dłużej niż cztery dni. To nie mogło się na tym skończyć. Jeśli potrzebowała kogoś zabić, musiała wiedzieć, że dzięki temu będzie mogła pozostać na lądzie już na zawsze.

Nie przestawała szukać. Nic. Absolutnie nic.

Sfrustrowana, zamknęła księgę, uważając, by nie zrobić tego za głośno, chociaż miała ogromną ochotę zatrzaskać ją z całej siły. Chciała rzucić nią przez pokój. Właśnie podnosiła rękę, by to zrobić, gdy nagle zobaczyła stojącą na swojej drodze biblioteczkę królowej. Podpłynęła do półki. Musnęła kciukiem grzbiety książek i zamarła, gdy zobaczyła to, czego szukała. Pamiętnik królowej.

Czując, jak jej serce przyspiesza, przerzuciła kartki do dnia, w którym królowa powróciła do bycia syreną z pomocą króla mórza.

Królowa pisała, że wiedziała, co kosztowałoby ją pozostanie na lądzie.

Miłość nie tylko umożliwiła jej powrót – mogła umożliwić jej również pozostanie tam na zawsze. Prawdziwa miłość mogła przełamać zaklęcie, tak powiedziała jej wiedźma.

Ale mogło to zrobić również coś jeszcze – śmierć. Poświęcenie tak wielkie, że było w stanie sprawić, by magia spełniła jej prośbę i stworzyła ludzkie życie.

Odpowiedź, której szukała mała syrenka, znajdowała się na kartkach pamiętnika Mette. Sposób na odzyskanie swojego dawnego życia i wymierzenie idealnej zemsty.

Rozdział 28

Powietrze w sali balowej przepełnione jest wesołością. Zewsząd otacza mnie morze ludzi – młodszych i starszych, mieszkańców Havnestadu i gości – a ich śmiechy oraz radosne okrzyki tylko podkreślają panujący w pomieszczeniu rozruch wywołany skoczną melodią graną przez ulubionych muzyków króla.

Ten jeden raz Nik nie kradnie muzykom instrumentów i nie odwraca od nich uwagi. Dziś to on jest gwiazdą na parkiecie.

Król Asger właśnie skończył przemowę – taką, która nie nakazywała Nikowi wygłaszać własnej – i teraz ujmuje dłoń królowej Charlotte.

– Czas na pierwszy taniec.

Nik wychodzi na parkiet razem z rodzicami. Gdy muzyka zaczyna przybierać majestatyczne brzmienie, wzrok wszystkich gości spoczywa na nim. Wilhelm Van Horn, ojciec Ruyvena, staje przed orkiestrą jako oficjalny królewski konferansjer. Czyta ze zwoju podbitego królewską pieczęcią. Cała ta otoczka jest okropnie formalna i wcale do nas nie pasuje. Książę osiagający pełnoletniość to widocznie poważna sprawa.

Wilhelm odchrząkuje.

– Książę Asger Niklas Bryniulf Øldenburg III prosi do pierwszego tańca...
– Przez moment słycać werble. Annemette chwyta mnie za rękę.

– Friherrindę Annemette z Odensy.

Ściskam dłoń Annemette na chwilę przed tym, jak wychodzi na parkiet pośród fali oklasków. Oczy wszystkich spoczywają na tej złotowłosej, pięknej istocie. Gdzieś z tyłu słyca donośny głos pani Liesel.

– Moja Anneke, moja Anneke.

Annemette dyga z gracją. Królowa wygląda na zadowoloną. Król również.

Nik sprawia wrażenie lekko zawstydzonego, co podkreślają jego zaczerwienione uszy. Zerka na mnie, a ja nie jestem pewna, jak może oderwać wzrok od Annemette. To ona jest słońcem, podczas gdy my przypominamy tylko zwyczajne gwiazdy.

Podchodzi powoli do Nika, który wyciąga rękę, ujmuje jej dłoń, po czym oboje stają z boku, stanowiąc niemal idealne odzwierciedlenie znajdującej się obok nich pary królewskiej. Obie pary reprezentują dwa różne pokolenia.

Czuję ucisk w sercu. Po tym wyczerpującym, pełnym rozczarowań dniu, wciąż możemy mieć szczęśliwe zakończenie. My wszyscy.

Iker wchodzi na parkiet jako następny. Moje serce przyspiesza i zaczyna trzepotać jak tor drżący pod wpływem nadchodzącego pociągu.

To ten moment.

Wilhelm ponownie odchrząkuje. Czuję, jak wzrok wszystkich łąduje na mnie.

– Księżę Christian Olaf Iker Navarre Øldenburg prosi do pierwszego tańca... – Rozlegają się werble, a ja nie mogę odróżnić ich dźwięku od bicia własnego serca. – Friherrindę Odę z Kalø.

Zamieram.

Kogo?

Iker wyciąga rękę i wskazuje w kierunku obcej dziewczyny o włosach w kolorze lodowego blond.

Dziewczyna wychodzi na parkiet, a zebrane wokół niej panny podrygują z podekscytowania. Iker nawet nie zaszczyca mnie spojrzeniem. Wpatruje się w dziewczynę, jakby była cennym łupem, na którym zaraz położy swoje łapy.

Królowa sprawia wrażenie zadowolonej. *Bardzo zadowolonej*. Księżę lekkoduch w końcu zastosował się do jej życzeń.

Policzki mi płoną, a moje serce i krew robią się zimne od stania w całkowitym bezruchu. Powinnam była się tego spodziewać. Iker nigdy nie mógłby zatańczyć ze mną na takim balu. Tak samo jak nigdy nie będzie mógł tego zrobić w Zatoce Rigeby ani w żadnym innym miejscu. Nieważne, czy dojdzie do naszej morskiej wyprawy, czy nie, nie dostanę od niego nic więcej niż te kilka tygodni. Zamykam oczy i pozwalam się zalać fali wstydu.

Gdy je otwieram, widzę przed oczami triumfalną minę Malviny tak wyraźnie, jakby wszystkie światła w sali balowej skierowane były na nią.

Właśnie na to ludzie jej pokroju czekali od momentu, gdy Nik, Iker i ja zostaliśmy przyjaciółmi – na to, aż moje marzenia zostaną obrócone w pył na oczach ich wszystkich.

I doczekali się.

Mieszkańcy mają rację, jestem okropna. Zawsze czegoś oczekuję od tych

dwóch księżąt, nieważne czy rzeczywiście na to zasługuję. Nik puszcza dłoń Annemette i robi krok w moją stronę, jakby chciał mnie ocalić od tego ponizenia. Napotykam jego wzrok, mając nadzieję, że nasz wyjątkowy sposób komunikacji przebije się przez dzielącą nas odległość i ciężar tak wielu spojrzeń. Moje serce jest w kawałkach, ale w tej chwili jego jest ważniejsze.

Najbliższe chwile są kwestią życia i śmierci.

Jednak Nik wciąż wyciąga ku mnie dłoń, aż w końcu Annemette łapie ją i szepcze mu coś na ucho. Przyjaciel natychmiast wraca na swoje miejsce i przenosi wzrok na partnerkę.

Muzyka zaczyna grać, a pary ruszają do tańca. Mam ogromną ochotę stamtąd uciec, ale jestem w pułapce, zmuszona patrzeć na trzy królewskie pary z przyklejonymi do twarzy fałszywymi uśmiechami.

Korona Nika mieni się w centrum parkietu, a pozostali wirują wokół niego. Uśmiech na jego ustach jest prawdopodobnie najjaśniejszą rzeczą na całej sali. Jaśniejszy niż diamenty w koronie królowej. Jaśniejszy niż szafirowa korona króla.

Długie włosy Annemette powiewają w tańcu wraz z każdym jej ruchem, a bije od niej taki entuzjizm, że nawet przedstawiciele młodego pokolenia, którzy stoją najbliżej nich, wpatrują się w kwitnącą w ich oczach miłość.

Piosenka dobiega końca i każda z par kłania się, a po chwili kolejne zapełniają parkiet. Arystokraci zostają połknięci przez tłum, jako że prawie każdy znajduje się w tej chwili na środku sali. Cofam się pod ścianę, po czym w końcu siadam na stojącym przy niej krześle. Niemal natychmiast czuję na ramieniu czyjąś dłoń.

– Nie podałem mu imienia tej dziewczyny – mówi Iker niskim i napiętym głosem. – Proszę, zatańcz ze mną. Proszę, Evelyn.

– Ja...

Zamyka moją dłoń w swoich.

– Pozwól mi to naprawić. Proszę. Ta dziewczyna nic dla mnie nie znaczy.

W pobliżu nie ma śladu po dziewczynie o włosach w kolorze lodowego blond. To, że zostawił ją po jednym tańcu, musiało ją niezwykle rozczarować.

Mimowolnie patrzę mu w oczy, choć wiem, że to błąd. Czuję się, jakby rzucił na mnie zaklęcie bez użycia dobrze znanej mi magii, wykorzystując moje wspomnienia przeciwko mnie. Ale nie mogę z nim zatańczyć. Wstyd

wywołany wcześniejszym odrzuceniem jedynie wzrośnie w siłę, gdy mieszkańcy uznają, że Iker tańczy ze mną z łaski. Potrząsam głową.

– Proszę – mówi błagalnym tonem. – Nie chcę tańczyć z żadną z tych dziewcząt. Potrzebuję cię, Evie. Tylko ciebie.

Rozglądam się i widzę, że każdy dobrze się bawi. Tańczy, śmieje się. Dlaczego ja miałabym z tego rezygnować? *Niech mówią, co chcą.*

W końcu kiwam głową, a Iker podciąga mnie na nogi i kładzie jedną rękę na mojej talii. Moja idealnie wpasowuje się w jego wolną dłoń. Jakby właśnie tam było jej miejsce. Zespół gra powolną piosenkę, a my wchodzimy na parkiet. Czuję się, jakby cały świat zniknął i zostaliśmy tylko ja i Iker, przytuleni do siebie i popychani przez niewidzialny, silny prąd.

– Pewnie moja ciotka zapisała na zwoju imię tej dziewczyny – szepcze mi do ucha Iker. – Założę się, że tak było. To o twoje poprosiłem.

Chcę mu wierzyć. Naprawdę. Ale znam jego reputację. Jego zapędy. I gdzieś głęboko w duchu zaczynam się zastanawiać, czy on i ta dziewczyna spotkali się już wcześniej. Nie spojrzał na mnie, kiedy wyczytano jej imię. W przeciwieństwie do Nika, Iker patrzył tylko na nią – jakby ją znał.

– Proszę, Evie... – Iker odchyła się tak, że mogę zerknąć na jego twarz, gdy wspólnie przechodzimy przez zgromadzony na parkiecie tłum. Ból, jaki pobrzmiwa w jego głosie, sięga jego oczu.

– Iker, nic się nie stało – oznajmiam, mimo że jest dokładnie odwrotnie.

Obraca mnie obok króla. Uważamy, by nie wpaść na Malwinę i Ruyvena. Mijamy Nika z Annemette, a ja nagle czuję w żyłach subtelny płomyk magii. Zastanawiam się, czy Annemette właśnie użyła zaklęcia, by się nie przewrócić. Mimo jej wrodzonej gracji i godzinnej nauce tańca, jej nogi wciąż nie funkcjonowały tak, jak powinny.

Iker podąża za moim spojrzeniem.

– Co? – pyta.

Nie mam zbyt wielkiego wyboru co do opinii, z którymi mógłby się zgodzić, więc mówię tylko:

– Nik i Annemette... są tacy... to jest takie...

– Podejrzane?

Nie tego słowa szukałam. Nagle przypomina mi się kłótnia na statku. Nie widziałam, by Iker tego wieczoru pił hvidtøl. Jego reakcja pokazuje jego prawdziwe uczucia. Uśmiecham się, mając nadzieję, że go to uspokoi.

– Romantyczne. To chciałam powiedzieć. Romantyczne.

Iker wybucha śmiechem z charakterystyczną dla niego otwartością. Na ten dźwięk kilka osób, które do tej pory nie obserwowały naszej szopki, odwracają ku nam głowy, a on na oczach wszystkich odgarnia niesforny lok z mojej twarzy, po czym pochyła się i szepcze mi na ucho:

– W tym związku nie ma ani krztyny romantyzmu. – Ton głosu ma lekki, ale ja wiem, że nie żartuje.

– Widziałeś ich? – odpalam najpogodniej, jak to możliwe, choć czuję w piersi ukłucie irytacji. Dlaczego nie potrafi zaakceptować faktu, że Annemette jest w stanie uszczęśliwić Nika – że wszyscy bylibyśmy szczęśliwi, gdyby zostali parą?

– Evie, jesteś wspaniała i piękna, silna i warta wszelkiej uwagi, twoja inteligencja jest wręcz powalająca... ale – i w tym momencie moje serce przestaje bić, a jego przenikliwy wzrok jedynie to pogarsza – spędziłaś z Nikiem tyle lat i wciąż nie rozumiesz, że wiążą go obowiązki względem jego poddanych? Jesteśmy jak żywe symbole... takie, które potrafią tańczyć, śpiewać, i występować przed publicznością. Robimy to dla swoich poddanych, nieważne, czy tego chcemy, czy nie... symbole nie mają wyboru.

Wykonujemy kolejny obrót, a on przysuwa głowę do drugiej strony mojej twarzy tak blisko, że nasze policzki się stykają.

– Ten romans, który teraz widzisz, nie będzie trwał wiecznie. Korona na to nie zezwoli, dlatego wkrótce będzie musiał odejść w zapomnienie.

I w jednej chwili Iker potwierdza wszystko, z czego do tej pory zdawałam sobie sprawę. Może i jest wściekły na Annemette, ale ta sama zasada dotyczy również mnie. Przez cały ten czas, jaki spędziliśmy razem, kryła się tuż pod powierzchnią, lecz zawsze, gdy miałam szansę odejść, motywowana jego uśmiechami i obietnicami wmawiałam sobie, że nam się uda.

Lecz najbardziej okrutne jest to, że jego zdaniem powinnam zwyczajnie się z tym pogodzić, dlatego mówienie o tym przychodzi mu z taką łatwością. Iker może mnie błagać, bym z nim zatańczyła, bym wypłynęła z nim w morską wyprawę, bym była na każde jego zawołanie, bym była jego zabawką, a ja powinnam to zaakceptować, ponieważ *on* musi wykazać się odpowiedzialnością i wypełnić swój obowiązek? Nie.

– Nie widzisz, jaka ona jest niebezpieczna, Evie? – kontynuuje Iker.

– W miłości nie ma nic niebezpiecznego, Iker – rzucam zimnym tonem.

– W miłości wszystko jest niebezpieczne. Kiedy patrzę na Annemette, widzę obcą osobę, która nagle wyraziła ogromne zainteresowanie moim

kuzynem. Biorąc pod uwagę jego status, obowiązki i serce, to nie jest niewinne uczucie. To grabież.

Grabież? Może tylko w najprostszym sensie tego słowa: Annemette musi zdobyć serce Nika, by tu zostać. Ale patrząc na fakt, że poświęciła na to swoje życie, że moja magia jest jej zabezpieczeniem, że tak naprawdę jej miejsce jest tutaj... w głębi serca wiem, że stanowi jedną z nas – grabież nie jest tutaj odpowiednim słowem.

Przeznaczenie pasuje o wiele lepiej.

To przeznaczenie. I Annemette przeznaczony jest sukces. Musi jej się powieść, by nasz świat na nowo odzyskał równowagę.

– A twoim zdaniem ja robię to samo? – pytam w końcu. – Jestem dziewczyną bez tytułu, ale mimo to chciałam z tobą być.

Słyszając to, Iker przywołuje na usta uśmiech i przez moment nie jestem pewna, czy jest on przeznaczony dla mnie, czy dla otaczających nas ludzi, którzy razem z nami wirują na parkiecie. Iker jako symbol – księżę z bajki.

Jego rola.

– Oczywiście, że nie, ponieważ to *ja* zabiegam o *ciebie*. I *ja* wiem, że ty najlepiej rozumiesz, jak to działa.

Ma rację. Zawsze to rozumiałam. I w obliczu światła rzucanego przez setki świeczek umieszczonych na żyrandolach nie mogę dalej tkwić w ciemności i ignorować tego stanu rzeczy.

I podobnie jak ja nie mogę być z Ikerem, Nik również nie może związać się z Annemette. Kiedy dowie się, że tak naprawdę ona nie posiada tytułu szlacheckiego, wszystko się rozsypie, i nie ma znaczenia, czy odkryje jej prawdziwą tożsamość. Gdyby naprawdę była Anną, może wtedy istniałaby jakaś szansa. Może. Ale Anna nie żyje i żadne zaklęcie tego nie zmieni. Nie wiem, co sobie myślałam, gdy prosiłam Annemette, by wierzyła, że Nik będzie o nią walczył. Że kiedykolwiek będzie w stanie sprzeciwić się woli królowej. Myślę, że po prostu chciałam, by dzieliła moje własne nadzieje.

Szukam ich wzrokiem, obracając się w centrum sali. Annemette potrzebuje tylko pocałunku pierwszej miłości, a nie oświadczyn, lecz mimo to martwię się, że Nik nawet na to się nie zdobędzie, skoro nie chce spędzić z nią reszty życia.

Próbuję nawiązać z Annemette kontakt wzrokowy. Powinniśmy już ruszać. Ja rzucę swoje zaklęcie, a w rezultacie ona zostanie z nami i będziemy mogły być przyjaciółkami. Miłość wkrótce znajdzie nas obie. Ale

zamiast tego łapię spojrzenie Nika. Z jakiegoś powodu prowadzi Annemette w naszą stronę, mijając po drodze inne pary.

– Kuzynie, jak idzie taniec? – wita ich radośnie Iker.

– Cudownie – odpowiada Nik. – Ale pomyślałem, że moglibyśmy zamienić się partnerkami na jeden utwór.

Nie podaje powodu. Jedyne ponownie patrzy mi w oczy. W tej ciemnobrązowej głębi widzę tę samą powagę, którą zauważyłam w chwili, gdy moje imię nie zostało wyczytane przed pierwszym tańcem.

Czuję w brzuchu ciepło, lecz nagle cichy okrzyk Annemette sprawia, że Nik puszcza moje ramię. Odsuwam się od niego i przenoszę na nią wzrok.

Policzki ma zaczerwienione, a różowe usta otwarte w wyrazie zdumienia. To jasne, że spędzanie czasu sam na sam z Ikerem jest ostatnim, czego teraz chce.

– To nie ma sensu – mówi łamiącym się głosem.

Podciąga spódnicę i przepycha się obok nas, po czym zamaszystym krokiem idzie w kierunku balkonu, gdzie będzie mogła przeznaczyć chwilę na łzy, których nie potrafi uronić.

Nie wahając się ani chwili, biegnę za nią.

Cztery Dni Wcześniej

Mała syrenka zdawała sobie sprawę, że nie będzie miała takiego szczęścia jak królowa, po której odziedziczyła swoje imię. Wiedziała, że odebranie komuś życia to jedyny sposób na to, by odzyskać duszę.

By wrócić do domu.

Miłość nie wchodziła w grę. Nie w jej przypadku. Nie z nienawiścią, która rosła w jej sercu z każdą kolejną sekundą. Ta nienawiść osiągnęła już taki rozmiar, że nie pozostawiała miejsca na żadne inne uczucia. Czowała ją we krwi, oddechu, skórze i kościach. Pochłaniała ją w całości. Wypełniała jej ciało i nie mogła jeszcze znaleźć ujścia. Gdyby potrafiła płakać, wiedziała, że jej łzy prawdopodobnie zapełniłyby ocean. Zniszczyłyby wszystko, co napotkają na swojej drodze. Zmyłyby całe wybrzeża z powierzchni ziemi za pomocą jednej fali.

Pragnęła obrócić w pył nie tylko świat rozciągający się nad taflą oceanu, ale również ten pod nią.

Każdy, kto brał udział w odebraniu jej życia, które kochała i jakie było jej

przeznaczone, zasługiwał na karę. Zniszczy ich. Wszystkich.

Opracowała już plan zemsty – na Niku, Evie, nawet na podwodnym królestwie.

A pierwszy krok do jego realizacji znajdował się tuż przed nią.

Od momentu tego przełomowego odkrycia przez kilka dni pływała wokół wybrzeża Havnestadu, czekając na swoją szansę. Jej rodzina myślała, że ostatnio tak często opuszczała zamek, ponieważ denerwowała się swoim pierwszym wypłynięciem na powierzchnię – że musiała popływać, by uporządkować myśli. Nie wyprowadzała ich z błędu.

W dniu jej domniemanych piętnastych urodzin, rodzina pożegnała ją pieśniami i wesołymi okrzykami. Galia, siostra najbliższa jej wiekiem, zaoferowała, że dotrzyma jej towarzystwa. Mała syrenka odmówiła i powiedziała, że sama sobie poradzi. Galia nie naciskała.

A potem była już wolna.

Mała syrenka udała się do Przystani Havnestadu i zaczęła szukać pływających statków. Łatwych ofiar. Trudność nie polegała na pozbawieniu kogoś życia. Wiedziała, że jest w stanie to zrobić. Po prostu musiała uważać, by nie zabić zbyt wielu osób.

Tego ranka obserwowała Evie, gdy ta była w dokach, otoczona przez magię, przywodząc na myśl odzianą w jedwabie arystokratkę, za którą ciągnie się dusząca woń perfum.

Syrenka zignorowała to. Potrzebowała Evie żywej, jeśli chciała, by jej plan zadziałał.

Ale ojciec Evie... Patrzyła, jak mężczyzna przygotowuje statek do wyprawy i pomyślała, że to może być jej odpowiedź – coś, co sprawi Evie ból – lecz wtedy do głowy przyszedł jej lepszy pomysł.

Iker.

Ten sam Iker, który całował Evie na oczach wszystkich. Jakby nie była zwykłą wieśniaczką. Jakby miała u niego szansę.

Jego śmierć mogłaby zranić Evie nawet bardziej niż śmierć jej ojca – miłość potrafi być dziwna.

To Iker powstrzymał Nika przez wyciągnięciem jej z morza w dniu, kiedy utonęła. To on był odpowiedzialny za jej śmierć.

A ona będzie odpowiedzialna za jego.

Mała syrenka śledziła statek, którym płynął; była to ta sama łajba, wokół której pływała tamtej nocy – ta z małymi oknami w kadłubie. Jego szkuner

jeszcze nie został w pełni naprawiony po burzy. Łatwo było trzymać się blisko niej; płynęła za nią przez Zatokę Sundu w stronę Jutlandii, nieprzerwanie czekając na swoją szansę.

Nadeszła ona drugiego dnia.

Załoga zadokowała statek przy wyspie Kalø. Wiedziała doskonale, że nie było na niej nic prócz ruin zamku. Dlaczego załoga rybaków miałaby się tam zatrzymać?

Ale wkrótce zrozumiała, dlaczego.

Na pokład weszła dziewczyna, a razem z nią jej opiekunka, która niosła w rękach kilka kufrow. Umysł małej syrenki wypełnił się wspomnieniami jej własnej szlacheckiej rodziny i krewnych – wiedziała, że pochodziła z klasy wyższej. Wiedziała, że te bagaże były pełne ubrań, czyli czegoś, co będzie jej potrzebne, gdy już wyjdzie na ląd – gdy będzie zbyt słaba, by samodzielnie je wyczarować.

Dystyngowana dziewczyna powitała Ikerę tak samo, jak pożegnała go Evie – uśmiechem i pocałunkiem. Pocałowała go w policzek, ale nie zmieniało to faktu, że wciąż był to pocałunek. Znali się. Księżę lekkoduch jak zwykle robił wszystko, by podtrzymać swoją reputację.

Dziewczyna odłączyła się od niego i zeszła pod pokład, rzucając mu zalotne spojrzenie przez ramię, jakby oczekiwała, że pójdzie za nią. Nie poszedł – a syrenka zaczęła się zastanawiać, czy Evie rzeczywiście miała szansę. Zamiast tego Iker nakazał swoim ludziom podnieść kotwicę.

Syrenka czekała. Przez moment rozważała użycie swojej mocy do przywołania kolejnej burzy. Miała nadzieję, że Iker się upije. Zatoczy się zbyt blisko bariery i dzięki temu ułatwi jej zadanie.

Lecz dokładnie w chwili, gdy niemal straciła całą nadzieję, wpadła na lepszy pomysł.

Pocałunek Ikerę coś znaczył. Nieważne, że nie zszedł z tą dziewczyną pod pokład. Znaczył on, że księżę będzie w stanie bardziej zranić Evie żywy, niż martwy.

A Evie zasługiwała na ból.

Iker zapłaci później.

Mała syrenka ukradła kufry i na tę chwilę oszczędziła kapitanowi statku.

Dlatego wyruszyła na poszukiwania ojca Evie.

Rozdział 29

Wychodzę za Annemette na balkon i obracam ją twarzą do siebie. Wygląda, jakby zaraz miała zanieść się szlochem. Ściskam jej ramiona. Jesteśmy na tyle blisko, że nasze perłowe naszyjniki łapią światło tego samego lampionu i mieniają się jak dwie bliźniacze latarnie morskie na tle nocnego nieba.

– Proszę, Evie. Idź stąd. Daj mi trochę przestrzeni.

Nie zrobię tego. Wie, że tego nie zrobię.

Odległość dzieląca nas od reszty gości i mówienie szeptem nie zagwarantują nam prywatności, ale nic więcej nie jestem w stanie zrobić. Utrzymuję niski ton głosu, ale staram się brzmieć na pewną siebie.

– Pamiętaj, mam plan.

Annemette wyrywa dłonie z mojego uścisku i przyciska je do twarzy.

– To nic nie da! Żadna z nas nie jest na tyle potężna, by odsunąć to, co ma nadejść. Po prostu mnie zostaw!

Mówię tak cicho, że ledwo mnie słyszą.

– Jestem wystarczająco silna, by to zrobić – odpowiadam pewnym głosem, nie pozostawiając miejsca na wątpliwości. – Proszę, uwierz mi.

Śmieje się przez szloch.

– Jesteś taka uparta. – Annemette pociera oczy, ale nie mówi nic więcej.

Uznaję to za zgodę.

– Wiesz, że magia polega na wymianie... mimo naszych różnic, obie jesteśmy tego świadome. Magia morza działa na tej samej zasadzie. To, co mu dajemy, oddaje nam z taką samą siłą. – Annemette nie odpowiada, a na jej twarzy maluje się napięcie, jakby próbowała dociec, do czego zmierzam.

Szybko śpieszę z wyjaśnieniami. – Już to przetestowałam. Wiem, że moja magia nie jest idealna i że całą swoją wiedzę czerpię z ksiąg, ale działa. A tej nocy, ostatniej nocy festiwalu Urdy, nasza magia jest silna. Silniejsza niż podczas każdego innego dnia w roku. Nie czujesz tego? – Dotykam naszyjnika z perłą, którego pulsowanie jedynie urosło w siłę w ciągu tych kilku dni. – Jesteśmy na równi z Urdą; nasza moc jest na tym samym

poziomie i właśnie na tym polega magia, chodzi w niej o równoważenie naszej magii z otaczającą nas mocą, o współmierną wymianę. Tak właśnie postępuje Urda; ona oraz morze wymagają równorzędnej wymiany. Zabrały Annę...

– Nie jestem Anną – mówi szybko Annemette, wyraźnie poirytowana.

– Jeśli nie przestaniesz sobie tego wmawiać, twój plan nie zadziała!

Potrząsam głową.

– Wiem, że nic nie pamiętasz. Może nigdy sobie nie przypomnisz, ale ja to czuję. Czuję kryjącą się w tobie Annę. Ale to nie ma znaczenia, Annemette...

zależy mi na tobie, bez względu na to, kim jesteś. Nasza przyjaźń może być nawet czymś więcej niż to, co łączyło mnie z Anną. Ty i ja jesteśmy takie same! Słuchaj – kontynuuję, próbując utrzymać spokojny ton głosu – cztery lata temu morze odebrało mi Annę. I nawet jeśli ta dziewczyna żyje w tobie tylko jako nikłe wspomnienie, morze zabrało jej duszę. Ty jej nie zatrzymałaś. – Słyszając to, Annemette się wzdryga. – A właśnie tego ci potrzeba, by przeżyć. Dusza Anny jest jedną z części tej wymiany. Morze coś nam odebrało i teraz jest mi – *tobie* – coś winne w zamian. Duszę.

Ale nie słucha tego, co do niej mówię. Jedyne odwraca się i podnosi głos, a ja uświadamiam sobie, że obaj książęta wyszli za nami na balkon.

Zastanawiam się, czy cokolwiek słyszeli z naszej rozmowy.

– Muszę was dziś opuścić, Nik – oznajmia.

Nik zerka na mnie, lecz niemal od razu przenosi wzrok z powrotem na Annemette i robi krok w jej stronę.

– Teraz? Ale bal jeszcze się nie skończył – mówi Nik, a w jego głosie pobrzmiwa smutek. Stojący za nim Iker unosi brew.

– Muszę iść. Przepraszam.

Nik otwiera usta, by coś powiedzieć, ale nagle uprzedza go Iker, który występuje do przodu, nachylając się nad naszą dwójką.

– Nie wiedziałem, że odjeżdża dziś nocny pociąg do Odense. Zresztą żaden pociąg nie jeździ aż tak daleko. A z pewnością nie będziesz tam szła na piechotę.

Nik posyła Ikerowi ostrzegawcze spojrzenie, ale nic nie mówi. Zamiast tego chwyta Annemette za dłonie.

– Jeśli musisz iść, nie będę cię zatrzymywał. Rozumiem.

– Czyli tak po prostu znikniesz w środku nocy? Czym ty jesteś, wiedźmą?

– W oczach Iker'a pojawia się błysk. Odsuwa się od ściany. – Czy tylko

dziewczyną o niecnym zamiarach? Chcesz złamać mu serce, ale nie ducha, by podczas twojej kolejnej wizyty był taki szczęśliwy, że od razu ofiaruje ci wszystko, czego chcesz... tytuł i całą resztę? Szkoda tylko, że ten plan był wadliwy od samego początku.

– Dość, Iker! Jeśli mówi, że musi odejść, to niech robi, co chce – krzyczy Nik. Nie wiem, jakim cudem Nik niczego nie podejrzewa, ale coś mi mówi, że to dlatego, że mi ufa. Albo dlatego, że nie chce dłużej rozmawiać o pierwszym oskarżeniu Ikera, podobnie jak ja.

– Naprawdę muszę iść – oznajmia Annemette, podchodząc do Nika. – Tak bardzo cię przepraszam. – Pochyliła się, by pocałować go w policzek, gdy nagle Iker łapie ją za ramię.

– Dlaczego? Zaraz ci kocioł wykipi? Masz jakieś ropuchy do ugotowania? Wywar do zabutelkowania?

– Iker! – krzyczy Nik, odsuwając go od niej.

Ale Iker nie przerywa tyrady i z każdą sekundą coraz bardziej przypomina potwora, a nie mężczyznę, którego kocham.

– A może po prostu twoja miotła właśnie przybyła i nie chcesz, by twój ulubiony środek transportu za długo na ciebie czekał?

Spokój Annemette natychmiast się burzy.

– Nie jestem wiedźmą, ośle!

– W takim razie czym jesteś? Cyganką? Wróżką? Duchem? A może zwykłą oszustką? Obcą miernotą szukającą naiwniaka, którego może wykorzystać? – ciągnie bezlitośnie Iker, szczerząc zęby w drapieźnym uśmiechu.

Chwytam go za przedramię, a Nik próbuje stanąć między nim a Annemette, ale żadne z nas nie może powstrzymać wybuchu Ikera.

– Ilu samotnych chłopców nabrało się na twoje sztuczki? Pięciu?

Dziesięciu? Dwudziestu? Nieważne, ilu ich było, ale na pewno ten tutaj stanowiłby istny diamencik w twojej kolekcji. W końcu posiada dość złota, byś mogła być ustawiona do końca życia.

– Przestań! – Nik siłą odciąga Ikera od dziewczyny i, mimo że Iker tylko trochę traci równowagę, ten nagły ruch sprawia, że puszczam jego ramię i wpadam na stół.

Iker podaje mi dłoń, by pomóc mi wstać.

– Spójrz, co zrobiłeś przez tę wiedźmę. – Spogląda na Nika.

Podnoszę się na równe nogi.

– Ona nie jest wiedźmą – mówię.

– Nie jestem. – Głos Annemette jest ostry. – I muszę iść.

– A czy on nie zasługuje na jakieś wyjaśnienia? – pyta Iker, wskazując na Nika. – Mężczyzna, którego przez trzy bite dni wodziłaś za nos w imię *miłości*? Jeśli nie uciekasz z havnestadzkiego balu w środku nocy z jakiegoś niegodziwego powodu, z pewnością możesz mu go zdradzić. Daj mu chociaż tyle.

Annemette nie patrzy na Ikera. Nie patrzy na mnie. Nie patrzy nawet na Nika. Po prostu bez słowa odwraca się do drzwi. Chłopcy zamierają ze zdziwienia, jako że obaj nie są przyzwyczajeni do tego, że ktoś nie odpowiada im na pytanie. Ruszam się z miejsca i biegnę za nią. Łapię ją za rękę zanim udaje jej się otworzyć przeszklone drzwi.

– Evie, już prawie północ! Puść mnie. Już nic nie możesz zrobić. Ani ty, ani Nik!

Ale nie mam zamiaru pozwolić jej umrzeć w taki sposób, dlatego jeszcze mocniej zaciskam dłoń na jej ramieniu. Annemette próbuje wyrwać się z uścisku i w pewnym momencie odwraca się tak, że jestem w stanie spojrzeć jej w oczy.

– Jeśli nie chcesz mojej pomocy, przynajmniej powiedz mu o tym, co zrobiłaś. Zrozumie. Może naprawdę cię kocha i tylko potrzebuje zachęty. Nie sądzisz, że warto spróbować? Powiedz mu...

– O czym ma mi powiedzieć? – pyta stojący za mną Nik.

Annemette zaciska usta i potrząsa głową, wciąż próbując wyszarpnąć się z mojego uścisku.

Nik kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Evie, o co tutaj chodzi?

Annemette napotyka mój wzrok, a ja widzę jej błagalny wyraz twarzy.

– Nie dam ci odejść, Annemette. Nie pozwolę, byś nas zostawiła – wykrzykuję.

Annemette wstrzymuje oddech, ale ja wiem, że to właściwy wybór. Podnoszę głos na tyle, by usłyszeli nas tylko obaj książęta i nikt poza nimi.

– Ona jest syreną. – Odwracam się do Nika. – To ona uratowała cię w dniu twoich urodzin... wyciągnęła cię z morza.

Na jego twarzy odmalowuje się zdumienie. Przenosi wzrok na Annemette.

Iker wybucha śmiechem.

– Dobrze sobie. A ja jestem duchem Leifa Erikssona.

Wytrzymuję jego rozbawione spojrzenie.

– To prawda, widziałam ją. To było zanim wspiąłeś się po skalnej ścianie.

Leżała z Nikiem na łodzi i mu...

– Śpiewała. – Na ustach Nika pojawia się cień uśmiechu, gdy to mówi.

Uśmiechu zarezerwowanego tylko dla Annemette, która z każdą sekundą wydaje się coraz bardziej gotować ze złości. – Śpiewałaś. Myślałem, że to Evie, ale ona nie śpiewa. To byłaś ty.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś – warczy na mnie Annemette. – Miałyśmy umowę.

Czuję ucisk w żołądku na myśl o tym, że ją zdradziłam.

– Annemette, nie! – krzyczę. W jej oczach widnieje furia.

– To prawda, jestem syreną. Ale Evie... Evie jest *wiedźmą*! Jej ciotka jest wiedźmą! Jej matka była wiedźmą! Każdego dnia rzuca zaklęcia tuż pod waszymi dumnymi książęcymi nosami!

Wyrywa się z mojego uścisku tak mocno, że upadam na podłogę.

Nik patrzy na mnie w osłupieniu.

– Jesteś wiedźmą, Evie?

Lecz zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć, przede mną staje Iker. Mój Iker. Silny, opiekuńczy, uparty, lojalny Iker. Odwraca się do mnie, posyłając mi spojrzenie pełne obrzydzenia – spojrzenie zarezerwowane tylko dla największych łajdaków – a następnie krzyczy:

– Straże!

Cztery Dni Wcześniej

Odnalezienie statku należącego do nadwornego rybaka niepodległego królestwa Havnestadu było dość proste. Pływał tuż przy Porcie Østerby – na tyle daleko od Zatoki Sundu, by natrafić na największe wieloryby, lecz wciąż na tyle blisko, by kapitan był w stanie wrócić do Havnestadu przed ostatnią nocą Lithasblotu.

Z uwagi na letnią porę roku, słońce dopiero zachodziło i, mimo późnej godziny, niezbyt liczna załoga wciąż sprzątała pokład Małej Greta po długim dniu łowów. Ojciec Evie również pracował, nie chcąc obarczać członków załogi wszystkimi obowiązkami – na tak małym statku każdy musiał czymś się zajmować, zwłaszcza kapitan.

Mała syrenka skrywała się w ciemnościach, zastanawiając się nad

najlepszym planem działania.

Mogłaby wyczarować ogromną falę, tak jak wtedy, gdy chciała przywłaszczyć sobie kufer z ubraniami, które w tej chwili ciągnęła za sobą w wodzie za pomocą zwykłego czaru wiążącego. Albo burzę jeszcze potężniejszą niż ta, która zrzuciła Nika do wody – mogła obrócić statek w drzazgi i zabić całą załogę. Ale nie. Chciała, by Evie zносиła katusze na myśl, że jej ojciec zginął, podczas gdy reszta załogi przeżyła bez większego problemu. W ten sposób sprawi jej więcej bólu.

Sama mogła to potwierdzić.

I wtedy mała syrenka zaczęła myśleć nad tym, jak zadać Evie jeszcze większy cios. Jak sprawić, by zranić ją nawet mocniej.

Bez wahania posłała strumień magii prosto w nordycką, błękitną głębię.

– Hvalr. Hvalr. Koma hvalr.

Niebieska toń odpowiedziała na jej krótkie polecenie i po chwili w jej stronę zaczął płynąć wielki wieloryb – niczym lokomotywa, która nagle zmieniła tor.

Gdy do niej podpłynął, zobaczyła, że oczy ma mętne pod wpływem jej uroku. Jednak żeglarze tego nie zauważą. Nie byli w stanie wyczuć magii – mogli tylko wywąchiwać okazje na schwytanie kolejnej ofiary dla swojego króla.

Spojrzała w oczy temu ogromnemu zwierzęciu. Swojej przynęcie. I obiecała mu, że wszystko będzie dobrze. Następnie przygotowała się do rzucenia kolejnego czaru.

– Rísa, hvalr. Rísa.

Wieloryb spełnił jej życzenie i popłynął ku powierzchni niczym prezent od samego Króla Mórz.

Mała syrenka prowadziła go przez wodę, nieprzerwanie przecinając taflę.

Kusiła ich. Zwodziła. Zmuszała, by połknęli haczyk.

Poruszenie, jakie natychmiast wybuchło na pokładzie, było tak głośne, że z łatwością mogła wychwycić rozlegające się nad nią odgłosy pośpiesznych kroków i okrzyków. Z uśmiechem wypłynęła na powierzchnię po lewej stronie łajby, wciąż skryta w cieniu rzucanym przez dziób statku, i zobaczyła, że owszem, rybka złapała haczyk.

Mężczyźni biegali, łapali za sieci, harpuny i ogromny nóż – mønustingari – do przecinania rdzenia kręgowego, na wypadek, gdyby dopisało im szczęście.

Do tego wszystkiego ojciec Evie zrobił dokładnie to, czego mała syrenka

się po nim spodziewała.

Przygotował harpuno-strzelbę. Wynalazek stworzony przez Evie, służący do skuteczniejszego zabijania. Rozmawiali o nim tamtego dnia w dokach. Była z siebie niezwykle dumna. A on z niej.

Duma boli, Evie.

Mała syrenka wykrzesła z siebie jeszcze więcej mocy i przywołała burzę.
– Veðr.

Nad jej głową zaczęły kumulować się ciemne chmury, a podmuchy wiatru uderzały w członków załogi, którzy ignorowali rozświetlające horyzont błyskawice i nie spuszczały swojej ofiary z oczu.

Mała syrenka ustawiła się we właściwym miejscu i patrzyła, jak ojciec Evie przygotowuje broń, umieszczając harpun w lufie. Następnie wycelował w wieloryba.

Prosto w burzę.

W końcu nacisnął na spust. Harpun wystrzelił w gęste powietrze i pognał ku wielorybowi, który właśnie zataczał na powierzchni wody kolejne kółko.

Za harpunem ciągnęła się lina przymocowana do podpórki na strzelbę, by łatwiej było go wciągnąć z powrotem na pokład – razem z wielorybem.

Ale tym razem nie trafi w wieloryba.

Mała syrenka machnęła dłonią, wywołując kolejny podmuch wiatru tak silny, że zmienił kierunek lotu harpuna. W odpowiedzi na jej magię ponownie wzbił się w górę, odwrócił, minął wieloryba, a następnie przeciął powietrze i ruszył ku statkowi, prosto w punkt, z którego go wystrzelono.

To było takie nieprzewidywalne, takie nienaturalne, że ojciec Evie zastygł w miejscu.

Nie poruszył się. Nawet nie drgnął. Nawet nie krzyknął, gdy ostrze harpuna wbiło mu się w brzuch.

Syrenka ponownie machnęła ręką i wysłała kolejną falę, która sprawiła, że harpun szarpnął się gwałtownie i pociągnął ojca Evie w dół, prosto we wzburzone morze.

Dopiero wtedy mała syrenka ruszyła się z miejsca. Zeszła pod powierzchnię, żeby złapać mężczyznę, zanim jego załoga odzyska zdrowy rozsądek i wpadnie na pomysł, by podciągnąć kapitana na statek za pomocą liny przymocowanej do broni.

Wyszarpnęła harpun z jego ciała, sprawiając, że krew zaczęła gęsto cieknąć z rany i rozplýwać się w morskiej głębi, a kiedy to zrobiła, mężczyzna

otworzył oczy. Mimo że rana była poważna, jeszcze walczył ze śmiercią.

Gdy na nią spojrział, zobaczyła w jego oczach nikły błysk, który świadczył nie tylko o tym, że wciąż żył i że zaskoczył go widok syreny. Rozpoznał w niej zmarłą przyjaciółkę swojej córki.

– Anna... – szepnął, a z jego ust wydostało się kilka bąbelków.

– Tak – odparła.

Światło w jego oczach zamigotało, a syrenka sięgnęła do swoich włosów i wyjęła z nich koralowy sztylecik, którego do tej pory używała jako ozdobnego grzebienia, a następnie zatopiła go w piersi mężczyzny, dokładnie pomiędzy żebrami, w miejscu, gdzie znajdowało się jego serce.

W wodzie pojawiło się więcej krwi.

Światło w jego oczach zgasło.

W końcu mała syrenka poczuła ulgę. Ale niewielką. Mały okruszek nie był w stanie zaspokoić takiego głodu.

Jeszcze nie.

Chwyciła trupa, przywołała do siebie kufer z ubraniami, który cały ten czas dryfował pod nią, po czym popłynęła w kierunku Havnestadu najszybciej, jak mogła.

Na miejscu znalazła się krótko przed północą, a jej serce biło jak szalone po tak intensywnym wysiłku. Natychmiast wpłynęła do zatoczki i umieściła kufer na płyciźnie za wielką skalną ścianą, która dzieliła plażę i całkowicie zasłaniała Havnestad. Później poszuka w nim idealnej sukni, nim wrzuci go z powrotem do morza.

Wróciła do ojca Evie, którego zostawiła pod uważnym okiem ogromnej, czarnej ośmiornicy.

– Nie teraz, bestio. To dopiero początek.

Ośmiornica wypuściła chmurę granatowego atramentu i cofnęła się do wydrążonej w skale małej jaskini. Mała syrenka spojrziała na trupa. Jego oliwkowa skóra przybrała blady odcień, a ciało zaczęło już puchnąć.

Miała nadzieję, że zaklęcie zadziała, nawet jeśli nie żył już od jakiegoś czasu. Miała nadzieję, ponieważ to ona go zabiła. Posiadała już to, czego potrzebowała do rzucenia czaru. Była gotowa uwolnić kłębiącą się w niej nienawiść i kontynuować swój plan.

Ujęła jego dłonie, zamknęła oczy i poprosiła o życie, które jej odebrano.

– Líf. Daudi. Minn líf. Minn bjod. Seiðr. Seiðr. Seiðr.

W jednej chwili poczuła, jak stopniowo wypełnia ją ciepło, poczynając od

opuszków palców, obejmowało głowę, serce, ogon, i docierało aż do płetwy.

Rozprzestrzeniało się jak łyk letniego wina, które razem z Evie ukradły podczas jej jedenastych urodzin. Rozprzestrzeniało się jak wtedy, gdy jeszcze cztery lata temu Nik patrzył na nią tymi swoimi ciemnymi oczami, które wydawały się rozświeć jej duszę.

Rozprzestrzeniało się jak życie. Líf.

Kiedy poczuła kłujący ból, wiedziała, że coś się zmienia. Tam, gdzie jeszcze chwilę wcześniej miała ogon i płetwę, były teraz nogi. Ale nie odzyskała duszy. Jeszcze nie.

Wypuściła z rąk ciało ojca Evie i wypłynęła na powierzchnię, nie czując już zmęczenia w ramionach, a gdy przebiła tafłę i zaczerpnęła tchu, odniosła wrażenie, jakby jej płuca nigdy nie miały dość. Świeża, nocna bryza wnikała w jej skórę, napełniając ją ciepłem i poczuciem wolności. Osłabiała kłębiącą się w niej do tej pory nienawiść. Ale tylko trochę. Wciąż miała wiele do zrobienia.

Dlatego gdy kopała nogami tafłę, płynąc ku brzegowi, śledziła dziewczynę wzrokiem. Patrzyła, jak opuszcza plażę i przechodzi przez most ze skał, który prowadził do zatoczki.

Evie.

Obca dziewczyna, wciąż ukryta pośród fal, uśmiechnęła się pod nosem i poprawiła grzebień we włosach, upewniając się, że mokre strąki dokładnie zakrywają ostrze sztyletu.

Tak, mój plan zadziała.

Rozdział 30

Wybiegam przez pałacowe wrota i wpadam do ogrodu z tulipanami, praktycznie depcząc Annemette po piętach. Rzuciłam się do ucieczki zaraz po tym, jak Iker wezwał strażników, i teraz słyszę dobiegające z tyłu echo ich kroków.

– Annemette, proszę! – krzyczę. Wiem, że ją zdradziłam, ale nawet jeśli w tej chwili jest na mnie wściekła za wyjawienie jej tajemnicy, nie może zaprzeczyć, że zrobiłam to z miłości. Mimo że jej zdrada motywowana była bardziej urazą niż miłością, nie mam jej tego za złe. Nie całkiem. Ponieważ teraz myślę tylko o tym, jak to wszystko naprawić. Wiem, że jestem w stanie to zrobić. I to zrobię.

Jeśli uda mi się ją uratować, będziemy mogły użyć naszej magii, by uciec jak najdalej stąd. Sama ta myśl sprawia mi ból, ale w tej chwili nie mamy innego wyboru.

Gdy pędzę brukowaną ścieżką, płuca palą mnie z wysiłku i jedynie adrenalina utrzymuje mnie na nogach. Skręcam gwałtownie w prawo, po czym wybiegam przejściem utworzonym przez wielkie czarne skały. Chwilę później znajduję się na piasku zatoczki.

Tutaj światło księżyca jest intensywne i odbija się od każdej powierzchni, kąpiąc plażę w swoim perłowym blasku. Annemette pada na kolana przy pluskających wodach zatoki. Złote nici jej sukienki mieniają się w świetle księżyca, a ramiona drżą pod wpływem rozdzierających ją szlochów.

Znajduje się niedaleko miejsca, w którym jeszcze niedawno zostawiła Nika – klęczy na piaszczystej części zatoki, w pobliżu kamiennej ściany.

– Annemette – wołam ją niepewnie. Piasek spowalnia moje kroki, podobnie jak ciężka suknia balowa. Nie reaguje – głowę ma opuszczoną, jakby wpatrywała się w wodę. Nawet nie wiem, czy w ogóle mnie słyszy.

Otwieram usta, by ponownie ją zawołać, gdy nagle daje mi ostro do zrozumienia, że jest świadoma mojej obecności.

– Idź sobie.

– Przepraszam. – Klękam na piachu obok niej, zachowując między nami dystans większy niż kiedykolwiek wcześniej. – Pozwoliłam się ponieść emocjom. Myślałam, że powiedzenie Nikowi prawdy pomoże nam spełnić magiczny warunek.

Nie patrzy na mnie.

– Nie pomogło. To koniec. Już po mnie.

– Ale jeśli tu zostaniemy, obie będziemy skończone. Strażnicy zaraz się tu zjawią. Pozwól mi sobie pomóc, proszę.

Kiedy nie otrzymuję odpowiedzi, podnoszę się.

– Morze da mi to, czego chcę. A ja chcę, żebyś tu została.

Słyszając to, w końcu przenosi na mnie wzrok. W jej oczach widzę zdezorientowanie, ale wygląda, jakby nieco jej ulżyło. A przynajmniej takie mam wrażenie.

Wbiegam do wody. Morze jest rześkie i natychmiast pochłania moje buty, pończochy, kostki i dolną część sukienki, przytłaczając mnie swoją mocą.

Nagle pada na nas cień, a w oddali pojawiają się błyskawice. Dobrze. Będę potrzebowała możliwie jak najwięcej energii. Serce mi przyśpiesza w odpowiedzi na znajome iskry, jakie rozprzestrzeniają się w moich żyłach i od stóp do głów wypełniają mnie ciepłem. Unoszę ręce nad głową, czując na opuszkach palców moc piorunów tworzonych przez zbliżającą się burzę.

– Evie, PRZESTAŃ!

Odwracam się, ale tylko dlatego, że głos należy do Nika.

Stoi na plaży nie dalej niż dziesięć stóp od nas, a jego marynarka i korona błyszczą w świetle księżyca dzięki umieszczonym w nich ozdobom. Nik ściąga ramiona i unosi podbródek. Wygląda jak podczas publicznych wystąpień. To jego starannie wyćwiczona zbroja, ale ja rozpoznaję ją w ułamku sekundy. Następne słowa nie są jego, a korony.

– Strażnicy zaraz tu będą. Annemette, jeśli do tego czasu nie opuścisz miasta, siłą zmuszą cię, byś powróciła do oceanu. Stanowisz zagrożenie dla Havnestadu oraz wszystkich Królestw Sundu.

Nik mi uwierzył. Pamiętał, co wydarzyło się w dniu jego urodzin. Podejrzewam, że gdy tylko powiedziałam mu prawdę, przypomniał sobie, co go uratowało – jej ogon.

I właśnie to pogrzyżyło Annemette. I mnie również.

Nie ma mowy, żeby teraz nam pomógł. Nawet jeśli uda mi się sprawić, by mogła tu zostać, i tak nie będzie chciał mieć z nią do czynienia. Co więcej,

jeśli uwierzył w to, co o niej powiedziałam, zapewne uwierzył również w to, co ona powiedziała o mnie. Wiem, że tak jest. Będzie chciał mnie chronić, lecz w jego przypadku to niemożliwe.

Nagle na bruku rozlegają się odgłosy kroków – łup, łup, łup – świadczące o zbliżających się strażnikach króla Asgera. Idą po nas. Annemette przenosi wzrok na morze. Jej ramiona znów zaczynają drżeć od wstrząsających nią szlochów, ale wciąż nie rusza się z miejsca.

Patrzę po raz ostatni na Nika – majestatycznego, dobrego, poczciwego Nika – ale już podjęłam decyzję. Odwracam się do Annemette i wyciągam rękę.

– Wstawaj! Ruszajmy! Chcesz tu umrzeć?

Nik robi krok w moją stronę, mocząc buty, a jego maska powagi zaczyna się kruszyć.

– Evie, proszę, nie rób tego. – Łapie mnie za rękę i odwraca do siebie, a następnie wbija we mnie rozpaczliwe spojrzenie. Wie, że jeśli zobaczy, jak korzystam z magii – i tym samym potwierdzę zarzuty Annemette – nie będzie mógł mnie ochronić. Dopiero teraz czuję, że znajdujemy się po przeciwnych stronach konfliktu.

Ale tak naprawdę zawsze tak było – po prostu do tej pory tylko ja byłam tego świadoma.

– Evie, proszę, nie rób tego – powtarza, a ja, na przekór ogarniającej mnie frustracji, mam ochotę położyć mu palec na ustach i sprawić, żeby przestały drżeć.

– Nik, to ty zmusiłeś mnie do użycia tego zaklęcia. Annemette *umrze*, jeśli tego nie zrobię – krzyczę. – Gdybyś oddał jej swoje serce, wszystko byłoby o wiele łatwiejsze...

– Evie, nic nie rozumiesz. Nie mogę oddać jej swojego serca. – Zaciska dłoń na moim ramieniu i pomimo malującego się w jego oczach pragnienia.

Spodziewam się, że zaraz powie coś o arystokracji, obowiązkach, o wszystkim, co dla Øldenburków jest droższe niż ich osobiste uczucia. Ale nie to słyszę.

– Moje serce należy do ciebie, Evie... zawsze należało. Od śmierci Anny.

Od zamków z piasku i drewnianych lalek. – Głos mu się łamie, a oczy zachodzą łzami. – Zawsze cię kochałem. Każdego dnia. Nie mogę oddać jej swojego serca, ponieważ ono już należy do ciebie.

Prawda uderza we mnie jak zimna fala.

Wiedziałam o tym. Ale prawda zawsze była czymś, z czym sobie nie radziłam, nieważne, czy zatajałam ją przed Nikiem, przed sobą czy przed nami obojgiem. Niemniej jednak jego prawdziwe uczucia odpowiadają tym, które sama skrywam w sercu.

Całuję go.

W jednej chwili przyciskam usta do jego warg tak mocno, że musi zrobić krok w tył, chroniąc nas przed upadkiem.

Na ten krótki moment cały otaczający nas świat staje w miejscu – smutek, magia, odgłosy kroków, wszystko przestaje mieć znaczenie.

Jego usta są ciepłe, a dłonie delikatne, gdy chwyta mnie za ręce. Jego dotyk łączy w sobie intensywność oraz finezję w sposób, jaki trudno mi sobie wyobrazić. Po części nie chcę, by to się skończyło.

Kocham go. Kochałam tak długo, jak on kocha mnie. Po prostu przez większość życia, a w szczególności przez ostatnie kilka dni, wmawiałam sobie, że to nieprawda. Żeby oszczędzić nam bólu. Żebyśmy nie zostali ofiarami panujących norm społecznych i oczekiwań.

Ale miłość tak nie działa.

Nagle czuję ucisk w sercu, gdy dociera do mnie, że od samego początku skazywałam Annemette na porażkę. A teraz ukradłam jej pocałunek prawdziwej miłości.

– Odsuń się od niego, wiédźmo.

Głos Iker'a przecina powietrze i to Nik odsuwa się pierwszy, mimo że rozkaz skierowany był do mnie. Iker nie potrzebuje dowodu na to, kim jestem; wciąż jednak jego reakcja sprawia mi ból.

Natychmiast przypominam sobie o otaczającym nas świecie i widzę dwudziestu uzbrojonych żołnierzy stojących na plaży za Ikerem. Za chłopcem, z którym dzieliłam swój pierwszy pocałunek. W oczach Iker'a płonie chęć zemsty, a teraz ma do dyspozycji uzbrojonych strażników, którzy mogą pomóc mu zaspokoić to pragnienie.

Nik ponownie chwyta mnie mocno za dłonie i ustawia się pomiędzy mną a swoim kuzynem. Zerkam pośpiesznie na Annemette i widzę, że stoi w wodzie. Nad jej głową gromadzą się kolejne chmury, silny wiatr unosi jej długie fale, a tkwiący w nich koralowy grzebień ledwie daje radę je utrzymać.

Na jej twarzy maluje się wachlarz emocji – strach, wściekłość, desperacja – które teraz wypływają na powierzchnię, zamiast chować się pod szarą

rozpaczą.

– Zdejmij z niego swój urok! – Oczy Iker są zimne jak lód. Sprawia wrażenie, jakby już zdążył zapomnieć, kim jestem. Albo po prostu nigdy nie miałam dla niego żadnej wartości. Nie chcę wierzyć w żadną z tych rzeczy.

Zaciskam palce na dłoni Nika tak, że to nie on mnie trzyma, tylko ja jego.

– Nie rzuciła na mnie uroku! – krzyczy Nik. – Wiesz o tym równie dobrze jak ja!

Iker nawet na niego nie patrzy. Jakby go tam nie było.

– Wiedźmo, król rozkazał zastrzelić cię na miejscu!

Patrzę na Annemette. Mam nadzieję, że rozumie, co musimy zrobić.

Ściskam dłonie Nika, chcąc, by zapamiętał ten dotyk, bez względu na to, co ma się wydarzyć, a następnie szepczę mu na ucho:

– Kocham cię, Nik.

Gdy tylko wymawiam jego imię, z całej siły pcham go na piasek. Chwytam dłoń Annemette i wchodzę głębiej do wody.

– Płyniemy do mielizny.

Słyszając to, krzywi się nieznacznie, ale i tak bierze głęboki oddech, po czym brnie do przodu. Mnie i Annie nie udało się dotrzeć wtedy do mielizny, ale wiem, że teraz z Annemette damy radę.

Mijamy Piknikową Skałę i wypływamy na otwarte wody zatoki, podczas gdy Iker oraz strażnicy podnoszą Nika z piasku, wstrząśnięci rozwojem wypadków. Powoli unoszą strzelby, nawet nie sprawdzając, czy są naładowane – nikt nie spodziewał się dzisiaj polowania na czarownice.

Sądziłam, że Annemette będzie się mnie kurczowo trzymać, wnioskując po tym, jak przytulała się dziś rano do Nika. Ale cała ta sytuacja napęła ją siłą, dzięki której może odeprzeć ogarniający ją strach i skupić się na zadaniu.

Macha nogami i płynie ku mieliznie, jakby dokładnie wiedziała, jak się to robi. Przebycie całej odległości zajmuje nam mniej niż minutę, a strażnicy w końcu zaczynają strzelać, posyłając kule w stronę wody. Jedna z nich muska moje ramię. Krew wypływa z rany, rozpuszczając się w morzu, lecz uparcie płynę dalej.

Docieramy do mielizny. W tej chwili księżyc wisi na odpowiedniej wysokości i wiem, że zostało nam jedynie kilka minut. Serce bije mi jak szalone, a na moim lewym ramieniu widnieją strużki krwi, która wciąż cieknie, ale staram się zachować spokój. Gramolę się na wystającą ponad taflę kupkę piasku i podciągam na nią również Annemette. Połowa

strażników znajduje się teraz w morzu; brną przez wodę, trzymając sztylety w zębach, podczas gdy pozostali stoją na piasku i ponownie ładują strzelby.

Kładę dłonie na jej ramionach i patrzę w niebo.

– Gotowa?

Kiwa głową, obserwując mnie uważnie, a w jej oczach odmalowuje się płomyk nadziei.

– *Skipta* – zwracam się do Urdy i kłębiących się wokół nas fal. *Wymień to życie na duszę, którą sobie przywłaszczyłaś.*

W odpowiedzi na moją prośbę uderza we mnie bryza, a niebo rozjaśniają błyskawice.

– *Skipta.* – Huk burzy.

Mam wrażenie, jakby z opuszków moich palców wydostawały się pasma energii, a ciało wypełnia magia, docierając aż do serca.

– *Skipta.* – Wiatr staje się silniejszy. Burza i błyskawice są coraz bliżej.

Czuję magię w kościach. Wszystkie myśli i całą swoją uwagę skupiam na Annemette. Na wywieraniu na morzu presji, by spełniło moją prośbę.

– *Skipta.*

– Dziecko, co ty wyprawiasz? – krzyczy ciocia Hansa, stojąc na plaży.

Słyszę jej głos ponad hukiem strzelb. Ponad pluskiem wody, przez którą przedzierają się strażnicy. Ponad grzmotami burzy. Jakby jej krzyk przeznaczony był specjalnie dla moich uszu. Jednak mimo to nie odwracam się.

Annemette. Chcę Annemette. Chcę odzyskać moją Annę.

– Dziecko! Evelyn, posłuchaj mnie. Pomyśl o moim doświadczeniu i błędach, jakie popełniłam w przeszłości. Magia zrodzona z dumy i chęci zemsty jest nie do okiełznania i zbyt silna na twoje drobne dłonie!

Moje dłonie nie są drobne – są potężne.

Nie kieruję się żadną z tych rzeczy, ciociu. Robię to w imię miłości.

Rozlega się kolejny grzmot, a z każdym wyładowaniem pływająca w moich żyłach magia śpiewa. Czuję ją w dłoniach.

Wszystko idzie zgodnie z planem – uda mi się.

Ciocia Hansa znów zaczyna krzyczeć, ale jej słowa już do mnie nie docierają. Żołnierze ze sztyletami w ustach znajdują się coraz bliżej płycizny, jednak kotłujące się fale skutecznie ich spowalniają.

Zwracam się do magii po raz ostatni.

– *Skipta.*

Widzę twarz jedenastoletniej Anny. Patrzę w swoją przyszłość i widzę twarz Annemette.

Przeznaczam na to całą swoją koncentrację. Całą moc.

Wszystko, co mam, kieruję do Urdy. Całą determinację. Całą gotowość. Burza szaleje. Niemniej jednak w żaden sposób mnie to nie rozprasza. Lecz wtedy niebo przecina błyskawica tak jasna, że mimowolnie otwieram oczy.

I widzę, że Annemette się uśmiecha.

Nie, nie uśmiecha.

Śmieje się.

Chwyta mnie za nadgarstki, ściągając moje dłonie ze swoich ramion. Jej siła mnie zaskakuje, a na jej ustach maluje się krzywy uśmiech.

– Czytałaś księgi, testowałaś, planowałaś, i jedyne, na co cię stać, to zwykła magiczna wymiana? Jakbyś chciała dostać niebieską suknię zamiast czerwonej?

Magia kumuluje się, aż w końcu okrąża nas obie. Iskrzy i pulsuje. Nagle zdaję sobie sprawę, że nie należy ona do mnie. A przynajmniej nie całkiem.

Szalejąca wokół nas burza nie jest moja – napełnia mnie tym samym niepokojem, który czułam w dniu urodzin Nika. I tego ranka na pokładzie łodzi Ikera. Ta burza jest dziełem Annemette.

Przez moment nic nie widzę, lecz w końcu czuję, jak jej przerażająca magia wysyła impulsy przez moje ciało, biegnąc żyłami aż do serca. Gdy odzyskuję wzrok, mieliznę otacza ściana wody, odseparowując nas od reszty świata.

Pomyślą, że ja to zrobiłam.

Annemette wzmacnia uścisk i pochyła się do mojego ucha, podobnie jak kilka minut wcześniej zrobił to Nik.

– Wiesz, co myślę? Myślę, że tak naprawdę nie chciałaś mnie uratować.

Ani teraz, ani cztery lata temu.

Oddech więźnie mi w gardle. *Anna*. Moja Anna. Ale w jej słowach pobrzmiewa jad, którego Anna nigdy nie miała.

Pod wpływem miłości Nika i gniewu Anny, moje serce zamiera na moment, lecz po chwili zaczyna bić jak szalone, a oczy zachodzą mi łzami, gdy próbuję dotknąć jej twarzy oraz włosów. Tak bardzo za nią tęskniłam. I choć sama pogrążam się w żalu, nie potrafię sobie wyobrazić jej cierpienia.

Jednak ona jedynie wzmacnia uścisk, unieruchamiając moje dłonie.

– Anno. Och, Anno, chciałam cię uratować. Tego dnia rzuciłam zaklęcie,

ale...

– Skrewiłaś. Skrewiłaś, ponieważ nie rozumiałaś, co robisz. Wszystko zniszczyłaś – mówi, obnażając zęby. Nie poznaję jej. Ścisła moje nadgarstki tak mocno, że tracę czucie w dłoniach. – Zamiast mnie uratować, swoim zaklęciem wywołałaś czarną plagę.

Tørhed. Widzę przed oczami pływające u moich stóp martwe, pokryte czarnym atramentem strzeble. Zabite przez moje łzy. Czarne łzy.

Przypominam sobie wyraz twarzy cioci Hansy, kiedy przysłała mnie uratować.

To nie upał wywołał *Tørhed*, tylko ja.

Ja to zrobiłam.

Ma rację. Wiem, że ma rację.

– Próbowałam to naprawić. W tym roku morze ponownie zapełniło się morskimi stworzeniami.

– Stworzeniami, które wyrwałaś z ich naturalnego środowiska? Mówisz o tych swoich zaklęciach urodzaju, które zabijają morze szybciej niż czarna śmierć? Jeśli nie wybijają ich sieci, umierają z głodu. Ponieważ jest ich zwyczajnie za dużo. – Chwyta mnie jeszcze mocniej, a ja czuję w nadgarstkach przepływ jej zimnej magii. – Morze ma już dość twojej dobroci, *wiedźmo*.

– Daj mi spróbować...

– Och, nie. Nie. Tej nocy wszystko pójdzie zgodnie z planem. – Mimo że wciąż otacza nas ściana wody, jednemu z żołnierzy udaje się dotrzeć do mielizny, ale Anna jednym machnięciem dłoni odpycha go z powrotem w morze. Nie widzimy reszty strażników, ale czuję, że pojedynczym zaklęciem trzyma ich z dala od nas. Nawet nie odwraca ode mnie wzroku. W jej oczach widać błysk, a na ustach w końcu maluje się coś w rodzaju uśmiechu.

– Tej nocy Anna Liesel Kamp odzyska swoje życie.

Próbuję się poruszyć, dotknąć jej, błagać, by przestała, ale rzuciła na mnie jakieś zaklęcie, przez które nie mogę choćby podnieść rąk. Stóp. Nie mogę nic zrobić. Nawet moja magia mnie nie słucha, tylko tkwi zastygnięta w żyłach. Czuję ucisk w sercu – jedynej części ciała, której Anna nie jest w stanie kontrolować.

– Anno, proszę!

– Och, nie, nie licz, że okażę ci teraz łaskę. – Znowu zanosi się gardłowym, wymuszonym śmiechem. – Odebrałaś mi życie. Odebrałaś mi je

swoją władzę nad Nikiem. To ciebie wybrał. Uratował cię. A mnie zostawił. Przez ciebie.

– Anno...

– Żadne słowa tego nie zmieniają. Żadne czyny nie cofną tego, co się wydarzyło.

Zdejmuje dłoń z mojego ramienia i wskazuje nią na skałę, która dzieli zatoczkę od miasta. Mimo że trzyma mnie tylko jedną ręką, wciąż nie mogę się poruszyć. Moja magia nie może znaleźć ujścia. Gdybym tylko wiedziała, co to za zaklęcie. Gdybym tylko pilniej się uczyła. Więcej ćwiczyła. Jeszcze chwilę temu czułam się taka potężna, a teraz jestem kompletnie bezradna.

Unosząca się przed nami ściana wody rozstępuje się i w naszą stronę pędzi jakaś postać. Nie należy ona do strażnika... jest zniekształcona, szara, napuchnięta, a na jej środku widnieje ciemna dziura.

Lecz po chwili rozpoznaję ją. Oddech więźnie mi w gardle, gdy próbuję wydostać się z magicznych więzów Anny. Muszę go dotknąć. Muszę się upewnić. Ale gdy dziewczyna zaczyna się śmiać, wiem, że koszmar, na który właśnie patrzę, jest rzeczywistością.

Wiszące przede mną ciało jest moim ojcem. *Było* moim ojcem.

– Może i twoje rozwiązanie polegało na rzuceniu dziecinnego zaklęcia, ale przyznaję, że sam pomysł był dobry. Potrzebowałam czyjegoś życia po to, bym mogła tu wrócić i teraz potrzebuję kolejnego, by tu zostać.

Wszystko staje się dla mnie jasne. Prawdziwa miłość nigdy nie miała uratować Anny – nie z nienawiścią, jaka wypełniła jej serce. Nie jestem pewna, czy w ogóle istniała taka możliwość. W końcu okłamywała nas od samego początku.

Nagle rozlega się grzmot i otaczająca nas ściana wody zaczyna się zmieniać. Jeszcze zanim widzę kształt, jaki przybrała, zdaję sobie sprawę z roli, jaką mam odegrać w tym planie zemsty.

Tamtego dnia morze mnie nie zabrało, choć taka była wola Urdy. Teraz Anna daje morzu okazję do dokończenia swojego dzieła.

– Czyli to moje życie chcesz poświęcić, by móc zostać tu na zawsze.

– Nakazuję sobie spojrzeć jej w oczy, gdy to mówię. Mój ojciec był pierwszą ofiarą zemsty Anny. Teraz kolej na mnie.

Uśmiecha się – jest to najbardziej bezduszna rzecz, jaką w życiu widziałam.

– Och, nie. Twoje życie nie jest aż tyle warte.

Anna puszcza moje ramię i nagle unoszę się w powietrzu obok mojego ojca. Wciąż nie mogę się poruszyć. Zarówno moja magia jak i ciało są teraz bezużyteczne.

Jednym machnięciem dłoni posyła w moją stronę podmuch wiatru tak silny, że uderza mnie w klatkę piersiową niczym kula armatnia. Razem z ciałem ojca przebijamy się przez ścianę wody i szybujemy w głąb zatoki.

Na moment przed upadkiem biorę ostatni oddech. Zamykam oczy.
I jednoczę się z morzem.

Nad powierzchnią

Mała syrenka uśmiechała się. Uśmiechała się i płakała – słona woda stanowiła idealną imitację łez.

Już niedługo będzie w stanie ronić prawdziwe łzy.

– Wstrzymać ogień! – zawołał chłopiec, gdy strażnicy wycelowali strzelby w małą syrenkę, która właśnie na własnych nogach przechodziła obok malutkich wysepek. Gdzieś za nią Evie wydała ostatnie tchnienie. Strażnicy, którzy wcześniej znajdowali się w wodzie, również leżeli teraz martwi na dnie morza; nie mogła pozwolić im zepsuć następnej części swojego planu. Nie pozostało jej zbyt wiele czasu, ale była już blisko celu.

Musiała tylko poczekać na odpowiednią chwilę.

– Nik! Nik! Udało jej się! Zrobiła to! – Mała syrenka padła na piasek. W jej pobliżu znajdowali się tylko książęta i pozostali strażnicy, ale przy ujściu zatoki stał cały tłum gapiów utworzony z uczestników królewskiego balu. Jej widownia. Cudownie. – Zrobiła to, a ja wszystko sobie przypomniałam!

Mała syrenka złapała go za rękę. Spojrzała na jego zdumioną twarz i posłała mu swój starannie wyćwiczony uśmiech.

– Jestem Anną. Anną Liesel Kamp. Jestem Anną!

Nagle od strony szlaku wodnego dobiega do niej głos jej stukniętej babki.

Choć raz w życiu miała rację.

– Anneke. Moja Anneke... jesteś cała mokra! Wyjdź z wody! Już, już!

Kilka osób zachichotało pod nosem, słysząc ten wybuch, lecz wtedy przez powietrze przebił się donośny głos Iker.

– Kuzynie, nie zbliżaj się do niej. Nie jest lepsza od wiedzy i dobrze o tym wiesz. Jest jeszcze gorsza. Odsuń się.

– Nie tym razem, Iker – powiedział Nik, dotykając twarzy małej syrenki.

Wpatrywał się w nią uważnie. Chciał potwierdzić podejrzenia, które powinien mieć od momentu, gdy po raz pierwszy ujrzał „dziewczynę z Odense”.

– Jeśli naprawdę jesteś Anną, powiedz, co wydarzyło się na Szlaku Lille Bjerg, kiedy miałem dziesięć lat.

Mała syrenka nawet nie mrugnęła. Co więcej, w jej głosie słyhać było radość i entuzjizm, gdy odpowiedziała:

– Uderzyłeś prawą nogą w skałę i teraz masz na łydce wielką bliznę. Evie i ja musiałyśmy cię znosić na sam dół.

Jego ciemne oczy rozszerzyły się, a na usta zawitał szeroki uśmiech.

– To ty... to naprawdę ty. – Lecz wtedy odwrócił od niej wzrok i przeniósł go na fale, szukając w nich dziewczyny, którą ona nigdy nie będzie. Nawet w tej chwili nie był w stanie poświęcić jej odrobiny uwagi. Tak, zasługiwał na karę.

– Gdzie Evie? Przyszła fala i... – Ponownie odwrócił od niej spojrzenie i zaczął przeszukiwać wzrokiem wodę.

– Niklasie, co ty robisz? Odsuń się od niej! – Królowa... mała syrenka omal się nie uśmiechnęła. Królowa i to jej słynne zaangażowanie w życie syna. Król i reszta arystokracji nie mogli być daleko. – Na co czekacie, tchórze? – krzyknęła do strażników, a na jej porcelanowej twarzy malowała się furia. – Macie broń, więc zróbcie z niej użytek.

Strażnicy ruszyli ku nim... ale Nik był na to przygotowany.

– Cofnijcie się. To rozkaz. – Odwrócił się do matki i spojrzał na nią ponad głową małej syrenki, którą mocno chwycił za ramię. – Ty też, matko.

– Uchylam – rzucił ostro król. – Niedługo staniesz się mężczyzną, synu, ale póki żyję, twoje rozkazy nie są niczym więcej niż dziecięcymi żądaniem.

– Odwrócił się do pozostałych strażników. – Schwytajcie księcia i zabijcie dziewczynę.

Tym razem strażnicy bez wahania ruszyli naprzód, wymierzając lufy z bagnetami prosto w małą syrenkę. Księżę wystąpił naprzód i zasłonił ją własnym ciałem, dzięki czemu nikt nie widział jej poczynań.

W końcu się doczekała. I nie miała zamiaru marnować ani chwili.

Mała syrenka przyparła do pleców chłopca, jakby była przerażona.

Następnie sięgnęła dłonią do włosów i zamknęła palce wokół grzebienia, który wciąż lśnił od morskiej wody.

– Nik! – Ten głos. Evie... ta mała wiedźma przeżyła.

*Księżę spojrział w stronę wody. W stronę swojej prawdziwej miłości.
Mała syrenka uśmiechnęła się pod nosem. Księżę po raz kolejny dokonał
złego wyboru.*

I to będzie jego ostatni.

*Wykorzystując całą energię, jaka jej pozostała, mała syrenka zatopiła
sztylet w sercu księcia.*

Rozdział 31

Kiedy otwieram oczy, widzę ciemność. Pochłania mnie mrok. Smutny i bezbarwny. Czas nie istnieje.

Czyli tak wygląda morze.

Prawdziwe morze.

Jedynym źródłem światła jest księżyc. W miarę jak mój wzrok przyzwyczaja się do nowego środowiska, ciemność zaczyna nabierać nieco koloru – gdy powoli opadam na grafitowy piasek, w otaczającej mnie głębi dostrzegam cień błękitu. Mój ojciec leży obok mnie; oczy ma zapadnięte i pozbawione życia. Dziura ziejąca w jego brzuchu ma średnicę ostrza wystrzelonego prawdopodobnie z harpuno-strzelby. Czuję ukłucie w sercu i mam ochotę krzyczeć. Nagle w zasięgu mojego wzroku pojawia się ośmiornica, która obecnie nawiedza zatoczkę. Jest nawet większa, niż myślałam.

Myślałam. Myśli. Wciąż je mam.

Żyję.

Moje płuca płoną.

Chwila.

Żyję! I potrzebuję powietrza.

Próbuję poruszyć ramionami. Stopami. Magia Anny zniknęła – mogę się ruszać. W jednej chwili zaczynam energicznie machać nogami i rozdierać dłońmi wodę, płynąc ku powierzchni. Nagle moje ramię przeszywa ostry ból w miejscu, z którego wciąż wypływa krew. Rana postrzałowa. Tak, postrzelił mnie jeden ze strażników. I przeżyłam.

Przeżyłam również to, co zaplanowała dla mnie Anna. A teraz muszę ostrzec Nika. Anna nie jest już naszą przyjaciółką – jest czymś kompletnie innym.

Jest gniewem.

Moje serce przyspiesza. Im mniej dzieli mnie od powierzchni, tym szybciej ono bije. Każdemu machnięciu rąk towarzyszy chmura krwi i czuję się, jakby

moje ramiona za chwilę miały się poddać.

Przebijam lustro wody, zaczerpuję tchu i płynę w kierunku plaży, aż jestem w stanie oprzeć stopy na piaszczystym dnie i stopniowo przedzierać się przez fale. Próbuję złapać oddech, ale naszyjnik uwiera mnie w szyję, a zawieszona na nim perła wciąż pulsuje magią. Wykorzystując całą energię, jaka mi pozostała, zrywam łańcuszek, a perła wpada z pluskiem do morza.

W końcu jestem wolna. Czuję, jak moje przywiązanie do dawnej Annemette odpływa razem z falami. Pewnie cały ten czas znajdowałam się pod wpływem jej zaklęcia – albo sama je na siebie rzuciłam.

Woda spływa z moich włosów i wpada mi do oczu. *Nik*. Muszę go odnaleźć. Stoi na plaży, dzielny i majestatyczny – chroni Annę przed zbliżającymi się do nich strażnikami. Moje serce bije jak szalone. Jeszcze żyje. Ale wkrótce się to zmieni. Teraz wiem, że to jego życie Anna chce wymienić na swoje.

Stoi za blisko niej.

– *Nik!* – krzyczę.

Udaje mi się zwrócić jego uwagę. Ale Anna również mnie zauważa.

Podobnie jak strażnicy.

Rozlegają się strzały, a moją klatkę piersiową przeszywa ból. Zataczam się do tyłu, lecz jakimś cudem udaje mi się utrzymać na nogach. Przyciskam palce do rany przy żebrach i krzywię się. Jest gorąca i mokra, a mój oddech staje się płytki, ponieważ z każdym wdechem zalewa mnie fala bólu. Ale nie mogę się zatrzymać, dlatego brnę przez wodę, która sięga mi niemal do talii.

Nik zamiera ze zdumienia, w przeciwieństwie do *Anny*. Widzę, jak dziewczyna sięga dłonią do włosów, a w następnej chwili trzyma w niej sztylet i mierzy nim w *Nika*, który wciąż patrzy na mnie.

– *NIE!* – *Nie odbierzesz mi go! Nie pozwolę na to!*

Iker też krzyczy, biegnąc w ich stronę. Również to zauważył.

Mimo krwi. Mimo bólu. Mimo dzielącej nas odległości, poruszam się do przodu najszybciej, jak to możliwe. Woda sięga mi teraz do kolan. Moja mokra suknia waży więcej niż ja, ale to mnie nie powstrzyma. Nic mnie nie powstrzyma.

Jeszcze pięć jardów. Cztery. Trzy.

Ale spóźniłam się. Sztylet *Annemette* już przecina powietrze. Ostry koral przeszywa *Nika* w tej samej chwili, gdy dopada do niego *Iker* i popycha go

na ziemię.

Krew Nika wsiąka w piasek.

Z miejsca, gdzie leży, wypływa czerwona strużka.

Och, Urdo. Nie. Tylko nie Nik.

Nawet po wszystkim, co się wydarzyło, wciąż nie mogę uwierzyć, że Anna to zrobiła, ale już nie mam zamiaru okazywać jej litości. Jeśli sądzi, że tylko ona dokona dziś zemsty, to bardzo się myli.

– Niklas! – woła rozpaczliwie królowa, po czym razem z królem w końcu ruszają na pomoc swojemu jednemu synowi.

Tłum gapiów stoi w bezruchu, a na twarzach, które znam niemal od urodzenia, widzę grozę i strach, gdy wszyscy nagle zdają sobie sprawę z tego, co się właśnie wydarzyło. Wśród nich dostrzegam Malwinę, Ruyvena oraz członków służby pałacowej.

Piękne rysy twarzy Anny wykrzywają się w przerażającym grymasie, gdy moczy palce stóp w krwi Nika i śmieje się głośno. Śmieje się.

– Zrujnowałaś mi życie, a ja zrujnowałam twoje, *mój książę*.

Łapię ją za nogi i przewracam na piasek. Przesuwam się tak, by przyszpilić ją do ziemi i unieruchamiam dłoń, w której trzyma sztylet, czerwony od krwi Nika. Następnie krzyczę do cioci:

– Hansa! Nik... musisz go uleczyć! – Ale dwóch strażników łapie Hansę, nie pozwalają jej ruszyć się z miejsca – moja magia zgubiła również i ją.

Dlatego zwracam się do ostatniej osoby, która może mnie w tej sytuacji posłuchać. – Iker, pozwól jej zrobić to, co należy. Proszę! Ona może go uratować!

Moje serce przyspiesza, gdy Iker od razu robi, co mu każę.

– Puśćcie tę kobietę! – woła do strażników.

Strażnicy spełniają polecenie. Nie mogę w tej chwili patrzeć na to, co Hansa zaczyna robić. Jeśli coś pójdzie nie tak, pęknie mi serce. Wszyscy nazywają ją Uzdrowicielką Królów, ale tej nocy będzie musiała uratować mojego księcia.

Podczas gdy Hansa zajmuje się ratowaniem Nika, czuję w żyłach ukłucie magii Anny. Nad naszymi głowami gromadzą się chmury burzowe, a leżąca pode mną Anna znów zaczyna się śmiać. Mam ochotę ją spoliczkować, ale nie chcę wypuścić jej z rąk.

– Zamknij się! – krzyczę. – Jak mogłaś? On cię kochał! *Ja* cię kochałam!

Spluwa mi w twarz. Dziewczyna, której nie znam. Dziewczyna, której już

nie rozpoznaję. Dziewczyna, która pragnie odebrać mi Nika. Dziewczyna, która odebrała mi ojca.

Wiatr rośnie w siłę, a kątem oka widzę światło błyskawicy. Rozlega się grzmot. Jej magia wije się wokół nas, a ja robię wszystko, by ją powstrzymać.

Moja moc iskrzy, mimo że ciało pokrywa krew.

Teraz śmieje się tak mocno, że z oczu płyną jej łzy. *Prawdziwe łzy*. Ciekną po zakrwawionych policzkach, mokre i prawdziwe. Serce ściska mi się z przerażenia, nieprzerwanie próbując bić mimo upływającej ze mnie krwi. Nie, nie mogła stać się człowiekiem. Taki ktoś nie zasługuje na duszę. Nie mogło jej się udać. Nik żyje.

Musi żyć.

Ale łzy wciąż są tam, gdzie były, a Anna przenosi wzrok do góry, gdzie przyszpilam jej dłonie do ziemi. Gdzie nadal trzyma sztylet... *nie*.

Nie.

Od szlaku wodnego docierają do nas wrzaski i cały tłum ludzi biegnie w jednym kierunku. Strażnicy również. Wszyscy pędzą w stronę ciała, które leży nieruchomo na piachu, ze sztyletem w gardle – po tym, jak Annemette, wykorzystując ostatnie chwile, kiedy to mogła jeszcze skorzystać z morskiej magii, posłała go w kierunku swojego celu.

Lecz nie był nim Nik.

Tylko jego ojciec. Król leżał martwy na piasku.

Najwyraźniej magia akceptowała tylko błękitną krew – krew Øldenburgów pochodzącą od samego koronowanego łowcy czarownic – ponieważ przed nim znajduje się Iker, który właśnie wstaje z klęczek. Udało mu się uniknąć sztyletu Anny. To w niego miał trafić – był ostatnim celem Anny i jedną z osób, które przyczyniły się do jej śmierci, ale w ostateczności król też wystarczył.

Królowa pada na piasek, a jej pisk unosi się ponad obejmującym plażę chaosem:

– *Zabić je!*

Strażnicy natychmiast ruszają w naszym kierunku. Anna nie przestaje się śmiać, kopiąc mnie swoimi ludzkimi nogami. Suknię, skórę i włosy ma poplamione moją krwią, co tylko potęguje jej rozbawienie. Śmieje się tak mocno, że już nawet nie próbuje się opierać lub uciekać – jest zbyt zajęta rozkoszowaniem się swoim sukcesem.

Lecz wtedy, ponad śmiechem, odgłosami kroków i krzykami mieszkańców, słyszę głos, który znam równie dobrze jak swój własny.

– Evie.

Nik.

Z pomocą Hansy czołga się w moim kierunku. Wyraz twarzy ciotki mówi mi, że nie udało jej się go uzdrowić – wkrótce umrze, tak samo, jak jego ojciec. Nik też to wie. Jego głos drży.

– Evie, kocham cię. Przepraszam, że nie powiedziałem ci tego wcześniej. Przepraszam...

– Ciociu, przytrzymaj Annę. Proszę. Nie pozwól jej wstać. – Wiem, że magia Hansy jest silna i czuję, jak używa na Annie tego samego zaklęcia, którego dziewczyna użyła wcześniej na mnie. Tego samego, którego ja nigdy się nie nauczyłam.

Puszczam Annę dopiero, gdy mam pewność, że magia Hansy przytrzymuje ją w miejscu. Anna zaczyna na mnie wrzeszczeć, próbując się wyrwać z magicznych pęt, ale nie zwracam na nią uwagi. Odnajduję dłońmi Nika, przyciskając jego zakrwawione ciało do swojej piersi.

– Ja też cię kocham. I nie pozwolę, by tak to się skończyło.

Na jego bladej twarzy widać zdezorientowanie. Oddech ma przyśpieszony, a ja czuję ruchy jego klatki piersiowej, gdy desperacko próbuje zaczerpywać powietrza. Krew biegnąca z naszych ran miesza się ze sobą, jakby coś je do siebie ciągnęło.

Zamykam oczy i przypominam sobie słowa matki. Nie potrzebuję atramentu z ośmiornicy. Nie potrzebuję kamieni, mikstur, czy talizmanów.

Potrzebuję jedynie słów i własnej woli.

Jestem wiedźmą. I zawsze nią będę. Magia płynie w moich żyłach i to mi wystarczy – chyba nawet Annemette mnie tego nauczyła.

– Kocham cię, Nik – powtarzam, a następnie zaczynam rzucać zaklęcie matki. Słowa przychodzą do mnie same z siebie, jakbym znała je całe życie. I być może tak jest.

– *Líf. Daudi. Minnlíf. Seiðr. Seiðr. Seiðr.*

Moja skóra zaczyna płonąć, parzyć, a bijące od moich kości ciepło przebija się na zewnątrz i zmienia w parę. Oczy zachodzą mi łzami, a ja wiem, że są czarne – z oczu matki nie płynęły czarne łzy, ale moja magia jest inna.

Skapują na skórę Nika, a ja czuję, że zaczynam drżeć. Gałki oczne na moment przewracają mi się do góry, lecz przedtem udaje mi się spostrzec, że

skóra Nika odzyskuje kolor, a jego policzki różowieją, jakbyśmy cały dzień spędzili na morzu.

Próbuję odzyskać wzrok. Muszę go zobaczyć. Muszę.

Oczy ma szeroko otwarte. Wie, co się dzieje. Wie tak samo jak ja, gdy moja matka oddała za mnie życie.

Zadbam o to, by był bezpieczny.

By miał przed sobą jeszcze całe życie.

By mógł rządzić swoim królestwem bez strachu.

Zadbam o to.

Wykorzystując resztki sił, odpycham się od Nika i padam bezwładnie na Annę, po czym oplatom ją ramionami i ściskam mocniej, niż jakikolwiek gorset byłby w stanie to zrobić. Mocniej niż magia Hansy. Moja ciotka ze łzami w oczach robi krok w tył, po czym pomaga Nikowi wstać. Już prawie wrócił do zdrowia. Nic mu nie będzie.

Teraz tylko Anna stanowi dla nas zagrożenie, ale już wiem, co z nią zrobić. Biorę ostatni oddech i zaciskam ramiona wokół niej – wokół dziewczyny, którą kochałam, dziewczyny, która do mnie wróciła. Wykorzystała mnie. Zniszczyła. Zrujnowała życie wszystkich, którzy ją kochali, tylko po to, by odzyskać swoje ludzkie życie. Wszystko w imię zemsty. Podnoszę się i niosę ją w stronę wody. Moje dłonie pozostawiają ślady na jej skórze, gdy próbuje się uwolnić.

– Co ty robisz? – wrzeszczy. Czuję, jak serce Anny obija się o jej gorset. O moje własne serce – które wciąż tkwi w mojej klatce piersiowej.

Chmury burzowe już się rozwiewają. Wiatr osłabł. Błyskawice zniknęły. Jej magia opuszcza ten świat, a wkrótce ona zrobi to samo. Otwiera szeroko te swoje niebieskie oczy. Widocznie dopiero teraz uświadomiła sobie, że dostała to, co chciała. Jest teraz zwykłą dziewczyną, którą była wcześniej – a to czyni ją bezbronną wobec takich jak ja.

Uśmiecham się do niej, lecz nie ma w tym ani krztyny współczucia. Ani krztyny radości. Nie ma w tym nic oprócz czystej furii.

– To życie już nie należy do ciebie.

Powiedziawszy to, robię jedyną rzecz, która może odwrócić ostatnie zaklęcie Anny. Która może zapewnić bezpieczeństwo moim najbliższym i już na zawsze pozbyć się zagrożenia, jakie stanowi.

Zwracam Annę morzu.

Pod Powierzchnią

Morze zabrało dwie dziewczyny – jedną o kruczoczarnych, drugą o blond włosach. Woda była orzeźwiająca mimo swojej bezkresnej czerni. Pod powierzchnią kłębiły się smugi magii, mieszając się z krwią i śmiercią, które łączyły ze sobą obie istoty.

Serce dziewczyny o kruczoczarnych włosach biło coraz wolniej. Kończył jej się czas; wszystkie siły przeznaczyła na chłopca, który znajdował się nad powierzchnią. Chłopca, którego zawsze kochała. Którego zawsze chroniła – nawet przed nią samą.

Płuca blondynki domagały się powietrza. Brunetka czuła ich drżenie na swojej klatce piersiowej, gdy z całej siły ścisnęła blondynkę w ramionach, ściągając je obie w dół. Tak głęboko, na ile pozwalała zatoczka. Na dnie, zaraz obok legowiska nawiedzanej ośmiornicy, leżały ciała jej ojca oraz strażników, których blondynka zabiła jednym machnięciem dłoni.

Zginęło tak wiele osób, ale księżę przeżył. Jej miłość. Jej życie.

Obie dziewczyny opadły na piaszczyste dno pośród chłodnych pozostałości magii. Plecy blondynki uderzyły w dno, a z ran brunetki nieprzerwanie ciekła krew, barwiąc wodę na czerwono i pozbawiając dziewczynę sił.

Światło księżycy ledwo docierało na taką głębokość, dlatego nie sposób było cokolwiek dostrzec w ciemnościach. Wciąż jednak dziewczyna o kruczoczarnych lokach nie pozwalała, by całkowicie ją pochłonęły. Jej serce ledwo biło, ale oczy wciąż miała otwarte i teraz patrzyła, jak blondynka próbuje ją odepchnąć i uwolnić się z jej uścisku.

Nie umrze pierwsza. Nie mogła.

Musiała się upewnić, że jej najdroższemu nic już nie grozi – tak samo jak jej rodzinie, jej domowi – że nie zagraża im już potwór, którego trzyma w ramionach.

Na chwilę przed tym, jak serce dziewczyny o kruczoczarnych lokach się zatrzymało, blondynka znieruchomiała. Niebieskie oczy miała szeroko otwarte i puste, wargi rozchylone, a jej usta napełniły się wodą.

Tym razem dziewczyna naprawdę utonęła. I już nie wróci.

Dziewczyna o kruczoczarnych włosach otworzyła usta, chcąc przyjąć ocean do siebie, by całkowicie ją pochłonął, wraz z tętniącą w jej żyłach magią.

Lecz wtedy ujrzała, jak grafitowe światło zostaje stopniowo połykane przez

gęsty cień. Jakby zasłaniała je czarna kurtyna.

Nie.

Ośmiornica. Ta gigantyczna. Ta, która od jakiegoś czasu nawiedzała zatoczkę. Jej bestia – efekt jej zaklęcia urodzaju. Błąd. Aberracja.

To zwierzę było szybkie. Mściwe. Złośliwe.

– Líf...líf – zaczęła dziewczyna, a słowa umierały na jej języku, zanikały w słonej wodzie. Nie była pewna, co powinna powiedzieć ośmiornicy oprócz tego, żeby sobie poszła. Żeby żyła. Żyła gdzieś z dala od tego pola bitwy i pozwoliła jej spokojnie spocząć razem z ojcem.

Lecz ośmiornica wyczuła atrament w jej żyłach oraz bijącą od niego magię, i zaczęła się nią karmić. Macki zwierzęcia drżały pod wpływem mocy dziewczyny, gdy ślizgały się po jej ranach i dopasowywały się do ruchu wody, do krwi, do zaklęcia, które kontrolowało ją przez kilka ostatnich miesięcy.

Oczy dziewczyny uciekły do tyłu, kiedy poczuła, jak jej żyły napełniają się nową magią.

– Líf. Líf.

Nagle między nimi rozbłysło oślepiające, białe światło. Połączyło je. Magia równie stara co sam ocean splotła życie ośmiornicy z życiem dziewczyny.

Światło przywabiło zwierzę jeszcze bliżej niej. Od śmierci dzieliły ją zaledwie sekundy. Macki przylegały do jej krwi. Próbowaly się nią pożywić, a pulsująca magia była jak magnes, który przyciągał ich ciała do siebie.

– Líf... – powtórzyła bez tchu. Woda morska zmyła to słowo z jej ust, a następnie wpłynęła do tchawicy i wypchnęła tlen z jej serca, aż w końcu brunetka połączyła się z morzem. Woda stała się jej duszą.

Światło zamigotało i stało się jaśniejsze, kąpiąc w swoim cieple zarówno dziewczynę, jak i ośmiornicę, a następnie przebiło się przez powierzchnię i pognało w stronę księżycy oraz wciąż unoszącej się w powietrzu magii. Po chwili światło zgasło, zastąpione przez ciemność, która pochłonęła swoją czernią całą zatoczkę.

Wtedy tłum stojących na plaży ludzi zaczął się rozchodzić, uznając, że nie jest tam bezpiecznie. Jedyne księżę i jego kuzyn stali w bezruchu, uparcie obserwując wodę, jakby w każdej chwili dziewczęta mogły wypłynąć na powierzchnię. Zapewne zachodzili w głowę, dlaczego wody zatoki przybrały czarny kolor.

Tymczasem woda kłębiła się tak intensywnie, że w pewnym momencie

utworzyła wiry wodne, sięgające od dna zatoki aż do morskiej tafli. Bijący od ziemi gorący gaz przeciął piasek, formując między wirami wielkie gejzery.

Piach w zatoce zaczął gnić i tracić kolor, aż w końcu całkowicie zszarzał, a kiedy nie pozostało nic oprócz morskiego obsydianu, stało się coś dziwnego.

Dziewczyna o kruczoczarnych włosach nie była już zwykłą dziewczyną.

Wciąż miała czarne loki i swoją urodę, a od pasa w górę nadal wyglądała jak kobieta, lecz tam, gdzie niegdyś były jej nogi, widniało osiem macek czarnych jak onyks i lśniących jak jedwab. Sięgały od jej talii i nie przypominały nic, co ocean kiedykolwiek widział.

W końcu, czując magię w całym ciele, stworzenie otworzyło oczy.

Epilog – Pięćdziesiąt Lat Później

Król mórz oraz jego poddani nazywają mnie morską wiedźmą. Wciąż dziwię się, że w ogóle żyję.

Tamtego dnia byłam przygotowana na śmierć.

Poświęciłam życie dla Nika. Znałam skutki tamtego zaklęcia.

Ale coś dziwnego miało miejsce w kłębiącej się magii, która zawierała w sobie moc moją, matki, Hansy oraz to, co pozostało z zaklęcia Annemette.

Nawiedzająca zatokę ośmiornica również miała z tym coś wspólnego. Z połączenia tego wszystkiego zrodziło się ciało, które teraz posiadam.

Nie ciało syreny.

Ciało czegoś, czego te wody nigdy wcześniej nie widziały.

Zespoliłam się ze swoją własną magią.

Rozkładałam macki; jest ich osiem. Są błyszczące, czarne i równie obszerne co suknie królowej Charlotte, a każda z nich okazjonalnie zbiera krewetki z morskiego dna. Wyglądam dość ciekawie, choć niewielu miało okazję zobaczyć mnie na własne oczy. Coś trzyma mnie w zatoczce i nie pozwala jej opuścić. Magia, wspomnienia lub obie te rzeczy.

Moje legowisko znajduje się w nisko położonej jaskini, którą otacza bulgoczące błoto – podwodne wrzosowisko – oraz potężne wiry wodne. Na tej głębokości woda jest czarna, a Zatoka Havnestadu wygląda stąd jak światełko w ciemności.

Wokół mojej jaskini wyrosły dziwne drzewa czerpiące energię z kości Anny i strażników. Natomiast szczątki mojego ojca pozostały nienaruszone i nadal leżą tam, gdzie starannie je pogrzebałam. Te drzewa – polipy – są w połowie roślinami, w połowie zwierzętami, a wyglądem przypominają węże przymocowane do grafitowego piasku, z setką głów w miejscach, gdzie powinny mieć gałęzie.

Na skutek magii, która zmieniła mnie w tę istotę, Tørhed odszedł w niepamięć, a morze na nowo odzyskało równowagę. W tym miejscu wiry wodne wciągają ryby prosto w szpony polipów, dzięki czemu sama nie

muszę polować i jednocześnie mam pod dostatkiem jedzenia.

W przerwach pomiędzy odżywianiem się łupem swojego dziwnego lasu zgłębiam tajemnice magii. Wiem już wszystko o tętniącej w oceanie mocy, ale i tak każdego dnia odkrywam kolejne tajemnice. Dlatego w ciągu tylu lat wraz z moimi umiejętnościami rozwinęła się również moja reputacja.

Mieszkańcy podwodnego świata boją się mnie – od lat przekazują sobie zmyślane opowieści na mój temat. Wmawia im się, by trzymali się z dala od wiedźmy, która jednym machnięciem dłoni jest w stanie pograżyć całe morze w nędzy. Król mórz wie o zaklęciu, jakie niegdyś rzuciłam – tym, które wywołało czarną śmierć oraz głód – wie również o tym, co wydarzyło się między mną a jego Annemette. Za każdym razem, gdy ktoś wymawia moje imię, przywołuje również wspomnienia o blondwłosej syrenie. Jednak rzadko się to zdarza. Nikt nie jest na tyle odważny.

Minęło też tak dużo czasu, że nikt na lądzie nie zna mnie już jako Evelyn.

Evie. Tak brzmiało imię tej dziewczyny.

Kojarzą historię o syrenie, wiedźmie i księciu Niklasie. Wiedzą o dziwnej zatoczce z wodą czarną jak atrament i piaskiem srebrnym jak stal – czasem nawet ośmielają się ją odwiedzać. Teraz co roku w Wigilię Świętego Jana nie rozpalają wielkiego ogniska, tylko wrzucają małe, drewniane lalki prosto do zatoczki. Podarunki dla wiedźmy, która uratowała ich królestwo.

Ale ci ludzie mnie nie znają.

Moi najbliżsi już od dawna nie żyją, a przynajmniej tyle udało mi się wywnioskować z fragmentów rozmów zasłyszanych przez te wszystkie lata spod morskiej tafli.

Ciocie Hansę zabrał czas. Mimo że w jej żyłach płynęła magia, resztę swojego życia spędziła w Havnestadzie. Uniknęła banicji dzięki roli, jaką odegrała w uratowaniu Nika tamtego okropnego dnia. Hansa do samego końca obdarowywała mnie prezentami – przekazywała mi magiczne księgi, wcześniej nakładając na nie zaklęcie, by nie przesiąkły wodą. Zawierały one wszystkie tajemnice, których nie chciała mi wyjawić, gdy jeszcze byłam młodą dziewczyną. Jakby wiedziała, że przetrwałam i teraz żyję pod całym tym brudem.

Iker zginął na Morzu Północnym. Zabił go wielki wieloryb, który w końcu miał dość bycia jego ofiarą.

Nik również nie żyje, ale spędził resztę życia tak, jak powinien. Tak, jak mu tego życzyłam. Wziął ślub, miał dzieci, sprawował udane rządy, a

poddani go kochali.

Tęsknię za nim. Tęsknię za nimi wszystkimi. Są nawet chwile, kiedy tęsknię również za nią – za Anną, Annemette, kimkolwiek była.

To ciche miejsce, ukryte w morskiej głębi, napawa mnie samotnością.

Sprawia, że tęsknię nawet za najbardziej bolesnymi dźwiękami.

Lecz pewnego dnia ktoś mnie odwiedza. Ta osoba nie pochodzi z lądu, ale z morza.

Mała syrenka. Odważna dziewczyna o złotych włosach z wplecionymi w nie kwiatami lilii, o cerze czystej jak świeże mleko i policzkach zaróżowionych jak dojrzałe jabłka. Jej oczy są w kolorze intensywnego błękitu – zimne jak nordyckie fiordy.

Zimne jak niegdyś oczy Ikera.

Lecz tam, gdzie u Ikera błyszczała pewność siebie, tutaj maluje się determinacja oraz cień strachu. Strachu przed tak przerażającą kreaturą, jaką się stałam.

Dlatego od razu wiedziałam, co stanowiło cel tej wizyty.

Tak, tylko jedna rzecz mogłaby sprawić, by syrena odważyła się wpłynąć do mojego legowiska.

Zbliża się do mnie ostrożnie, a ja wpatruję się w nią i układam macki pod swoim ciałem tak, że przypominają coś na kształt tronu. Czuję, jak moja twarz muskają srebrzyste loki. Ogon syreny udekorowany jest ośmioma ostrzygami, a każda z nich wskazuje na jej ramię. Przez chwilę mam wrażenie, że się wycofa, ale zamiast tego wyciąga ku mnie ręce, trzymając w nich bukiet krwistoczerwonych róż.

– Proszę, przyjmij te kwiaty, które zerwałam w swoim własnym ogrodzie, jako dar dla potężnej wiedźmy...

Kręcę głową i natychmiast milknie. Przysuwam się w jej stronę i jestem pod wrażeniem, gdy nie rusza się z miejsca.

– Wiem, czego chcesz – mówię, a dziewczyna mruga w odpowiedzi.

Opuszcza ręce, a kwiaty opadają na dno morza. – Chcesz zamienić ogon na nogi, by móc zdobyć serce ludzkiego chłopca.

Jej reakcja jest natychmiastowa.

– On już mnie kocha, jestem tego pewna.

Wątpliwe.

– A znasz imię tego chłopca?

– Nie jego pełne imię... jest okropnie długie, składa się z pięciu słów... ale

żeglarze mówią na niego Niklas.

Książę Asger Niklas Bryniulf Øldenburg V.

Wnuk Nika.

Zgrzytam zębami i unoszę podbródek, patrząc na syrenkę z góry. Jest księżniczką. Jedną z uroczych śpiewaczek, które często biorą udział w występach organizowanych w podwodnym pałacu. Występach, na które nikt nigdy mnie nie zaprasza. Jednak zawsze słyszę dobiegającą stamtąd muzykę – zamek króla mórz nie jest daleko. Zaraz za moim dziwacznym lasem widać osobliwą łunę otaczającą ziemie pałacu. Wygląda to tak, jakby kawałek nieba zszedł do głębin oceanu i połączył się z morską wodą.

– Proszę – zaczyna syrenka, gdy nie doczekuje się odpowiedzi. Jest wyraźnie zdesperowana, lecz w jej twarzy widzę coś jeszcze – odwagę wypełniającą jej umysł i serce. – Tylko ty posiadasz magię, która jest w stanie mnie zmienić. Od tak dawna nie wolno nam wypływać na powierzchnię.

Proszę, nawet jeśli ma to trwać tylko jeden dzień, muszę się z nim zobaczyć.

Moje serce nie zniesie dłuższej rozłąki z moim Niklasem.

Kiedy patrzę jej w oczy, mam wrażenie, że znowu mam szesnaście lat i po raz pierwszy dowiaduję się o prawdziwych uczuciach Nika. Przypominam sobie nasz pierwszy pocałunek, który nastąpił chwilę przed tym, jak nasze życia zmieniły się już na zawsze.

Ale teraz jestem za stara, by wciąż kierować się w życiu własnymi wspomnieniami.

I wiem, że ta syrenka nie ma pojęcia, o co prosi. Nie zdaje sobie sprawy z ceny, jaką będzie musiała zapłacić: ona, jej rodzina, najbliżsi, magia. Nie zdaje sobie sprawy z bólu, jaki ją czeka: psychicznego, emocjonalnego, magicznego. Tego jest za dużo.

– Serce jest w stanie zdusić wiele rzeczy, dziecko. Miłość jest jedną z nich.

Mała syrenka sięga po moją dłoń, lecz w ostatniej chwili zmienia zdanie, jakby mój dotyk miał ją poparzyć. Może tak by się stało.

– Proszę... zrobię wszystko.

Ponownie myślę o Niku. O jego śmiechu. Jego miłości. O tym, jak długo się tam kryła i czekała, aż w końcu ją dostrzegę. Zobaczę, jak płonie w jego ciemnych oczach.

Przed śmiercią Nik czasami mnie odwiedzał. Podchodził do krańca

zatoczki, mocząc buty w czarnej wodzie i dzielił się ze mną opowieściami o świecie nad powierzchnią oceanu, wierząc, że prąd wody przekaże mi jego słowa. Może również wiedział, że żyję. Pozostał moim przyjacielem i ukochanym do samego końca.

Patrzę syrence w oczy, w których nie widać już strachu. Teraz wypełnia je determinacja i pragnienie. Jestem pod wrażeniem – nikt nigdy nie odważył się wejść do mojego legowiska z taką prośbą. Widzę, jak bardzo tego chce.

Bardziej niż wszystko, co jest w stanie mi obiecać.

Ale nie zrobię tego za darmo. Może i to zaklęcie nie wymaga już ludzkiego życia, ale do jego rzucenia wciąż potrzebne jest jakieś poświęcenie. W ciągu tych wszystkich lat udało mi się opanować ten czar. Udało mi się też nauczyć o wiele więcej niż to, jak on działa.

I wiem, co powinnam jej odebrać.

– Muszę mieć pewność, że nad powierzchnią będziesz mówiła tylko prawdę – mówię w końcu.

Mała syrenka jest tak zaskoczona, że mija chwila, nim udaje jej się zrozumieć, co mam na myśli: pomogę jej. A kiedy w końcu to do niej dociera, nie zwleka z odpowiedzią.

– Będę...

– Nie tak szybko. Prosisz o poważną przysługę. – Syrenka idzie po rozum do głowy i posłusznie zaciska usta. – Po tym, jak staniesz się człowiekiem, już nigdy nie będziesz mogła na powrót zostać syreną. Już nigdy nie zobaczysz podwodnego pałacu. Swojego ojca. Matki. Sióstr. Wszystko, co dla ciebie najdroższe – z wyjątkiem księcia – znajdzie się poza twoim zasięgiem.

Syrenka blednie, a jej wzrok staje się nieobecny. Spędziła tak dużo czasu na formowaniu swojej prośby, zrywaniu kwiatków ze swojego ogrodu, zbieraniu się na odwagę, by przepłynąć między polipami i ponad mrocznym wrzosowiskiem, a coś takiego nawet nie przeszło jej przez myśl. Słyszałam, że król mórz zniszczył wszystkie zapiski mówiące o królowej Mette i o tym, jak zmieniła się w człowieka – zatuszował całą historię, by już nigdy nie powtórzyła się w przyszłości. Ta syrenka jest tego dowodem. Gdyby była w stanie poszukać czegoś więcej na ten temat, zrobiłaby to.

Po dłuższej chwili powraca wzrokiem do mojej twarzy. Już zadecydowała.

– Zgadzam się.

– Dobrze. Ale muszę otrzymać coś w zamian. I nie mówię tu o byle

drobnostce.

Jej twarz momentalnie się rozpromienia.

– Dam ci wszystko, czego chcesz – mówi. – Klejnoty, biżuterię, najpiękniejsze perły... proszę. – Przywileje i *rzeczy materialne* są kwintesencją życia, z którego chce zrezygnować.

Nie potrzebuję pereł. Ta jedna, którą niegdyś posiadałam, miała w sobie wystarczająco dużo fałszywych obietnic.

– Proszę tylko o jedno: twój głos.

Palce syrenki natychmiast uciekają do jej gardła.

– Mój głos?

– Muszę mieć pewność, że z twoich ust nie wydostanie się ani jedno kłamstwo, gdy już wyjdiesz na powierzchnię.

– Nie będę kłamać.

Unoszę brew.

– Z pewnością nie zrobisz tego bez głosu, prawda? Co więcej, jeśli napiszesz coś, co będzie kłamstwem, odpadną ci palce.

Przełyka z trudem ślinę.

– Jeśli w zamian chcesz odebrać mi głos, *mimo że i tak nie mam zamiaru kłamać*, to jak... jak...?

– Wciąż zachowasz swoją urodę, wdzięk i wyraziste oczy – mówię, obniżając głos tak, jak robiła to niegdyś ciocia Hansa. – Skoro jesteś na tyle dzielna, by uciec się do mojej czarnej magii i bez słowa opuścić swoją rodzinę i przyjaciół, z pewnością będziesz w stanie komunikować się ze swoją prawdziwą miłością bez użycia słów.

Mała syrenka zaciska usta, wyraźnie zastanawiając się nad innym rozwiązaniem.

Unoszę brew jeszcze wyżej.

– A może boisz się, że jego miłość nie jest prawdziwa?

– Jest! Wiem, że jest. To prawdziwa miłość. Weź sobie mój głos! Jest wart tej ceny!

Unoszę mackę do twarzy syreny i podnoszę jej podbródek. W jej oczach widzę coś jeszcze – coś oprócz strachu, tęsknoty i miłości.

– Naprawdę go kochasz, czy po prostu tak bardzo upodobałaś sobie ideę bycia człowiekiem?

Jej źrenice się rozszerzają, zaciska zęby. W końcu zbiera się na odwagę i zadaje pytanie, nie odwracając ode mnie wzroku.

– Jak to jest... być człowiekiem?

Nie zamierzam dawać jej torby lukrecji i obsypywać cukierkowymi historyjkami – nie jestem jej babcią.

Gdybym nią była, powiedziałabym, że bycie człowiekiem przypomina łyk letniego wina i odgłos dzwonów zwiastujących przybycie nowego statku. Jest jak zapach soli oraz limonek, jak błysk błękitnych oczu chłopca, który za chwilę ma złożyć na twoich ustach pocałunek.

Ale nie mówię jej tego. Nie mogę.

Jeśli chce oddać swój głos, by dowieść siły swojej miłości, niech tak będzie.

– Dobrze. – Owijam mackę wokół jej talii i przyciągam ją jeszcze bliżej.

Syrenka zachowuje się, jakby już straciła głos; otwiera usta ze zdziwienia, lecz nie wydostaje się z nich żaden dźwięk. Dotykam palcami jej gardła, które lśni nawet w nikłym świetle mojego podwodnego domu, niczym perła mieniąca się w głębi oceanu. Czuję pod opuszkami jej puls, bijący pod ciepłą skórą – jest to pierwsze bicie serca, jakie czułam od momentu, gdy Anna zmarła w moich ramionach. – Powiedz mi, co dokładnie kochasz w tym Niklasie?

– Ty... chcesz, żebym ci to powiedziała?

– Będiesz miała swój głos jeszcze przez kilka chwil, kochana. Mądrze wykorzystaj ten czas.

Syrena ponownie przełyka ślinę, a następnie bierze głęboki oddech.

– Po raz pierwszy zobaczyłam Niklasa w dniu moich piętnastych urodzin.

Niektórzy nazwaliby to miłością od pierwszego wejrzenia... ale już wcześniej widziałam jego twarz. W rzeźbie, którą trzymam w swoim ogrodzie odkąd skończyłam dziesięć lat. Te czerwone kwiaty, które ci przyniosłam, rosną...

– Tak... Øldenburgowie uwielbiają te swoje rzeźby – mówię, znowu brzmiąc jak Hansa. – W tej historii nie ma jeszcze miłości. Tylko przypadkowe spotkanie i ogrodnictwo.

Oblizuje wargi i kontynuuje swoją opowieść.

– Całą noc spędziłam w pobliżu łodzi i go obserwowałam, kiedy nagle, koło północy, rozpętała się ogromna burza. Fale były tak wielkie, że przewróciły statek. Żeglarze wpadli do wody, ale nigdzie nie widziałam tego chłopca. – Tutaj głos na moment więźnie jej w gardle. – Zeszłam pod wodę i go odnalazłam. Kończył miał wiotkie, a oczy zamknięte. Wyciągnęłam go

na powierzchnię i trzymałam jego głowę ponad taflą. Spędziliśmy tak całą noc, aż w końcu wzeszło słońce i ocean odzyskał spokój. Pocałowałam go w czoło i zabrałam na brzeg.

Mimowolnie zaciskam mackę wokół jej talii, gdy nagle przypominam sobie o Annemette, choć znam już tę historię na pamięć. Burza, katastrofa morska, ratunek.

– I co dalej? – pytam.

– Położyłam go na plaży obok ogromnego budynku. Schowałam się między skałami, przykryta morską pianą, i czekałam na rozwój wypadków.

Wkrótce znalazła go pewna śliczna dziewczyna, która od razu wezwała pomoc. Wiedziałam wtedy, że przeżyje. Odzyskał przytomność i uśmiechnął się do tej dziewczyny.

– Ciebie nie obdarzył uśmiechem?

– Nie. – W jej głosie pobrzmiwa determinacja. – Ale pragnę tego uśmiechu... pragnę go w tej chwili. Chcę, by wiedział, że to ja go uratowałam. Że go kocham. I chcę, by on pokochał mnie.

Ach. Okłamała mnie.

– Przecież powiedziałaś, że już cię kocha.

Syrenka ucieka wzrokiem. Po chwili kontynuuje:

– Obserwowałam go przez ostatni rok. I *wiem*, że zakocha się we mnie, jeśli tylko zostanę człowiekiem. Myśli, że kocha tamtą dziewczynę, która znalazła go na plaży, ale to ja go uratowałam. To ja uratowałam Niklasa.

Tak samo jak Anna, ta dziewczyna uważa, że coś jej się należy i jest gotowa ryzykować własnym życiem, by to zdobyć. Z tą różnicą, że nie szuka zemsty.

Pragnie jedynie żyć długo i szczęśliwie.

I nie mogę jej za to winić. Ponieważ nawet po wszystkim, co mnie spotkało, sama wciąż liczę na szczęśliwe zakończenie.

– To bardzo głupie z twojej strony – stwierdzam wreszcie – ale spełnię twoją prośbę.

Przypomina mi się zakłęcie mojej matki. To, którym chciała mnie uchronić przed mną samą.

– *Gefa*.

Syrenka otwiera szeroko oczy. Szarpie się do tyłu, mimo że nie jest w stanie wydostać się z mojego uścisku, i bladymi palcami dotyka gardła. Czuję w mackach niewidzialny ciężar – jej piękny głos osiada na mojej skórze.

Serce, życie, przeznaczenie.

Puszczam ją, po czym odwracam się do swojego kotła, który kiedyś zrobiłam przy użyciu piasku oraz magii.

Wkładam do niego głos syrenki – biały, olśniewający blask na tle głębokiego mroku.

Kocioł emanuje światłem. Wyciągam z włosów sztylet z miecznika i trzymam go przez chwilę nad gejzerem, żeby go wysterylizować. Może i mieszkam sama, ale wciąż przestrzegam podstawowych zasad higieny.

Następnie pochylam się nad bulgoczącym kotłem i nakłuwam skórę na swojej piersi, tuż nad sercem. To prawda, że do rzucenia tego zaklęcia nie potrzeba już ludzkiego życia, lecz nadal wymaga ono ofiary. Jak wszystko, co jest związane z magią.

Z rany wypływa krew czarna jak noc i gęsta jak syrop z melasy. Powoli skapuje do kotła, prześlizgując się przez białe światło będące głosem syreny.

Mieszają się ze sobą, rozgrzewając naczynie tak, że przypomina kulę ognia – kometę, która osiadła na dnie zatoki.

Uciekająca z kotła para wije się, wiruje i tańczy, tworząc upiorne cienie.

Polipowy las rozstępuje się.

Przygotowuję w głowie słowa zaklęcia – te same, które pozwoliły Annie odzyskać nogi i szukać zemsty. Te same, które nie podziałają na tak dziwną kreaturę jak ja.

– Líf. Dauði. Minn líf. Minn bjóð. Seiðr. Seiðr. Seiðr.

Kocioł zaczyna drżeć, a jego zawartość wiruje pod wpływem ogromnego ciśnienia i powoli wzbija się ku górze.

W zatoczce rozlega się wybuch, jakby właśnie zmarła w niej jedna z gwiazd. Woda rozgrzewa się do takiej temperatury, że wokół unoszą się kłęby dymu oraz pary. Z każdej strony otacza nas biała piana, otulając mój dom swoim blaskiem. Wszystko cuchnie siarką, a jej zapach jest tak ciężki, że czuję, jak płoną mi drogi oddechowe. Kiedy piana się rozrzedza, widzę, że syrenka unosi się w wodzie plecami do mnie i zakrywa głowę rękami. Nie dziwię jej się.

Zanurzam małą buteleczkę – kolejny prezent, który dawno temu podarowała mi ciocia Hansa – w zbiorniku. Mikstura migocze, jakby ktoś połączył blask księżycy ze światłem słonecznym i zamknął je pod szkłem.

– To dla ciebie – mówię, wyciągając buteleczkę w kierunku syreny.

Słyszając mój głos, opuszcza ręce i odwraca się. Jest tak przerażona, że

nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje, dopóki się nie odezwała.

– Gdy to wypijesz, przez cztery dni będziesz miała ludzkie nogi. Jeśli twoja miłość jest prawdziwa, a twój książę pokocha cię całym sobą, do końca życia pozostaniesz człowiekiem. Jeśli nie zdobędziesz jego serca, zmienisz się w morską pianę.

Syrenka otwiera usta, by coś powiedzieć, a ja widzę, jak porusza językiem.

Mija chwila, nim przypomina sobie, że już nigdy nie wyda z siebie żadnego dźwięku. Zalewa mnie fala wyrzutów sumienia, ale kątem oka zauważam swoje macki i natychmiast odzyskuję trzeźwość umysłu.

To właśnie kłamstwa zrujnowały życie mnie, Annie i Nikowi.

Syrena drżącymi palcami bierze buteleczkę. W jej oczach na nowo maluje się strach, ale już za późno na wątpliwości. Pozostała jej tylko determinacja i miłość, jaką czuje do tego młodzieńca.

– Wypij to przy mieliźnie. Byłaby szkoda, gdybyś utonęła jeszcze przed dotarciem na ląd – oznajmiam. Syrenka kiwa głową. – Ruszaj. Zobacz się ze swoją rodziną po raz ostatni, bo później będziesz żałować, że się z nimi nie pożegnałaś. – Znowu kiwa głową, a ja wiem, że mnie posłucha. Utrata rodziny zaskoczyła ją bardziej niż utrata głosu – lub może nawet życia.

Odwraca się, by ruszyć w drogę, lecz wołam ją jeszcze raz.

To prawda, że nikt mnie tu nie zna, ale wciąż jestem Evie. I mimo swojej przerażającej reputacji, mimo lat, jakie spędziłam w samotności, nie jestem bez serca.

Wyciągam ze swojej jaskini suknię, którą schowałam tam dawno temu – znalazłam ją w kufrze leżącym na dnie zatoki po tym, jak tu przybyłam.

Wtedy od drewna i zawiasów bił jeszcze chłodny zapach magii Annemette, i może to dlatego materiał kreacji był nienaruszony. Pośpiesznie szepczę zakłęcie, dzięki któremu tkanina pozostanie sucha.

– Weź ją. Odpowiedni wygląd zwiększy twoje szanse.

Tylko tyle mogę zrobić.

Mam nadzieję, że magia nie będzie dla niej zbyt okrutna.

W tej chwili znam magię na tyle dobrze, że wiem, iż nie powinnam oczekiwać od niej szczęśliwego zakończenia. Bajki, których słuchałam jako dziecko, stanowią wyjątek od reguły. To zaskakujące, że na tym świecie nie ma więcej stworzeń takich jak ja.

Dlatego wracam do swojego legowiska, ponownie witając dzwoniącą mi w

uszech ciszę. W pewnym sensie jest teraz bardziej bolesna niż wcześniej.

Jakby usłyszenie obcego głosu i chwilowe odzyskanie swojego człowieczeństwa otworzyło ranę pozostawioną przez dręczącą mnie samotność. Teraz ta rana na nowo krwawi, ropieje i nie chce się z powrotem zagoić.

Ale tak naprawdę nie jestem sama. Nie, polipy są istotami powstałymi z dusz ludzi, którzy próbowali mnie zabić. Żyją, oddychają i dotrzymują mi towarzystwa w tym mrocznym miejscu. Mój czarny żywot jest z nimi trwale związany.

Na powierzchni kotła wciąż widnieje smuga migoczącego światła – tego, co pozostało z mojej zapłaty. Głosu syreny. Do mikstury potrzeba było tylko kropli, ponieważ to jej ciało zapłaciło resztę ceny.

Przesuwam dłońmi po pękatym brzegu naczynia, zbierając pozostałości głosu, aż w końcu czuję, jak ciąży mi na rękach. Białe światło tańczy, a jego blask przebija się przez zatoczkę, oświetlając mój las, jaskinię oraz moją mroczną postać.

To naprawdę coś wyjątkowego.

Może to przez tę nową ciszę lub wspomnienia, które na powrót wypełniają mój umysł. A może po prostu minęło już wystarczająco dużo czasu.

Ale dokładnie wiem, co zrobię z tym podarunkiem.

Odwracam się do największego polipa. Tego, który rośnie obok mojej jaskini. Ostatniego ciała, jakie opadło na dno.

Gdy wydaję polecenie, wiem, że magia je spełni. Że zrozumie, czego chce.

Czuję, jak energia przepływa przez moje ciało, od koniuszków macek aż do czubka głowy.

– *Líf. Líf.*

Głos syreny opuszcza moje dłonie, podpływa do dziwnego drzewa i osiada na jego szczycie, skąd jego gałęzie sięgają ku nieprzeniknionej, czarnej głębi.

Światło łączy się z polipem. Po chwili słychać oddech, jakby wszystkie głowy w gałęziach polipa jednocześnie zaczerpnęły tchu, i zatoczkę wypełnia odgłos małej syrenki wyrażający myśli kogoś, kto umarł wiele lat temu.

Dziewczyny, która przez pięćdziesiąt lat była ze mną związana, od momentu, gdy moje nogi zmieniły się w macki ośmiornicy.

Jej głos przebija się przez mrok i natychmiast skupia się na tym, co się właśnie stało. W końcu ma jeszcze mnóstwo czasu na rozpamiętywanie naszej przeszłości.

– Skrewi. Księżę kocha inną. Nie uda jej się poruszyć jego serca w cztery dni.

– Wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. Mam nadzieję, że jej się uda, ale nie mogę również zapomnieć o tym, co zrobiła dla mnie matka. Co ja zrobiłam dla Nika. Co rodzina zrobiłaby dla Anny, gdyby tylko dano im szansę. – Ale jej najbliżsi nie dadzą jej odejść tak łatwo. – Przyjdą tu i będą błagać o coś, co uratuje jej życie.

Kiedy wyłaniam się z legowiska z koralem w ręku. Anna dokładnie wie, co chcę zrobić.

– Naostrz go. Krew musi skapnąć na jej stopy... jeśli w ogóle go użyje.

Przygotowuję sztylet, bo mimo że magia potrafi wpłynąć na życie i śmierć, nie jest w stanie kontrolować miłości.

Podziękowania

Odkąd rodzice pokazali mi *Kocią kołyskę*, zawsze interesował mnie concept „karassu” autorstwa Kurta Vonnegutta – grupy ludzi połączonych ze sobą w sposób kosmiczny i nierozzerwalny. Tak, wiem, że to określenie przeszło do historii jako część religii fikcyjnej i jest nieco głupkowate, ale wciąż myślę, że los łączy ludzi z konkretnego powodu. Można to nazwać karassem lub czymś zupełnie innym, jednak osoby, które wymienię poniżej, są w moim życiu właśnie z konkretnego powodu i kocham ich na wszelkie możliwe sposoby. Bez nich nie czułabym takiego spełnienia.

Dziękuję mojej najdroższej redaktor naczelnej, Marii Barbo, której magiczna wyobraźnia umożliwiła mi stworzenie świata Evie. Nie wiem, jak Ci się odwdzięczę za wiarę, jaką pokładałaś w moje umiejętności. Kochana, zasługujesz na dożywotny zasób czekoladek Christophera Elbowa.

Dziękuję naszej nieustraszonej liderce, Katherine Tegen; Rebecce Aronson, za jej sceptyczność i uśmiech; Mai Myers, adiustatorce, za jej bystre oko oraz grację, z jaką znosiła moją nienawiść do przecinków przed spójnikami (dziennikarze, łączmy się!); redaktor Emily Rader za jej pewną rękę; Heather Daugherty i Amy Ryan za przepiękną tytulaturę; Annie Dittman za jej zachwycające/oryginalne/perfekcyjne nakreślenie postaci Evie; oraz reszcie załogi Katherine Tegen Books i HarperCollins.

Dziękuję Rachel Ekstrom, mojej agentce/źródłu inspiracji/wewnętrznej sile, która zawsze wita mnie oraz moją pracę z entuzjazmem i daje mi cenne wskazówki. Dziękuję również reszcie rodziny IGLA, zwłaszcza Barbarze Poelle, za wsparcie, poczucie humoru i wiarę w moje możliwości.

Dziękuję Joyowi Callawayowi, mojemu własnemu promykowi słońca – każdego dnia zmieniasz moje życie. Wiesz dokładnie, kiedy napisać, kiedy zadzwonić i kiedy doprowadzić mnie do śmiechu. Twoja życzliwość i przyjaźń są dla mnie prawdziwym natchnieniem.

Dziękuję Renée Ahdieh, przywódczyni mojego stada – najrozsądniejszej, najszykowniejszej, najbardziej wspaniałomyślniej gwiazdzie rocka, jaką

znam.

Jesteś dla mnie jak siostra, wróżka chrzestna i pył diamentowy w jednym.

Dziękuję Rebecce Coffindaffer, która ma zwyczaj zabijania moich postaci, nim zdaję sobie sprawę, że mam krew na rękach. Dziękuję Natalie Parker i Tessie Gratton – moim dwóm czarownicom, które magicznie wypełniły moje ciało mądrością, rozumem i zimną La Croix. Co więcej, dziękuję wszystkim pisarzom z Kansas, których miałam okazję poznać. Czas, jaki wspólnie spędziliśmy, przypomina mi najlepsze wieczory w college'u, kiedy to na przeróżne sposoby lubiłam rozgryzać sztukę pisania. Do tego wszyscy macie niesamowity gust co do przekąsek.

Dziękuję Julie Tollefson, Christie Hall i Christy Little za weekendowe sesje pisania spędzone w mroźnym, lecz przyjemnym T. Lofcie. Dziękuję też Marie Hogebrant za podsuwanie mi staronordyjskich słów oraz wyrażeń.

Dziękuję Kellye Garrett, mojej zabójczej towarzysze broni, która zawsze odpowiada na każdą wiadomość. Randy Shemanski, dziękuję ci za liczne rozmowy e-mailowe i utrzymywanie mnie przy zdrowych zmysłach już od dwunastu lat. Dziękuję Whitney Schneider, Nicole Green, Laurie Euler, Coleen Shaw-Voeks, Colindzie Warner i mojej grupie Trail Hawks za wyczerpujące leśne wycieczki i spocone uściski. Dziękuję Jennifer Gunby i Cory'emu „Cass Anaya” Johnsonowi, którzy rozbudzili moją wyobraźnię dawno temu i nigdy nie pozwolili mi napisać nawet jednej nudnej sceny.

Ricki Schultz, Danielle Paige, Zoraida Córdova, Dhonielle Clayton, Brenda Drake, Sarah Lemon, Cannon, Jae-Jones, Smarsh, Blair, Fox i wszyscy, których miałam przyjemność spotkać w życiu – dziękuję Wam za role, jakie pełniliście w trakcie tej podróży. To właśnie dzięki Waszym uśmiechom, miłości i ciepłu udało mi się nie postradać zmysłów.

Dziękuję moim rodzicom, Craigowi i Mary Warrenom, za pomoc w spełnianiu moich najskrytszych marzeń. To Wy nieprzerwanie podstawialiście mi pod nos kolorowy papier, kiedy to moje „książki” były jeszcze zszytymi ze sobą dziecięcymi rysunkami, i nie dawaliście mi odłożyć długopisu od chwili, gdy napisałam na kartce pierwsze słowa. Bez Was bym sobie nie poradziła. Dziękuję Nate'owi, Amalii, Emmie oraz opowieściom, które rozwijacie na naszych oczach. Dziękuję też Meagan, naszemu brakującemu ogniwu. Tak to już jest.

Na koniec chcę podziękować Justinowi. Mojemu prywatnemu informatykowi, dostawcy czekoladowych precli i poskramiaczowi dzieci.

Mojej miłości. Bez Ciebie żadna z tych rzeczy nie byłaby możliwa. Tak bardzo się cieszę, że towarzyszysz mi w tej podróży. Nie mogłabym odbyć tego rejsu z kimś innym.

Przypisy

^[1] Rodzaj duńskiego piwa (przyp. tłum.).

^[2] Tørhed – posucha (przyp. tłum.).

^[3] Duński tytuł określający córkę barona (przyp. tłum.).

^[4] Hrabina (przyp. tłum.).

^[5] Rodzaj pieczonych duńskich przekąsek (przyp. tłum.).

^[6] Muszla (przyp. red.).